

**MARY BALOGH**

**NOC MIŁOŚCI**

**CZEŚĆ PIERWSZA**  
**POWRÓT**

Pomimo wczesnej pory i dojmującego chłodu na podwórzku przed gospodą Pod Białym Koniem przy Fetter Lane w Londynie panował tłok i gwar. Dylizans do West Country miał niedługo ruszyć w codzienną trasę. Dopiero kilka osób zajęło miejsca. Większość pasażerów kręciła się niespokojnie wokół pojazdu, pilnując, by bagaż został należycie załadowany. Uliczni handlarze usiłowali wcisnąć swoje towary podróżnym, których czekał długi i nudny dzień. Stajenni mieli pełne ręce roboty. Obdarte dzieciaki, kiedy nie przeganiano ich na ulicę, biegały wokół podekscytowane.

Pocztylion ogłaszając zadał w róg; zbliżał się czas odjazdu i pasażerowie z biletami powinni już wsiadać.

Kapitan Gordon Harris, imponujący w zielonym mundurze dziewięćdziesiątego piątego pułku strzelców, oraz jego młoda żona, ubrana ciepło i modnie, nie pasowali do tego niewyszukanego towarzystwa. Nie byli jednak pasażerami. Przybyli pod gospodę Pod Białym Koniem, by odprowadzić kobietę, która ruszała w podróż.

Ich towarzyszką wyglądała zupełnie inaczej. Jej ubranie było czyste i schludne, ale wyraźnie sfatygowane. Nosila wypłowiałą prostą, bawełnianą suknię z wysokim stanem i równie znoszony ciepły szal. Kapelusz, dawniej chyba ładny, chociaż nigdy niemodny, bez wątplenia ochronił swą właścicielkę przed niejednym już deszczem. Jego szerokie rondo zniekształciło się i oklapło. Kobieta była młoda i tak filigranowa, i szczupła, że na pierwszy rzut oka zdawała się zaledwie dziewczynką. Miała jednak w sobie coś, co sprawiało, że kilku mężczyzn krzątających się gorączkowo przy robocie zerkąło na nią z zainteresowaniem. Uroda, wdzięk i trudna do określenia, emanująca z niej kobiecość świadczyły o tym, że nie była już podlotkiem.

- Powinnam wsiadać do powozu - powiedziała, uśmiechając się do kapitana i jego żony. - Nie musicie tu ze mną stać. Jest za zimno.

Wyciągnęła obie ręce do pani Harris, spoglądając na przemian to na nią, to na jej męża.

- Jak mam wam dziękować za wszystko, co dla mnie zrobiliście?

Do oczu pani Harris napłynęły łzy, kiedy wzięła w objęcia młodą kobietę.

- Nie zrobiliśmy nic nadzwyczajnego - odrzekła. - A teraz pozwalamy ci jechać najtańszym środkiem transportu, chociaż mogłabyś podróżować w godniej szych warunkach, kareta lub dylizansem pocztowym.

- Dość już się od was nAPOŻYCZAŁAM. Choć nie pozwalałam sobie na zbytnią

rozzrzutność.

- Napożywałaś - obruszyła się pani Harris, po czym wyjęła z torebki chusteczkę oblamowaną koronką i przycisnęła ją do oczu.

- Jeszcze nie jest za późno na zmianę planów. - Kapitan ujął ręce młodej kobiety. - Możemy razem wrócić do hotelu i zjeść śniadanie. Przed posiłkiem napiszę list i natychmiast go wyślę. Jestem pewien, że w ciągu tygodnia nadejdzie odpowiedź.

- Nie, dziękuję - odparła stanowczo, ale z uśmiechem. - Nie mogę czekać. Muszę jechać.

Nie oponował więcej, westchnął jednak i poklepał ją po ręce, a potem objął nagle, jak wcześniej jego żona. Tymczasem okazało się, że ich towarzysza może stracić miejsce, które koniecznie chciał jej zająć. Wsunął nawet do kieszeni woźnicy napiwek, by siedziała przy oknie podczas długiej podróży do wioski Upper Newbury w hrabstwie Dorset. Jednak jakaś tęga jejmość, która nie wyglądała na kogoś, kto złąknie się woźnicy, samego kapitana czy nawet obu na raz, właśnie sadowiła się przy oknie.

Młoda kobieta musiała wcisnąć się na środkowe siedzenie. Nie podzielała jednak oburzenia kapitana. Uśmiechnęła się i pomachała im na pożegnanie. Pocztylion znów zadął w róg, ogłaszając, że ruszają w drogę.

Pani Harris nadal unosiła w pożegnalnym geście odzianą w rękawiczkę dłoń, kiedy powóz zaturkotał na podwórzu, skręcił w ulicę i zniknął z oczu.

- W całym swoim życiu nie widziałam osoby równie upartej - oznajmiła, sięgając znów po chusteczkę. - I równie kochanej. Co się z nią stanie, Gordonie?

Kapitan znów westchnął.

- Obawiam się, że robi źle - odparł. - Minęło już prawie półtora roku. To, co wydawało się szaleństwem nawet wówczas, teraz bez wątpienia stało się nierealne. Ona jednak tego nie rozumie.

- Jej nagłe pojawienie się z pewnością wywoła wstrząs - dodała pani Harris. - Och, niemądra dziewczyna, czemu nie chciała zostać kilka dni dłużej, żebyś napisał list. Jak ona da sobie radę, Gordonie? Taka drobna i krucha, i taka... niewinna. Boję się o nią.

- Odkąd znam Lily, zawsze sprawiała takie wrażenie - rzekł kapitan. - Chociaż teraz wydaje się jeszcze delikatniejsza niż kiedyś. Jednak uważam, że ta delikatność i niewinność to tylko pozory. Wiemy, że los nie szczędził jej gorzkich doświadczeń. Pewien jestem, że wielu spośród moich ludzi, nawet najbardziej nieugiętych, nie wyszłoby zwycięsko z tej próby. A przecież nie wiemy wszystkiego. Bóg jeden wie, przez co naprawdę przeszła.

- Wolę sobie nawet nie wyobrażać - odparła żarliwie jego żona.

- Przetrwiała to wszystko, Maisie. A jej duma i odwaga pozostały takie jak dawniej. Jej słodycz również - wcale nie stała się zgorzkniała. Mimo wszystko pozostała czysta.

- Ciekawe, co on zrobi, kiedy przyjedzie Lily - zastanawiała się Maisie, kiedy ruszyli z powrotem do hotelu na śniadanie. - O, Boże, należało go powiadomić.

\*

Na Newbury Abbey, wiejską siedzibę i główną posiadłość hrabiego Kilbourne w hrabstwie Dorset, składał się ogromny pałac położony w wielkim, troskliwie pielęgnowanym parku, w którym znajdowała się nawet zaciszna, porośnięta paprociami dolina i złocista plaża. Za bramami parku ciągnęła się Upper Newbury - malownicza wioska z białymi domkami pokrytymi strzechą, skupionymi wokół kościoła pod wezwaniem Wszystkich Świętych i sąsiadującej z nim gospody z szynkiem na parterze oraz świetlicą i sypialniami na piętrze. Kręta dróżka, wzdłuż której przycupnęło kilka domów i sklepów, biegła stąd do zamieszkałej przez rybaków Lower Newbury, wzniesionej nad osłoniętą zatoczką, gdzie cumowały łodzie.

Mieszkańcy obydwu wiosek, a także całej okolicy, jak wszyscy ludzie żyjący na uboczu, uwielbiali, kiedy działo się coś interesującego, a najczęściej okazji do ekscytacji dawało Newbury Abbey.

Ostatnie wielkie widowisko - pogrzeb starego hrabiego - odbyło się rok wcześniej. Nowy hrabia, syn zmarłego, był wtedy w Portugalii razem z wojskami lorda Wellingtona i nie mógł wrócić do domu, by wziąć udział w smutnej ceremonii.

Wystąpił z wojska i przyjechał później, by podjąć swe obowiązki.

A teraz - na początku maja 1813 roku - mieszkańców Newbury czekało przeżycie dużo radośniejsze i wspanialsze niż pogrzeb. Nowy hrabia Kilbourne, dwudziestosiedmioletni Neville Wyatt, miał poślubić kuzynkę, która dorastała razem z nim i jego siostrą, lady Gwendoline. Ojciec dziedzica, zmarły hrabia, a także baron Galton, dziadek ze strony matki przyszłej panny młodej, zaplanowali to małżeństwo przed wielu laty.

Obydwoje młodzi cieszyli się wielką popularnością. Mieszkańcy wiosek zgodnie twierdzili, że trudno byłoby znaleźć parę piękniejszą niż hrabia Kilbourne i panna Lauren Edgeworth. Jego lordowska mość wyjechał na wojnę - wbrew woli ojca, jak plotkowano - jako wysoki, szczupły, jasnowłosy i przystojny młodzieniec. Sześć lat później powrócił zmieniony niemal nie do poznania. Stał się prawdziwym mężczyzną - szerokim w barach, wąskim w pasie - wysportowanym i silnym, o wyrazistych rysach twarzy. Nawet blizna po ranie zadanej szablą, biegnąca od prawej skroni do policzka i tylko nieznacznie mijająca oko i kącik ust, zdawała się raczej podkreślać niż umniejszać jego urodę. Panna Edgeworth, wysoka

i szczupła, elegancka i piękna jak z obrazka, przyciągała uwagę ciemnymi błyszczącymi lokami i oczami, które jedni określali mianem czarnych, inni fiołkowych, zgadzając się w jednym, że były prześliczne. Czekwała cierpliwie na hrabiego, osiągając niebezpiecznie zaawansowany wiek - dwadzieścia cztery lata. Powszechnie twierdzono, że postąpiła właściwie i bardzo romantycznie.

Od dwóch dni przez wioskę płynął nieprzerwany strumień wspaniałych powozów, którym pospólstwo przyglądało się otwarcie, a miejscowa elita dyskretnie, zza zasłonek saloników. Powiadano, że połowa arystokracji angielskiej przybywa, by wziąć udział w tym wydarzeniu - najbardziej utytułowane osobistości z Anglii, Szkocji i Walii. Plotka głosiła, chociaż można było przyjąć to za fakt, skoro wiadomość pochodziła bezpośrednio od bliskiej kuzynki szwagra ciotki jednej z kuchennych pracujących w Newbury, że w rezydencji nie pozostał ani jeden wolny pokój, a przecież było ich tam bez liku.

Zaproszenie otrzymało też wiele miejscowych rodzin - zarówno na sam ślub, jak i na śniadanie, które miało się odbyć później w pałacu, a także na wielki bal wydawany dzień wcześniej. Doprawdy, dawno nie było wspanialszej uroczystości. Pomyślano nawet o ludziach niskiego stanu. Kiedy goście weselni mieli wziąć udział w śniadaniu, mieszkańców wioski czekał wspaniały posiłek, wydany dla nich w gospodzie na koszt hrabiego. Następnie na wiejskich błoniach miały się odbyć tańce wokół umajonego słupa.

W wieczór poprzedzający ślub we wsi panowało niezwykle ożywienie. Kuszące zapachy gotowanych potraw unosiły się przez cały dzień z gospody, przynosząc obietnicę uczty czekającej następnego dnia. Kilka kobiet nakrywało do stołów ustawionych w świetlicy, mężczyźni zdobili słup kolorowymi serpentynami, a dzieci próbowały je ściągnąć i co chwila dostawały burę za to, że plączą dekoracje i kręcą się pod nogami. Panna Taylor, niezamężna córka poprzedniego pastora, oraz jej młodsza siostra, panna Amelia, pomagały żonie obecnego pastora dekorować kościół białymi wstęgami i wiosennymi kwiatami, podczas gdy wielebny wkładał nowe świece do kandelabrow, pogrążając się w marzeniach o chwale czekającej go rano.

Następnego dnia w Upper Newbury odbędzie się zjazd znakomitych gości i parada ich powozów. Przybędzie hrabia, jakże wspaniały w ślubnym stroju, i panna młoda w pięknej sukni. Aż wreszcie - o! radości nad radościami! - pastor złoży życzenia nowo poślubionym małżonkom, kiedy pojawią się w drzwiach kościoła przy wtórze dzwonów oznajmiających, że w rezydencji zamieszka nowa hrabina. A na koniec zacznie się zabawa i tańce.

Wszyscy zerkali niespokojnie na zachód, sprawdzając, czy zapowiada się na zmianę pogody. Nie dopatrzone zostały jednak żadnych złowieszczych oznak. Dzień był bezchmurny,

słoneczny i naprawdę ciepły. Na zachodzie nie ujrzano nawet śladu chmur. Nic nie powinno zakłócić uroczystości.

Nikt jednak nie spoglądał na wschód.

\*

Londyński dyliżans zostawił Lily przed gospodą w Upper Newbury. To z pewnością piękna okolica, pomyślała, oddychając chłodnym, nieco słonawym wieczornym powietrzem i czując, mimo zmęczenia i zeszywniałych członków, że wracają jej siły. Miejsce wyglądało według niej niezwykle angielsko - bardzo ładnie, bardzo spokojnie i raczej obco.

Zapadał jednak zmierzch, a czekała ją jeszcze długa droga. Nie miała ani czasu, ani sił na podziwianie widoków. Poza tym serce zaczęło jej bić mocno w piersiach, aż traciła oddech. Zdała sobie sprawę, że jest blisko celu - nareszcie. Jednak im bliżej się znajdowała, tym mniej była pewna, jakie czeka ją przyjęcie, i zaczynała wątpić, czy rozsądnie postąpiła, udając się w podróż. Cóż, nie miała innego wyboru.

Odwróciła się i weszła do gospody.

- Jak daleko stąd do Newbury Abbey? - spytała karczmarza, nie zwracając uwagi na ciszę, która zapadła po jej wejściu.

Pomieszczenie wypełniali mężczyźni sprawiający wrażenie nieźle podchmielonych, Lily jednak miała doświadczenie w takich sytuacjach. Większa grupa mężczyzn nie mogła jej wprowadzić w zakłopotanie czy przestraszyć.

- Jakież dwie mile - rzekł właściciel gospody, opierając masywne łokcie na ladzie i mierząc ją od stóp do głów z nieukrywanym zainteresowaniem.

- W którą stronę? - spytała.

- Trzeba minąć kościół i bramy - odpowiedział, wskazując kierunek. - A potem cały czas drogą.

- Dziękuję - rzekła uprzejmie, ruszając do wyjścia.

- Gdybym był na twoim miejscu, moja piękna, zapukałbym do drzwi pastora - zaczął bez cienia nieuprzejmości w głosie mężczyzna siedzący przy jednym ze stołów. - To obok kościoła, z tej strony. Dadzą ci tam kromkę suchego chleba i kubek wody.

- Jeśli chciałabyś usiąść między mną a Mitchem, już ja dopilnowałbym, żebyś dostała skibkę chleba i kubek jabłecznika, śliczna panienko - zawołał ktoś z rubaszną jowialnością.

Głośny wybuch śmiechu, a także kilka gwizdów i uderzenia pięścią w stół odpowiedziały na jego słowa.

Lily uśmiechnęła się, nie czując urazy. Nawykła do nieokrzesanych mężczyzn i ich

prostackiego zachowania. Rzadko kiedy mieli na myśli coś złego lub chcieli kogoś obrazić.

- Dziękuję, ale nie dzisiaj - odparła.

Wyszła przed gospodę. Dwie mile. A przecież zapadał już zmierzch. Nie mogła jednak czekać do rana. Gdzie miałyby się zatrzymać na noc? Miała tylko tyle pieniędzy, że starczyłoby jej na szklankę lemoniady i, być może, na niewielki kawałek chleba, ale za mało na nocleg. Poza tym, dotarła już prawie do celu.

Czekały ją tylko dwie mile.

\*

Salę balową w Newbury Abbey, wspinała nawet wtedy, kiedy stała pusta, zdobyły teraz żółte, pomarańczowe i białe kwiaty z ogrodów i cieplarni oraz białe satynowe wstęgi i kokardy. Wysoko nad głowami gości płonęły setki świec w kryształowych kandelabrach, odbijające się tysiącem refleksów w długich zwierciadłach umieszczonych na dwóch przeciwległych ścianach. Pomieszczenie wypełniała najznakomitsza londyńska arystokracja, a także miejscowe ziemiaństwo, wszyscy wystrojeni na bal w najlepsze stroje. Szeleściły muśliny i jedwabie, połyskiwały koronki i satyna. Błyszczała kosztowna biżuteria. Najdroższe perfumy szły o lepsze z zapachami tysięcy kwiatów. Wszyscy podnosili głos, próbując przekrzyczeć zarówno innych gości, jak też dźwięki muzyki. Grała cała orkiestra.

Bliźniacze marmurowe schody wiodły do znajdującego się poniżej, zwieńczonego kopułą wielkiego holu z filarami, także pełnego ludzi. Niektórzy przechadzali się pod gołym niebem - po tarasie przed pałacem, wokół fontanny, po żwirowanych alejkach i w ogrodzie kwiatowym. Wokół fontanny i na drzewach rozwieszono barwne latarenki, chociaż blask księżycy dawał wystarczające światło.

Zapadł cudowny majowy wieczór. Wielu gości, witając się przy wejściu z Lauren i Neville'em, wyrażało nadzieję, że jutro czeka ich przynajmniej w połowie tak piękny dzień.

- Jutro będzie dwa razy piękniej - odpowiadał za każdym razem pan domu, uśmiechając się ciepło do narzeczonej. - Choćby nawet wył wicher, lał deszcz i grzmiały pioruny.

Lauren odpowiadała promiennym uśmiechem. Neville zastanawiał się, prowadząc ją wreszcie do pierwszego tańca, dlaczego w ogóle się wahał, czy uczynić ją swoją żoną. Nie mógł pojąć, że czekała na niego sześć długich lat, kiedy walczył jako oficer dziewięćdziesiątego piątego pułku strzelców. Oczywiście, powiedział jej, żeby na niego nie czekała - za bardzo ją lubił i nie chciał jej zwodzić, kiedy sam nie był pewien, jakie ma wobec niej intencje. Ona jednak czekała. Cieszył się z tego teraz, ujęty jej cierpliwością i wiernością.

Zrobił trafny wybór, decydując się na to małżeństwo. Poza tym jego uczucie do niej nie zbladło. Wzrosło wraz z podziwem dla jej charakteru i urody.

- A więc zaczyna się - wymruczał do niej, kiedy orkiestra zaczęła grać. - Nasze zaślubiny. Jesteś szczęśliwa, Lauren?

- Tak.

Nie musiała tego mówić. Promieniała szczęściem. Wymarzona panna młoda. Jego panna młoda. Czuł się wspaniale, patrząc na nią.

Zatańczył najpierw z nią, potem z siostrą. Następnie poprosił do tańca kilka panien, by nie podparły ścian, a jego narzeczona zatańczyła kolejno z kilkoma panami.

Wróciwszy z balkonu, na który poszedł z jedną ze swoich partnerek, Neville minął francuskie okna i dołączył do grupy młodych dżentelmenów, którzy, jak zawsze na balu, potrzebowali wzajemnego wsparcia, chcąc nabrać odwagi, by zaprosić młodą damę do tańca. Popenił błąd, wspominając, że żadnego z nich jeszcze nie widział na parkiecie.

- No cóż, Nev, ty za to spisujesz się nieźle - stwierdził jego kuzyn, Richard Sterne. - Chociaż tylko raz zatańczyłeś z narzeczoną. To pech, stary, rozumiem jednak, że nie wolno ci poprosić ją więcej niż raz, czyż nie?

- Niestety - potwierdził Neville, spoglądając na salę balową, gdzie Lauren stała z jego matką, z Elizabeth Wyatt, siostrą jego ojca oraz krewnymi matki, księciem i księżną Anburey.

Sir Paul Langford, sąsiad i przyjaciel z dzieciństwa, nie omieszkał skorzystać z okazji do grubego żartu.

- No wiesz, Sterne - wycedził. - To tylko dzisiaj w nocy. Jutro Nev zatańczy ze swoją wybranką, chociaż niekoniecznie na sali balowej. Jestem tego pewien.

Cała grupa wybuchła śmiechem, zwracając na siebie uwagę.

- Co za niewybredny żart, Nev, musisz przyznać - powiedział kuzyn i drużba pana młodego, markiz Attingsborough.

Neville uśmiechnął się szeroko, ale zaraz zacisnął usta i przytrzymał wstążkę monokla.

- Niechby tylko twoje słowa dotarły do uszu jakiejś kobiety, Paul, a musiałbym cię wyzwać na pojedynek - zauważył. - Bawcie się dobrze, panowie, nie zapominajcie jednak o paniach, jeśli łaska.

Ruszył w kierunku narzeczonej. Lauren, ubrana w suknię z wysokim stanem, z jasnego tiulu na żółtym jedwabiu, wyglądała świeżo i uroczo jak wiosna. To fatalnie, że nie mógł zatańczyć z nią ponownie. Z drugiej strony, dziwne byłoby, gdyby nie spróbował, skoro miał na to ochotę.

Nie mógł jednak od razu wprowadzić w czyn swych zamiarów. Przedtem musiał wymienić uprzejmości z Calvinem Dorseyem, znajomym dziadka panny młodej, mężczyzną w średnim wieku, miłym w obejściu, który poprosił Lauren o pierwszy taniec po kolacji, i przez kilka minut zabawiał ich rozmową. Następnie Elizabeth została poproszona przez księcia Portfrey, uważanego powszechnie za jej przyjaciela i adoratora, do następnego tańca. W końcu szczęście uśmiechnęło się do Neville'a.

- Pogoda dzisiaj bardziej przypomina letnią niż wiosenną - odezwał się, nie zwracając się do nikogo konkretnego. - Ogród skalny na pewno prezentuje się uroczo w świetle lampionów. - Rozmyślnie obdarzył Lauren tęsknym uśmiechem.

- Mhm. Fontanna z pewnością też - odezwała się.

- Pewnie poprosiłeś do następnego tańca Lauren, wuju Websterze - powiedział Neville.

- Rzeczywiście - potwierdził książę Anburey, mrugając do siostrzeńca porozumiewawczo ponad głowę dziewczyny. Dobrze zrozumiał aluzję. - Ale całe to gadanie o latarniach i lecie wzbudziło we mnie ochotę, bym przeszedł się do ogrodu razem z Sadie. - Spojrzał na żonę i poruszył brwiami. - Gdyby tylko ktoś chciał zastąpić mnie w tańcu z Lauren...

- Jeśli byś mnie poprosił, może dałbym się jakoś ubłagać, by zdjąć ten ciężar z twoich barków - powiedział Neville. Jego matka uśmiechnęła się radośnie, słysząc te intrygi.

Minutę później schodził na dół, trzymając pod rękę narzeczoną. Kilka razy zatrzymywali ich goście pragnący pochwalić bal i życzyć im wszystkiego najlepszego w zbliżającym się dniu i następnych latach, w końcu jednak oboje znaleźli się na zewnątrz i zeszli po szerokich marmurowych schodach, by nacieszyć oczy tęczą, jaką tworzyło światło latarenek na rozpryskującej się w fontannie wodzie. Skierowali się ku skalnemu ogrodowi.

- Jesteś podstępny intrygantem, Neville - powiedziała Lauren.

- Cieszysz się z tego? - Pochylił się ku niej.

Zastanowiła się przez chwilę, przechyliwszy na bok głowę, w lewym policzku ukazał się dołeczek.

- Tak - odparła stanowczo. - Bardzo.

- Zapamiętamy tę noc jako jedną z najszcześniejszych w naszym życiu. - Neville wdychał świeże, lekko słone powietrze. Kiedy zmrzył oczy, światło z poszczególnych lampionów, wiszących przed nimi w skalnym ogrodzie, stworzyło kalejdoskop barw.

- Och, Neville. - Lauren zacisnęła rękę na jego ramieniu. - Czy ktokolwiek ma prawo do takiego szczęścia?

- Tak - zniżył głos. - Ty.

- Spójrz tylko na ogród. Lampiony sprawiają, że wygląda jak kraina z baśni.

Przez następne pół godziny Neville mógł cieszyć się jej towarzystwem.

Lily znalazła, drogę wiodącą od solidnej bramy do parku - szeroką i krętą aleję, zacienioną przez wysokie, rosnące po jej obu stronach drzewa, których gałęzie stykały się nad głową, tak że czasami tylko błysk księżyca przeświecał między nimi i dzięki niemu nie zboczyła z drogi i nie zgubiła się. Wokół rozlegało się cykanie świerszczy, a jakiś ptak, chyba sowa, zahuczał gdzieś opodal. Raz coś trzasnęło w lesie po prawej stronie - pewnie jakieś dzikie zwierzę, które się jej przestraszyło. Te nieliczne dźwięki jedynie podkreślały panującą ciszę i mrok. Niemal niepostrzeżenie zapadła noc.

Kiedy w końcu znalazła się na zakręcie, ze zdziwieniem zobaczyła niedaleko blask. Ujrzała jasno oświetlony pałac i stojący obok inny wielki budynek, równie rzęsiście oświetlony. Na zewnątrz także było widno - kolorowe lampiony zwisały z gałęzi drzew.

Dziewczyna zatrzymała się, spoglądając w zachwycie i zdumieniu. Nie spodziewała się takich wspaniałości. Dom zbudowano chyba z szarego granitu, ale nie sprawiał wrażenia masywnego. Zdobiły go filary, wykończone ostrymi łukami frontony i wysokie okna - wszystkie elementy rozmieszczone symetrycznie. Nieznajomość architektury nie pozwoliła jej rozpoznać elementów stylu palladiańskiego, które nadbudowano na oryginalnym średniowiecznym opactwie, osiągając szczególnie miły dla oka rezultat, przytłaczała ją jednak majestatyczność budynku. Wyobrażała sobie jedynie duży dom z rozległym ogrodem. Jednak nazwa posiadłości powinna ostrzec ją gdyby się nad tym wcześniej zastanowiła. To miało być Newbury Abbey? Szczerze ją to przestraszyło. A co ją czeka w środku? Z pewnością nie zawsze tak to się prezentowało jak dzisiejszej nocy.

Powinna zawrócić, dokąd jednak miała się udać? Mogła tylko iść naprzód. Przynajmniej światła - i dźwięki muzyki, którą usłyszała, kiedy podeszła bliżej - upewniły ją, że on jest w domu.

Jednak wcale jej to nie pocieszyło.

Wielkie podwójne drzwi frontowe stały otworem. Na prowadzące do nich marmurowe schody wylewało się światło, a wewnątrz dźwięczały śmiechy i muzyka. Lily słyszała również odgłosy rozmów, ale widziała tylko dalekie cienie w ciemnościach i nikt nie zauważył jej nadejścia.

Weszła po marmurowych stopniach - naliczyła ich osiem - i znalazła się w holu tak rzęsiście oświetlonym, że naraz poczuła się pomniejszona, zabrakło jej oddechu, nie była w stanie zebrać myśli. Wszędzie widziała ludzi spacerujących w holu, idących w górę i w dół po wielkich marmurowych schodach. Wszyscy mieli na sobie stroje z pięknych tkanin i obsypani

byli klejnotami. A ona wyobrażała sobie naiwnie, że podejdzie do zamkniętych drzwi, zapuka, a wtedy on jej otworzy.

Naraz pożałowała, że nie pozwoliła kapitanowi Harrisowi, by napisał list, i nie poczekała na odpowiedź. To, co zamiast tego zrobiła, już nie wydawało się jej takie mądre.

W holu stało kilku lokajów, każdy w liberii i białej peruce. Ujrzała z ulgą że jeden z nich spiesznie kroczy w jej kierunku. Czowała się tu jak niewidzialna i jednocześnie zbyt rzucająca się w oczy.

- Wynocha stąd, natychmiast! - rozkazał mężczyzna, zniżając głos. Zaczął kierować ją w stronę drzwi, starając się jej nie popychać. Najwyraźniej nie chciał zwracać niczyjej uwagi.  
- Jeśli masz tu jakieś sprawy, zaprowadzę cię do wejścia dla służby. Wątpię jednak, zwłaszcza o tej porze.

- Chciałabym mówić z hrabią Kilbourne. - Lily nigdy nie myślała o nim w ten sposób. Poczwała, jakby mówiła o nieznanym.

- O, doprawdy? - Służący zmiażdżył ją pogardliwym spojrzeniem. - Jeśli przyszedł tu na żebra, wynoś się, zanim wezwę konstabla.

- Chciałabym mówić z hrabią Kilbourne - powtórzyła, nie ruszając się z miejsca.

Lokaj położył na jej ramieniu ręce w białych rękawiczkach, najwyraźniej zamierzając ją w tej sytuacji wyprowadzić siłą. Inny mężczyzna, odziany na biało i czarno, chociaż nie tak wspaniale jak inni dżentelmeni spacerujący po holu i schodach, stanął za nim. On również musiał być służącym, chociaż zapewne wyższym rangą niż ten pierwszy.

- Co się dzieje, Jones? - spytał zimno. - Czyżby nie chciała wyjść dobrowolnie?

- Chciałabym mówić z hrabią Kilbourne - powiedziała Lily.

- Albo wyjdiesz teraz z własnej woli, albo za pięć minut zabiorą cię stąd i za włóczęgostwo wrzucą do więzienia. Wybieraj, kobieto. Dla mnie to bez różnicy. Jaka jest twoja decyzja?

Lily znów otworzyła usta i zaczerpnęła powietrza. Rzeczywiście, wybrała złą porę. Odbywało się jakieś wielkie przyjęcie. On nie będzie jej wdzięczny, jeśli ją teraz zobaczy. Może w ogóle nie będzie zadowolony, że przyjechała. Teraz, kiedy zobaczyła to wszystko, zaczynała pojmować nierealność swoich planów. Czy miała inne wyjście? Dokąd miała się udać? Zamknęła usta.

- No, więc? - spytał ważniejszy służący.

- Jakieś kłopoty, Forbes? - rozległ się inny, bardziej kulturalny głos. Odwróciwszy się, Lily ujrzała starszego pana o siwych włosach, stojącego pod rękę z damą w czerwonej satynie i identycznym turbanie ozdobionym piórem. Na każdym palcu odzianych w rękawiczki dłoni

kobiety błyszczał pierścionek.

- Nie, księżę. - Służący nazwiskiem Forbes uklonił się z szacunkiem. - To tylko żebraczka, która zuchwale się tu przyplątała. Zaraz jej tu nie będzie.

- Dobrze, dajcie jej sześciopensówkę. - Mężczyzna spojrzął na Lily z uprzejmością. - Będiesz mogła kupić sobie chleba na kilka dni, dziewczyno.

Z zamierającym sercem Lily doszła do wniosku, że to nie najlepsza pora, by upierać się przy swoim. Oto znajdowała się u kresu podróży, a przecież dzielił ją większy dystans niż kiedykolwiek przedtem. Ubrany na czarno służący grzebał w kieszeni, prawdopodobnie w poszukiwaniu monety.

- Dziękuję - odparła z godnością. - Nie przyszedłem tu po prośbie.

Odwróciła się, kiedy ten ważniejszy służący i dżentelmen zaczęli coś mówić na raz. Wyszła spieszenie z holu i zbiegła po schodach na taras. Nie potrafiła znów stawić czoła ciemności.

W świetle księżycy znalazła wąską ścieżkę, biegnącą pod ostrym kątem w dół, pomiędzy drzewami, które rosły tu gęściej, chociaż nie zacięniały zupełnie światła. Lily zdecydowała, że pójdzie tak daleko, aż przestanie być widoczna z domu.

Ścieżka stawała się coraz bardziej stroma, drzewa zaś przerzedzały się, aż wreszcie po obu stronach dróżki ich miejsce zajęły gęste i bujne zarośla paproci. Słyszała już wodę - słaby odgłos morza i głośniejszy szum wody rozlegający się gdzieś bliżej. Domyśliła się, że to wodospad, i naraz ujrzała go, jak błyszczy w świetle księżycy na prawo od niej - wstążka wody spadającej niemal pionowo ze skalnego urwiska. U stóp wodospadu stała niewielka chatka.

Lily nie zdecydowała się iść w tamtą stronę. W środku nie widziała światła, a zresztą nie poszłaby tam, nawet gdyby je zobaczyła. Na lewo od siebie ujrzała szeroką, piaszczystą plażę i błyszczącą wstęgę księżycowego światła, biegnącą przez morze. Postanowiła, że noc spędzi właśnie tam. A jutro wróci do Newbury Abbey.

\*

Kiedy następnego dnia rano Lily obudziła się, obmyła twarz i ręce w zimnej wodzie strumienia i doprowadziła się do porządku najlepiej jak umiała, aż wreszcie ruszyła w górę ścieżką wiodącą ponad porośniętym paprociami stokiem i pomiędzy drzewami do stóp wypielęgnowanego trawnika.

Stała, patrząc na stajnie i pałac znajdujący się za nimi. W świetle poranka budynki wyglądały na jeszcze większe niż poprzedniej nocy. Wokół panowało wielkie poruszenie. Na

podjeździe koło stajni stało mnóstwo powozów, a wokół krzatali się stajenni i stangreci. Lily domyśliła się, że goście będący na przyjęciu poprzedniego wieczoru nocowali tu i właśnie szykowali się do odjazdu. Z pewnością znów nie wybrała odpowiedniej pory na wizytę. Powinna poczekać jeszcze trochę.

Poczuła głód, kiedy wróciła na plażę, postanowiła więc jakoś zapełnić czas, udając się do wsi, gdzie może mogłaby kupić odrobinę chleba. Kiedy jednak tam dotarła, okazało się, że to już nie jest to samo spokojne, wyludnione miejsce co poprzedniego wieczoru. Plac otaczały niemal ze wszystkich stron wielkie powozy - może nawet te same, które ujrzała wcześniej przy stajniach koło pałacu. Na łące znajdowało się mnóstwo ludzi. Drzwi do gospody stały otworem, a krzątania w środku i na zewnątrz zniechęciła ją, by się tam zbliżyć. Ujrzała, że przed kościołem kłębi się jeszcze większy tłum niż na łące.

- Co tu się dzieje? - spytała kobiety, które stały na obrzeżach łąki, w pobliżu gospody. Obydwie wpatrzone były w bramę kościoła.

Odwróciły głowy. Jedna z nich zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów i rozpoznawszy obcą osobę, skrzywiła się. Druga okazała się bardziej przyjaźnie nastawiona.

- Mamy ślub - oznajmiła. - Połowa wielkich panów z Anglii zjechała się na zaślubiny panny Edgeworth i hrabiego Kilbourne. Nie wiem, jak uda im się wszystkim pomieścić w kościele.

Hrabiego Kilbourne! I znów nazwisko zabrzmiało, jakby mówiono o obcej osobie. Nie był przecież nieznanym. Wreszcie dotarło do niej znaczenie słów wypowiedzianych przez kobietę. Bierze ślub? Teraz? Jest w kościele? Hrabia Kilbourne żeni się?

- Panna młoda już przyjechała - dodała druga kobieta. Zapominając o niechęci, ucieszyła się, że w osobie obcej może znaleźć słuchaczkę. - Wielka szkoda, że jej nie widziałas. Cała w białej satynie, z upiętym trenem i w kapeluszu z woalką zakrywającą twarz. Jeśli zaczekasz trochę, zobaczysz jak wychodzą, kiedy tylko zaczną bić dzwony. Powóz przejedzie tędy, zanim zawróci przez bramę. Tak przynajmniej twierdzi pani Wesley, nasza karczmarzowa.

Lily nie czekała na dalsze wyjaśnienia. Pędem rzuciła się przez łąkę, przepychając się pomiędzy stojącymi tam ludźmi. Niemal w biegu minęła kościelną bramę.

\*

Neville, ujrawszy nieznaczne zamieszanie w bramie kościoła, domyślił się, że Lauren przyjechała właśnie z baronem Galtonem, jej dziadkiem. Wśród siedzących w ławkach gości zapanowało poruszenie. Kilka osób odwracało głowy, chociaż jeszcze nic nie było widać.

Neville czuł, jakby ktoś zacisnął mu mocno krawat na szyi i wrzucił stado rozdokazywanych motyli do żołądka, owe dolegliwości odczuwał od wczesnego śniadania, do którego zresztą nie potrafił się zmusić. Odwrócił się jednak z ożywieniem, by ujrzeć pannę młodą. Zobaczył Gwen, która pochyliła się, zapewne by poprawić tren sukni Lauren. Sama panna młoda znajdowała się niestety nadal poza zasięgiem wzroku.

Pastor, wspaniale odziany na tę okazję, stał tuż za panem młodym. Stojący z drugiej strony Joseph Fawcitt, markiz Attingsborough, kuzyn równy mu wiekiem, odchrząknął. Neville zdał sobie sprawę, że wszyscy odwracają się ku tylnemu wejściu w oczekiwaniu na ukazanie się panny młodej. Jakie znaczenie miał ostatecznie pan młody, kiedy właśnie miała pojawić się jego wybranka? Uśmiechnął się w duchu, że Lauren przybyła punktualnie. To byłoby do niej niepodobne, by miała się spóźnić nawet o minutę.

Wtedy zdał sobie sprawę, że w kościele zapanowało jakieś osobliwe poruszenie, rozległy się głosy ostre i gwałtowne.

Nagle stanęła w drzwiach i zobaczyli ją zebrani w kościele. Tyle że była sama. I nie przypominała panny młodej, ale żebraczkę. I nie była to Lauren. Kobieta zrobiła kilka pospiesznych kroków i zatrzymała się pośrodku nawy.

Jakaś cząstka jego umysłu powiedziała mu, że ma przywidzenia, że po prostu coś mu się skojarzyło. Kobieta wyglądała wstrząsająco, wręcz boleśnie znajomo. Ale nie była to Lauren. Obraz ściemnił się po brzegach, a wyostrzył w środku. Spoglądał na nawę kościoła jak poprzez tunel - albo okular mikroskopu lub teleskopu - na stojącą tam zjawę. Umysł odmówił mu posłuszeństwa.

Ktoś - konkretnie dwaj mężczyźni, co zaobserwował beznamiętnie - złapał ją za ramiona i chciał wyciągnąć z kościoła. Nagły strach, że zniknie mu z oczu, że nigdy już jej nie zobaczy, uwolnił go z paraliżu, który trzymał go jak w potrzasku. Podniósł rękę. Nie usłyszał swego głosu, ale wszyscy odwrócili się nagle ku niemu i dotarło do niego echo czyichś słów.

Zrobił dwa kroki do przodu.

- Lily? - wyszeptał. Próbując powrócić do rzeczywistości, przetarł szybkim gestem oczy, ale stała tam nadal, a obok niej mężczyzna trzymający ją za ramiona i czekający na rozkazy.

- Lily? - powtórzył głośniej.

- Tak - odparła miękkim, melodyjnym głosem, który prześladował jego marzenia i myśli przez wiele miesięcy po jej...

- Lily. - Poczuł jakby w ogóle nie brał w tym wszystkim udziału. Usłyszał swe słowa

poprzez szum w uszach, jakby wypowiadał je ktoś inny. - Przecież ty umarłaś!

- Nie - odparła. - Ja żyję.

Zdawało mu się, że to sen. Patrzył tylko na nią. Tylko na Lily. Nie widział kościoła, nie widział ludzi poruszających się niespokojnie w ławkach, Josepha ciągnącego go za rękaw, Lauren stojącej w drzwiach za Lily, ze wzrokiem, w którym pojawiło się przeczucie katastrofy. Nie mógł się oderwać od swej wizji. Nie pozwoli jej zniknąć. Nigdy więcej. Nie pozwoli jej znów odejść. Zrobił kolejny krok naprzód.

Pastor ponownie chrząknął i Neville znów pojął, że znajduje się w kościele pod wezwaniem Wszystkich Świętych, w Upper Newbury, na swym własnym ślubie. A Lily stoi w nawie pomiędzy nim a jego narzeczoną.

- Milordzie - zwrócił się do niego kapłan. - Czy zna pan tę kobietę? Czy życzy pan sobie, żeby ją usunięto i byśmy kontynuowali ceremonię?

Czy ją zna? Czy ją zna?

- Tak, znam ją - odezwał się cichym głosem. Ale wiedział, że dociera on do każdego nasłuchującego jego słów gościa. - To moja żona.

\*

Na kilka sekund zapadła cisza.

- Milordzie? - Pastor pierwszy ją przerwał.

Rozległy się podniesione głosy, jako że połowa, jak się wydawało, obecnych próbowała mówić jednocześnie, a druga połowa równie głośno uciszała ich, by nie uronić ani słowa. Siedząca w pierwszej ławce hrabina Kilbourne zerwała się na równe nogi. Jej brat, książę Anburey, również wstał i położył rękę na jej ramieniu.

- Neville? - Roztrzęsiony głos matki przebił się ponad panujący wokół gwar. - O co chodzi? Kim jest ta kobieta?

- Powiniennem kazać ją zabrać za włóczęgostwo zeszłego wieczoru - odezwał się stanowczym głosem książę, próbując przejąć kontrolę nad sytuacją. - Uspokój się, Klaro. Panowie, proszę wyprowadzić tę kobietę. Neville, wracaj na miejsce, by kontynuować ceremonię.

Nikt jednak nie zwracał na niego uwagi, nikt z wyjątkiem pastora. Wszyscy usłyszeli, co powiedział Neville. Jego słowa były jednoznaczne.

- Z całym szacunkiem, książę - odezwał się wielebny Beckford. - Ślub nie może się odbyć, skoro milord właśnie potwierdził, że ta kobieta jest jego żoną.

- Poślubiłem Lily Doyle w Portugalii. - Neville nie spuszczał oczu z żebraczki.

Odgłosy wzajemnego uciszania się stały się tak donośne, że zagłuszały wszystko. - Niecałe dwadzieścia cztery godziny później widziałem jej śmierć. Dobiegłem do niej kilka minut później. Stałem nad jej martwym ciałem - ty nie żyłaś, Lily. A potem trafiono mnie w głowę.

Wszyscy wiedzieli, że przez miesiąc przed powrotem do Anglii Neville leżał w szpitalu w Lizbonie, cierpiąc od rany otrzymanej podczas zasadzki wśród wzgórz w środkowej Portugalii, gdzie przewodził oddziałowi zwiadowczemu. Utrata pamięci, uporczywe zawroty i bóle głowy uniemożliwiły mu powrót do pułku, nawet kiedy rany zostały wyleczone. A potem na wieść o śmierci ojca przyjechał do domu.

Nikt nie słyszał o jego małżeństwie.

Aż do teraz.

A kobieta, którą poślubił, bez wątpienia żyła.

Ktoś w kościele zdał sobie wreszcie sprawę ze wszystkich komplikacji wiążących się z tym faktem. Przy wejściu do kościoła rozległ się stłumiony krzyk, ci, którzy odwrócili głowy, ujrzeli jak Lauren z twarzą białą niczym okalający ją welon, z rękoma zacisniętymi na fałdach sukni, zgarnia tren, odwraca się i wybiega, a w jej ślady rusza Gwendoline. Drzwi kościoła otwarły się, a następnie zamknęły z trzaskiem.

- Tak mi przykro - odezwała się Lily. - Przepraszam. Ja nie umarłam.

- Neville! - Hrabina Kilbourne zaciskała obie ręce na oparciu ławki.

Neville wyciągnął obie ręce.

- Przepraszam, wybaczcie wszyscy - powiedział. - Widzicie jednak, że nie mogę tego teraz wyjaśnić. Mam nadzieję wytłumaczyć wszystko przed wieczorem. Tymczasem, jak widzicie, ślub się nie odbędzie. Zapraszam na śniadanie do pałacu.

Ruszył w kierunku nawy, wyciągając prawą dłoń ku Lily. Nie spuszczał z niej wzroku.

- Lily? - powiedział. - Chodź ze mną.

Wziął jej dłoń i zacisnął na niej mocno swą rękę. Nawet nie zwolnił kroku, idąc w kierunku drzwi, z dziewczyną u boku.

\*

Neville pchnął drzwi i znaleźli się na zewnątrz w oślepiającym blasku słońca, naprzeciwko morza głów i chóru pełnych podniecenia, zaciekawionych głosów.

Nie zwrócił na nie uwagi. Co więcej, nic nie widział ani nie słyszał. Ruszył alejką, minął bramę kościelną, wszedł pomiędzy tłum ludzi, którzy rozstąpili się pospiesznie, a następnie ruszył w stronę parku otaczającego Newbury Abbey.

Nie odezwał się do kobiety idącej u jego boku. Nadal nie potrafił uwierzyć w to, co się

stało, co nadal się działo, chociaż ścisnął mocno tę zjawę i czuł jej drobną dłoń w swej ręce.

Pogrzeżył się we wspomnieniach...

**CZEŚĆ DRUGA**  
**WSPOMNIENIE: NOC MIŁOŚCI**

Lily Doyle siedzi samotna na niewielkim skalistym wzniesieniu, górującym nad głęboką doliną położoną pośród nagich wzgórz środkowej Portugalii. Jest grudniowy chłodny dzień.

Dziewczyna otulona jest w zniszczony, stary płaszcz wojskowy, skrócony tak, by na nią pasował. Wyraźnie widać jednak, że zmieniła się w ciągu ostatniego roku. Ze smukłej niedoświadczonej dziewczyny przeobraziła się w piękną kobietę. Jej ciemnoblonde włosy spływają luźno puszczone pasmami z tyłu, sięgając aż do talii. Wiatr rozwiewa je, płacząc niemiłosiernie. Szczupłe ręce, ukryte pod rękawami spłowiałej, błękitnej sukni z bawełny, złożyła na kolanach. Pomimo panującego chłodu ma białe stopy. Jak mogłaby poczuć ziemię, jak mogłaby poczuć życie, wyjaśniła kiedyś, jeśli ciągle byłaby obuta?

Major Neville Wyatt, lord Newbury, siedzi w swobodnej pozie nieco dalej, trzymając w dłoniach kubek gorącej herbaty. Przygląda się jej. Nie widzi jej twarzy, może sobie jednak wyobrazić malujące się na niej uczucia, kiedy dziewczyna spogląda na leżącą poniżej dolinę, na przepływające po niebie obłoki i krążącego w górze samotnego ptaka. Na pewno jej twarz jest rozmarzona i pogodna. Nie, te określenia nie oddają całej prawdy. Na pewno jej twarz promienieje, a oczy są rozświetlone.

Lily dostrzega piękno wszędzie. Kiedy żołnierze dziewięćdziesiątego piątego pułku i kobiety, które podążają za nimi przez Półwysep Iberyjski, przeklinają pogodę, niekończące się marsze, ponure obozy, jedzenie i siebie nawzajem, Lily zawsze znajduje we wszystkim coś pięknego. Jednak nie gniewają się na nią za tę nieustanną pogodę ducha. Wszyscy ją uwielbiają.

Jeszcze niedawno była dziewczynką. Ale już nią nie jest.

Neville wyrzuca fusy z herbaty na trawę i wstaje. Rozgląda się wokół najpierw zerkając na kompanię żołnierzy, których zabrał ze sobą na wyprawę zwiadowczą, by upewnić się, że Francuzi przestrzegają niepisanego prawa i zimą zostają na swoich pozycjach w Hiszpanii lub w leżącej na granicy fortecy Ciudad Rodrigo, którą brytyjskie siły mają zamiar oblegać, kiedy nadejdzie wiosna.

Spogląda na przeciwległe wzgórza i położoną niżej dolinę. Wszędzie panuje spokój. Właśnie tego się spodziewał. Jeśli istniałoby jakieś realne zagrożenie, nigdy nie pozwoliłby, by kapral Graery zabrał ze sobą żonę, a sierżant Doyle córkę. Rutynowa misja okazała się niespodzianie nad wyraz przyjemna - zazwyczaj o tej porze zaczynały się już deszcze. Jutro wrócą do głównego obozu. Jednak jeszcze dzisiaj będą nocować tutaj.

Wreszcie nie może się już powstrzymać. Idzie w kierunku siedzącej na skale dziewczyny i, siadając obok niej, zakrywa oczy przed słońcem i udaje, że z zainteresowaniem spogląda znów na dolinę. Ona patrzy na niego i uśmiecha się. Nie jest pewien, kiedy jej wygląd i uśmiech zaczęły wywoływać takie poruszenie w jego sercu. Próbował traktować ją nadal jak młodą - zbyt młodą - córkę swojego sierżanta. W ostatnich czasach nie bardzo mu się to udaje. Dziewczyna skończyła już przecież osiemnaście lat.

- Czy zauważyłaś może francuski regiment skradający się ukradkiem dolinę, Lily? - pyta, nie patrząc na nią.

Dziewczyna wybucha śmiechem.

- Tak naprawdę aż dwa, proszę pana - odpowiada. - Kawalerii i piechoty. Czy powinnam o tym zameldować?

- Nie. - Uśmiecha się do niej i znów coś go chwyta za serce, kiedy spogląda na jej rozradowaną twarz. - To nie jest ważne. Chyba, że stary Boney przybywa z nimi.

Lily śmieje się znowu. Neville zastanawia się, siedząc obok niej, czy dziewczyna zdaje sobie sprawę, jakie wrażenie robi na mężczyznach... na nim. Z pewnością nie jest jedynym, który zauważył, że stała się już kobietą.

- Podejrzewam, Lily - mówi do niej. - Że potrafisz ujrzeć piękno nawet w tym opuszczonym przez wszystkich miejscu?

- Wcale nie jest opuszczone - odpowiada gwałtownie, jak zazwyczaj. Nawet nagie skały mają w sobie pewną majestatyczność, która budzi niepokój. Widzi pan? - Unosi smukłe ramię i wskazuje. - Trawa. A tam nawet kilka drzew. Natury nie można powstrzymać. Zawsze się odradza.

- To ledwie namiastki drzew. - Neville patrzy we wskazanym przez nią kierunku. - A mój ogrodnik w Newbury Abbey z pewnością wyrzuciłby bez namysłu tę trawę do śmieci.

Lily odwraca się i spogląda na niego, a jemu braknie tchu w piersiach. Jednocześnie pragnie odsunąć się od niej jak najdalej i pragnie zbliżyć się do niej tak bardzo, że...

- Jaki jest tam ogród? - W jej pytaniu słychać wyraźną tęsknotę. - Tatuś twierdzi, że nie ma nic bardziej uroczego niż angielski ogród.

- Zielony - odpowiada. - Soczystą, bogatą zielenią, której nie opiszą żadne słowa. Rośnie tam trawa, drzewa i kwiaty wszystkich kolorów i gatunków. Całe mnóstwo. Powietrze jest aż ciężkie od zapachów lata.

Neville rzadko kiedy odczuwa tęsknotę za domem. Czasami, kiedy zdaje sobie z tego sprawę, czuje się winny z tego powodu. Nie chodzi o to, że nie darzy uczuciem matki i ojca. Kocha ich. Został tak wychowany, żeby pewnego dnia przejąć rolę ojca jako hrabia, został

wychowany, by poślubić Lauren, swą daleką kuzynkę, która dorastała razem z nim w Newbury Abbey i była mu równie droga, co własna siostra Gwen. Ale nastał czas, kiedy rozpaczliwie zapragnął żyć na swój sposób, marząc o czynach, przygodzie, wolności...

Zranił rodziców, zostając żołnierzem. Podejrzewa, że jeszcze bardziej zranił Lauren, kiedy odjeżdżając poinformował ją, tak delikatnie, jak mógł, że nie obiecuje, by prędko powrócił i nie oczekuje, że ona będzie na niego czekała.

- Tak bardzo chciałabym je zobaczyć i poczuć ich zapach. - Lily zamyka oczy i powoli wdycha powietrze, jakby wachała róże rosnące w Newbury.

- Pewnego dnia tak się stanie. - Nie namyślając się, sięga ku niej i jednym palcem odgarnia kosmyk włosów z policzka dziewczyny. Jej skóra jest gładka i ciepła, włosy wilgotne. Czuje jak w jego łędźwiach rodzi się gwałtowne pożądanie i szybko cofa palec.

Dziewczyna uśmiecha się do niego. Nagle robi coś, czego przedtem nigdy nie robiła. Rumieni się i wzrokiem ucieka w bok.

Ona wie.

Neville'a zasmuca ta myśl. Traktował zawsze Lily jak przyjaciółkę, odkąd cztery lata temu Doyle został jego sierżantem. Dziewczyna ma żywy umysł i zachwycające poczucie humoru, a także obdarzona została naturalnym wyrafinowaniem zachowania, pomimo że nie umie czytać ani pisać. Rozmawiała z nim o swym życiu, zwłaszcza o latach spędzonych w Indiach, gdzie umarła jej matka, a także o ludziach i doświadczeniach, które dzielili. Kiedyś pokłóciła się z nim, gdy znalazł ją po potyczce na polu bitwy i skrzyczał za to, że zajęła się rannym, umierającym francuskim żołnierzem. Człowiek to po prostu człowiek, istota ludzka, odparła wtedy. Jego szarża nigdy nie robiła na niej wrażenia, chociaż tak jak ojciec i wszyscy jego ludzie zwracała się do niego „proszę pana”. Wtedy na polu bitewnym przykleknął obok niej i podał Francuzowi wodę z własnej manierki.

Jednak wszystko się zmieniło. Lily dorosła. A on jej pożądał. Dziewczyna chyba to przeczuwała. Będzie musiał wycofać się z tej przyjaźni, ponieważ Lily nie mogła stać się dla niego niczym więcej. Była córką Doyle'a, a on szanował swojego sierżanta, chociaż pochodzili z różnych klas społecznych. A poza tym Lily była niewinna, a on miał obowiązek bronić jej honoru, a nie nastawać nań. Co więcej, ona również pochodziła z innej klasy. Niestety, takie sprawy miały w życiu duże znaczenie. Chociaż miał buntowniczą naturę, Neville nie potrafiłby zerwać ze swym światem i nigdy tego nie zrobi. Wpojono mu poczucie obowiązku wobec własnego rodu. Jest dżentelmenem, oficerem, wicehrabią, przyszłym hrabią.

Nigdy nie zostanie kochankiem Lily.

- Lily. - Stara się myśleć tylko o przyjaźni, stłumić inne, niepożądane uczucia. - Czego oczekujesz? Co chcesz zrobić ze swym życiem? O czym marzysz?

Nie może przecież pozostać na zawsze w wojsku. Co czeka ją w przyszłości? Małżeństwo z żołnierzem wybranym troskliwie przez ojca? Nie. Woli o tym nie myśleć.

Lily nie odpowiada od razu. Kiedy jednak odwraca ku niej głowę, widzi, jak dziewczyna spogląda w niebo, a uśmiech znów rozświetla jej twarz.

- Czy widzi pan tego ptaka? - Neville odrywa od niej wzrok i patrzy w górę. - Chciałabym być jak on. Wzbijać się wysoko. Silna. Wolna. Zrodzona przez wiatr przyjaciółka nieba. Nie wiem, co się ze mną stanie. Pewnego dnia pan odejdzie i wtedy...

Urywa w pół zdania, uśmiech na jej twarzy blednie, a niedopowiedziane słowa zawisają w powietrzu jak coś namacalnego.

Nagle ciszę przerywa wystrzał z karabinu.

\*

Jeden ze zwiadowców kątem oka dostrzegł królika i wziął go za krwiożerczego francuskiego żołnierza. Tak najpierw myśli Neville. Musi to sprawdzić. Lata służby oficerskiej nauczyły go działać instynktownie, a nie tylko kierować się rozsądkiem. Szybka reakcja niejednokrotnie uratowała komuś życie.

Neville skacze na równe nogi i podrywa za sobą Lily. Biegną z powrotem do oddziału, troskliwie pochyla się nad dziewczyną, gdy sierżant Doyle krzyczy coś do niego, a wszyscy łapią za karabiny i amunicję. W biegu wyjmuje wiszącą u boku szablę. Wykrzykuje rozkazy swym ludziom, zapominając o Lily, kiedy tylko odstawia ją w stosunkowo bezpieczne miejsce w prowizorycznym obozie.

Źle ocenił postępowanie swojego żołnierza. To nie królik zwrócił jego uwagę, ale francuscy zwiadowcy. Jednak strzał ostrzegawczy okazał się błędem. Gdyby nie to, Francuzi prawdopodobnie poszliby spokojnie swoją drogą, nawet gdyby namierzyli brytyjskich żołnierzy. Nic by nie zyskali, wdając się w walkę. Jednak ktoś strzelił.

Wynikająca z tego potyczka jest krótka i ostra, ale stosunkowo nieszkodliwa. Nikomu nic by się nie stało, gdyby nie służący od niedawna w oddziale rekrut, który zastygł ze strachu na odkrytym wzgórzu, stając się nieruchomym, łatwym dla Francuzów celem. Doyle, przeklinając okropnie, rzuca się w jego kierunku i w jego pierś trafia kula przeznaczona dla chłopaka.

Walka kończy się po pięciu minutach. Francuzi, żegnani szyderczymi okrzykami, idą dalej.

- Nie ruszajcie go - krzyczy Neville, biegnąc wzgórzem do leżącego sierżanta. -  
Przynieście apteczkę.

To daremne, myśli Neville, kiedy jest już w pobliżu rannego. Na ciemnozielonym płaszczu sierżanta pojawia się tylko mała plamka krwi, ale w jego oczach widać już zbliżającą się śmierć. Neville oglądał już zbyt wiele takich twarzy, by się mylić.

- Już po mnie - odzywa się słabym głosem Doyle.

- Przynieście apteczkę! - Neville klęka przy umierającym. - Zaraz cię załatamy, sierżancie.

- Nie, proszę pana. - Doyle zaciska zimne i słabnące palce na dłoniach przełożonego. -  
Lily...

- Jest bezpieczna. Nic jej się nie stało. - Słyszy w odpowiedzi.

- Nie powinienem jej tu zabierać. - Wzrok mężczyzny staje się mętny, oddech urywa się. - Jeśliby znów zaatakowali...

- Nie zrobią tego. - Neville ściska dłoń sierżanta. Pragnie jakoś dodać mu otuchy. -  
Dopilnuję, by Lily bezpiecznie wróciła jutro do obozu.

- Jeśliby dostała się do niewoli...

Neville wie, że raczej nie grozi im kolejna strzelanina. Francuzi nie będą mieli ochoty, tak samo jak Brytyjczycy, na jeszcze jedną konfrontację. Gdyby się jednak tak stało, to istotnie los dziewczyny byłby godny pożałowania. Gwałt...

- Dopilnuję, by nic jej się nie stało. - Neville pochyla się nad mężczyzną, którego traktował z szacunkiem jako towarzysza walki, a nawet przyjaciela, mimo dzielącej ich szarży. - Nic jej się nie stanie, nawet jeśli dostanie się do niewoli. Masz na to moje słowo honoru. Poślubię ją jeszcze dzisiaj.

Jako żona oficera i dżentelmena Lily będzie traktowana przez Francuzów z honorami i uprzejmością. Wielebny Parker - Rowe, kapelan regimentu, który obozowe życie uważał za nudne, wybrał się z nimi na zwiady.

- Ożenię się z nią, sierżancie. Będzie bezpieczna. - Nie jest pewien, czy umierający rozumie jego słowa. Zimne palce nadal zaciskają się słabo na jego dłoniach.

- Mój plecak został w głównym obozie - mówi Doyle. - W środku...

- Zostanie oddany Lily - zapewnia go Neville. - Jutro, kiedy tylko bezpiecznie dotrzemy do obozu.

- Już dawno powinienem jej powiedzieć. - Głos umierającego staje się coraz słabszy, coraz mniej wyraźny. Neville pochyla się nad leżącym. - Powinienem był dać mu znać. Moja żona... Niech mi Bóg wybaczy. Kochała ją. Obydwoje ją kochaliśmy. Kochaliśmy ją zbyt

mocno, by...

- Bóg ci wybacza, Doyle. - Gdzie do licha jest kapelan? - Nikt nigdy nie wątpił w twoje przywiązanie do Lily.

W tym momencie pojawia się Parker - Rowe z Lily. Dziewczyna na oślep zbiega ze wzgórza. Neville podnosi się i staje z drugiej strony, ustępując jej miejsca u boku ojca. Dziewczyna ujmuje dłonie umierającego i pochyla się nad nim, a wtedy włosy skrywają jej twarz jak zasłona.

- Tatusiu - mówi. Zaczyna szeptać jego imię, powtarza tak przez kilka minut, kiedy kapelan mruczy pod nosem słowa modlitwy, a żołnierze stoją w pobliżu, bezradni w obliczu śmierci.

\*

Kiedy już pochowali sierżanta Doyle'a na zboczu wzgórza, Neville rozkazał zwinąć obóz i przenieść się kilka mil dalej. Dziewczyna ze ściągniętą z bólu twarzą idzie obok niego, a Parker - Rowe z drugiej strony. Rozmawiał już z kapłanem o ślubie.

Lily wcale nie płacze. Nie przemówiła nawet słowem, odkąd Neville wziął ją za rękę, pomógł jej wstać i powiedział tak delikatnie, jak tylko potrafił, że jej ojciec nie żyje. Oczywiście, przywykła do widoku śmierci. Nie można jednak przygotować się do straty ukochanej osoby.

- Lily. - Neville zwraca się do niej tak samo delikatnym tonem jak wcześniej. - Chcę, żebyś wiedziała, że ojciec w ostatnich chwilach był myślami przy tobie, martwił się o twoje bezpieczeństwo i przyszłość.

Dziewczyna nie odpowiada.

- Obiecałem mu coś - ciągnie dalej. - Dałem słowo honoru. Ponieważ był moim przyjacielem, Lily, a także dlatego, że ja tego chciałem. Obiecałem mu, że ożenię się z tobą dzisiaj. W ten sposób, nosząc moje nazwisko, będziesz bezpieczna na resztę tej podróży i resztę swego życia.

Nadal nie ma odpowiedzi. Czy rzeczywiście dał taką obietnicę? Słowo honoru? Ponieważ tego chciał? Chciał być zmuszony do zrobienia czegoś tak nierozważnego? To niemożliwe, by on - oficer, arystokrata, przyszły hrabia - miał poślubić skromną i niepiśmienną córkę zwykłego żołnierza. Teraz musi to zrobić, ponieważ przyrzekł, dał słowo honoru. Ogarnia go fala dziwnego uniesienia.

- Lily, czy rozumiesz, co do ciebie mówię? - pyta, pochylając się nad nią. Twarz dziewczyny jest blada, bez wyrazu.

- Tak, proszę pana - odpowiada bezbarwnym głosem.

- Czy chcesz mnie poślubić? Chcesz zostać moją żoną? - Chwila wydaje się nierealna, tak jak wszystkie wydarzenia ostatnich dwóch godzin. Nagle jednak ogarnia go strach. Dlatego że mogłaby mu odmówić? Czy dlatego, że mogłaby się zgodzić?

- Tak. - Słyszy w odpowiedzi.

- W takim razie zrobimy to, jak tylko rozbijemy obóz.

Lily nigdy nie zachowywała się z taką biernością, z taką potulnością. To przecież dla niej jakaś szansa...

Jaki ma wybór? Powrót do Anglii, do krewnych, których, jak dobrze wiedział, w ogóle nie znała? Małżeństwo z poborowym, pochodzącym z tej samej klasy społecznej co ona? Nie, ta myśl była dla niego nie do zniesienia. Ale to przecież jej życie.

- Spójrz na mnie, Lily - zwraca się do niej rozkazująco, w jego głosie nie ma już tej łagodności, lecz ton, którego zarówno ona, jak i jego żołnierze, zawsze instynktownie słuchają. Dziewczyna patrzy na niego. - Za godzinę zostaniesz moją żoną. Czy tego właśnie chcesz?

- Tak, proszę pana. - Patrzy na niego apatycznie, a potem ucieka wzrokiem.

A więc tak się stanie. Za godzinę. To, co wydawało się niedorzeczne. Ze względu na jego przyrzeczenie.

I znów ogarnia go panika.

I znów przepełnia go radość.

\*

Ceremonia ślubna odbywa się przed całą kompanią, świadkami zostają porucznik Harris i nowo mianowany sierżant Rieder. Zebrani żołnierze nie wiedzą, czy wieszować młodej parze, czy też zachować powagę, która nie opuszcza ich, odkąd pochowali sierżanta Doyle'a. Pod wodzą porucznika trzy razy wiwatują na cześć świeżo poślubionego majora i jego małżonki.

Nowa wicehrabina sprawia wrażenie, jakby nie zdawała sobie sprawy z tego, co się wokół niej dzieje. Idzie spokojnie, by pomóc pani Geary przygotować wieczorny posiłek. Neville nie zatrzymuje jej, nie przypomina, że przecież jako jego żona powinna być sama obsłużona. Czeka ją go inne obowiązki.

\*

Zapada ciemność. Neville sprawdził czujki rozstawione wokół obozu i ustalił, kto ma pełnić nocną wartę.

Zdecydował, że zostanie w wojsku jako zawodowy żołnierz. W armii on i Lily będą sobie równi. Będą dzielić znany im świat, w którym nie odczuwaliby skrępowania. Już nie będzie czuł się rozdarty jak po opuszczeniu Newbury. Zresztą z pewnością nie zechcą, by tam wrócił. Nie z Lily. Jest taka piękna. Pełna wdzięku, beztroski i radości. Jest nią zauroczony. Więcej, kochają. Nigdy jednak nie będzie mogła zostać hrabiną Kilbourne, może tylko z nazwiska. W jego sferach taka różnica pochodzenia okazałaby się przeszkodą nie do pokonania.

To dobrze, że poślubił Lily. Czuje, jakby ktoś zdjął mu z piersi olbrzymi ciężar. Lily stanie się jego światem, jego przyszłością, jego szczęściem. Wszystkim.

Zauważył, że jego namiot ustawiono w dyskretnym oddaleniu od reszty obozu. Jego żona stoi samotna na zewnątrz, spoglądając w oświetloną księżycem dolinę.

- Lily - Neville odzywa się miękko, podchodząc do niej.

Dziewczyna odwraca głowę i patrzy na niego. Nic nie mówi, ale nawet w słabym świetle księżycy widać, że z jej oczu zniknęło już oszołomienie. Patrzy na niego przytomnie i ze zrozumieniem.

- Lily - zwraca się do niej szeptem, by nikt ich nie usłyszał. - Tak mi przykro z powodu twojego ojca.

Unosi rękę i opuszkami palców dotyka delikatnie jej policzka. Wszystko przemyślał. Dzisiejszej nocy nie będzie jej do niczego zmuszał. Musi mieć czas na żalobę po ojcu, musi przyzwyczać się do nowych okoliczności. Lily nic nie mówi, podnosi rękę i przykrywa jego dłoń, przyciskając ją mocniej do policzka.

- Powinnam się nie zgodzić - mówi. - Wiedziałam, o co mnie pan prosi. Udawałam nawet przed sobą, że tak nie jest, i że będę musiała panu odmówić i spojrzeć w pustą przyszłość. Przepraszam.

- Lily - odpowiada Neville. - Zrobiłem tak, bo tego chciałem.

Dziewczyna odwraca rękę i całuje go w dłoń. Zamyka oczy i milczy.

Lily, ach Lily, czy to możliwe...

- Będziesz spała w namiocie - mówi do niej. - Ja rozłożę się tutaj. Nie zadręczaj się tym. Dopilnuję, byś była bezpieczna.

Ona jednak otwiera oczy i spogląda na niego w księżycowym świetle.

- Czy naprawdę pan tego chciał? - pyta. - Naprawdę chciał mnie pan poślubić?

- Naprawdę. - Tak chciałby cofnąć rękę. Przecież nie jest z kamienia.

- Pytał mnie pan wtedy, o czym marzę - odpowiada Lily. - Co mogłam wtedy odpowiedzieć? Teraz jednak mogę to panu wyznać. O tym. Właśnie o tym. Moje marzenie

spełniło się.

Neville dotyka ustami jej ust i zastanawia się, czy robiłby to nadal w obecności innych.

- Lily - szepcze przy jej ustach. - Lily.

- Tak, proszę pana.

- Neville. Powtórz. Powiedz moje imię. Chcę usłyszeć, jak je wymawiasz.

- Neville. - W jej ustach brzmi to jak najczulsze, najbardziej zmysłowe wyznanie. - Neville, Neville.

- Mogę więc zostać z tobą w namiocie? - pyta.

- Tak. - Bez wątpienia ona tego właśnie pragnie, pragnie jego. - Neville. Mój kochany.

Tylko Lily może wypowiedzieć te słowa w taki sposób, tylko w jej ustach brzmią tak... prawdziwie.

Wydaje mu się nieco dziwne, że czeka ich noc poślubna, chociaż dopiero co, ledwie kilka godzin wcześniej, pochowali żołnierza, jej ojca. Ma jednak wystarczająco dużo doświadczenia, by wiedzieć, że ci, co przeżyli, muszą od razu potwierdzić, że żyją, wie, że powrót do życia jest nieodłączną częścią żałoby.

- Chodźmy więc. - Odslania wejście do namiotu. - Chodź, Lily. Chodź, moja kochana.

\*

Kochają się niemal w ciszy, wiedzą, że bez wątpienia są tacy, którzy chętnie posłuchaliby odgłosów rozkoszy, okrzyków bólu. Kochają się powoli, by zbytnio nie trząść słabą konstrukcją namiotu. Kochają się prawie całkowicie ubrani i okryci dwoma płaszczami, by nie zmarznąć w chłodzie grudniowej nocy.

Lily jest czysta i niewinna.

On jest ogarnięty namiętnością i doświadczony. Rozpaczliwie pragnie sprawić jej przyjemność, boi się zadać jej ból.

Całuje ją, dotyka delikatnie, dociekliwymi, pełnymi uwielbienia dłońmi, najpierw przez ubranie, potem pod spodem, muskając jej ciepłe jedwabiste ciało, biorąc w ręce drobne, jędrne piersi, pieszcząc palcami wilgotne ciepło pomiędzy udami, dotykając, rozdzielając, pobudzając.

Lily obejmuje go ramionami, ale nie pięści. Nie wydaje żadnego dźwięku, słyhać jedynie jej przyspieszony oddech. Neville wie jednak, że ona również odczuwa podniecenie. Wie, że także teraz Lily potrafi dostrzec piękno chwili.

- Lily...

Neville klęka przy niej, dziewczyna wiedziona instynktem rozchyła uda. Jęczy słodkie wyznania, szepcze jego imię, kiedy wchodzi w nią, zdziwiony własnym płaczem. Czuje, że sprawia jej ból. Aż wreszcie zanurza się w niej całkowicie. W miękkie, wilgotne ciepło i mimowolnie zaciśnięte mięśnie.

- Wiedziałałam, że to będzie najpiękniejsza chwila w moim życiu - ona szepcze mu do ucha. - Ta chwila. Z tobą. Ale nie spodziewałam się, że do tego dojdzie.

Och, Lily. Nie wiedziałem.

- Moja słodka - odpowiada jej. - Moja miłości.

Nie jest już w stanie myśleć jedynie o tym, by jej nie sprawić bólu. Jego pożądanie, jego potrzeba pulsuje jak werbel w całym ciele, skupiając się niezwykłym bólem w lędźwiach. Cofa się i znów zanurza w nią głęboko, słyszy jak Lily wstrzymuje oddech ze zdziwienia, wyraźnie sprawia jej to przyjemność, i znów wycofuje się i zagłębia w nią.

Zachowuje wolny rytm, tak długo jak może, zarówno ze względu na nią jak i na siebie, walcząc z pokusą, by zbyt szybko nie poddać się przyjemności, chce, by Lily zrozumiała, że namiętność polega nie tylko na tym.

Dziewczyna leży pod nim odprężona, ale nie jest to bierna uległość. Wiedziałyby, gdyby tak było. Nawet gdyby ich miłości nie towarzyszyły ciche odgłosy satysfakcji, wiedziałyby o tym. Znalazła przyjemność w tym, co się stało. Czuje przy ustach jej ciepłe, otwarte wargi.

- Moja kochana - mówi do niej. - To właśnie się stało. Jesteś taka piękna. Taka piękna.

Nie może już dłużej się powstrzymać. Jego ruchy stają się powolniejsze, wchodzi w nią głębiej, nieruchomieje dłużej. Jest w niej, otoczony nią, jest częścią niej. Lily. Moja miłości. Moja żono. Ciało mego ciała, serce mojego serca.

Wycofuje się i zagłębia jeszcze bardziej. Głębiej. Poza granice. Poza czas i miejsce. Zagłębia się w wieczność, w której stanowią wraz z Lily jedność.

Słyszy jak dziewczyna szepcze jego imię.

\*

Tylko kilka godzin marszu dzieli ich od głównego obozu. Po drodze muszą przejść wąską przełęcz. Nie istnieje poważne zagrożenie, by jakikolwiek oddział Francuzów znajdował się tak daleko od swych zimowych pozycji, jednak Neville zachowuje ostrożność. Wysyła naprzód zwiadowców, by przeszukali wzgórze. Ustawia swój oddział, stając na jego czele. Porucznik Harris zostaje na tyłach, natomiast najmniej doświadczeni żołnierze, kapelan i dwie kobiety znajdują się w środku.

Lily zachowuje dzisiaj spokój, nie jest już taka osowiała. Powoli sobie uprzytamnia, że ojciec nie żyje. Zaczyna odczuwać smutek. Mimo to wczesnie rano kochała się z Neville'em po raz drugi, obejmowała go ramionami, mówiła o miłości, o tym, że zawsze go kochała, od pierwszego wejrzenia, może nawet jeszcze wcześniej, wcześniej niż przyszła na świat, już od stworzenia świata. Uśmiechnął się na te wyznania i powiedział, że ją uwielbia.

Dziewczyna niesie paczuszkę zawieszoną na szyi. W zawiniątku znaj - - dują się ich dokumenty małżeńskie - inna ich kopia zostanie od razu zarejestrowana przez kapelana, kiedy wrócą do obozu. Zawiniątko, które niesie Lily, to dla niej zabezpieczenie. Każdy, kto je otworzy, dowie się, że ma do czynienia z żoną brytyjskiego oficera, że należy ją traktować z szacunkiem.

Francuzi są sprytni. Przynajmniej ten oddział. Udało im się ukryć. Czekają, aż Brytyjczycy przemaszerują przez przełęcz i znajdą się po drugiej stronie, a wtedy dopiero uderzają w osłabiony środek.

Neville odwraca się gwałtownie na dźwięk pierwszej salwy strzałów ze wzgórz. Nagle wydaje mu się, że wszystko ulega spowolnieniu i przez ciemny tunel widzi, że Lily, znajdująca się w połowie przejścia, wyrzuca w górę ręce i pada do tyłu, otoczona dymem i stłoczonymi ciałami jego wziętych w pułapkę żołnierzy.

Została trafiona.

Woła ją po imieniu.

- Lily! Lily!

Instynktownie zaczyna zachowywać się jak oficer, wyciąga szpadę, wykrzykuje rozkazy, próbuje przebić się do martwego pola na przełęczy. Do Lily.

Tymczasem porucznik Harris prowadzi swoich ludzi z tyłu na wzgórze. W końcu po kilku minutach Francuzi rzucają się do ucieczki. Neville dociera do środka przełęczy i znajduje Lily, na piersiach dziewczyny widnieje krew. Więcej krwi niż na jej ojcu poprzedniego dnia.

Lily nie żyje.

Patrzy na jej nieruchome ciało i pada na kolana, zapominając o swych obowiązkach. Obejmuje ją ramionami.

Lily. Moja kochana. Moja jednodniowa żono. Żono przez jedną noc.

Tylko jedną noc miłości.

Lily!

Nie czuje wcale bólu, kiedy kula trafia go w głowę. Świat pogrąża się w ciemności, a on pada nieprzytomny na martwe ciało ukochanej.

**CZEŚĆ TRZECIA**  
**NIEREALNE MARZENIE**

Nie poszli główną drogą, jak spodziewała się Lily. Skręcili tuż za bramą w niebrukowaną alejkę, wzdłuż której rosły drzewa. Neville nawet na nią nie spojrzął ani nie przemówił słowa. Boleśnie tylko ścisnął jej rękę. Musiała czasami biec, by nadążyć za jego dużymi krokami.

Był oszołomiony, wiedziała to, nie był całkiem świadom, gdzie idzie i z kim. Nawet nie próbowała przerwać milczenia.

Tak naprawdę ona również była w ciężkim szoku. Neville miał się właśnie ożenić. Myślał, że ona nie żyje - wiedziała o tym od kapitana Harrisa. Minęły jednak niecałe dwa lata. A on miał zamiar ożenić się po raz drugi. Tak szybko...

Lily widziała jego wybrankę, kiedy w panice wpadła do kościoła. Panna młoda była wysoka, elegancka i piękna w białej satynie i koronkach. Jego narzeczona. Ktoś z jego świata. Ktoś, kogo prawdopodobnie kochał.

Ale wtedy minęła pannę młodą i wbiegła do głównej nawy. Czuła się tak jak poprzedniej nocy, jakby wstępowała w inny świat. Jeszcze gorzej niż zeszłej nocy. Kościół pełen był wspaniałe, bogato odzianych dam i dżentelmenów, którzy się w nią wpatrywali. Czuła na sobie ich spojrzenia, mimo że jej oczy zwrócone były tylko na mężczyznę, który stał przed ołtarzem, piękny jak księżę z bajki.

Miał na sobie błękitny strój, z dodatkiem srebra i bieli. Lily ledwo go poznała. Był tak samo wysoki, szeroki w ramionach, silny i męski. Jednak teraz był hrabią Kilbourne, jakimś obcym angielskim arystokratą. A ona miała w pamięci majora Newbury, twardego oficera z dziewięćdziesiątego piątego pułku strzelców. Swojego męża.

Major Newbury, którego pamiętała - Neville, jak zaczęła się do niego zwracać ostatniego dnia - nigdy nie dbał o swą powierzchowność, choć wyglądał atrakcyjnie w zielono - czarnym mundurze, zawsze zniszczonym, a często zakurzonym lub zabłoconym. Włosy miał zazwyczaj krótko obcięte. Natomiast teraz prezentował się niezwykle elegancko.

I miał poślubić piękną kobietę z własnego świata.

Myślał, że Lily nie żyje. Zapomniał już o niej. Nigdy o niej nie mówił - można to było wyraźnie poznać po zdumieniu osób znajdujących się w kościele. Być może wstydził się tego, że ją poślubił. A może Lily znaczyła dla niego tak niewiele, że nawet nie uznał za stosowne, by to zrobić. Ożenił się z nią w pośpiechu, ponieważ uważał, że taki ma obowiązek wobec jej ojca. Potraktował to jako błahę zdarzenie, niewarte nawet, by o nim mówić.

Dzisiaj był dzień jego ślubu - z inną kobietą.

A ona zjawiała się, by go od tego powstrzymać.

- Lily - odezwał się nagle, zaciskając jeszcze mocniej rękę. - To naprawdę ty? Naprawdę żyjesz! - Nadal patrzył przed siebie. Nie zwolnił kroku.

- Tak. - W porę powstrzymała się od tego, by go przeprosić, tak jak zrobiła to w kościele. Dla niego byłoby lepiej, gdyby zmarła. Nie dlatego, że był niedobrym człowiekiem. Wręcz przeciwnie. Jednak...

- Przecież nie żyłaś - powiedział. Nagle Lily zdała sobie sprawę, że ścieżka prowadzi skrótem na plażę, gdzie spędziła zeszłą noc. Minęli drzewa i zaczęli schodzić ze wzgórza, z szaleńczą szybkością przedzierając się przez paprocie. - Widziałem, jak upadłaś. Widziałem, jak leżysz martwa z kulą, która przeszła ci przez serce. Harris doniósł mi później, że umarłaś. Ty i jedenastu innych.

- Kula chybiła - odparła. - Wyzdrowiałam.

Zatrzymał się na dnie doliny i spojrzał na wodospad, opadający przepiękną wstęgą jasnej piany z porośniętego paprociami urwiska do jeziora, oraz na strumień biegnący do morza. Nad jeziorkiem znajdował się mały, pokryty strzechą domek, który Lily zauważyła poprzedniej nocy. Do domku wiodła ścieżka, ale nic nie wskazywało, by ktoś tam mieszkał.

Neville zwrócił się w przeciwnym kierunku i pomaszerował na plażę, ciągnąc ją za sobą. Lily, rozgrzana długim, szybkim spacerem, wolną ręką rozwiązała wstążki kapelusza i pozwoliła, by opadł na piasek. Poprzedniej nocy zgubiła szpilki. Kilka pozostałych nie było w stanie utrzymać grzywy skręconych, niesfornych włosów. Opadły na ramiona i plecy.

- Lily. - Po raz pierwszy od wyjścia z kościoła spojrzał na nią. - Lily. Lily.

Zacząli iść, ale nie wzdłuż linii piasku, tylko prosto do morza. Zatrzymali się dopiero na brzegu. Gdyby tylko nadal oddzielał ich ocean, pomyślała Lily. Gdyby pozostała w Portugalii. To byłoby lepsze dla nich obojga.

On poślubiłby inną kobietę.

Nie wiedziałyby, że tak szybko o niej zapomni, że tak mało dla niego znaczyła.

- Ty żyjesz. - W końcu puścił jej dłoń, odwrócił się do niej, spoglądając w jej twarz badawczym wzrokiem, i uniósł rękę. Zawahał się, zanim opuszkami palców dotknął jej policzka. - Lily. Och, Boże! Ty żyjesz!

- Tak. Wreszcie dotarła do celu podróży. A może właśnie zaczęła się kolejna podróż. Stała przed nią w całym majestacie hrabiego Kilbourne.

\*

Nagle Neville zdał sobie sprawę, że znajdują się na plaży, nad samym brzegiem

morza. Nie miał pojęcia, dlaczego przyszedł właśnie tutaj. Wiedział tylko, że dom niedługo znów zapełni się gośćmi. A właśnie tutaj zawsze kierował się, kiedy chciał być sam. By pomyśleć w spokoju.

Teraz jednak nie był sam. Była z nim Lily. Dotykał jej. Czuł jej ciepłe żywe ciało. Była mała, szczupła, piękna i biednie ubrana, a jej długie włosy powiewały szaleńczo na wietrze.

To była, och, Boże, to była ona!

- Lily. - Spojrzał na morze, chociaż tak naprawdę nie widział ani brzegu, ani bezkresu wód. - Co się stało?

Nieprzytomnego zniesiono go z przełęczy. Porucznik Harris powiedział mu w szpitalu, że Lily i jedenastu żołnierzy, w tym kapelan, wielebny Parker - - Rowe, zginęli. Oddział zmuszony był do odwrotu, mogli zabrać jedynie swoje plecaki i rannych. Musieli zostawić zmarłych i ich rzeczy na pastwę Francuzów.

Poczucie winy nękało go nieustannie przez ostatnie półtora roku. Nie potrafił ustrzec swych ludzi. Nie dotrzymał słowa danego sierżantowi Doyle'owi. Zawiódł Lily - swoją żonę.

- Zabrali mnie do Ciudad Rodrigo - ciągnęła dalej. - Chirurg usunął kulę z mego ciała. Minęła serce ledwo o milimetry, powiedział, takiego właśnie użył określenia. Mówił po angielsku. Niektórzy z nich również. Zachowywali się wobec mnie uprzejmie.

- Naprawdę? - Odwrócił głowę i spojrzał na nią. - Czy znaleźli papiery, Lily? Dobrze cię traktowali? Z szacunkiem?

- O, tak. - Odwzajemniła spojrzenie. Przypomniawszy sobie jej wielkie, szczere oczy, błękitne jak letnie niebo. Nic się nie zmieniły. - Byli bardzo mili. Zwracali się do mnie *madame*. - Uśmiechnęła się na moment.

Poczucie ulgi sprawiło, że zadrżały pod nim kolana. Zdawał sobie sprawę, że szok zaczyna wreszcie mijać. Teraz byłby już po ślubie, w drodze do domu, gdzie czekało na nich śniadanie, na niego i Lauren, jego żonę. Znów poczuł falę oszołomienia.

- Wzięli cię w niewolę i traktowali dobrze? - powiedział. - Kiedy i gdzie cię uwolnili, Lily? Dlaczego nikt mnie nie poinformował? A może uciekłaś?

Opuściła oczy.

- Wkrótce po opuszczeniu Ciudad Rodrigo zostali zaatakowani - odparła. - Przez hiszpańskich partyzantów. Wzięto mnie do niewoli.

Znów poczuł ulgę. Uśmiechnął się nawet.

- W takim razie byłaś bezpieczna - powiedział. - Partyzanci to nasi sojusznicy. Czy odwieźli cię z powrotem do oddziału? Ale to przecież było wiele miesięcy temu. Dlaczego

nikt mnie nie zawiadomił?

Zauważył, że odwróciła się, spoglądając na dolinę. Wiatr rozwiewał jej włosy, nie mógł więc dojrzeć jej twarzy.

- Wiedzieli, że jestem Angielką - powiedziała. - Nie uwierzyli mi jednak, że zostałam wzięta do niewoli. Nie byłam przecież uwięziona. Nie uwierzyli również w to, że jestem żoną oficera. Nie byłam tak ubrana. Potraktowali mnie jak francuską utrzymankę.

Serce zakołatało mu mocno w piersi. Otworzył usta, ale nie mógł wymówić słowa.

- Ale twoje papiery, Lily...

- Francuzi zabrali mi je, nie dostałam ich z powrotem - odparła.

Zamknął mocno oczy i nie otwierał ich. Hiszpańscy partyzanci byli znani z okrucieństwa wobec francuskich jeńców. W jaki sposób traktowali francuską utrzymankę, nawet jeśli była Angielką? Jak udało jej się uciec przed okropnymi torturami i egzekucją?

Wiedział jak.

Westchnął głęboko.

- Czy byłaś z nimi... długo? - zapytał. Nie czekał na odpowiedź. - Lily, czy oni...

Czy zdarzyło się najgorsze, którego spodziewał się Doyle? I on sam? Nie musiał jednak czekać na odpowiedź. Była przerażająco oczywista. Nie było innej możliwej odpowiedzi.

- Tak - odparła miękko.

Zaległa cisza. Gdzieś w górze zaskrzeczała mewa, jej głos zabrzmiał niemal żalobnie.

- Po kilku miesiącach, po siedmiu, dołączył do oddziału na kilka dni angielski agent i przekonał ich, żeby mnie puścili - ciągnęła dalej. - Wróciłam do Lizbony. Nikt nie chciał mi uwierzyć, dopiero kapitan Harris przyjechał w jakichś sprawach do Lizbony. Wracał ze swoją żoną do Londynu. Wzięli mnie ze sobą. Kapitan miał do ciebie napisać, ale ja nie chciałam czekać. Przyjechałam tu. Musiałam to zrobić. Musiałam dać ci znać, że nadał żyję. Próbowałam zeszłej nocy, kiedy w twoim domu odbywało się przy... przyjęcie, ale uznali mnie za żebraczkę i chcieli mi dać kilka pensów. Przykro mi, że tak się wszystko potoczyło dziś rano. Teraz, kiedy już wszystko wiesz, nie... nie zostaną tu dłużej. Jeśli tylko mógłbyś... zapłacić mi za dyliżans, pojedą... gdzieś. Pewnie znajdzie się jakiś sposób na zakończenie małżeństwa, z powodu tego, co zrobiłam. Jeśli ma się pieniądze i wpływy, a to, jak mi się wydaje, posiadasz. Musisz to zrobić, a wtedy mógłbyś... zrealizować swoje plany.

Mógłby poślubić kogoś innego. Lauren. Nagle poczuł, jakby Lily przybyła do niego z innej epoki.

Wspomniała o rozwodzie. Za jej niewierność. Ponieważ pozwoliła, by ją zgwałcono,

zamiast dać się torturować i zabić. Ponieważ chciała za wszelką cenę przeżyć. I przeżyła.

Lily zgwałcona.

Lily niewierna.

Jego słodka, ukochana, niewinna Lily.

- Lily. - Dopiero teraz zauważył, że schudła. Jej szczupła sylwetka zawsze była pełna wdzięku. Teraz sprawiała wrażenie wymizerowanej. - Kiedy ostatni raz jadłaś?

Odpowiedziała dopiero po chwili.

- Wczoraj. Po południu. Mam niewiele pieniędzy. Starczy mi jedynie na kawałek chleba w wiosce.

- Chodźmy. - Znów wziął ją za rękę. Była zimna, a jej uścisk słaby. - Potrzebna ci gorąca kąpiel, musisz zmienić ubranie, coś zjeść i przespać się. Czy masz ze sobą jakieś rzeczy?

- Torbę. - Spojrzała w dół, jakby spodziewając się, że pojawi się nagle w jej pustej dłoni. - Chyba ją gdzieś upuściłam. Miałam ją ze sobą, kiedy rano poszłam do wsi. Chciałam sobie kupić coś do jedzenia. A wtedy powiedziano mi o... o twoim ślubie.

- Znajdzie się - zapewnił. - Nieważne. Zabieram cię do domu.

I do czekających na nich kłopotów, nad którymi jeszcze nie zaczął się zastanawiać.

\*

- Nie chodzi o to, że chcę potraktować cię jak służącą - wyjaśnił. To były pierwsze słowa, jakie padły, od kiedy opuścili plażę. - Idąc tędy, możemy po prostu uniknąć ciekawskich oczu.

Drzwi, przez które weszli do domu, nie znajdowały się we frontowej części budynku. Lily odgadła, że było to wejście dla służby. A nagie kamienne schody, po których wchodzili na górę, również przeznaczone były dla służby. I całkiem puste. Reszta domu z pewnością nie, biorąc pod uwagę powozy znajdujące się przez stajniami, w wozowni i przed tarasem.

Neville otworzył drzwi, za którymi ukazał się szeroki, wyłożony dywanami korytarz. Wzdłuż widniały obrazy, rzeźby i drzwi. Znajdowali się już w takim razie w głównej części budynku. Trzy osoby pogrążone w rozmowie zamilkły i spojrzały na nią z ciekawością, z zakłopotaniem i niepewnie powitały Neville'a. Skinął szybko głową, ale nie powiedział ani słowa. Lily, której dłoń nadal wyczuwał w swojej, również się nie odezwała.

Na koniec otworzył drzwi, uwolnił ją z uścisku, i popychając lekko, wprowadził do środka. Pokój był duży, kwadratowy i wysoki. Kiedy zerknęła w górę, ujrzała złoczone gzymsy biegnące u sufitu, a na nim malowidło przedstawiające tłusciutki, nagie postacie

chłopczyków ze skrzydełkami. Domyśliła się, że znajduje się w sypialni, wyłożonej dywanami i bogato umeblowanej. Łóżko zwieńczał baldachim ze zwisającą zasłoną z ciężkiego jedwabiu. Ciemny róż i zieleń mebli pasowały do siebie idealnie.

Lily nie spotkała w swoim życiu równych wspaniałości, z wyjątkiem może wielkiego holu, który przez chwilę widziała poprzedniego wieczoru.

- Natychmiast każe podać ci coś do jedzenia i do picia - odezwał się Neville. Przeszedł przez pokój i pociągnął za ozdobiony chwostem jedwabny pasek wiszący koło łóżka. - A potem każe przygotować ci w ubieralni gorącą wodę na kąpiel. Prawdopodobnie uda nam się odszukać twoją torbę, teraz jednak z pewnością znajdzie się dla ciebie jakaś koszula nocna i peniuar. Musisz się przespać, Lily. Sprawiasz wrażenie zmęczonej.

Tak, była zmęczona. Jednak zmęczenie towarzyszyło jej już tak długo, że ledwo je zauważała. Wiedziała, że jest głodna, chociaż nie wiedziała, czy zdoła coś przełknąć. Neville zwracał się do niej energicznie i oficjalnie. Nie było to radosne powitanie, o jakim marzyła, ani też straszne odrzucenie, jakiego się obawiała. Wiedział, przez co przeszła, mimo to przyprowadził ją tutaj, do tej wielkiej komnaty.

- Czyj to pokój? - spytała. Nie wiedziała, jak się do niego zwracać. „Neville” brzmiałoby zbyt poufale, chociaż przecież była jego żoną. Najlepiej czułaby się, mówiąc do niego „proszę pana”, ale przecież nie był już oficerem, a ona nie należała do jego oddziału. Nie mogła się przemóc, by mówić do niego „milordzie”. Odzywała się więc bezosobowo.

- To pokój hrabiny - odparł. Skinął głową w kierunku sąsiedniego pomieszczenia. - Tam znajduje się przebieralnia.

Hrabiny? Hrabinią mogła być albo jego żona, albo matka. Nie wpuściłby jej przecież do pokoju matki. Wysoka kobieta w kościele z pewnością miała zostać jego żoną, hrabinią. Jednak nie mógł jej poślubić, ponieważ już był żonaty z nią, z Lily. W takim razie to ona... była hrabinią. Czy to możliwe? Nigdy o tym wcześniej nie myślała. Z zaskoczeniem reagowała, kiedy Francuzi zwracali się do niej „madame”, w końcu zdała sobie sprawę, że jest wicehrabinią Newbury. To jednak było dawno, dawno temu.

- Czy to mój pokój? - spytała. - Mam więc zostać? Nigdy nie myślała, co się z nią stanie później, kiedy już podróż dobiegnie końca. W głębi duszy wiedziała, że hrabia z pewnością zechce się pozbyć córki sierżanta, używając choćby najłżejszej wymówki, a przecież w istocie miał wymówkę, która wcale nie była lekka. Jakże trudno było uwierzyć, że obecny hrabia Kilbourne to dawny major Newbury. Jej major Newbury, człowiek, którego zawsze podziwiała, któremu ufała. Jej mąż. Jej kochanek. Miłość jej życia. Wiedziała jednak, stojąc w pokoju hrabiny, że nigdy nie spodziewała się szczęśliwego zakończenia.

- Lily. - Zrobił w jej kierunku kilka kroków. Zobaczyła, że jest równie niepewny i oszołomiony jak ona. A może nawet bardziej. Nie spodziewał się przecież tego, co stało się rano. - Nie zastanawiajmy się jeszcze, co będzie dalej. Ty żyjesz. Jesteś tutaj. Musisz zjeść i odpocząć. A potem postanowimy co dalej.

- Tak. Dobrze. - To prawda, pragnęła odpoczynku bardziej niż czegokolwiek na świecie. Nie mogła już się utrzymać na nogach, oczy same jej się zamykały.

Drzwi otworzyły się i Lily ujrzała młodą dziewczynę w wykrochmalonej czarnej sukni, białym fartuszką i czepeczku. Dziewczyna spojrzała na nich wybałuszonymi oczyma, zgięta w ukłonie. Neville wydał jej kilka poleceń, tymczasem Lily podeszła do okna i spojrzała spod ciężkich powiek. Kazał przynieść tyle jedzenia, że można by wyżywić całą armię. I oczywiście przygotować gorącą kąpiel - cóż za niewiarygodny luksus.

Kiedy pokojówka wyszła, Neville podszedł do Lily.

- Zostanę z tobą, aż przyniosą ci jedzenie - powiedział. - Wtedy zostawię cię, żebyś mogła coś przekąsić. W przebieralni będą na ciebie czekały woda i koszula nocna. Potem powinnaś położyć się i zasnąć. Przyjdę do ciebie później. Wtedy porozmawiamy.

- Dobrze, proszę pana - odparła i od razu poczuła się głupio.

Nagle zastanowiła się, czy po prostu kiedyś, przez jedną noc, nie wyobraziła sobie wspaniale zakwitającej miłości, dziwnie zmieszanej z głębokim smutkiem po śmierci ojca. Obydwa te uczucia dzieliła z tym mężczyzną, tym obcym mężczyzną, który został jej mężem. Miłość - lub coś, co określano tym mianem - stała się wkrótce potem czymś obrzydliwym, że aż trudno było uwierzyć w jej piękno. A przecież kiedyś była piękna. Kiedyś. Dawno temu. Z nim - majorem lordem Newbury. Z Neville'em.

To było najpiękniejsze doświadczenie jej życia. Cała miłość, skrywana potajemnie w sercu, od kiedy go poznała, skupiła się tamtej nocy w wielką namiętność. Wierzyła - czuła - że to odwzajemnione uczucie, chociaż od tamtego czasu zdołała poznać, że mężczyźni byli zdolni do namiętności, nie odczuwając nawet odrobiny miłości. Nie przeszkadzało im to nawet robić wyznań.

Czy tylko jej się wydawało, że Neville czuł to w tamtą noc? Czy była taka naiwna, czy też tylko pragnęła w ciągu następnego miesiąca wierzyć, że kiedyś, przez jedną noc, kochała mężczyznę, który odwzajemniał jej uczucie?

Kiedy tak pogrążyła się we wspomnieniach, przyniesiono tacę i postawiono ją na eleganckim stoliku. Neville odsunął krzesło i pomógł jej usiąść. Rzeczywiście, jedzenia starczyłoby dla całego wojska. Spojrzała wygłodzona na gotowane jajka, kiedy nalewał jej herbaty do filiżanki.

- Zostawię cię teraz samą - powiedział, biorąc jej dłoń w swe ręce. - Nie potrafię wyrazić tego, co czuję, cieszę się, że nie zginęłaś, Lily. Cieszę się, że udało ci się to wszystko przetrwać.

Uniósł jej dłoń do ust i pocałował koniuszki palców, aż wreszcie odwrócił się i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą cicho drzwi.

Cieszył się? - zastanawiała się, spoglądając za nim. Wiedziała, że nie jest okrutny i nigdy nie życzyłby jej śmierci, ale żeby naprawdę się cieszył? Z tego, że udało jej się przeżyć, być może tak. Jednak z tego powodu, że wróciła do niego, by skomplikować mu życie? Czyż mógł się cieszyć, że stało się to zupełnie przypadkiem w dniu, kiedy miał poślubić inną kobietę?

Niby dlaczego miał się cieszyć? Zwłaszcza znając prawdę o tym, co ją spotkało.

Lily zaczęła myśleć o kobiecie, z którą miał się ożenić. Z pewnością była piękna. Lily nie widziała jej dokładnie, twarz panny młodej skrywał welon i kapelusz, wydawało się jej, że kobieta jest pełna wdzięku, elegancka i piękna. Czy Neville ją kochał? Czy ona kochała jego? Czy byli dobraną parą? Czy minuty dzieliły ich od szczęśliwego pożycia?

Jednak takie myśli nie prowadziły do niczego. Poza tym trudno jej było się skupić, kiedy powieki ciążyły jak ołów. Podniosła filiżankę i upiła łyk ciepłego napoju. Zamknęła oczy z niewysłowioną ulgą.

Gdyby tylko, pomyślała, mogła odzyskać plecak ojca, kiedy wróciła do Lizbony. Jednak minęło tyle czasu. Prawdopodobnie odesłano go do Anglii, powiedziano jej w końcu, do jakiegoś żyjącego krewnego, chyba że zginął lub został zniszczony. Tata miał ojca i brata, którzy mieszkali gdzieś... chyba w hrabstwie Leicester. Lily nie była tego pewna i nigdy ich nie poznała. Ojciec żywił do nich jakąś urazę. Za to cały czas jej powtarzał, żeby w wypadku jego śmierci zaniósła plecak do jego przelożonego i razem z nim sprawdziła zawartość. To miał być klucz zabezpieczający jej przyszłość, powtarzał ciągle, tak jak złoty medalionik, który zawsze nosiła jako talizman.

Przypuszczała, że ojciec przez całe życie oszczędzał część zołdu. Nie wiedziała, jaką sumę pieniędzy ukrył w plecaku. Pewnie nie starczyłoby jej na długo, ale może przynajmniej miałyby na powrót do Anglii, dopóki nie znalazłaby tu jakiegoś przyzwoitego zajęcia. Gdyby tylko mogła znaleźć plecak, nie musiałyby przyjeżdżać do Newbury Abbey. Nie, uczyniłyby to jednak, mimo wszystko. Jedyne, co pozwoliło jej przetrwać pierwszą i drugą niewolę, to myśl o nim i nadzieja, że znów go zobaczy. Tak naprawdę nie sądziła, że to w ogóle możliwe, pomyślała o tym dopiero niedawno, po przyjeździe do Anglii. A zwłaszcza ostatniej nocy, kiedy znalazła się w jego domu i jego otoczeniu.

Była jego żoną - ale również kobietą, która go zdradziła.

Gdyby znalazła plecak, miałyby teraz inne wyjście...

Kiedy skończyła jeść jajko i wgryzała się w drugą grzanekę, zamknęła mocno oczy i próbowała przezwyciężyć ogarniającą ją panikę. Jej medalionik! Był w zostawionej torbie. Nie nosiła go już od dawna, ponieważ Manuel brutalnie zerwał łańcuszek. Jednak, o dziwo, oddał go, kiedy ją wypuszczał. Od tamtej pory nie rozstawała się z nim nigdy - aż do dzisiaj.

Czy Neville odnajdzie jej torbę? Chciała sama zacząć poszukiwania, ale nie wiedziała, jak się wydostać z tego domu. A przecież mogła po drodze kogoś spotkać. Nie, wierzyła, że Neville odszuka jej rzeczy.

Myśl o tym, że może stracić ostatnią więź łączącą ją z ojcem, spowodowała, że poczuła mdłości i nie mogła już nic przełknąć.

Wstała i ruszyła do drzwi przebieralni, słaniając się z wyczerpania. Ostrożnie przekreśliła ozdobną klamkę.

Hrabina Kilbourne potrafiła zapanować nad każdą kłopotliwą sytuacją, szybko więc otrząsnęła się z szoku, jakiego doznała w kościele. Przecież na śniadanie mieli przybyć goście. Wydała polecenia, by posiłek podano w sali balowej, jak planowano wcześniej. Usunięto tylko niektóre dekoracje - na przykład białe wstęgi i tort - przypominające, że miało to być przyjęcie weselne.

Sala balowa nie była przepelniona, ale gości i tak siedziało dużo. Niektóre osoby, w tym sama hrabina, przebrały się bardziej stosownie do wczesnego popołudnia. Pomimo tego, co mogli mówić w kościele i po wyjściu z niego, a także w drodze powrotnej do pałacu, przy śniadaniu dobre obyczaje wzięły górę. Jakikolwiek nieznajomy, który wszedłby teraz do sali balowej, z trudem domyśliłby się, że miało to być przyjęcie weselne, ale niestety ślub nie doszedł do skutku, a zarówno członkowie rodziny, jak i inni zaproszeni goście pękają z ciekawości, by dowiedzieć się czegoś.

Hrabina przybrała spokojny i łaskawy wyraz twarzy. Podjęła uprzejmą konwersację z sąsiadami przy stole i nie okazywała żadnego znaku gorzkiego zmartwienia, które ją trapiło. Prywatne i osobiste sprawy muszą poczekać. Nie na darmo była hrabiną Kilbourne.

Tak właśnie przedstawiała się sytuacja w sali balowej, gdy wszedł tam Neville. Wszyscy nagle zaczęli się uciszać i zwrócili wzrok ku niemu. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że nie zmienił jeszcze ubrania - nawet o tym nie pomyślał. Był panem młodym bez panny młodej. Stał w drzwiach sali balowej i założył ręce z tyłu.

- Cieszę się, że zasiedliście do stołu - powiedział. Rozejrzał się wokół, napotykając wzrok przyjaciół i krewnych, nie zdziwiło go, że nie ma wśród nich Lauren i Gwen. - Nie zajmę wam dużo czasu. Uważam jednak, że jestem wam winien nieco więcej wyjaśnień, niż byłem w stanie udzielić dzisiaj rana w kościele. Wyznam szczerze, nawet nie pamiętam, co wtedy powiedziałem.

Markiz Attingsborough, który wstał ze swego miejsca, prawdopodobnie, by wskazać kuzynowi wolne krzesło, bez słowa usiadł z powrotem.

Neville nie planował, co powie. Nie wiedział, co i ile powinien ujawnić. Nie było jednak sensu utrzymywać wszystkiego w tajemnicy. Matka patrzyła na niego z godnością i bez wyrazu. Siedzący obok niej wuj zmarszczył brwi. W pomieszczeniu znajdowało się również kilkoro służby, w tym Forbes - kamerdyner. Neville uważał jednak, że służba również powinna się wszystkiego dowiedzieć.

- Poślubiłem Lily Doyle kilka godzin po tym, jak zginął jej ojciec, a mój sierżant -

zaczął. - Poślubiłem ją, ponieważ przyrzekłem mu, że ochronię ją moim nazwiskiem i stopniem oficerskim, w razie gdyby została wzięta do francuskiej niewoli. Następnego dnia rzeczywiście napadnięto mój oddział. Moja... żona zginęła, a przynajmniej ja i porucznik, który mi o tym później doniósł, tak myśleliśmy. Wyniesiono mnie poza brytyjskie linie z poważną raną głowy. Okazało się jednak, że Lily przeżyła i dostała się do francuskiej niewoli. - Postanowił nie mówić nikomu o tym, że więzili ją również hiszpańscy partyzanci. - Traktowano ją z szacunkiem jako moją żonę, a w końcu uwolniono. Wróciła do Anglii z kapitanem Harrisem i jego żoną i przyjechała do Newbury Abbey, by mnie odszukać.

Neville miał wrażenie, że odkąd zaczął mówić, nikt nawet nie drgnął. Ciekawe, czy którykolwiek z zebranych widział Lily zeszłej nocy lub wiedział, że wzięto ją za żebraczkę, zaproponowano sześciopensówkę i wygnano. Do ilu osób docierała świadomość, że to ona naprawdę jest hrabiną Kilbourne? Musiał im o tym przypomnieć.

- Z przyjemnością przedstawię wam moją żonę, hrabinę, nieco później - ciągnął dalej. - Jest wyczerpana ostatnimi przeżyciami. Wielu z was wie, że zawsze traktowałem Lauren jak przyjaciółkę i bliską osobę. Większość z was - wszyscy - potraficie sobie wyobrazić jej ból. Mam nadzieję, że nie będziecie winić za te cierpienia mojej żony. Jest zupełnie niewinna, że spowodowała to zamieszanie. Ja... no cóż... - Nie pozostało już nic do dodania.

- Ależ oczywiście, że ona jest winna, Nev. - Jedynie gwałtowne słowa markiza Attingsborough przerwały panującą ciszę.

- A teraz przepraszam - powiedział Neville. - Czy ktoś wie, gdzie udała się Lauren? - Na ułamek sekundy zamknął oczy.

- Poszła do wdowiego domu razem z Gwen. - Usłyszał lady Elizabeth. To właśnie we wdowim domu jego wybranka mieszkała z hrabiną przed zaręczynami, które odbyły się w ostatnie Boże Narodzenie. - Żadna z nich nie chciała mnie do siebie wpuścić, kiedy wracałam z kościoła. Może...

Jednak Neville jedynie skinął jej głową i opuścił pokój. Nie miał czasu ani na myślenie, ani na narady. Mógł iść tam teraz siłą rozpędu lub zrezygnować i popaść we frustrację.

\*

W drodze do wyjścia zatrzymał go głos wuja. Kiedy się odwrócił, ujrzał również matkę i Elizabeth.

- Kilka słów na osobności, Kilbourne - odezwał się książę sztywno i oficjalnie. - Należy się to twojej matce.

Neville w duchu przyznał mu ze znużeniem rację. Może nawet powinien porozmawiać z nią najpierw, zanim pojawił się w sali balowej i wygłosił publiczne oświadczenie. Po prostu nie wiedział, jak należy się odpowiednio zachować w tej sytuacji. Skinął głową i ruszył w stronę biblioteki. Przeszedł przez pokój i zatrzymał się, spoglądając na nierozpalony kominek, aż wreszcie odwrócił się na odgłos zamykających się drzwi.

- Rozumiem, że nie przyszło ci do głowy, Neville, by poinformować własną matkę o swym poprzednim małżeństwie? - W głosie hrabiny pełna łaskawości godność ustąpiła miejsca gorzkiemu tonowi. - Lub powiedziec o tym Lauren? Można by wtedy uniknąć tego okropnego upokorzenia dzisiaj rano.

- Uspokój się, Klaro - powiedział książę Anburey, klepiąc ją po ramieniu. - Wątpię, czy to by coś pomogło, chociaż, jeśli twój syn byłby w przeszłości bardziej szczerzy, może nie przeżyłabyś takiego szoku.

- Małżeństwo zawarte zostało w pośpiechu i trwało bardzo krótko - odparł Neville. - Myślałem, że Lily zginęła i... no cóż, postanowiłem nie opowiadać nikomu o tym krótkim okresie mego życia.

Ponieważ wstydził się przyznać, że poślubił niepiśmienną córkę swego sierżanta, nawet jeśli ona potem zmarła? Miał nadzieję, że nie to nim kierowało. W jaki sposób miał jednak wyjaśnić, co go skłoniło do takiego kroku? Jak miałby opisać im Lily? Czy potrafiłby wyjaśnić, że czasami kobieta potrafi być tak wyjątkowa, że wcale nie ma znaczenia, kim jest lub, co bardziej istotne, kim nie jest? Nie zrozumieliby. Potajemnie cieszyliby się, odczuliby ulgę, że zginęła, zanim mogła wystawić ich na pośmiewisko.

- Dzisiaj rano byłem w stanie myśleć tylko o tym, by uporać się jakoś z tą straszną katastrofą - powiedziała hrabina, opadając na najbliższe krzesło i unosząc do ust oblamowaną koronką chusteczkę. - I o tym, co się stanie z biedną Lauren. Nie byłem w stanie myśleć, co będzie dalej. Neville, powiedz mi, że ona nie jest aż taka... pospolita, jak mi się wydała dzisiaj rano. Powiedz, że to tylko przez ubranie...

- Słyszałaś, chłopak wyjaśnił, że to córka sierżanta, Klaro - przypomniał książę, stając przy oknie tyłem do nich. - Cóż, fakty mówią same za siebie. Kim była jej matka, Neville?

- Nie znałem pani Doyle. Zmarła w Indiach, kiedy Lily była małą dziewczynką. W ich żyłach nie płynęła błękitna krew, jeśli o to ci chodzi, wuju. Lily pochodzi z gminu. Jest jednak moją żoną. Ma moje nazwisko i opiekę.

- Tak, tak, Neville, to wszystko brzmi pięknie - przemówiła niecierpliwie matka. - Jednak... O, Boże, nie potrafię myśleć logicznie. Jak mogłeś nam to zrobić? Jak mogłeś zrobić to sobie? Czy nic dla ciebie nie znaczyło twoje wykształcenie i wychowanie, że poślubiłeś

kobietę, która wygląda jak żebraczka i pochodzi z niższej klasy? - Wstała nagle i zachwiała się na nogach. - Muszę wracać do gości, zaniedbuję ich.

- Biedna Lily - przemówiła wreszcie ciotka Neville'a, Elizabeth. Ponieważ była starsza od niego o dziewięć lat, nigdy tak się do niej nie zwracał. Była panną nie dlatego, że nie miała propozycji małżeńskich, tylko dlatego, że już dawno postanowiła, że nigdy nie wyjdzie za mąż, chyba że znajdzie mężczyznę, który zdoła ją przekonać, że powinna dla niego zrezygnować ze swojej niezależności. Nie spodziewała się jednak, że tak się kiedyś stanie. Była piękną, inteligentną i utalentowaną kobietą. Nie wiadomo, czy księżę Portfrey był dla niej tylko przyjacielem czy czymś więcej. - Myślimy tylko o sobie, a zapominamy, że dla niej to też ciężkie przeżycie. Gdzie ona jest, Neville?

- Właśnie, gdzie? - powtórzyła jego matka niezwykle jak na nią rozdrażnionym głosem. - Nie tutaj, mam nadzieję. W pałacu nie ma ani jednego wolnego pokoju.

- Jest jeden wolny pokój, mam - odparł sztywno. - Pokój hrabiny, który jej się należy. Zostawiłem ją tam, by mogła coś zjeść, wziąć kąpiel i przespać się. Dałem polecenie, by nie przeszkadzano jej, dopóki do niej nie pójde.

Matka zamknęła oczy i znów przycisnęła chusteczkę do ust. Pokój hrabiny, który kiedyś ona zajmowała, znajdował się w tej części budynku, gdzie sypialnia hrabiego - jej syna. Neville mógł sobie wyobrazić, jak matka walczy ze świadomością, że Lily ma tu zamieszkać.

- Tak - stwierdziła ciotka. - Z pewnością powinna odpocząć. Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam, Neville.

Cała Elizabeth, zawsze zachowywała się miłosiernie, brała sytuację taką, jaką była i starała się uczynić ją znośną.

- Dziękuję - odparł.

Matka zdążyła się już jakoś pozbierać.

- Przeprowadzisz ją później na dół na herbatę, Neville - zwróciła się do syna. - Nie ma przecież sensu, by ją ukrywać, nieprawdaż? Poznam ją wtedy, kiedy reszta rodziny. Wszyscy zachowamy się odpowiednio, tak jak należy się twojej... twojej żonie, możesz być spokojny.

Neville skinął głową.

- Tego się po tobie spodziewałem, mam - odparł. - Teraz jednak przepraszam was. Muszę zobaczyć się z Lauren.

- Będziesz miał szczęście, jeśli nie dostaniesz od niej cios po głowie, Neville - ostrzegła go Elizabeth.

Skinął głową.

- Mimo wszystko idę.

Kilka minut później wyszedł z domu i skierował się do wdowiego domku, który stał niedaleko bramy, odsunięty nieco od głównej drogi, otoczony drzewami i ogrodem. Dopiero w połowie drogi zorientował się, że nadal ma na sobie ślubny strój. Zdecydował się jednak nie wracać do domu, by się przebrać. Może nie potrafiłby się później zdobyć na odwagę.

Zdał sobie sprawę, że czeka go jedno z najtrudniejszych spotkań w życiu.

\*

Nie znalazł Lauren we wdowim domku. Siedziała na zewnątrz, na huśtawce zawieszanej między drzewami, machinalnie odpychając się nogą. Patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Gwendoline siedziała obok na trawie. Obydwie nadal miały na sobie ślubne stroje.

Neville pomyślał, że wolałby znaleźć się w jakimkolwiek innym punkcie kuli ziemskiej. Oto miał przed sobą dwie najukochańsze osoby na świecie, którym zrobił coś takiego. Nie potrafił im przynieść pocieszenia. Mógł jedynie próbować jakoś wszystko wytłumaczyć.

Na jego widok Gwendoline skoczyła na równe nogi i popatrzyła z furją.

- Nienawidzę cię, Neville - krzyknęła - Jeśli przyszedłeś tutaj, by uczynić ją jeszcze bardziej nieszczęśliwą, możesz sobie stąd iść, i to zaraz! Co to wszystko ma znaczyć? Wyjaśnij mi natychmiast! Jak to możliwe, że ta okropna kobieta to twoja żona? - Rozplakawszy się głośno, odwróciła szybko głowę.

Lauren przestała się huścić, ale nie popatrzyła na nich.

- Lauren? - odezwał się Neville. - Lauren, kochanie? - Ciągle nie wiedział, co jej powiedzieć.

Przemówiła spokojnym, ale beznamiętnym głosem.

- Wszystko w porządku. Naprawdę wszystko w porządku. Nasze małżeństwo było przecież ustalone z góry, nieprawdaż? Ponieważ razem dorastaliśmy, lubiliśmy się, a także dlatego, że wuj i dziadek tego pragnęli. A ty powiedziałaś, że bym na ciebie nie czekała, kiedy wyjedziesz. Zachowałeś się wobec mnie uczciwie. Nie zaręczyłeś się ze mną ani się nie oświadczyłeś. Miałaś prawo ją poślubić. Nie winię cię wcale za to.

Spojrzał zatrwożony. Wolałby już, żeby rzuciła się na niego z pięściami.

- Lauren - odezwał się. - Pozwól mi wyjaśnić.

- Nie ma co wyjaśniać - powiedziała gniewnie Gwendoline, opanowawszy wreszcie łzy. - Czy ona jest czy nie jest twoją żoną, Neville? To tylko się liczy. Nie skłamałbyś jednak

przed wszystkimi w kościele. Ona jest twoją żoną.

- Tak.

- Nienawidzę jej - krzyknęła. - Obdarta, brzydka, okropna kreatura. Lauren nie poparła jej jednak.

- Przecież jej nie znamy, Gwen - odezwała się. - Dobrze, Neville. Wyjaśnij mi. Opowiedz nam wszystko. Z pewnością masz bardzo dobre wytłumaczenie. Jestem tego pewna. Kiedy zrozumie, łatwiej mi będzie to przyjąć. Wszystko z pewnością skończy się dobrze.

Była najwyraźniej w szoku. Nie chciała dopuścić do siebie tego, co się stało. Próbowwała się przekonać, że to, co się zdarzyło, wcale nie jest katastrofą, a jedynie czymś oszałamiającym, co z łatwością można przyjąć, kiedy się tylko zrozumie. Zauważył, że starannie upięty, haftowany tren sukni ślubnej jest cały zakurzony.

To było podobne do Lauren; zawsze próbowała wszystko wytłumaczyć, nigdy nie poddając się emocjom, nawet wtedy, kiedy nie można było działać racjonalnie. Zawsze taka była, ta najlepsza z nich trojga, jedyna, która myślała o konsekwencjach, jedyna, która bała się zdenerwować dorosłych. Historia jej życia po części tłumaczyła takie postępowanie. Przybyła do Newbury Abbey w wieku trzech lat, kiedy jej matka, owdowiała wicehrabina Whileaf, poślubiła młodszego brata hrabiego. Została w Newbury, kiedy nowo poślubieni małżonkowie wyjechali w podróż poślubną, z której nigdy nie wrócili. Najpierw przez kilka lat przychodziły listy i paczki wysyłane z różnych stron świata, a potem nic. Nawet słowa o ich śmierci.

Rodzina ze strony ojca nie kwapiła się, by ją zabrać. Co więcej, kiedy miała osiemnaście lat, wysłała do nich list, ale dostała jedynie krótką odpowiedź napisaną przez sekretarza, że jego lordowskie mości nie życzą sobie utrzymywać z nią stosunków. Neville przypuszczał, że Lauren nigdy nie wierzyła, że można ją pokochać. A teraz nowe okoliczności podkopywały jej mniemanie o sobie.

- A ja wcale nie chcę niczego rozumieć - odezwała się gniewnie Gwendoline. - Jak ty możesz, Lauren, siedzieć tak sobie, zachowywać się tak spokojnie, przebaczać i zachowywać się wyrozumiale? Powinnaś wydrapać mu oczy. - Znów zaczęła płakać.

- Neville? - Lauren znów znieruchomiała. - Muszę zrozumieć. Opowiedz mi o... o Lily.

- Jest córką sierzanta - wyjaśnił. - Dorastała w moim oddziale, razem z nim przenosiła się z miejsca na miejsce. Zawsze wszystkim pomagała, a wszyscy traktowali ją przyjaźnie. Kochali ją najtwardsi z moich ludzi i najbardziej surowe spośród kobiet. Zawsze jednak

zachowywała niezależność. Była jak istota z marzeń lub z bajki - nie potrafię opisać tych jej cech. Nawet największa ohyda, z którą spotykała się w życiu, nie miała do niej dostępu. Miała osiemnaście lat, kiedy... kiedy ją poślubiłem. - Opowiedział pokrótce o okolicznościach, w jakich zawarli małżeństwo.

- A poza tym, kochałeś ją - dodała Lauren, kiedy skończył opowiadać.

Przez wzgląd na nią chciałby temu zaprzeczyć. Bynajmniej nie dlatego, że stanowiło to jakąś zasadniczą różnicę. Nie powiedział nic.

- To żadna wymówka - powiedziała Gwendoline. - Nie miałeś wtedy osiemnastu lat, Neville. Jesteś mężczyzną. Powinieneś wiedzieć lepiej. Powinieneś okazać więcej poczucia obowiązku wobec rodziny i twojej pozycji, zamiast zdecydować się poślubić córkę sierżanta z tak głupiego powodu. Związałeś się z nią na całe życie.

- Ja również nauczę się ją kochać. - Zdawało się, że Lauren w ogóle nie słyszała słów przyjaciółki. - Jestem pewna, że potrafię. Jeśli ty ją pokochałeś, Neville, to i ja... - Przerwała w pół zdania. Znow zaczęła kołysać się, odpychając się nogą.

Neville zastanawiał się, czy coś by to dało, gdyby skoczył do niej, ściągnął z huśtawki i potrząsnął za ramiona. Pamiętał jednak, że on również kilka godzin wcześniej doznał szoku. Przeszedł całą drogę z kościoła nad brzeg morza, nawet nie zdając sobie sprawy, że w ogóle ruszył się spod ołtarza. Co mógł innego zrobić oprócz tego, że zwłóklby ją z huśtawki i zaczął nią potrząsać? Nie mógł przecież wziąć jej w ramiona.

- Lauren, tak mi przykro, kochanie - odezwał się. - Chciałbym coś więcej powiedzieć, żebyś nie czuła się taka... samotna. Mógłbym dodać wiele nic nieznaczących rzeczy, by zapewnić cię, że w końcu to się ułoży... Ale z pewnością nie zdołam cię pocieszyć, poza tym zabrzmiałoby to może zbyt arogancko. Wiedz jednak, że nasza rodzina kocha cię, to nie tylko rodzina moja i Gwen, ale również twoja. - Pompatyczne, nic nieznaczące słowa, mimo że mówił prawdę. Nigdy w życiu nie czuł się tak beznadziejnie.

- Nic już nie będzie takie samo - krzyknęła Gwendoline. - Kiedy Vernon zmarł, a ja wróciłam do domu jako wdowa, a potem zmarł tata, myślałam, że świat się kończy. A potem ty wróciłeś i znow byliśmy we troje i wydawało mi się, że poślubisz Lauren i... Teraz wszystko się skończyło, nie można tego naprawić.

Neville przecesał dłonią włosy. Lauren huśtała się łagodnie.

Gwendoline wyszła za mąż z miłości, kiedy Neville przebywał na Półwyspie Iberyjskim. Nigdy nie miał okazji poznać wicehrabiego Muira. Po dwóch latach zdarzył się tragiczny wypadek. Najpierw Gwen spadła z konia, poroniła, a kiedy złamana kość zrosła się, okazało się, że kuleje. Rok później jej mąż spadł przez złamaną balustradę z balkonu na

znajdujący się poniżej marmurowy taras. Gwen wolała szukać ukojenia w rodzinnym gronie niż w domu męża.

- Pogardzam sobą za to samolubne myślenie - powiedziała Gwendoline, kiedy nikt nie odpowiedział na jej słowa. - Myślę o tym, jaka jestem nieszczęśliwa, a przecież to nic w porównaniu z biedną Lauren. Jestem bez serca. - Zebrała suknię i pobiegła w stronę domu, uchylając się przed wyciągniętą ku niej ręką brata.

- Biedna Gwen - odezwała się Lauren. - Tak bardzo chciała po śmierci lorda Muira cofnąć się w czasie. Chciała, by znów było jak za naszego dzieciństwa i wydawało się jej, że spełnia się jej marzenie. Nie możemy się jednak cofnąć. Możemy tylko iść do przodu. Nie możemy cofnąć się nawet do wczoraj lub do dzisiaj rano. Teraz jest Lily.

- Tak.

- Ja również zachowałam się samolubnie - ciągnęła dalej. - Pochłonęły mnie moje zawiedzione nadzieje. Musisz być szczęśliwy, Neville, nawet jeśli jest ci przykro z mojego powodu i przyszedłeś, żeby ze mną porozmawiać. Lily żyje, przyjechała do ciebie. Powinieneś się z tego cieszyć.

- Lauren - powiedział miękko. - Nie mów tak, proszę.

- Chcesz więc, bym ci powiedziała, jak bardzo jej nienawidzę? Że chciałabym, żeby umarła? Że nawet teraz życzę jej śmierci? Chcesz, bym ci powiedziała, jak czuję się obrażona, że wyjeżdżając powiedziałeś, bym na ciebie nie czekała, a potem, pod wpływem chwili, poślubiłeś córkę jakiegoś sierżanta? Chcesz, bym ci powiedziała, jak bardzo cię nienawidzę, że mi o tym wszystkim nie powiedziałeś? Że nie dbałeś o mnie na tyle, by choćby wspomnieć o tym, że to będzie twój drugi ślub?

Wypuścił wolno powietrze.

- Tak - potwierdził. - To chciałem usłyszeć, Lauren. Zasłużyłem na to. Krzycz na mnie. Ciskaj we mnie czym popadnie. Uderz mnie. Tylko nie siedź tak. - Znów przecesał dłonią włosy. - Dobry Boże, Lauren. Tak mi okropnie przykro. Gdybym tylko mógł...

- Ale nie możesz - przerwała mu spokojnie, chociaż nareszcie w jej głosie pojawiło się jakieś uczucie. - Nie możesz, Neville. A nienawiść do niczego nie prowadzi. Tak jak wszystkie złe uczucia. Idź sobie już, proszę. Chcę zostać sama.

- Oczywiście. - Tylko to mógł dla niej zrobić. Zniknąć, zejść jej z oczu.

Kiedy odwrócił się, nadal odpychała się stopą, wprawiając w ruch huśtawkę. Pograżając się w szoku. Pograżając się w przekonaniu, że jeśli zachowa spokój i rozsądek, wszystko będzie dobrze. Pograżając się w nienawiści do córki sierżanta, która jednym czynem zniszczyła jej nadzieje i marzenia, jej życie. Pograżając się w nienawiści do

mężczyzny, którego kochała od zawsze.

Nie pomogłoby mu, gdyby dowiedział się, że darzyła go uczuciem o wiele głębszym niż to, którym on ją obdarzał.

Idąc w kierunku głównej drogi, przypomniał ją sobie nagle, jaka była zeszłej nocy - promienna, emanująca radością; pytała go, czy można w ogóle zasługiwać na takie szczęście.

Powiedział jej, że ona zasługuje. Ale w życiu nie zawsze otrzymujemy to, na co zasługujemy.

Co zrobił, by zasłużyć sobie na powrót Lily? Przyspieszył kroku, kiedy tylko pomyślał o niej, że śpi żywa, w łóżku hrabiny.

Jedzenie i herbata zaspokoili głód Lily, a po gorącej kąpieli z perfumowanym mydłem uspokoiła się i usnęła. Zapadła w długi i głęboki sen, po którym zbudziła się odświeżona, choć zdezorientowana. Przez kilka chwil nie mogła sobie przypomnieć, gdzie się znajduje i jak się tu dostała. Dawno już tak dobrze nie spała.

Oczywiście, szybko wróciła jej pamięć. Przyjechała tu. Dotarła do kresu podróży, którą rozpoczęła tak dawno temu, że nie mogła przypomnieć sobie kiedy. Manuel przyszedł do niej i oznajmił jej, że może sobie iść. Tak po prostu, po siedmiu miesiącach niewoli i upodlenia. Znajdowała się gdzieś w Hiszpanii. Wiedziała tylko, że musi udać się na zachód, do Portugalii, by odszukać jego, Neville'a, majora lorda Newbury, swego męża. Nawet nie wiedziała, czy on żyje. Może padł w potyczce, w której została postrzelona i wzięta do niewoli? Mimo wszystko wyruszyła w tę podróż. Nie miała nic do stracenia. Jej ojciec przecież nie żył.

A jednak dojechałam, pomyślała, zstępując na miękkim różowo - zielonym dywan. Musiała unieść brzeg koszuli nocnej, by na nią nie nadepnąć. Koszula była za długa co najmniej o piętnaście centymetrów, a może to ona była za mała o piętnaście centymetrów. No cóż, raczej to drugie. Przybyła tutaj w stanowczo kłopotliwych okolicznościach, kłopotliwych i denerwujących. Neville jeszcze jej nie wyrzucił, chociaż powiedziała mu całą prawdę, a po jej wyznaniu powinien się jej pozbyć bez zbędnych ceregieli.

Oczywiście, nadal istniała taka możliwość. Potraktował ją uprzejmie, mimo że zrujnowała mu plany na przyszłość. Z pewnością da jej, lub przynajmniej pożyczyci, trochę pieniędzy, by mogła wrócić do Londynu. Może pani Harris będzie tak dobra i pomoże jej znaleźć jakieś zajęcie, chociaż Lily sama nie wiedziała, co mogłaby robić.

Delikatnie nacisnęła klamkę w drzwiach prowadzących do przebieralni. Tym razem miała mniej szczęścia. Wewnątrz ktoś był.

- Och, przepraszam - powiedziała, szybko zamykając drzwi.

Otworzyły się jednak znowu niemal natychmiast i ukazała się w nich twarz zaskoczony dziewczyny w jej wieku. Miała na sobie taki sam prześliczny czepeczek jak służąca, która poprzednio przyniosła Lily tacę z jedzeniem.

- Przepraszam, milady - odezwała się. - Właśnie skończyłam przygotowywać pani ubrania. Pani Ailsham powiedziała, żebym została i pomogła się pani ubrać i uczesać. Powiedziała, że jego lordowska mość ma przyjść za pół godziny, by zaprowadzić panią na herbatę.

Ach. - Uśmiechnęła się Lily, wyciągając do niej prawą dłoń. - Jesteś pokojówką. Co za ulga. Jak się masz? Nazywam się Lily.

Dziewczyna kątem oka spojrzała na wyciągniętą dłoń. Nie podała swojej, ukłoniła się jedynie.

- Miło mi panią poznać, milady - powiedziała. - Jestem Dolly. Moja mama i tata dali mi na chrzcie Dorothy, ale wszyscy nazywają mnie Dolly. Pani Ailsham powiedziała, że mam pani usługiwać, dopóki nie przyjedzie pokojówka.

- Pani Ailsham? - Lily weszła do przebieralni i rozejrzała się wokół. Zauważyła, że ktoś wyniósł wannę.

- Gospodyni, milady.

Wtem Lily zauważyła swoją torbę na krześle stojącym przed toaletką. Podskoczyła do niej i pospiesznie przeszukała z niepokojem. Wszystko w porządku. Na dnie torby wymacała dłonią medalionik. Wyjęła go i zacisnęła w dłoni. Gdyby go zgubiła, to jakby straciła część siebie. Jednak brakowało kilku innych rzeczy. Rozejrzała się po pokoju.

- Pozwoliłam sobie wziąć pani suknię i koszulę z torby. Wyprasowałam je. Bardzo się wygniotły.

Rzeczywiście leżały starannie ułożone na oparciu krzesła - bawełniana koszula i kosztowna, śliczna muslinowa suknia koloru jasnozielonego, które pani Harris kupiła jej w Lizbonie.

- Wyprasowałaś je? - Uśmiechnęła się ciepło do pokojówki. - To miło z twojej strony. Mogłam to zrobić sama. Cieszę się jednak, że nie musiałam. Jak zdołałabym trafić do kuchni? - Roześmiała się.

Dolly odpowiedziała śmiechem, choć nieco mniej pewnym.

- Jest pani bardzo zabawna, milady - powiedziała. - Trudno sobie wyobrazić, by mogła pani pójść do kuchni z sukienką przewieszoną przez ramię i pytać o żelazko. - Myśl o tym wyraźnie ją ubawiła.

- Zwłaszcza tak ubrana jak teraz - dodała Lily, unosząc koszulę, aż wreszcie odsłoniła nagie palce stóp. - Całą drogę nadeptywałabym na brzeg.

Roześmiały się obydwie, jak para małych dzieci.

- Pomogę się pani ubrać - powiedziała w końcu Dolly.

- Pomożesz mi? Po co?

Pokojówka nie odpowiedziała. Wskazała na zniszczone pantofelki, jedyną parę, jaką posiadała Lily. Buciki również kupiła pani Harris, zapewniając ją, że zapłaciła za nie armia. Wojsko, według pani Harris, było coś Lily winne. Wojsko zapłaciło również za torbę i

opłaciło podróż statkiem do Anglii.

- Wypastowałam je, proszę pani - oświadczyła Dolly. - Przydałyby się jednak nowe buty, jeśli chce pani znać moje zdanie.

- Nie muszę cię nawet o to pytać - odparła Lily, ubierając się pospiesznie. Czowała się zadziwiająco lekko. - Pewnego dnia zrobię jeden krok, a moje buty zdecydują się pozostać w miejscu i to będzie ich koniec.

Już od bardzo, bardzo dawna nie śmiała się tak wesoło.

- Ma pani piękną figurę, milady - powiedziała Dolly, mierząc ją wzrokiem. - Drobną i filigranową, nie tak jak ja - tylko ręce, nogi i łokcie. Z pewnością będzie pani pięknie ubrana, kiedy przybędą pani bagaże.

- Ja z kolei chciałabym być tak wysoka jak ty - westchnęła Lily. - Czy znalazłaby się tu jakaś wstążka, którą mogłabym przewiązać włosy? Zgubiłam wszystkie szpilki.

- Och, sama wstążka nie wystarczy, proszę pani. - W głosie pokojówki słychać było zdumienie. - Nie na popołudniową herbatę. Proszę usiąść tutaj, na krześle, zdejmę tylko z niego tę torbę i uczeszę panią. Nie musi się pani martwić, umiem układać włosy. Cesałam czasami lady Gwendoline, zanim przeniosła się do wdowiego domku, a nawet poprzedniego wieczoru układałam włosy lady Elizabeth, kiedy jej fryzura została nieco zburzona, a ona nie mogła znaleźć swej pokojówki. Powiedziała, że dobrze się sprawiłam. Chciałabym zostać osobistą pokojówką, zamiast sprzątać pokoje. To moje wielkie marzenie, milady. Ma pani piękne włosy.

Lily usiadła.

- Nie mam pojęcia, co można z nimi zrobić - odezwała się z powątpiewaniem w głosie. - Kręcą się okropnie, istny gąszcz. Dzisiaj zachowują się wyjątkowo niesfornie, ponieważ je umyłam. Och, co za nowość, nikt nigdy mnie nie czesał.

Dolly roześmiała się.

- Opowiada pani śmieszne rzeczy - odparła. - Znam kogoś, kto zabiłby, żeby mieć takie włosy. Niech pani spojrzy, jak się ładnie układają na czubku głowy i nie opadają jak ciasto, kiedy za szybko otworzy się drzwi od pieca. Proszę, jak pięknie się kręcą bez lokówek czy papilotów. Zrobiłabym wszystko, by mieć takie włosy.

Lily spoglądała w lustro na powstającą fryzurę, jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Masz zręczne ręce, Dolly. Jesteś bardzo zdolna. Nie wiedziałam, że moje włosy w ogóle można poskromić.

Pokojówka zarumieniła się z radości i wsunęła na miejsce ostatnią szpilkę. Wzięła małe lusterko z toaletki i ustawiała je pod różnymi kątami, by Lily mogła zobaczyć, jak

fryzura wygląda z boków i z tyłu.

- Taka fryzura pasuje na herbatę, milady - orzekła dziewczyna. - Jednak dzisiaj wieczorem potrzebujemy czegoś specjalnego. Pomyślę nad tym. Mam nadzieję, że pani pokojówka nie przyjedzie zbyt szybko, nie powinnam jednak tego mówić, prawda? - ciągnęła, roztrzępując krótkie rękawy sukni Lily i oceniając efekt swych wysiłków w lustrze. - Skończyłam, milady. Jest już pani gotowa na przyjście jego lordowskiej mości.

Wcale to nie pocieszyło Lily. Neville miał zamiar zabrać ją na herbatę. Cóż to miało oznaczać? Nie było jednak czasu na zastanowienie. Niemal natychmiast rozległo się pukanie do drzwi przebieralni i Dolly pospieszyła, by je otworzyć. Lily skoczyła na równe nogi.

Neville zdjął wreszcie jasny weselny strój. Wyglądał bardziej znajomo w ciemnozielonym surducie, chociaż lepiej uszytym i bardziej dopasowanym niż kurtka wojskowa, którą nosił kiedyś. Zmierzył ją wzrokiem od głowy po czubki palców.

- Wyglądasz dużo lepiej - stwierdził. - Mam nadzieję, że spałaś dobrze.

- Tak, dziękuję, milordzie - odparła i skrzywiła się nieznacznie. Musi pamiętać, by się tak do niego nie zwracać.

- Spałaś już, kiedy zaszedłem tu nieco później - dodał. - Wyglądasz bardzo ładnie.

- To zasługa Dolly - powiedziała, uśmiechając się do pokojówki. - Wyprasowała mi suknię i uczesała włosy. Czy to nie miłe z jej strony?

- Tak, doprawdy. - Uniósł brew. - Możesz nas zostawić... Dolly.

- Tak, milordzie. - Pokojówka skłoniła się głęboko, nie podnosząc wzroku, i pospiesznie opuściła pokój.

Cóż, Lily rozumiała jej zachowanie. Widywała żołnierzy, którzy pod jego spojrzeniem wycofywali się w ten sam sposób, chociaż, oczywiście, nie składali ukłonu. Jego podkomendni uwielbiali go i bali się jego gniewu. Lily nigdy nie odczuwała przed nim strachu.

- Mam na imię Neville, Lily - rzekł. - Możesz się tak do mnie zwracać, bardzo cię proszę. Chcę cię teraz zaprowadzić na dół na herbatę. Nie bój się. Większość gości już wyjechała, pozostało tylko kilka osób. To w większości moi krewni. Będę cały czas przy tobie. Zachowuj się po prostu naturalnie.

Z pewnością w salonie będzie wiele znakomitych osobistości, które widziała zeszłej nocy i dzisiaj rano. Co powinna mówić? I co robić? Co oni o niej pomyślą? Nic dobrego, z pewnością. Większość swego życia spędziła z armią, dobrze wiedziała, jaka przepaść dzieliła żołnierzy, na przykład jej ojca, od oficerów. I oto ona, żona hrabiego, ma się pojawić po raz pierwszy w jego domu, tego samego dnia, w którym on miał poślubić inną - zapewne damę z

wyższych sfer. Doprawdy, trudno sobie wyobrazić mniej pożądaną sytuację.

Jednak przez całe swe życie Lily przywykła do przeciwności. Dorastała w armii, na wojnie. Potrafiła dostosować się do wszystkich miejsc, okoliczności i ludzi. Udało jej się nawet przetrwać siedem miesięcy w sytuacji, którą wiele kobiet uważałoby za gorszą od śmierci.

Podeszła więc do niego i podała mu dłoń, nie okazując trapiącego ją niepokoju, i wyszli na szeroki korytarz, który widziała już wcześniej. Zaczęli schodzić szerokimi schodami. Spojrzała ponad poręczą na znajdujący się niżej wyłożony marmurami hol, a potem w górę, na złoconą kopułę z szybkami. Znowu poczuła się nieważna, przytłoczona.

- Spodziewałam się, że to będzie dom - powiedziała.

- Słucham?

- Twój dom - powiedziała. - Wydawało mi się, że to będzie po prostu duży dom w dużym ogrodzie.

- Naprawdę, Lily? - Spojrzał na nią z poważną miną. - I zobaczyłaś... to? Przykro mi.

- Wydawało mi się, że tylko królowie żyją w takich pałacach. - Poczuła się głupio, zwłaszcza gdy zauważyła, że lekko zmrużył oczy, jakby czymś go rozśmieszyła.

Doszli do wielkich podwójnych drzwi, przed którymi stali dwaj lokale w liberii. Lily ujrzała, że jednym z nich jest służący, z którym miała utarczkę poprzedniego wieczoru. Przypomniała sobie nawet, jak zwrócił się do niego przełożony. Życie w armii nauczyło ją zapamiętywać twarze i nazwiska osób, z którymi się zetknęła. Uśmiechnęła się ciepło.

- Jak się pan miewa, panie Jones? - spytała.

Lokaj spojrzał zaskoczony, zaczerwienił się mocno pod białą peruką, skinął głową i otworzył drzwi. Lily znowu ujrzała, że Neville zmrużył oczy. Zacisnął też usta, by nie wybuchnąć śmiechem.

Nie miała jednak czasu zastanawiać się nad tym dłużej, ponieważ oto znaleźli się w salonie, a ją przepęliło tyle wrażeń naraz, że straciła mowę i oddech. Przestraszyły ją przede wszystkim ogrom i wspaniałość pomieszczenia - cztery wyobrażone przez nią domy z pewnością zmieściłyby się tu bez trudu. Co gorsza, salon był pełen ludzi. Goście ubrani byli nie tak wspaniale jak poprzedniego wieczoru i dzisiaj rano, jednak nawet Lily zdała sobie nagle sprawę, że jej muślinowa suknia prezentuje się przy tych strojach mizernie, a fryzura sprawia wrażenie zbyt skromnej.

Neville poprowadził ją, pośród szeptów, które rozległy się zaraz po ich wejściu, w kierunku starszej kobiety o królewskiej postawie i pięknych siwych włosach. Dama siedziała wyprostowana, trzymając w jednej dłoni spodek, a w drugiej filiżankę. Sprawiała wrażenie,

jakby zamarła w tej pozycji. Uniosła w końcu brwi.

- Mamo. - Neville skłonił się jej. - Pozwól, że ci przedstawię Lily, moją żonę. Lily, to moja mama, hrabina Kilbourne. - Odetchnął głośno i odezwał się głośnie. - Przepraszam, owdowiała hrabina Kilbourne.

Lily zdała sobie sprawę, że to właśnie ta kobieta stała dzisiaj w kościele i zwróciła się do niego po imieniu. Jego matka. Hrabina, odstawwszy spodek i filizankę, wstała. Górowała nad nią wzrostem.

- Lily - odezwała się z uśmiechem. - Witaj w Newbury Abbey, moje dziecko. Witaj w naszej rodzinie.

Ujęła dłoń Lily i pochyliła się, by pocałować ją w policzek.

Dziewczyna poczuła zapach jakichś drogich i subtelnych perfum.

- Miło mi, że mogę panią poznać. - Nie była pewna, czy w ich słowach kryła się choć odrobina szczerości.

- Lily, pozwól, że przedstawię cię reszcie gości - odezwał się Neville. - A zresztą, może nie. To zbyt dużo jak dla ciebie. Może wystarczy na razie ogólna prezentacja? - Rozejrzał się wokół i uśmiechnął.

Jednak hrabina wdowa miała inne zdanie na ten temat i nie miała zamiaru tego ukrywać.

- Ależ oczywiście, że Lily powinna zostać wszystkim przedstawiona, Neville - powiedziała, biorąc ją pod rękę. - Jest przecież twoją żoną. Chodź, Lily, poznaj naszą rodzinę i przyjaciół.

Oszołomionej dziewczynie, wydawało się, że prezentacja trwa całymi godzinami, chociaż bez wątplenia upłynęło może pół kwadransa. Została przedstawiona siwemu dżentelmenowi i upierścienionej damie, których widziała poprzedniego wieczoru, aktorzy okazali się księciem i księżną Anburey, bratem hrabiny i jej szwagierką. Poznała ich syna, markiza o bardzo długim nazwisku. A potem widziała już tylko twarze należące do osób o jakichś imionach i nazwiskach i - zbyt często - tytułach. Niektórzy byli ciotkami i wujkami. Niektórzy kuzynami, bliskimi lub dalszymi. Niektórzy należeli do przyjaciół rodziny lub przyjaciół przyjaciół. Część kiwała jej głowami. Część, zwłaszcza ci młodszy, skłaniali głowy lub składali ukłon. Część zebranych, choć nie wszyscy, uśmiechała się do niej. Zbyt wiele osób mówiło do niej, a ona nie potrafiła nic innego wymyślić w odpowiedzi, oprócz tego, że jest jej bardzo miło ich poznać.

- Biedna Lily. Wyglądasz na zupełnie oszołomioną - powiedziała dama siedząca za stolikiem z zastawą do herbaty, kiedy Lily i hrabina w końcu podeszły do niej. - Wystarczy

już, Klaro. Chodź, Lily, usiądź na tym wolnym krześle, napij się herbaty i zjedz kanapkę. Nazywam się Elizabeth. Pewnie nie usłyszałaś na początku, nie szkodzi, jeśli zapomnisz, kiedy następnym razem się zobaczymy. My mamy do zapamiętania tylko jedno imię, natomiast ty musisz zapamiętać ich wiele. W końcu zaczniesz odróżniać nas wszystkich. Siadaj, moja droga.

Tak przemawiając, nalała do filiżanki trochę herbaty i podała ją Lily, a potem podsunęła tacę pełną maleńkich kanapeczek z odkrojoną skórką. Dziewczyna nie czuła głodu, ale nie chciała odmawiać. Wzięła kanapkę, odkryła jednak, że jeśli ma się napić, a miała na to ochotę, musi najpierw zjeść kanapkę, a wtedy wolną ręką będzie mogła podnieść filiżankę. Porcelana była tak delikatna i piękna, że przestraszyła się nagle, że ją upuści i potłucze.

Poczuła dotyk ręki Neville'a na swym ramieniu.

Wreszcie zauważyła z ulgą, że w pokoju nie panuje już cisza i wszyscy przestali się nią interesować. Pewnie tak nakazywała uprzejmość. Przysłuchiwała się rozlegającym się wokół rozmowom, jedząc kanapkę i popijając herbatę, czego udało jej się dokonać bez przykrych skutków. Nie zapomniano jednak o niej całkowicie. Ludzie, których nazwisk nie mogła zapamiętać - tym razem jej dobra pamięć zawiodła w najmniej oczekiwanej chwili - próbowali wciągnąć ją do rozmowy. Kilka pań prowadziło ożywioną dyskusję o różnych zaletach dwóch rodzajów kapeluszy.

- A co ty sądzisz o tym, Lily? - spytała łaskawie jedna z nich, elegancko ubrana rudowłosa dama. Jedna z kuzynek?

- Nie znam się na tym - odparła dziewczyna. Dla niej kapelusz był po prostu ochroną przed słońcem.

Następnie zaczęto rozmawiać o pewnym teatrze londyńskim, wyrażając różne opinie - niektórzy opowiadali się za komediami, inni za tragediami. Lily przypomniała sobie z tęsknotą farsy, które żołnierze czasami wystawiali dla zabawienia oddziału.

- A jakie jest twoje zdanie, Lily? - spytał młody mężczyzna o przyjemnej twarzy i przereźdzonych na przedzie jasnych włosach. Należał do rodziny czy do przyjaciół?

- Nie znam się na tym - odparła.

Zacząto mówić o kilku koncertach, na których część zebranych była w Londynie kilka tygodni wcześniej. Księżna Anburey uważała, że Mozart to największy geniusz, jaki kiedykolwiek żył. Natomiast tegi mężczyzna o rumianej twarzy nie zgodził się z nią, optując za Beethovenem. Obydwie strony miały zagorzałych zwolenników.

- A ty, co o tym sądzisz, Lily? - spytała księżna.

- Nie znam się na tym - odparła dziewczyna, która nie słyszała o żadnym z

wymienionych muzyków.

Zaczynała zastanawiać się, czy pytają ją o zdanie rozmyślnie, wiedząc, że nie ma o tym pojęcia, że jest niedouczone jak małe dziecko. Może jednak nie. Wydawało się, że nie patrzą na nią ze złośliwością.

Zaczęto dyskutować o książkach - panowie okazowali przychylność politycznym i filozoficznym rozprawom, niektóre z pań broniły powieści jako najlepszej formy sztuki.

- Które powieści czytałaś, Lily? - spytała niezwykle elegancko ubrana i uczesana młoda dama.

- Nie umiem w ogóle czytać - przyznała.

Wszyscy spojrzeli nagle z zażenowaniem. Zapadła kłopotliwa cisza, której nikt nie spieszył zappełnić. Lily zawsze chciała nauczyć się czytać. Rodzice opowiadali jej różne historie, kiedy była dzieckiem, wyobrażała sobie, jak to cudownie wziąć do ręki książkę i uciec w te magiczne światy wyobraźni, kiedy tylko przyjdzie ochota - lub poznawać te wszystkie rzeczy, o których nic nie wiedziała. A nie wiedziała o wielu rzeczach. Nie miała jednak żadnej szansy, by pójść do szkoły, a jej ojciec, który umiał trochę czytać i podpisać się nazwiskiem, uważał, że nie potrafi jej nauczyć.

Neville pochylił się ku niej z sąsiedniego krzesła. Zauważyła z ulgą, że miał zamiar wyratować ją z tej sytuacji i wyprowadzić z pokoju. Zanim jednak tak się stało, odezwała się dama siedząca za stolikiem z herbatą - Elizabeth. Lily już wcześniej zauważyła jej urodę, chociaż domyśliła się, że kobieta nie jest młoda. Cechował ją wdzięk i elegancja, których dziewczyna mogła jej tylko pozazdrościć, a twarz świadcząca o jej charakterze i jasne włosy upodabniały ją do Neville'a, jej siostrzeńca.

- Przypuszczam, że Lily jest sama jak żywa książka - powiedziała, uśmiechając się miło. - Nigdy nie opuszczałam tych okolic, Lily, ponieważ te okropne wojny toczyły się niemal przez całe moje dorosłe życie. Bardzo chciałabym podróżować i zobaczyć wszystkie kraje i kultury, o których tylko czytałam. Ty z pewnością znasz niektóre z nich. Jakie kraje poznałaś?

- Indie - odparła Lily. - Hiszpanię i Portugalię. A teraz Anglię.

- Indie! - wykrzyknęła Elizabeth, patrząc z podziwem na dziewczynę. - Często, kiedy mężczyźni wracają z takich miejsc, mówią o różnych bitwach i potyczkach. Jesteśmy szczęśliwe, że mamy wśród nas kobietę, która może nam opowiedzieć o bardziej interesujących i ważniejszych sprawach. Opowiedz nam o Indiach. Nie, to z pewnością za ogólna kwestia, jeszcze język ci się zapłacze. Opowiedz nam o ludziach, Lily. Czy różnią się od nas w najważniejszych sprawach? Opowiedz nam o kobietach. Jak się ubierają? Co robią?

Jakie są?

- Uwielbiałam Indie. - Wspomnienie sprawiło, że twarz jej się rozświetliła, a oczy zajaśniały. - Ich mieszkańcy mają zmysł praktyczny. O wiele większy niż my.

- Jak to? - spytał jeden z młodych mężczyzn.

- Ubierają się niezwykle praktycznie - wyjaśniła. - Zarówno kobiety, jak i mężczyźni zakładają ze względu na upał lekkie, luźne szaty. Mężczyźni nie muszą przez cały dzień nosić dopasowanych zakrętków zapinanych aż po szyję, szerokich krawatów, które duszą, a także obcisłych spodni i butów, w których pieką nogi. Nie żeby to była wina naszych żołnierzy - wypełniali tylko rozkazy. Jednak często wyglądali jak ugotowane buraki ćwikłowe.

Rozległ się śmiech, głównie panów. Większość kobiet sprawiała wrażenie raczej zszokowanych, chociaż kilka młodszych zachichotało. Elizabeth uśmiechnęła się.

- A kobiety są na tyle mądre, że nie noszą gorsetów - dodała Lily. - Wydaje mi się, że Europejki nie miałyby tych ciągłych waporów, gdyby naśladowały w tym Hinduski. Kobiety potrafią zachowywać się niemądrze w sprawach mody.

Jedna ze starszych pań - Lily nie zapamiętała jej nazwiska i stopnia pokrewieństwa - zasłoniła ręką usta i wydała okrzyk przerażenia, że ktoś wspomina publicznie o gorsecie.

- Rzeczywiście bardzo niemądrze - przyznała Elizabeth.

- Ach, a suknie, które noszą kobiety. - Dziewczyna zamknęła na chwilę oczy i poczuła się, jakby wróciła do ukochanego kraju. - Nazywają je *sari*. Nie potrzebują biżuterii, by ozdobić swe stroje. Noszą za to barwne bransolety, które dzwonią na przegubach ich rąk, i kolczyki w nosie, a także czerwone kropki o tu. - Przycisnęła palec wskazujący do czoła tuż nad nosem i nakreśliła kółko. - W ten sposób pokazują, że są mężatkami. Mężczyźni nie muszą spoglądać badawczo na ich palce, tak jak u nas, by sprawdzić, czy mogą zalecać się do nich. Wystarczy, że spojrzą im w oczy.

- Wtedy nie mają wymówki, że o niczym nie wiedzieli? - spytał markiz o długim nazwisku, uśmiechając się. - To pozbawia całej sprawy pieprzyka.

Kilku młodych mężczyzn roześmiało się.

- Czy wiecie, że *sari* to tylko bardzo długi kawałek materiału, który udrapowany na ciele wygląda jak najelegantsza suknia? - Lily pochyliła się nieco w krześle, rozglądając wokół z ożywieniem. - Bez szwów, sznurowań, szpilek, guzików. Jedna z Hindusek, zaprzyjaźniona z moją mamą, nauczyła mnie jak upinać *sari*. Byłam z siebie tak dumna, że postanowiłam zrobić to bez niczyjej pomocy. Wydawało mi się, że wyglądam jak księżniczka. Udało mi się zrobić tylko trzy kroki, kiedy *sari* ze mnie opadło i zostałam w samej koszulce. Czułam się bardzo głupio, mogę was zapewnić. - Roześmiała się wesoło, a

większość słuchaczy poszła w jej ślady.

- Ależ drogie dziecko - odezwała się hrabina, która również nie mogła powstrzymać śmiechu, choć wyglądała na nieco zakłopotaną.

Lily uśmiechnęła się do niej.

- Miałam wtedy sześć lub siedem lat - wyjaśniła. - Wszyscy uważali, że to bardzo śmieszne, wszyscy oprócz mnie. Chyba nawet popłakałam się wtedy, o ile pamiętam. Dopiero później nauczyłam się, jak powinno się nosić sari. Chyba jeszcze to pamiętam. Zapewniam was, że nie ma piękniejszego stroju. I piękniejszego kraju niż Indie. Kiedy mama i tata opowiadali mi bajki, zawsze wyobrażałam sobie, że dzieję się w Indiach, gdzieś poza naszym obozem. Tam, gdzie życie było jaśniejsze, barwniejsze, bardziej tajemnicze i romantyczne niż życie w wojsku.

- Gdybyś chodziła do szkoły, nauczono by cię, że wszystkie kraje i wszyscy ludzie ustępują Anglii i Anglikom - oznajmił dżentelmen z przerzedzonymi włosami, jednak w jego oczach czał się śmiech.

- Może w takim razie to dobrze, że nie chodziłam do szkoły - odparła.

Mrugnął do niej.

- To prawda, Lily - powiedziała Elizabeth. - Istnieje szkoła doświadczenia, dzięki której osoby inteligentne, o otwartym umyśle i zdolności obserwacji mogą przyswoić wiele wartościowych wiadomości.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niej promiennie. Na kilka chwil zapomniała o swej niewiedzy i o tym, że ustępuje tym wszystkim ważnym osobistościom. Zapomniała o swoim strachu.

- Jednak kazaliśmy ci tyle opowiadać i przez to wystygła ci herbata - powiedziała Elizabeth. - Pozwól, że dopełnię twoją filiżankę.

Jedna z młodszych dam, ta z rudymi włosami, zaproponowała, by zagrano na fortepianie w pokoju muzycznym, który sąsiadował z salonem. Kilka osób przeszło tam, zostawiając otwarte drzwi. Neville usiadł koło Lily, na miejscu, które właśnie ktoś zwolnił.

- Bravo! - powiedział miękko. - Świetnie ci poszło.

Lily słuchała muzyki. Zachwyciła się nią. W jaki sposób te skomplikowane harmonijne dźwięki mogły wydobywać się z jednego tylko instrumentu pod wpływem dotyku dziesięciu palców? Jak cudownie byłoby, gdyby też potrafiła tak grać. Dałaby niemal wszystko na świecie, by umieć grać na fortepianie, a także by umieć czytać, rozmawiać o kapeluszach i tragediach teatralnych i znać różnicę między Mozartem i Beethovenem.

Była tak przerażająco, straszliwie głupia.

Neville stał na marmurowych schodach przed domem, obserwując Lily idącą w kierunku kamiennego ogródka w towarzystwie Elizabeth i księcia Portfrey. Nie próbował nawet do nich dołączyć. Zdał sobie sprawę, że jeśli Lily ma być traktowana jak jego żona, nie może pozostawać pod jego ciągłą opieką. Gotów był pomóc jej, kiedy wydawało mu się, że jest w kłopotach, tak jak na herbacie, kiedy przyznała, że jest niepiśmienna. Poczuł, że wszyscy byli zszokowani, a ona zakłopotana i miał zamiar zaraz wyprowadzić ją z salonu, by nie doznała dalszego upokorzenia. Tymczasem Elizabeth we wspólny sposób przysła jej na ratunek, pytając o Indie, i Lily nagle przemieniła się w ciepłą, spokojną i znającą świat osobę. To prawda, zaszokowała kilka ciotek i kuzynek, rozprawiając bez żenady o męskich spodniach czy koszulach kobiecych. Jednak więcej niż kilkoro krewnych wyglądało na oczarowanych nią.

Niestety, jego matka nie należała do tej grupy. Poczekała, aż Lily wyjdzie i zostaną tylko w gronie najbliższej rodziny.

- Neville, nie mogę sobie wyobrazić, o czym ty właściwie myślałeś, żeniąc się z nią - powiedziała. - Ona jest po prostu niemożliwa. Nie potrafi prowadzić konwersacji, nie ma wykształcenia, ogłady ani prezencji. Czy ona nie ma niczego bardziej odpowiedniego na popołudniową herbatę niż ten okropny muślinowy strój? - Jednak hrabina nie należała do osób, które się szybko poddają. Po chwili wyprostowała się i zmieniła ton. - Nic jednak nie zdziałamy, załamując tylko ręce. Po prostu musimy ją wszystkiego nauczyć.

- Ja uważam, że jest nielicho piękna - zauważył kuzyn Neville'a, Hal Woolston.

- Z pewnością, Hal - odparła pogardliwie rudowłosa Wilma Fawcitt, córka księcia Anburey. - Jakby ładny wygląd coś znaczył. Zgadza się z ciocią Klarą. Ona jest niemożliwa!

- Prosiłbym, Wilmo, żebyś nie zapomniała, że mówisz o mojej żonie - przypomniał z naciskiem, lecz spokojnie Neville.

Wymruczała coś pogardliwie, ale nie odezwała się więcej.

Hrabina wstała, szykując się do wyjścia.

- Muszę wracać do domu, by zobaczyć, co u biednej Lauren - powiedziała. - Jutro jednak przeniosę się tutaj, Neville. W domu przyda się gospodyni, a z pewnością Lily nie będzie mogła w najbliższej przyszłości podjąć tej roli. Dopilnuję jej edukacji.

- Porozmawiamy o tym innym razem, mamó - odparł. - Chociaż ja też uważam, że powinnaś się tu przeprowadzić. Jednakże nie pozwolę, by Lily czuła się nieszczęśliwa. To

wszystko jest dla niej niezmiernie trudne. O wiele trudniejsze niż dla nas.

Opuścił pokój, zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć coś jeszcze, i ruszył w stronę schodów. Bywają takie dni, myślał, które nie różnią się od innych i tydzień później nie można sobie przypomnieć ani jednego związanego z nimi wydarzenia. Zdarzają się też takie dni, które pełne są niezmiernie ważnych doświadczeń. Ten dzień z pewnością do nich należał.

Po powrocie z wdowiego domu napisał kilka listów, a następnie zajrzał do Lily, która, jak się okazało, szybko usnęła. Przygotował listy do wysłania. Czekало go teraz niełatwe oczekiwanie na odpowiedź.

Prawdę powiedziawszy, mimo całej okazanej troski, mimo pozornego spokoju, nie był po prostu pewien, czy Lily była jego żoną.

Pobrali się bez zezwolenia na ślub i zwyczajowych zapowiedzi. Kapelan zapewnił, że ślub został zawarty zgodnie z prawem i wypisał odpowiednie dokumenty, na których Neville złożył swój podpis, a Lily postawiła krzyżyk. Świadkami zostali Harris i Rieder. Jednak Parker - Rowe zginął w zasadzce następnego dnia. Harris oznajmił mu potem, że wszystkie rzeczy zostały z poległymi na przełęczu.

A to oznaczało, że ich małżeństwo nie zostało zarejestrowane. Czy w takim razie w ogóle zostało uznane? Czy było ważne? W zasadzie podejrzewał już wcześniej, że to całkiem możliwe. Nigdy jednak dłużej się nad tym nie zastanawiał. Nie musiał. Lily przecież zmarła.

Teraz jednak przebywała w Newbury Abbey, a on uznał ją za swą żonę i hrabinę. Lauren cierpiała przez to. Wszystko w ich życiu zostało przewrócone do góry nogami. Być może jednak małżeństwo było nielegalne. Napisał do Harrisa - teraz już, jak się okazało, kapitana Harrisa - oraz kilku cywilnych i kościelnych autorytetów, by się tego dowiedzieć.

Co się stanie, jeśli okaże się, że ich małżeństwo jest nieważne?

Czy powinien podzielić się z nią swymi wątpliwościami, zanim otrzyma odpowiedzi? Czy powinien porozmawiać o tym z kimkolwiek? Pytanie to nie dawało mu spokoju. W końcu jednak postanowił, że nie zdradzi się ze swoją rozterką, dopóki nie otrzyma listów. Poślubił Lily w dobrej wierze. Miał zamiar dotrzymać złożonych wtedy przyrzeczeń. Poza tym, małżeństwo zostało skonsumowane.

A co najważniejsze, kochał ją.

Nie mógł jednak zapomnieć o ubranej w ślubną suknię Lauren, huśtającej się w tę i z powrotem na huśtawce, apatycznej i spokojnie znoszącej swe rozczarowanie. Z pewnością gotowa była wybuchnąć gniewem, który, jak mu wtedy powiedziała, byłby bezcelowy. Panna młoda odrzucona i poniżona.

W tym właśnie tkwił problem. Czuł się przytłoczony winą, chociaż zdrowy rozsądek

podpowiadał mu, że przecież nie mógł przewidzieć, co się później stanie.

Lily z wdzięcznością przyjęła propozycję spaceru, cieszyła się, mogąc przebywać z dala od wielkiego straszego domu i od tych wszystkich ludzi wprawiających ją w zakłopotanie.

Elizabeth zaproponowała jej przechadzkę do skalnego ogrodu, ta dziwna nazwa nie oddawała istoty, ponieważ znajdowało się tam więcej kwiatów i ozdobnych drzew niż skał. Przez ogród wiły się wysypane żwirem kręte ścieżki, przy których ustawiono metalowe ławki, zachęcające, by przysiąść na nich i podziwiać stworzone przez człowieka piękno. Lily przyzwyczajona była bardziej do dzikiej przyrody, jednak doszła do wniosku, że ogród, pięknie urządzone i dogładany przez ogrodników, również ma swój urok.

Elizabeth spacerowała obok, wsparta na ramieniu księcia Portfrey. Lily powtórzono jego nazwisko, jednak zauważyła go już poprzednio w salonie, być może częściowo z tego powodu, że wyglądał niezwykle dystyngowanie. Domyślała się, że ma około czterdziestu lat, nadal jednak był bardzo przystojny. Nie był wysoki, lecz szczupły, a wyniosłe zachowanie sprawiało, że wydawał się wyższy. Miał wyróżniające się arystokratyczne rysy twarzy oraz ciemne włosy, siwiejące lekko na skroniach. Zauważyła go jednak przede wszystkim dlatego, że przyglądał się jej baczniej niż inni. W istocie prawie nie spuszczał z niej wzroku. Na jego twarzy malował się wyraz zaskoczenia.

W trakcie spaceru zaczął jej zadawać dziwne pytania.

- Kim był twój ojciec, Lily?

- Sierżantem dziewięćdziesiątego piątego pułku, sir. Nazywał się Thomas Doyle.

- A gdzie mieszkał, zanim poszedł na służbę jego królewskiej mości?

- Wydaje mi się, że w hrabstwie Leicester, sir.

- Ach - odparł. - A gdzie dokładnie w Leicester?

- Nie wiem, proszę pana. - Ojciec nie opowiadał zbyt często o swojej przeszłości. Lily domyślała się tylko, że wyjechał z domu i wstąpił do armii, ponieważ czuł się nieszczęśliwy.

- A jego rodzina? ~ indagował dalej książkę. - Co o nich wiesz?

- Niewiele - odparła. - Wydaje mi się, że tatuś miał ojca i brata.

- Nigdy ich jednak nie odwiedziłaś?

- Nie. - Potrząsnęła głową.

- A twoja matka - pytał dalej. - Kim była?

- Miała na imię Beatrice. Zmarła na malarię w Indiach, kiedy miałam siedem lat.

- A jak brzmiało jej panieńskie nazwisko, Lily?

Elizabeth roześmiała się.

- Czy masz zamiar napisać jej biografię, Lyndon? - spytała. - Lily, nie musisz odpowiadać na te wszystkie pytania. Jesteśmy ciebie ciekawi, ponieważ dość nieoczekiwanie okazało się, że jesteś żoną Neville'a, a twoje życie jest tak fascynująco odmienne od naszego. Musisz nam wybaczyć, jeśli nasza ciekawość przeradza się we wścibstwo.

Lily zauważyła z ulgą, że książę nie zadał już żadnego pytania. Jego niebieskie oczy wprawiały ją w zakłopotanie. Sprawiał wrażenie mężczyzny, który potrafi czytać w myślach.

- Czy znasz nazwy tych kwiatów? - spytała Elizabeth.

- Są prześliczne. Różnią się jednak od tych, które znałam do tej pory.

Kiedy usiedli na jednej z ławek, Elizabeth zaczęła wskazywać wszystkie kwiaty i drzewa, a Lily próbowała zapamiętać ich nazwy - lubiny, malwy, lak wonny, lilie, irysy, róże pnące, bzy, wiśnie, grusze. Czy zdoła je wszystkie zapamiętać? Książę Portfrey spacerował po alejkach, kiedy rozmawiały, jednak zatrzymał się na chwilę w dolnej części skalnego ogrodu i znów zmierzył ją wzrokiem.

\*

Elizabeth stała przy fontannie, spoglądając, jak Lily wraca do domu. Mała zagubiona figurka. Jednak odmówiła, kiedy zaproponowała jej, że odprowadzi ją do pokoju. Powiedziała, że chyba zapamiętała drogę.

- Odważna dziewczyna - Elizabeth odezwała się bardziej do siebie niż do księcia stojącego tuż za nią.

- Muszę ci podziękować, że wytknęłaś mi grubiańskie i niezwykle wścibskie pytania - powiedział sztywno.

Odwróciła się do niego.

- Och, obraziłam cię - odparła, uśmiechając się smutno.

- Ależ nie. - Skinął lekko głową. - Uważam, że miałaś absolutną rację.

- Biedne dziecko - powiedziała. - Wydaje się taka dziecinna, a przecież Neville poślubił ją ponad rok temu, więc już dawno nie jest dzieckiem, nieprawdaż? Jest taka drobna i wygląda tak delikatnie, a przecież przebywała z wojskami w Indiach, a potem w Portugalii i Hiszpanii. To nie było łatwe. A przez prawie rok przebywała we francuskiej niewoli. Dlaczego się nią tak interesujesz?

Książę uniósł brwi.

- Właśnie z tego powodu, o którym mówiłaś. Ponieważ jest interesująca. I pojawiła się w najlepszym z momentów, lepszego nie mogła wybrać.

- Z pewnością jednak uważasz, że nie zrobiła tego rozmyślnie? - spytała ze śmiechem.

- Oczywiście, że nie. - Spojrzał z zamyśleniem na drzwi, w których zniknęła Lily. - Jest piękna. Nawet teraz. Kiedy Kilbourne wyłoży majątek na ubrania i klejnoty i odpowiednio ją przygotuje...

Nie skończył myśli, nie musiał zresztą tego robić.

Elizabeth nic nie odpowiedziała. Nigdy nie potrafiła wyjaśnić natury związku łączącego ją z księciem Portfrey. Od kilku lat byli bliskimi przyjaciółmi. Łączyła ich zażyłość i bliskość rzadka pomiędzy samotnym mężczyzną i samotną kobietą. Istniał jednak również między nimi dystans. Może był to dystans nieunikniony, skoro byli różnych płci, a nie zostali kochankami.

Czasami Elizabeth sama zadawała sobie pytanie, czy chciałaby zostać jego kochanką, gdyby jej to zaproponował. Jednak nigdy tego nie uczynił. I nigdy nie poprosił jej o rękę. Cieszyło ją to. Chociaż w młodości żyła marzeniem, że spotka mężczyznę, którego kochałaby na tyle, by go poślubić, chyba już nie chciała zrezygnować z niezależności, którą tak sobie ceniła.

Czasami jednak myślała, że chętnie doświadczyłaby prawdziwej miłości - fizycznej miłości - na przykład kogoś tak przystojnego jak księżę.

Portfrey w młodości był żonaty - krótko i tragicznie. Służył wtedy jako oficer w wojsku, a jako młodszy syn nie miał szans na odziedziczenie tytułu książęcego po ojcu. Ożenił się w tajemnicy, zanim wyjechał ze swym oddziałem do Holandii, a następnie Zachodnich Indii, zostawiając swoją żonę i nie ujawniając małżeństwa. Żona umarła przed jego powrotem. Chociaż zdarzyło się to wiele lat temu, Elizabeth czuła, że nigdy tak naprawdę nie otrząsnął się po tym, być może nigdy sobie nie darował, że zostawił żonę, że nie był przy niej, kiedy zmarła w wypadku, nie przybył nawet na jej pogrzeb.

Elizabeth miała wrażenie, jakby nigdy nie pogodził się ze śmiercią żony i nie pozwolił jej odejść, chociaż też nigdy o niej nie wspominał. Był mężczyzną zmiennego usposobienia, nie mogła w pełni go zrozumieć. Być może, przyznawała przed sobą, to właśnie w nim ją fascynowało.

A teraz on zdawał się być zafascynowany Lily, młodą dziewczyną, którą określił - jakże celnie - jako piękną. Elizabeth miała trzydzieści sześć lat. No właśnie. Uśmiechnęła się smutno.

- Może wrócimy do domu? - zaproponowała. - Zrywa się chłodny wiatr.

Podał jej dłoń.

Lily próbowała przywołać w myślach marzenie, które towarzyszyło jej od ponad roku. Jak niemądre wydawało się teraz z perspektywy czasu. Wyobrażała sobie, jak przyjeżdża do wielkiego domu położonego w pięknym angielskim ogrodzie - jej ojciec często opowiadał, że angielskie ogrody są najpiękniejsze na świecie - i dostrzega radość malującą się na twarzy Neville'a, kiedy ten otwiera drzwi i widzi ją na progu. Otacza ją ramionami i obejmuje mocno, a ona zaczyna mu opowiadać wszystko, on jej wybacza i żyją długo i szczęśliwie. W jej śnie nie było innych osób, tylko oni dwoje.

Lily westchnęła, otwierając wysokie okno w sypialni, i wciągnęła w płuca zimne nocne powietrze. Czy wierzyła, że marzenie się kiedyś spełni? Zapewne nie. Nie była tak naiwna, by wyobrażać sobie, że życie może być aż tak proste. Zawsze zdawała sobie sprawę z głębokiej różnicy dzielącej oficerów i zwykłych żołnierzy. A jej małżeństwo z Neville'em zostało zawarte w pośpiechu i trwało niezwykle krótko. Marzenie pomogło jej przetrwać najgorsze chwile. Pomyślała, że czasami lepiej było mieć takie marzenie niż pogodzić się z zimną prawdą.

Była hrabiną Kilbourne, panią tego wszystkiego - chyba że Neville postanowi się z nią rozwieść. Myślała jednak, że tak się nie stanie. Cała sytuacja stała się bezsensowna. Herbatka była jednym wielkim koszmarem. Obiad był jeszcze gorszy. Nie wiedziała, jakie potrawy i napoje przyjmować od lokajów, których noży, widelców i łyżek używać do potraw. Gdyby Neville nie dotknął jej dłoni niemal na początku i nie szepnął, by go naśladowała, gdyby Elizabeth nie zauważyła tego ponad stołem, nie mrugnęła do niej i nie podnosiła naczyń, których powinna używać przy kolejnych potrawach, strasznie by się ośmieszyła.

A w salonie po posiłku czekała ją kolejna konwersacja. Wspaniale byłoby ograniczyć się tylko do słuchania, gdyby mogła być niewidzialna, gdyby różne osoby, z tych czy innych powodów, nie próbowały wciągnąć jej do rozmowy. Za każdym razem, kiedy tylko otwierała usta, coraz bardziej okazywała swoją niewiedzę.

Znów założyła zieloną muślinową suknię, a Dolly ułożyła jej nową fryzurę. Wszyscy zaś zmienili ubrania, więc czuła się przy nich pospolita i zaniedbana. Nie podobało się jej to uczucie. Nigdy przedtem nie przejmowała się tym, co na siebie wkłada. Ubrania miały służyć do ochrony przed zimmem, miały być zgodne z podstawowymi nakazami przyzwoitości. Tutaj jednak odzwierciedlały również pozycję społeczną.

I to ma być moje życie, pomyślała, odchodząc od okna w stronę łóżka. Uniosła koszulę, by nie potknąć się lub nie nadepnąć na nią. Stanęła jednak i uśmiechnęła się na widok bosych stóp. Dolly spędziła niemal cały wieczór, wypruwając falbankę z dołu, skracając koszulę i przyszywając na powrót falbankę. To miło z jej strony, przecież Lily

mogła to zrobić sama. Kiedy jednak oznajmiła to pokojówce, ta roześmiała się, powiedziała, że to śmieszne i obie zaczęły chichotać bez powodu. Pokojówka rozpakowała jej torbę i powiedziała, że nie znalazła w środku koszuli nocnej. Nie mogła pozwolić, by hrabina potknęła się na falbance i złamała kark.

Ktoś zapukał do drzwi przebieralni. Czyżby Dolly? Czy ta dziewczyna nie ma czasu dla siebie?

- Proszę - zawołała Lily.

Okazało się, że to nie pokojówka. Do pokoju wszedł Neville, wyglądał niezwykle przystojnie w długiej, obszytej brokatem koszuli nocnej. Lily przypomniała sobie, jak powiedział jej, że zajrzał do niej wcześniej, kiedy spała. Przygryzła dolną wargę, przypominając sobie noc poślubną. Jednocześnie jednak przypomniała sobie z bólem, że tę noc miał spędzić z kimś innym.

- Lily, czy potrzebujesz czegoś?

Potrząsnęła głową.

- Czy... wszystko w porządku?

Skinęła potakująco.

- To był dla ciebie ciężki dzień - powiedział. - Może jutro będzie lepiej.

- Czy ją kochasz? - Nie mogła powstrzymać się od tego pytania. Spojrzała na niego, żalując, że nie może cofnąć słów, bojąc się bólu, kiedy usłyszy twierdzącą odpowiedź. Kiedy była z Manuelem i partyzantami, podtrzymywała ją tylko nadzieja, że pewnego dnia powróci do mężczyzny, który ją poślubił. Okazało się jednak, że on w tym czasie adorował inną kobietę, może nawet zakochał się w niej. Potem w tej strasznej podróży tylko myślał o tym, że niedługo dotrze do niego, podtrzymywała ją na duchu, oni zaś planował ślub z inną.

Założył ręce z tyłu i spojrzał na nią poważnie.

- Dorastaliśmy razem - powiedział. - Mieszkała tutaj z nami. Jej matka poślubiła mojego stryja, brata mojego ojca, ale Lauren była jej córką z pierwszego małżeństwa. Byliśmy sobie przeznaczeni od dzieciństwa. Zawsze bardzo ją lubiłem. Kiedy wróciłem z Hiszpanii, nasze małżeństwo wydawało mi się jedynym logicznym krokiem.

- W takim razie byłeś z nią po słowie, kiedy mnie poślubiłeś? - spytała.

- Nie - odparł. - Niezupełnie. Buntowałem się przeciwko życiu, jakie było mi przeznaczone, przeciwko obowiązkom, jakie narzucała przynależność do mojej sfery. Powiedziałem Lauren, by na mnie nie czekała.

- Byłam częścią twojego buntu, prawda? - spytała go, zdając sobie sprawę, że nie mógł wyrazić lepiej swej buntowniczej postawy wobec poprzedniego życia i rodziców, niż

żeniąc się z córką sierżanta.

- Nie, Lily. - Zmarszczył brwi. - Nie byłaś. Poślubiłem cię, bo tak było trzeba, ponieważ tak przyrzekłem twojemu ojcu. I ponieważ tak chciałem.

Tak. Tak było. Poślubił ją, ponieważ był dobrym, honorowym mężczyzną. I ponieważ tego chciał. Ale tak naprawdę cóż to oznaczało?

- Ale przez cały ten czas lubieś ją?

- Tak, Lily.

Zauważyła jednak, że nie odpowiedział tak naprawdę na jej pytanie. Czy kochał kobietą imieniem Lauren? Czy zdał sobie sprawę, że poślubiając Lily, popełnił okropny błąd, nawet jeśli, ulegając impulsom, sam tego chciał?

- A dzisiaj byś ją poślubił? - spytała.

- Tak. - Nie spuszczał z niej wzroku. - Znałem ją przez całe życie, Lily. Czekala na mnie. Mój ojciec zmarł i przejąłem po nim obowiązki. Jednym z nich było małżeństwo, chodziło o to, by w majątku zamieszkała hrabina. I by urodziła mi dzieci, zwłaszcza by dała mi dziedzica. Moje życie rebelianta się skończyło. A ty nie żyłaś.

- Nikomu o mnie nie powiedziałaś. - To nie było pytanie. Odwróciła się i dotknęła jedwabistego brokatu zwisającego nad łóżkiem. Zasłona była ciężka i bogato zdobiona. Tak obca, niepodobna do tego, co znała. Chciałaby wrócić do Portugalii. Nie miała pojęcia, co mogłaby tam robić, żalowała jednak, że nie może wrócić. Może powinna nadal wierzyć w sen...

- Lily - odezwał się, jakby czytał w jej myślach. - W głębi serca cierpiałem po twojej śmierci. Cieszę się, że przeżyłaś. Naprawdę, moja droga. Czyż mogłoby być inaczej?

Nie, był przecież dobrym człowiekiem. Zawsze traktował ją delikatnie uprzejmie, nawet kiedy była małą dziewczynką i czasami mogła się wydawać okropna czy nieznośna. Nie pragnąłby jej śmierci.

- Nie wspominałem o tobie nie dlatego, że nie byłaś dla mnie ważna - powiedział. - I nie z tego powodu zamierzałem dzisiaj poślubić Lauren, chociaż minęło dopiero półtora roku od twojej... śmierci. Proszę, uwierz mi.

Wierzyła. Tak, zależało mu na niej. Na tyle, by ją poślubić. Na tyle, by szeptać czułe wyznania w noc poślubną. Na tyle, by żalować jej śmierci. Jednak pomyślała, że gdyby to on zmarł, nosiłaby żałobę po nim do końca życia. Nigdy by nie mogła... Ale czy na pewno? Czy miała prawo go osądzać? Poza tym, istniała przeszkoda jeszcze poważniejsza niż fakt, że on był hrabią Kilbourne, a ona dawną Lily Doyle.

- Ja... - Przełknęła ślinę. - Wiesz, co się stało ze mną w Hiszpanii, prawda?

Zrozumiałaś dzisiaj rano?

Czuła, że przyglądał się długo, jak bawiła się frędzlami, zdobięcymi kotarę nad łóżkiem.

- Czy to był jeden mężczyzna, Lily - spytał. - Czy więcej?

- Jeden. - Manuel, ich przywódca. Niewysoki, żylasty i śniady Manuel, który rządził swoją bandą partyzantów dzięki odwadze i charyzmem, a także czasami posługując się terrorem. - Nie byłam ci wierna.

- To był gwałt - powiedział chrapliwie.

- Ja... nigdy nie walczyłam. Nie zgadzałam się wiele razy i czasem pragnęłam... raczej umrzeć, niż mu ulec, jednak kiedy przyszło do tego, nie opierałam się. - Ciężko jej na sumieniu, że nie walczyła ze swym oprawcą bardziej zawzięcie.

- Popatrz na mnie, Lily - przemówił spokojnym, zdecydowanym tonem; tak mówił w wojsku jako oficer. Niechętnie, z bólem spojrzała w jego oczy. - Dlaczego nie walczyłaś?

- Byli też francuscy jeńcy - zaczęła mówić. Jej oddech stał się szybszy, kiedy przypomniała sobie, co z nimi się stało. - Ponieważ bałam się. Potwornie się bałam. Ponieważ okazałam się tchórzem.

- Lily. - Nie zmienił tonu głosu. Patrzył jej prosto w oczy tak, że nie mogła odwrócić wzroku. Znow był jej dowódcą, a nie mężem. - To był gwałt. Nie jesteś tchórzem. Obowiązkiem żołnierza jest przetrwać za wszelką cenę w niewoli, a ty byłaś córką żołnierza i żoną żołnierza. Nie ma mowy o tchórzostwie. To był gwałt. Nie zdrada. Zdrada wymaga przyzwolenia.

Mówił tak pewnie, sprawiał wrażenie, że wierzy w swoje słowa. Czy to prawda? Nie okazała się tchórzem? Nie jest zdrajczynią?

- Pozwól mi wziąć cię w ramiona. - Zmienił ton głosu na delikatniejszy. - Sprawiasz wrażenie takiej samotnej, Lily.

Przybyła do obcego sobie świata, wróciła do męża, który właśnie miał poślubić inną. Jak okropnie musi się czuć. Czy nadejdzie czas, kiedy będzie znow taka jak dawniej? Pogodna, pewna siebie, szczęśliwa, taka, jaką zapamiętał, jaką przestała być po tamtej nocy przepełnionej miłością.

Neville podszedł do niej i przygarnął do siebie. Czuła jego ciepło i siłę. Przez chwilę miała wrażenie, że jest bezpieczna, że ktoś ją darzy miłością, że znalazła się wreszcie w domu.

A jednak czuła się jak ktoś, kto dotarł na drugi koniec tęczy, by odkryć, że nie ma tam nic - żadnego złota, nawet strzępów tęczy. Tylko... nic. Przestała wierzyć w to, co po drugiej

stronie. Została sama, czekało ją mozolne budowanie nowej tożsamości, nowego życia.

Odsunęła się od niego, nie chcąc zatracić się w poczuciu zależności, które do niczego dobrego przecież by nie doprowadziło.

- Lepiej byłoby dla nas, gdybym umarła.

- Nie, Lily - odparł gwałtownie.

- Nie powiesz mi chyba, że przynajmniej raz nie przyszło ci na myśl, że tak byłoby lepiej?

Przerwała na ułamek sekundy, ale nie uszło jej uwagi, że nie spieszył z zaprzeczeniem.

- Myślę, że gdybym żyła, gdybyś ty wiedział, że żyję, nigdy byś mnie tu nie przywiózł. Znalazłbyś jakąś wymówkę, by tego nie robić. Załatwiłbyś to delikatnie. Wyjaśniłbyś, że to dla mojego dobra, że tak będzie lepiej. Jednak nigdy byś mnie tu nie przywiózł.

- Lily. - Podeszedł do jednego z okien i spojrzął w ciemność. - Tego nie można przewidzieć. Ja tego nie wiem. Nie wiem, co by się wtedy stało. Byłaś moją żoną. Byłaś mi... droga.

Ach, tak, była mu droga. Nie była miłością jego serca, tak jak nazwał ją tamtej nocy. Uśmiechnęła się blado i usiadła na łóżku, objęła się ramionami, czując wieczorny chłód.

- Uważam, że to wszystko jest bez sensu - powiedziała. - To, że zupełnie tutaj nie pasuję, jest tak oczywiste, że aż chce się śmiać. Ona za to pasuje tu dobrze, prawda? Ta twoja Lauren. Została wychowana do takiego życia, przygotowana, by zostać twoją żoną i hrabiną. A zamiast tego została skrzywdzona, twoje plany legły w gruzach, a ja... No, cóż.

- Lily. - Podeszedł znów do niej, pochylił się i wziął ją za ręce. - Nie ma rzeczy niemożliwych... Tylko posłuchaj tego, co mówisz. Czy tak mówi Lily Doyle? Lily Doyle, która przemaszerowała wzdłuż i wszerz Półwysep Iberyjski, nie zważając na gorące lato, mroźną zimą, niebezpieczeństwa bitew i potyczek, niedogodności i niewygody obozowego życia? Lily Doyle, która zawsze się uśmiechała i miała dla każdego miłe słowo? Która potrafiła dostrzec piękno nawet w najbardziej ponurej okolicy? Spośród wszystkich znanych mi osób jesteś jedyną, dla której nie ma rzeczy niemożliwych. Pomogę ci. Z własnej woli połączyliśmy nasze życie na tamym wzgórzu w Portugalii. Musimy walczyć dalej, Lily. Nie mamy innego wyboru.

Nie wiedziała, czy potrafi wskrzesić tamtą Lily. Jednak rozgrzała ją jego wiara.

- Może jestem po prostu zmęczona i zniechęcona - uśmiechnęła się słabo. - Może rano wszystko ujrzę w jaśniejszych barwach. Ten dzień był trudny dla nas obojga. Dziękuję za

twoją dobroć. Byłeś naprawdę dla mnie dobry.

- Pewnie chciałabyś zostać sama? - spytał. - Zostanę z tobą w nocy, jeśli potrzebujesz otuchy, Lily. Nie będę cię zadreślał moimi atencjami.

Propozycja była kusząca. Jeśli jednak chciała znaleźć sposób, by dać sobie radę z tym nowym, strasznym życiem, nie może poddać się tęsknocie za bezpieczeństwem jego ramion, zwłaszcza że niczego innego nie pragnęła.

- Wolałabym zostać sama - odparła.

Uścisnął jej dłonie i wstał.

- W takim razie do zobaczenia - powiedział. - Jeśli będziesz mnie potrzebowała, moja przebieralnia przylega do twojej, a sypialnia jest za nią! Jeśli będziesz potrzebowała pomocy, dzwonek jest za twoim łóżkiem. Na jego dźwięk zjawi się pokojówka.

- Dziękuję - odparła. - Dobranoc.

Nagle zaczęła się zastanawiać, jak jego niedoszła żona - Lauren - czuje się dzisiaj. Czy kocha go? Lily było naprawdę przykro z jej powodu. To miała być noc poślubna Lauren, a jednak to Lily była w sypialni hrabiny.

Wszystko potoczyło się w złym kierunku.

W nocy Lilly zrywała się często, dwa razy obudził ją ten sam sen - stary koszmar, który ją często nawiedzał.

Manuel leżał na niej, a ona otworzyła oczy i ujrzała jego - majora Newbury Neville' a, który stał w drzwiach chaty. Przyglądał im się z tym samym wyrazem, który widziała u niego często po bitwie, miał ciężki, zimny, ogarnięty szaleństwem walki, niemal nieludzki wzrok i ręce zaciśnięte na rękojeści szpady, aż pobiełały mu kostki. Miał zamiar zabić Manuela i uwolnić ją. Nadzieja zaświtała boleśnie, kiedy próbowała leżeć bez ruchu, by nie ostrzec Hiszpana.

We śnie przebieg zdarzeń był zawsze ten sam. Najpierw Neville stał tam z pobladłą twarzą, znieruchomiał, zdawało się, na wieczność, a potem odwracał się i znikał. Drogocenne chwile mijały, a Manuel nadal nie przestawał jej wykorzystywać.

We śnie wreszcie była wolna i mogła pobiec za Neville'em, kiedy tylko partyzant skończył z nią, jednak miała tak słabe nogi, że nie mogła wstać, a gęste powietrze wręcz uniemożliwiało każdy ruch. Nie mogła zawołać go, nie wiedziała, dokąd odszedł, w jakim kierunku. Wokół zawsze unosiła się mgła, a ją ogarniała panika. Wtedy mgła nagle opadała i znów go widziała, stał nieruchomo o kilka kroków dalej, odwrócony do niej plecami.

We śnie zawsze w tej chwili ona również znieruchomiała, bała się poruszyć, bała się dotknąć go, bała się tego, co ujrzy w jego oczach, kiedy się do niej odwróci. Był to najokropniejszy i jednocześnie niemal ostatni moment snu, kiedy dotykała najstraszniejszych głębi rozpacz. Kiedy stała tak, wahając się, mgła unosiła się znowu, a on znikał jej z oczu.

Koszmar ten przyśnił się jej dwukrotnie podczas pierwszej nocy w Newbury Abbey.

Obudziła się, kiedy na dworze panował jeszcze mrok, posłała łóżko, umyła się w zimnej wodzie w garderobie i ubrała w starą niebieską suknię z bawełny. Musiała wyjść na zewnątrz, by odetchnąć świeżym powietrzem. Chciała poczuć ziemię pod stopami. Chciała poczuć wiatr na twarzy i we włosach. Na schodach i przy drzwiach, gdy mocowała się z zamkiem, nie spotkała nikogo.

Wreszcie wyszła na dwór, gdzie na wschodniej stronie nieba zaczynały pojawiać się pierwsze oznaki nadchodzącego świtu. Głęboko wciągnęła do płuc chłodne powietrze. Czowała na nagich ramionach gęsią skórkę, ścierpły jej nogi. Nagle uspokoiła się i zaczęła iść w kierunku plaży.

Zatrzymała się dopiero nad samym brzegiem morza. Na granicy lądu, na granicy miejsca i czasu. Na obrzeżu nieskończoności i wieczności. Wiatr przemierzający rozległe

przestrzenie nieznanego był silny, słony i zimny. Rozwiewał jej suknię i targał włosy. Czowała, jak stopy zapadają się nieco w miękkim piasku. Wysoko w górze mewy krążyły i krzyczały jak duchy uwolnione od czasu i przestrzeni. Przez moment poczuła zazdrość.

Jedynie przez moment. Lata spędzone w armii nauczyły ją świadomości nieskończonej wartości każdej chwili. Życie było tak niepewne, pełne kłopotów, strachu i cierpienia, a jednocześnie tak pełne cudów i piękna, i tajemnicze. Jak wszyscy ludzie, ona również doznawała przykrości. Pasma bolesnych przeżyć zaczęło się dla niej nazajutrz po dniu, który był jednocześnie najbardziej nieszczęśliwy i najszczęśliwszy w jej życiu, kiedy zmarł ojciec, a major Newbury ją poślubił.

Przetrwała to wszystko!

A teraz, teraz, w tej najpiękniejszej z chwil, była wolna i otoczona takim nadziemskim pięknem, że aż czuła ból w piersiach i gardle. Wydawało się jej, że wiatr nie okraża jej, lecz przepływa przez nią, przepelniając tajemniczą siłą życia.

Czy mogłaby tak po prostu odrzucić taki dar?

Przynajmniej żyła.

Lily rozwarła ramiona, podniosła głowę w kierunku wschodzącego słońca i stojąc na piasku, okręciła się dwa razy. Czowała, że na krótką chwilę dotarła do samego rdzenia tajemnicy.

Była żywa.

Po prostu żywa!

Przepelniona nową nadzieją, nową odwagą, nowym bogactwem uczuć ruszyła dalej, bosymi stopami ostrożnie badając drogę przez skały wyrastające w miejscu, gdzie kończyła się plaża, ciesząc się z odosobnienia, jakie oferowało wysokie urwisko z lewej i morze z prawej strony. Nie trwało to długo. Gdy tylko minęła zakręt cypelka, zobaczyła przed sobą łódki kołyszące się na wodzie, małe domki i inne budynki, zgromadzone u stóp urwiska. Do-myśliła się, że dotarła do Lower Newbury, leżącego u podnóża stromego wzgórza, które widziała wcześniej z gospody.

Uśmiechnęła się pogodnie i ruszyła dalej. Mimo wczesnej pory widziała krzątających się w wiosce ludzi. Zwykłych ludzi, takich jak ona sama.

\*

Lily czuła się niezwykle szczęśliwa, kiedy wreszcie boso przekroczyła bramy prowadzące do Newbury Abbey i weszła w szeroką aleję. Wcześniej wspięła się na wysokie wzgórze i przemaszerowała przez łąkę do Upper Newbury, pozdrawiając nielicznych

napotykanym ludzi uniesieniem dłoni. Wszyscy, po krótkim wahaniu, odpowiadali tym samym gestem.

To zadziwiające, że nowy dzień potrafił tak jej przywrócić chęć do życia i odwagę.

Gdy minęła alejkę, którą razem z Neville'em szli poprzedniego dnia - z kościoła, ujrzała, że na ścieżce ktoś jest. Niedaleko spacerowały dwie damy. Lily stanęła i uśmiechnęła się. Młode kobiety ubrane były elegancko, należały zapewne do gości, chociaż nie przypominała sobie żadnej z nich.

Jedna, ta wyższa i szczuplejsza, miała ciemne włosy. Druga, niska i jasnowłosa, lekko utykała. Obie były piękne. Widok ich nienagannej elegancji przypomniał Lily, jak musi się prezentować w skromnej sukni z bosymi stopami, z puszczonej luźno, potarganymi przez wiatr i poskręcany włosami, z cerą zapewne zaróżowioną od powietrza i wysiłku. Zawahała się przed następnym krokiem. Ostatecznie nie знаła ich.

Nagle żołądek podjechał jej do gardła, zrozumiała, kim jest ta wyższa, chociaż dzień wcześniej widziała ją z twarzą zasłoniętą welonem.

Obydwie kobiety również ją rozpoznały. Widać to było wyraźnie. Obie przystały. Spojrzały na nią rozszerzonymi oczami, a na ich twarzach malował się taki sam wyraz konsternacji. Wtedy wyższa z nich podeszła bliżej.

- Ty zapewne jesteś Lily - odezwała się. Och, była piękna, mimo bladej twarzy i ciemnych cieni pod fiołkowymi oczami.

- Tak - odparła Lily. Zauważyła, że ta druga zeszytniała z wyraźną wrogością. - A ty jesteś Lauren. Narzeczona majora Newbury.

- Majora? - Lauren kiwnęła ze zrozumieniem głową. - Ach, tak, Neville'a. Miło mi cię poznać, Lily. To jest lady Gwendoline Muir, siostra Neville'a.

Jego siostra. Jej szwagierka. Lady Gwendoline zmierzyła ją wzrokiem pełnym nieskrywanej niechęci i nic nie powiedziała. Nawet nie ruszyła się z miejsca.

Twarz Lauren nie wyrażała wrogości. Nie wyrażała w ogóle nic. Wyglądała jak biała maska.

- Tak mi przykro z powodu tego, co stało się wczoraj - powiedziała Lily, czując niestosowność swych słów. - Naprawdę niezmiernie mi przykro.

- No, cóż... - Dziewczyna zauważyła, że Lauren starała się unikać jej wzroku. - Spójrzmy na to z innej strony. Lepiej, że to się zdarzyło wczoraj, a nie dzisiaj. Ale ty wyszłaś bez przywoitki czy nawet pokojówki! Nie powinnaś. Czy Neville wie o tym?

Lily ogarnęła nagła ochota, by nie zważając na okropne skrepowanie, powiedzieć coś, co spowodowałoby, że z twarzy tej kobiety zniknąłby ten beznamiętny wyraz. Musiała

znajdować się w strasznym szoku.

- Och, spędziłam taki wspaniały poranek - wyjaśniła. - Poszłam na plażę, by obejrzeć wschód słońca, a potem z ciekawości minęłam skały, aż doszłam do leżącej poniżej wioski. Niektórzy rybacy przygotowywali się do wypłynięcia w morze, żony pomagały im, a dzieci biegały wokół i bawiły się. Rozmawiałam z niektórymi osobami, wszyscy byli bardzo mili dla mnie. Zjadłam śniadanie z panią Fundy, czy znacie ją, panie, i zabawiałam jej dzieci, kiedy karmiła najmłodsze. Zaprzyjaźniłam się z nimi i obiecałam, że zajrzę do nich, kiedy tylko będę mogła. - Roześmiała się. - Wszyscy zachowywali się na początku śmiesznie, próbowali kłaniać mi się i zwracali się do mnie „milady”. Możecie to sobie wyobrazić?

Milczenie lady Gwendoline stało się bardzo wymowne.

Na twarzy Lauren przez moment pojawił się drżący uśmiech.

- Ach, zatrzymuję was. - Lily poczuła, jak znika jej ożywienie. - Tak mi przykro. Jesteś bardzo uprzejma, Lauren. On... major Newbury, powiedział mi wczoraj wieczorem, że bardzo cię lubi. Nie dziwi mnie to. Ja... no cóż, jest mi bardzo przykro. - Czuła, że mówi same głupstwa. Czy można było jednak powiedzieć coś mądrego w takiej sytuacji? - Czy mieszkasz w Newbury Abbey?

- We wdowim domku. - Lauren skinęła głową w kierunku drzew, przez które Lily, odwróciwszy się, dostrzegła budynek. - Razem z Gwen i hrabiną, jej matką. Może odwiedzę cię niedługo. Jutro?

- Tak. - Lily uśmiechnęła się. - Bardzo bym chciała. Czy przyjdiesz również... Gwendoline? - Spojrzała niepewnie na szwagierkę, która wprawdzie nie odpowiedziała, jednak jej nozdrza zadrgały w pohamowanym gniewie.

Lily pomyślała, że Gwendoline kocha kuzynkę. Rozumiała targający nią gniew. Uśmiechnęła się krótko do nich i ruszyła dalej. Czuła się bardzo zmieszana. Lauren była piękna i miała więcej wdzięku, niż Lily się spodziewała. Dlaczego Neville jej nie kochał?

Niektóre z przygnębiających myśli poprzedniego dnia znów zaczęły jej ciążyć.

\*

Lauren i Gwendoline stały, patrząc jak Lily odchodzi.

- No cóż! - Gwendoline odetchnęła głośno i stanęła przed kuzynką, kiedy dziewczyna odeszła tak daleko, że nie mogła już ich słyszeć. - Nigdy nie czułam się tak obrażona. Jak ona śmiała stanąć i rozmawiać z nami, zwłaszcza z tobą?

- Jak śmiała, Gwen? - Lauren spoglądała na niknącą w oddali sylwetkę. - Jest żoną Neville'a. Twoją szwagierką. Jest hrabiną Kilbourne. Poza tym, to ja pierwsza przemówiłam.

- Roześmiała się, chociaż nie zabrzmiało to wesoło. - Jest piękna.

- Piękna? - Gwendoline powtórzyła to z największą pogardą. - Zawstydziłaby nawet żebraka. Ciekawe, czy celowo próbuje zniesławić Neville'a, czy też po prostu robi to nieświadomie? Pojawiła się w obu wioskach, by wszyscy ją zobaczyli, tak... bez kapelusza, boso, bez... - Prychnęła z irytacją. - Czy ona w ogóle nie wie, jak się zachować?

- Ależ, Gwen - odezwała się Lauren tak spokojnie, że kuzynka z ledwością słyszała jej słowa. - Czy nie widzisz, jaka jest pełna życia i niepowtarzalna? Nie widzisz, że nie jest pospolitą osobą? Że jest niezwykłą kobietą, która przyciąga wzrok mężczyzn i wzbudza ich pożądanie? Na przykład Neville'a?

Gwendoline spojrzała z niedowierzaniem na kuzynkę.

- Czyś ty oszalała? - spytała, nie spodziewając się nawet odpowiedzi. - Jest okropna. Niemożliwa. A ty masz najwięcej powodów ze wszystkich osób, by ją znienawidzić. Chyba jej nie będziesz bronić?

Lauren znów roześmiała się cicho, kiedy zawróciły i skierowały się do wdowiego domu.

- Po prostu próbuj ę patrzeć na nią oczami Neville' a - odparła. - Próbuję zrozumieć, dlaczego wyjeżdżając, powiedział, bym na niego nie czekała, a następnie spotkał ją i to z nią się ożenił. Och, Gwen, oczywiście, że jej nienawidzę. - Po raz pierwszy w jej tonie pojawiło się jakieś uczucie, chociaż nie podniosła głosu. - Nienawidzę jej strasznie. Chciałabym, żeby umarła. Nie powinnam tak myśleć. Boję się tych uczuć. Jednak chciałabym, żeby umarła. A muszę próbować... rozumiesz, naprawdę muszę próbować zrozumieć. Poza tym, to przecież nie jej wina, nie sądzisz? Neville nie powiedział jej o mnie. A zresztą, co miałby powiedzieć? Wyjaśnił mi, że bym na niego nie czekała. Nie miał wobec mnie żadnych zobowiązań. Nie byliśmy zaręczeni. Muszę spróbować ją polubić. Spróbuję ją polubić.

Gwendoline szła obok, utykając, i miała trudności z dotrzymaniem jej kroku.

- Ja nie mam zamiaru nawet próbować - oznajmiła. - Będę ją nienawidzić za nas obie. Zrujnowała życie tobie i Neville'owi - chociaż to jedynie jego wina - a jesteście dla mnie obydwójcie najukochańszymi ludźmi na świecie. I nie mów mi, że Lily jest niewinna. Oczywiście że nie jest, a ja z pewnością nie jestem wobec niej sprawiedliwa. Mimo wszystko jest jednak okropną osobą. Jak miałabym ją lubić, skoro wiem, że przez nią jesteś tak bardzo nieszczęśliwa?

Doszły do domu. Lauren zatrzymała się jednak przed wejściem do środka.

- Musimy ją wiele nauczyć - rzekła takim samym apatycznym głosem jak dzień wcześniej. - Jak ma się ubierać, jak zachowywać, jak być damą. Odwiedzę ją jutro.

Spróbuję... być dla niej uprzejma.

- Będziemy jeszcze musiały nauczyć się grać na harfie i nosić aureolę - powiedziała uszczypliwie Gwendoline. - Po śmierci z pewnością zostaniemy aniołami lub świętymi.

Obydwoje roześmiały się.

- Proszę, Gwen. - Lauren ścisnęła mocno kuzynkę. - Pomóż mi jej nie nienawidzić...  
Och, jak Neville mógł poślubić taką... taką dziką istotę, z innego świata? Co jest ze mną nie tak?

Kuzynka nic nie odparła. Nie było na to żadnej rozsądnej odpowiedzi.

Lily czuła się niemal tak, jakby wracała do więzienia. Kiedy ujrzała dom, zwolniła kroku. Znow jednak przyspieszyła. Zobaczyła na tarasie Neville' a w towarzystwie trzech innych mężczyzn. Tak długo nie przestawała myśleć i marzyć o nim. Teraz był znow prawdziwy. I z zaciśniętymi ustami, uśmiechając się lekko, patrzył, jak zbliża się do nich. Wszyscy na nią patrzyli. Pomyślała, że wcześniej czuła się o wiele lepiej. Mimo wszystko dzisiaj rano patrzyła na świat z większym optymizmem.

Neville skłonił się jej, kiedy podeszła bliżej, wziął jej dłonie i ucałował.

- Witaj, Lily - powiedział.

- Poszłam na plażę - oznajmiła. - Chciałam popatrzeć na wschód słońca. A potem wspierałam się na skały i znalazłam się we wsi. - To wszystko tłumaczyło jej wygląd.

- Wiem. - Uśmiechnął się do niej. - Widziałem przez okno, jak idziesz.

Markiz o długim nazwisku skłonił się jej.

- Jestem tak przejęty, że aż brak mi słów - stwierdził, ale ciągnął dalej. - Żadna ze znanych mi dam nigdy nie wstaje na tyle wcześnie, by wiedzieć, że słońce wykonuje tak osobliwą czynność jak wschodzenie.

- W takim razie tracą jedną z największych przyjemności życia - zapewniła go Lily. - Czy mógłby mi pan powtórzyć jeszcze raz swoje imię i nazwisko? Zapamiętałam tylko, że jest bardzo długie.

- Mam na imię Joseph. - Kiedy roześmiał się, był bardzo przystojny. - Jesteśmy teraz kuzynami, Lily. Nie musisz łamać sobie języka na nazwisku Attingsborough.

- Joseph - powtórzyła. - Teraz chyba zapamiętam.

- Jamesa również - powiedział następny z panów, skłaniając się jej. Jestem twoim kolejnym kuzynem, Lily. Moja żona ma na imię Sylvia, a synek Patrick. Moja matka to ciotka Neville'a, Julia, siostra jego ojca. Mój ojciec...

- Do licha z tym, James. - Czwarty dżentelmen uniósł w górę oczy. - Zanudzisz Lily na śmierć. Może jeszcze dodasz do swojego wykładu, że innymi siostrami ojca Neville'a są ciotki Mary i Elizabeth, a jego wuj jest osławioną czarną owcą w rodzinie, straconą owieczką, która wyruszyła w podróż poślubną ponad dwadzieścia lat temu i nigdy nie wróciła? Mam na imię Ralph, Lily. Tak, kolejny kuzyn. Jeśli nie będziesz pamiętać mojego imienia następnym razem, kiedy się spotkamy, zwracaj się do mnie na ty.

- Dziękuję. - Roześmiała się. Dzisiaj rano z całą pewnością było o wiele łatwiej. Może wszystko okaże się łatwiejsze. Jednak ona zawsze lepiej czuła się w towarzystwie mężczyzn,

może dlatego, że dorastała wśród żołnierzy.

- Ten spacer sprawił, że na twych policzkach zakwitły róże, Lily - odezwał się markiz.

- Jak udało ci się dojść tak daleko bez butów? - Spojrzał przez monokl na jej bose stopy.

- Och. - Popatrzyła również. - To o wiele wygodniejsze niż chodzenie w butach. Jeśli zdjąłbyś buty i przespacerował się po trawie, Josephie, wiedziałbyś, że mam rację.

- Doprawdy?

- Wiem jednak, że tego nie zrobisz - powiedziała, uśmiechając się pogodnie. - Jestem tego pewna. Na Półwyspie Iberyjskim spotykałam mężczyzn, którzy nigdy nie zdejmowali butów, nigdy, ale to nigdy. Mogę się założyć, że do łóżka również kładli się w butach. Czasami zastanawiałam się, czy w ogóle mają stopy, czy może ich nogi kończą się poniżej kolan. Oczywiście, nie chcieli przyznać się do takiej deformacji. Wyobraźcie sobie, o ile byliby niżsi, przecież mężczyźni są bardzo dumni ze swego wzrostu. Nie cierpią patrzeć w górę na innych mężczyzn i wstydzą się, jeśli muszą z dołu spoglądać na kobiety.

Panowie roześmiali się. Lily przyłączyła się do nich.

- Dobry Boże. - Joseph tym razem spojrział przez monokl na swoje buty. - Mój sekret się wydał. Kiedy okazało się, że dorosłem do czterech stóp i dalej ani rusz, kazałem, by Hobby zrobił mi specjalne, wysokie buty. Tak, bym mógł spoglądać na świat z wysoka.

- On nawet w nich tańczy, Lily - dodał Ralph. - Radzę ci uważaj, by nie podeptał cię w tańcu.

- Gdy się w nie stuknie, słychać jak pusto dźwięczą - dodał James.

- Ta rozmowa staje się coraz bardziej absurdalna - oznajmiła wesoło Lily. - Możecie sobie drwić, ale czułam trawę i rosę pod stopami, i piasek. Widziałam wschód słońca nad morzem. Anglia to cudowny kraj, tak zawsze mawiał mój tata.

Neville uśmiechnął się do niej.

- Masz rację, Lily. - Podał jej ramię. - Pozwól, że odprowadzę cię do pokoju i powiem Dolly, by pomogła ci się przebrać. Moja matka przyszła już z wdowiego domu i będzie na ciebie czekać w porannym salonie razem z kilkoma paniami.

Nie wyglądał wcale na zirytowanego. Nie robił jej wymówek ani przy kuzynach, ani kiedy opuścili ich towarzystwo. A jednak Lily usłyszała, jak mówi o kilku paniach.

- Czy inne panie też dzisiaj zażywały spaceru? - spytała.

- Z pewnością nie opuściły jeszcze swych sypialni. Damy zazwyczaj nie... ach, nie zażywają spacerów, dopóki pokojówki nie pomogą im się ubrać i nie uczeszą ich. Potem muszą jeszcze zjeść śniadanie, Lily. Uśmiechnął się, gdy wchodzili po szerokich schodach.

- Och, tak. Pokojówki - a ona nawet nie zadzwoniła po Dolly, kiedy wstała. Nie

chciała budzić dziewczyny tak wcześnie. Zwłaszcza że żadna suknia nie była odpowiednia do Newbury Abbey oprócz zielonej z muslinu, a nawet i tego nie była pewna. Doszła teraz do wniosku, że mogła przynajmniej związać włosy wstążką i założyć buty.

- Nie pomyślałam o tym. Nie powinnam wychodzić z domu tak jak teraz, nieprawdaż? Z pewnością czuleś się zakłopotany, kiedy wróciłam, wszyscy twoi kuzyni mi się przyglądali. Przepraszam.

- Nie, nie. - Wolną dłonią poklepał rękę dziewczyny spoczywającą na jego ramieniu. - Nie to miałem na myśli. Nie chciałem cię zbesztać, na litość boską. To twój dom, Lily. Możesz robić to, co ci się tylko podoba.

Lily zamilkła, przypomniawszy sobie jego niedoszłą żonę w eleganckiej sukni. Lauren miała na sobie kapelusz, a nawet rękawiczki. Ona z pewnością nie zatańczyłaby boso z rozwianymi włosami, patrząc nad morzem na wschód słońca. Nie wprowadziłyby go w zakłopotanie swym wyglądem.

\*

Kiedy Lily umyła się, założyła pończochy i stare buty, a Dolly uczesała jej włosy w prosty kok na karku, przyozdobiony tylko dwoma wstążkami, Neville zaprowadził żonę do porannego saloniku. Dolly poradziła jej, by nie zakładała muslinowej sukni, ponieważ będzie musiała później przebrać się po południu, Lily została więc w starej, błękitnej sukni z bawełny.

Neville, który był jedynym mężczyzną w salonie, pozostał z nią przez kilka minut, ale wywołano go, by koniecznie porozmawiał z zarządcą.

Wszystkie panie powitały ją uprzejmie. Hrabina wdowa nawet wstała i pocałowała Lily w policzek, a potem wskazała miejsce obok siebie na sofie. Jednak rozmowa nie była tak przyjemna jak ta na tarasie. Rozmawiano o Londynie i o Almanachu, o wypożyczalniach książek i ogrodach różanych, a także o zatrudnianiu służących. Żadnej z tych spraw Lily nie znała z własnego doświadczenia. Kiedy wspomniano o wojnie i nazwano Francuzów potworami zła i deprawacji, a ona stwierdziła, że są to ludzie tacy sami jak Anglicy, wrażliwi i lojalni, zdolni do miłości i innych dobrych uczuć, rudowłosa dama, która miała, o ile Lily pamiętała, na imię Wilma - młodsza siostra Josepha? - oznajmiła, że zaraz zemdleje. Ktoś skarcił Mirandę, że poruszyła w rozmowie tak niedelikatny temat.

Lily uśmiechnęła się z sympatią do młodej dziewczyny, której twarzyczkę przytłaczała nieco zbyt duża ilość loczków, ta jednak zaczerwieniła się, zagryzła wargę i spuściła wzrok.

Ciotka Sadie próbowała zmienić temat i zapytała Lily, czy chciałaby coś do

haftowania. Dziewczyna już wcześniej zauważyła, że niemal wszystkie panie zajęte były jakimiś robótkami. Musiała jednak przyznać, że nigdy nie uczyła się haftować, chociaż potrafi całkiem nieźle łątać i cerować. Zapadła znów pełna zakłopotania cisza, aż wreszcie matka Neville'a zaproponowała, by Miranda poszła do pokoju muzycznego, zostawiła otwarte drzwi i zagrała coś na fortepianie.

Lily w końcu uratowało pojawienie się lokaja, który oznajmił, że przybyły pani i panna Holyoake i czekają na hrabinę Kilbourne.

Dziewczyna spojrzała na matkę Neville'a, tak samo jak wszystkie obecne damy, a ta w odpowiedzi uniosła brwi.

- Czego chce ode mnie pani Holyoake? - spytała. - Z pewnością jej dzisiaj nie wzywałam.

- Przepraszam, proszę pani - Forbes chrząknął dyskretnie. - Wydaje mi się jednak, że zrobił to pan hrabia, dla swej żony. Kazałem zaprowadzić je do błękitnego salonu.

Dziewczyna poczuła się okropnie zakłopotana, zauważywszy szybko stłumiony smutek, jaki odmalował się na twarzy teściowej, która najwyraźniej zapomniała, że to ona, Lily, była teraz hrabiną Kilbourne.

Kiedy opuściła poranny salon, lady Elizabeth wyszła do niej pospiesznie, wyciągając dłonie.

- Lily. - Wzięła ją za rękę i pocałowała w policzek. - Witaj, moja droga. Wszystko w porządku, Forbes. Zaprowadzę hrabinę do pań Holyoake. Neville powiedział mi wcześniej, że przyjdą i poprosił, bym dopilnowała przymiarki.

Lily musiała przyznać, że czeka ją miła perspektywa. Obydwie posiadane przez nią suknie z pewnością nie pasowały do nowego życia. Jednak jeszcze większe zdumienie czekało ją w błękitnym salonie. Kiedy przedstawiono jej panią Holyoake i jej córkę, czarnowłose, czarnookie kobiety, podobne do siebie jak dwie krople wody, a te skłoniły się nisko i powiedziały do niej „milady”, ujrzała, że przyniosły ze sobą wiele bel materiałów, mnóstwo wykrojów i innych rzeczy przydatnych w ich zawodzie. Tak wiele, że kilkoro służby musiało je wносить do środka.

- Może lepiej by było, gdybym to ja odwiedziła panie? - spytała.

Obydwie spojrzały na nią zaskoczone, a Elizabeth roześmiała się.

- Och, nie, od kiedy zostałam hrabiną Kilbourne, panią Newbury Abbey.

Wyglądało na to, że będzie miała nie dwie lub trzy nowe suknie, ale co najmniej tuzin, jeśli nie więcej. Kiedy zaprotestowała, wyjaśniono jej, że będzie potrzebowała porannych

sukni, sukni na herbatę i na wieczór - niektóre będą przeznaczone na uroczystości rodzinne, inne na przyjęcia, a jeszcze inne na bale - a także sukni spacerowych i sukni do podróży powozem. I jeszcze strój do konnej jazdy, kiedy okazało się, że potrafi jeździć konno, chociaż nie powinna się tym przechwalać, skoro z pewnością nie miała w tym dużego doświadczenia.

Odkryła ze zdumieniem, jak wiele jest różnych tkanin i fasonów. Spośród kolorów nie zawsze można było wybierać te, które uznało się za ładne. Okazało się, że istniały barwy, w których jednym było do twarzy, a innym zdecydowanie nie. Jedne prezentowały się dobrze w dziennym świetle, inne wyglądały lepiej w blasku świec. Były też różne rodzaje zdobień - pasujące do różnych tkanin i okazji. Istniały przybrania w tym samym kolorze co tkaniny, które miały ozdabiać. Istniały też takie, które dopełniały tkaniny lub z nimi kontrastowały. Niektóre fasony akurat były w modzie, inne zaś były zbyt *avant garde* lub wręcz odwrotnie, *passee*. Jedne fasony pasowały młodym dziewczynom, inne młodym kobietom lub starszym paniom. Musiały wziąć miarę. Musiały...

Mimo uprzejmości Elizabeth i szacunku okazywanego przez krawcowe, Lily wkrótce poczuła się jak kukielka, która unosi ramiona, ponieważ ktoś pociągnął za sznurki, okręca się wokół, ponieważ ktoś pociągnął inne sznurki i uśmiecha się ciągle namalowanymi ustami. Cała radość z tego, że będzie miała nowe stroje, szybko się ulotniła. Nie miała o niczym pojęcia i musiała pozostawić decyzje tym osobom, które się na tym znały. Poza tym, cały czas ogarniał ją niepokój, czy Neville może sobie na to wszystko pozwolić? I zapomniała spytać go, czy mogłaby zwrócić pieniądze kapitanowi Harrisowi. Jak mogła o tym zapomnieć?

Kiedy wreszcie cierpienia się skończyły, Elizabeth wzięła ją za rękę i zostawiły krawcowe przy pakowaniu rzeczy. Wcześniej Lily zaproponowała, że im pomoże, ale obydwie kobiety zaprotestowały, patrząc na nią zdziwione i poruszone.

- Biedna Lily - powiedziała Elizabeth. - To wszystko musi być dla ciebie strasznie trudne. Chodź, przekąsimy coś i odpoczniemy. - Roześmiała się ze skrucą. - Zapomniałam, że nawet posiłek nie jest dla ciebie odpoczynkiem. Z czasem wszystko będzie łatwiejsze, przyrzekam ci.

Lily chciała w to uwierzyć. Nie była jednak tak wszystkiego pewna. Gdyby tylko mogła cofnąć czas, powiedzmy o kilka dni, pomyślała... Czy miała inne wyjście? Musiała tu przyjechać. Nawet gdyby postanowiła czekać, aż kapitan Harris napisze list, w ten sposób tylko odwłokłaby to, co nieuniknione. Nie mogła po prostu nie przyjechać. Jest żoną Neville'a. Miał prawo dowiedzieć się, że nadal żyje.

Tak naprawdę chciałyby wrócić do tego dnia, kiedy zmarł jej ojciec. Chciałyby powrócić do tej chwili, by usłyszeć wyraźniej, co major Newbury powiedział do niej później,

by mogła zebrać się na odwagę i powiedzieć nie.

Czy naprawdę tego chciała? Żeby nigdy go nie poślubić? Żeby tamta noc nigdy się nie zdarzyła? Gdyby nie było tamtej nocy, tego snu miłości, nie wiadomo, czy byłaby zdolna przetrwać późniejszą niewolę. Postradałaby zmysły, to pewne.

\*

Lily nie wyszła już na dwór. Neville przyglądał się jej z głębokim zaniepokojeniem, kiedy została otoczona krewnymi, z których większość przynajmniej była gotowa zachować się właściwie i przyjąć ją do swego grona. Starła się, jak mogła, by sprawiać wrażenie radosnej, by zapamiętać nazwiska i koligacje, by odpowiadać na kierowane do niej pytania, by naśladować męża, jego matkę i Elizabeth w sprawach etykiety. Jednak rumieniec, który zakwitł na jej twarzy, kiedy wróciła rankiem ze spaceru, radosne ożywienie malujące się w oczach - wszystkie oznaki dawnej Lily - zniknęły w miarę upływu dnia.

Kiedy oprowadził ją po domu, oglądała wszystko z zainteresowaniem, widać było, że wywarło to na niej duże wrażenie. Wpatrywała się długo i uważnie w wizerunki członków rodziny wiszące w długiej galerii.

- To musi być cudowne uczucie, znać wszystkich przodków, a nawet mieć ich portrety - odezwała się, kiedy doszli do połowy drogi. - Przypominasz swojego dziadka z tego obrazu. Ani mama, ani tata nigdy nie opowiadali o swych rodzinach ani swoich przodkach. Do śmierci taty nie zdawałam sobie nawet sprawy, jaka jestem samotna. Gdybym po powrocie do Anglii chciała znaleźć jego krewnych lub krewnych mamy, nie wiedziałabym nawet, gdzie ich szukać. Wydaje mi się, że Leicester to rozległe miejsce.

- Nie jesteś sama - odezwał się ze współczuciem. - Masz mnie i moją rodzinę.

Podeszła do następnego portretu.

- Czy w medalioniku nie masz wizerunków taty i mamy? - spytał Neville. Pamiętał, że zawsze go nosiła, chociaż teraz nie miała go na sobie.

Dotknęła dłonią szyi, jakby medalionik nadal tam wisiał.

- Nie - odparła. - Był pusty.

Nie spytał, co się z nim stało. Prawdopodobnie zabrano go jej, kiedy dostała się do niewoli, przypomnienie jeszcze o tej stracie mogło być dla niej bolesne.

Następnego ranka z rozczarowaniem odkrył, że nie wyszła na dwór, by oglądać wschód słońca. W nocy padało, a rano nadal było pochmurnie i zapowiadało się na burzę, nie wierzył jednak, że to brzydka pogoda powstrzymała ją przed spacerem. Kiedy zajrzał do jej pokoju, siedziała w oknie, wpatrzona spokojnie przed siebie. Uśmiechnęła się do niego i

powiedziała, że jedna z nowych sukni ma być dostarczona wcześniej i że czeka, by ją przymierzyć. Hrabina miała przedstawić jej gospodynię i wprowadzić ją w rozmowy na temat menu.

Przypuszczał, że to dość ważne - przynajmniej jego matka w to wierzyła - by jego żona nauczyła się prowadzić duży dom. Nie chciał jednak, by nowe życie zabrało jej całą lekkość i radość. Chciał, by pozostała dawną Lily, tą, którą zapamiętał z Półwyspu Iberyjskiego.

Jak się okazało, o czym Neville dowiedział się później, Lily źle zrozumiała i nie wiedziała, że to gospodyni przyjdzie do niej. Zeszła sama do kuchni, myśląc, że tam poczeka na swą teściową. Jednak po jakimś czasie pani Ailsham poinformowała starszą jaśnie panią, że hrabina Kilbourne jest na dole i kiedy zaskoczona teściowa zeszła tam, ujrzała jak Lily siedzi przy ogromnym kuchennym stole, ubrana w wielki fartuch, obiera ziemniaki razem z kuchenną i zabawia zaskoczoną, lecz zachwyconą służbę opowieściami o gotowaniu w wojsku i racjach, które przychodziły nieregularnie, a kiedy wreszcie nadchodziły, okazywało się, że nie wystarczają na potrzeby tylu ludzi.

Neville usłyszawszy o tym, zaczął się śmiać, chociaż jego matka nie zdawała się tym zachwycona, i poszedł poszukać Lily. Ona jednak znajdowała się już w bezpiecznym schronieniu porannego salonu w towarzystwie jego ciotek i kuzynek. Sprawiała wrażenie jednocześnie pogodnej, niemej i apatycznej - i wyglądała przepięknie w nowej, błękitnej sukni.

\*

Przysłano wiadomość z wdowiego domku, że Lauren i Gwendoline przybędą z wizytą po południu.

Kiedy cała rodzina zebrała się w salonie, zapanowało ogólne napięcie. Wszyscy zachowywali się nienaturalnie. Każdy się ciągle uśmiechał, dużo mówił i wybuchał śmiechem częściej, niż było to konieczne. Lily pozostawała spokojna.

Neville oczekiwał gości z największym strachem.

Kiedy jednak przyszły, wszyscy się zawiedli. Nie chciały, by je zapowiadano, i weszły, kiedy tylko lokaj otworzył drzwi, jak wiele razy przedtem, przed przyjazdem Lily. Obydwie wyglądały niezwykle elegancko. Gwen nie uśmiechała się. Lauren wręcz przeciwnie - zachowywała się pogodnie i łaskawie. Rozglądała się wokół, patrząc wszystkim w oczy z pozorną swobodą.

Neville, który zerwał się, by je przywitać, domyślał się, że ta chwila kosztowała ją

wiele wysiłku.

- Lauren - powiedział, powstrzymując się, by uścisnąć jej dłonie. Zamiast tego skłonił głowę. - Jak się masz? Witaj, Gwen.

- Witaj, Neville. - Lauren uśmiechnęła się i sama wyciągnęła do niego rękę. - Przyszliśmy odwiedzić twoją żonę, nieprawdaż Gwen? Nie musisz nam jej przedstawiać. Poznałyśmy się wczoraj rano, kiedy byłyśmy na spacerze. Och, tu jesteś, Lily. - Odwróciła się od Neville'a z ciepłym uśmiechem i znów wyciągnęła dłonie. - Sprawiasz wrażenie... poskromionej. - Roześmiała się. - Jaka piękna suknia. Wyglądasz świetnie w kolorze pierwiosnków. - Wzięła dłonie Lily w swe ręce i pochyliła się, by pocałować ją w policzek.

To było wspaniałe przedstawienie. Czy na pewno jednak przedstawienie? Lauren przywitała się spokojnie ze wszystkimi i usiadła obok Lily na sofie.

Różnica między obiema - pomiędzy jego żoną a tą, która dwa dni wcześniej o mało nie została jego żoną - była bardzo wyraźna. Lily - drobna, śliczna, spokojna, nieco zakłopotana, siedziała oparta na krześle, piła herbatę, nie odstawiając ani razu filiżanki na spodek, dopóki jej nie opróżniła, i z pewnością brakowało jej tej dystynkcji, którą według jego matki powinna mieć hrabina. Lauren, piękna i elegancka, perfekcyjna w swej pewności siebie, siedziała wyprostowana, pełna wdzięku, nie dotykając plecami oparcia sofy, piła herbatę drobnymi łyżkami i odstawiała filiżankę na spodek, okazując, jak wypadało, uznanie dla pięknego przedmiotu.

Neville pomyślał, że wyglądało to tak, jakby specjalnie usiadła obok Lily, wiedząc, że wszyscy zauważą tę różnicę i będą ją komentować. Zganił się za tę niemłą myśl. Lauren nigdy nie była nieuprzejma. Ale też, oczywiście, nigdy nie znalazła się w takiej sytuacji.

To Gwen zachowywała się tak, jak powinna zachowywać się odrzucona narzeczona. Chociaż była dobrze wychowana, od chwili oficjalnej sztywnej prezentacji celowo ignorowała zarówno Lily, jak i brata. Pograżyła się w rozmowie z grupą kuzynek.

Neville oczekiwał, a i miał trochę nadziei, że Lauren opuści Newbury Abbey tego samego ranka, kiedy wyjeżdżał jej dziadek i pan Calvin Dorsey, który pocieszał starszego pana od momentu tego niedoszłego ślubu i okazał się tak miły, że zaproponował mu towarzystwo na pierwszy dzień podróży do domu barona w Yorkshire. Jednak Lauren nie wyjechała z nimi. Mieszkała przecież w Newbury przez większość życia. I może, pomyślał Neville, było dla niej ważne, by nie uciekać, ale zostać i stawić czoło nowym okolicznościom.

Dawała sobie świetnie radę. Może powinien odczuwać ulgę, i odczuwał ją. Nie mógł jednak nadal zapomnieć, jak Lauren w dzieciństwie szczebiotała szczęśliwie o tym, co zrobi, kiedy mama przyjedzie do domu, aż wreszcie pewnego dnia przestała i nigdy już o tym nie

wspomniała. A kiedy dorastała, opowiadała z ożywieniem, że napisze do rodziny ojca i nawiąże z nimi ponownie kontakt, może nawet spędzi u nich kilka miesięcy, aż wreszcie przestała o tym wspominać, kiedy nie otrzymała odpowiedzi na swój list. Nie mówiła nigdy ani o jednej, ani o drugiej sprawie. Nie straciła pogody ducha. Po prostu milczała.

Gdyby jakiś nieznajomy pojawił się teraz w ich salonie, nigdy by nie zgadł, że Lauren jeszcze dwa dni temu miała zostać żoną - jego żoną - i że jej marzenia zostały nagle i okrutnie zniszczone.

Lauren, pomyślał niespokojnie, jest niczym beczka prochu, sprawia wrażenie nieszkodliwej, a przecież wystarczy iskra, by wybuchła.

Może nie miał racji. Może w Lauren nie kryła się taka pasja.

Kiedy poszedł do niej dwa dni temu, miał jednak nadzieję, że zacznie na niego krzyżeć. Miał również nadzieję, że wpadnie dzisiaj do salonu i urządzi jakąś głośną i skandaliczną scenę.

W końcu Pauline Bray, siostra Josepha, zaproponowała coś, co złagodziło napiętą atmosferę, panującą wśród zebranych w salonie.

- Mam ochotę iść na spacer - oznajmiła. - Spójrzcie. Właśnie wyszło słońce, minęło tyle czasu, że trawa z pewnością wyschła po ostatnim nocnym deszczu. Czy ktoś chce się przyłączyć?

Wyglądało na to, że wszyscy. Kuzyni przyjęli propozycję z entuzjazmem, nawet starsi krewni wyrazili chęć odetchnięcia świeżym powietrzem. Przez moment dyskutowano tylko, czy wybrać ścieżkę rododendronową, iść na wzgórze za domem, czy też przejść się na plażę. Zwyciężyła wyprawa na plażę, chociaż Wilma twierdziła, że morze działa niekorzystnie na cerę, a piasek dostaje się wszędzie, bez względu na to, jak ostrożnie się chodzi.

Zanim towarzystwo wyszło na dwór, plany stały się bardziej szczegółowe, wydano pospieszne rozkazy służbie, by przygotowała herbatę na piknik i przyniosła wszystko potem na plażę, chociaż dopiero co pito herbatę w salonie.

Neville cieszył się z tej odmiany, nie tylko ze względu na siebie, ale przede wszystkim z powodu Lily. Siedziała w domu przez ostatnie półtora dnia, wiedział, że czuje się oszołomiona i zdeprimowana, chociaż wcale się nie skarżyła. Zwłaszcza wizyta Lauren kosztowała ją wiele.

Nie udało mu się jednak, jak zamierzał, wziąć jej pod ramię i poprowadzić z dala od dużej grupy. Lauren nie odstępowała Lily na krok. Uśmiechnęła się do niej i wzięła ją pod rękę.

- Pójdziemy razem, Lily - powiedziała. - W ten sposób poznamy się bliżej.

Przeszli spokojnym krokiem przez taras i trawnik. Równie spokojnym krokiem przeszli przez strome wzgórze na plażę. Doszli jeszcze dalej, tam dokąd Lily jeszcze nie trafiła, minąwszy górującą nad nimi dużą skałę.

Lily miała na sobie stare buty, chociaż kilka nowych par wykonał dla niej wioskowy szewc. Za to ubrała się w nową pierwiosnkową suknię i płaszcz - pani Holyoake i jej córka musiały ciężko pracować, by skończyć je w jeden dzień - a także prosty kapelusz ze słomki, wybrany spośród tych, które przyniosły ze sobą do pałacu. Elizabeth wyjaśniła jej, że ponieważ we wsi nie ma modystki, pani Holyoake zawsze ma u siebie coś do wyboru.

Szerokie rondo kapelusza chroniło twarz Lily przed słońcem. Lauren nalegała jednak, by osłaniać swym parasolem również Lily, tak że nawet promień słońca nie dosięgnął jej twarzy. Muszą bardzo uważać na cerę, wyjaśniła Lauren, zwłaszcza teraz, kiedy zbliża się wielkimi krokami lato. Zauważyła, że twarz Lily nieco niestety zbrązowiła, może z powodu podróży z Portugalii. Nie jest to jednak powód do rozpacz, opalenizna szybko zniknie, jeśli Lily będzie nosiła ze sobą parasolkę. Lauren może jej pożyczyć jedną.

Wilma nie chciała iść blisko brzegu, bojąc się, że sól z morza zniszczy jej cerę i włosy. Musieli też iść bardzo powoli przez piasek, by nie nasypał się im do butów. Kiedy dotarli do osłoniętego, idealnego na piknik miejsca i nadeszła służba z kocami i koszykami, panowie, pod przewodnictwem Wilmy, zbudowali coś, co przypominało namiot mający chronić ich przed wiatrem i okropnym powietrzem znad morza. W rezultacie, kiedy usiedli, nie widzieli ani morza, ani nawet piasku.

Lily pomyślała, że równie dobrze mogli nie wychodzić z domu.

Panowie bawili się o wiele lepiej. Zdążyli odbyć szybki spacer do końca plaży i wrócić, by w połowie powrotnej drogi spotkać panie. Mogli również podchodzić blisko brzegu, gdzie fruwały mewy i wiał najsilniejszy wiatr. W ich grupie wciąż rozlegał się radosny śmiech. Lily wolałaby przechadzać się w ich towarzystwie.

Wszyscy zasiedli do herbaty, kiedy jednak zaspokojono apetyt, niektórzy młodzi kuzyni, Hal i jego bracia, Richard i William, znów ruszyli na przechadzkę. William mrugnął do Mirandy, która była mniej więcej w jego wieku, i zaprosił ją skinieniem głowy. Dziewczyna zerknęła niespokojnie na matkę, która trzymała w dłoniach dwie szklanki, czekając aż jej syn Ralph, wicehrabia Sterne, napełni je winem. Następnie Miranda niepewnie spojrzała na Lily.

- Ja też chciałabym uciec - wyszeptła Lily, zapominając o dobrych intencjach, które

kazały jej pozostać w domu przez całe półtora dnia. Neville w towarzystwie Elizabeth i księcia Portfrey, słuchał uprzejmie monologu ciotki Mary, którym raczyła ich od co najmniej pięciu minut.

Nie minęło kilka minut, gdy ruszyły razem z młodymi dżentelmenami na plażę, zatrzymując się nad samym brzegiem.

- Mogę się założyć, że o tej porze roku woda jest tak zimna, że można dostać ataku serca - powiedział Richard.

- Nie - stwierdziła Lily, która wielokrotnie, z wyjątkiem mroźnej zimy, kąpała się w górskich strumieniach. - Jest odświeżająca. Och, jaki cudowny wiatr. - Uniosła głowę w kierunku słońca i wiatru.

- Kąpiele morskie to ostatni krzyk mody - powiedział Hal. - W zeszłym roku kąpałem się w Brighton z Porterami.

- Umarłabym, gdybym miała zamoczyć choćby czubek stopy - oznajmiła Miranda. - Woda morska strasznie wysusza skórę.

Lily roześmiała się.

- Przecież to tylko woda, chociaż, oczywiście nie powinno się jej pić, bo jest słona. - I nie namyślając się długo, zdjęła buty, zsunęła pończochy, wzięła je w rękę, w drugą zebrała suknię, i weszła do wody aż po kolana.

Miranda zachichotała, a młodzi panowie zagwizdali z radością.

- Ale zimna. - Lily zaśmiała się jeszcze radośniej. - Jest cudownie. Spróbujcie.

W jej ślady poszedł Richard, a następnie Hal i William. W końcu dała się namówić Miranda. Zdjęła buty i pończochy i weszła ostrożnie do wody, zanurzając się po kostki. Roześmiała się ze strachu i podniecenia.

- Och, Lily - zawołała. - Z tobą nie można się nudzić.

- Wilma to straszna zrzęda - zauważył Richard, wykazując całkowity brak szacunku dla starszych. - A Lauren i Gwen nigdy nie zapominają, że są damami.

Zaczęli brodzić w wodzie, trzymając w dłoniach buty i pończochy, aż doszli do wysokiej skały, a Lily stwierdziła, że skała znajduje się w takim miejscu i ma taki kształt, że konieczne trzeba się na nią wspiąć. Wgramoliła się na szczyt i usiadła tam, otoczywszy ramionami kolana. Odchyliła do tyłu głowę. Czuła, że suknia jest ciężka i wilgotna od morskiej wody, szybko jednak wyschnie. Doszła do wniosku, że nie można pozostać długo w złym humorze, kiedy czuje się słońce i wiatr na twarzy, słyszy fale uderzające o brzeg i mewy krzyczące nad głową. Zdjęła kapelusz i położyła obok, razem z butami i pończochami. Poczowała się jeszcze lepiej.

Pozostała czwórka dołączyła do niej. Usiedli razem nieco niżej, rozmawiając ze sobą i śmiejąc się. Dziewczyna zapomniała o nich, ciesząc się znajomym uczuciem zespolenia z naturą. Zawsze miała taki dar zamykania się pośród tłumu, niezbędny, kiedy miała w życiu tak mało okazji do prywatności.

- Miranda!

Głos, donośny i zszokowany, sprawił, że Lily podskoczyła na równe nogi i szybko powróciła do rzeczywistości. U podstawy skały pojawiła się ciotka Teodora w towarzystwie Elizabeth i ciotki Mary.

- Włóż pończochy, buty, kapelusz i rękawiczki, i to natychmiast. I w tej chwili schodź na dół. Wielkie nieba, masz zamoczoną sukienkę. Czyś ty wchodziła do wody? Cóż za ekstrawagancje! Toż to nie przystoi damie... - Spojrzawszy jednak w górę, zobaczyła Lily, której suknia była jeszcze bardziej wymięta niż jej córki.

Elizabeth roześmiała się.

- Lily i Miranda zachowały się wyjątkowo sprytnie - powiedziała. - Zrobiły to, o czym wszyscy w tajemnicy marzyliśmy, i mogły cieszyć się słońcem i powietrzem morskim, a nawet samym morzem.

Jednak jej wysiłki, by załagodzić kłopotliwą sytuację, spełzły na niczym. Pojawiła się reszta towarzystwa, ciotka Teodora zrobiła się cała czerwona na twarzy, a Miranda zalała się łzami. Ciotka Mary zaczęła wszystkich zapewniać, że to wyłącznie wina jej chłopców. Są tacy samowolni! Hal zaprotestował z oburzeniem, że w wieku dwudziestu jeden lat nie jest się już chłopcem.

Lily w milczeniu założyła pończochy i buty, zawiązała wstążki nowego kapelusza i odwróciła się, by zejść na plażę. Wilma głośno się na coś użalała, a Gwendoline tłumaczyła jej, by nie była taka dokuczliwa. Markiz pytał specjalnie ospałym tonem, czy ktokolwiek słyszał o burzy w filiżance herbaty, a Pauline zaczęła się krztusić ze śmiechu. Para silnych ramion nagle uniosła Lily.

Neville odwrócił ją ku sobie i uśmiechnął się, nie przestając jej obejmować w tali.

- Przypomniało mi się coś, kiedy cię tam ujrzałem - powiedział. - Pamiętam, jak siedziałas na wzniesieniu skalnym, spoglądając na wzgórza w Portugalii. - Jednak jego uśmiech zbladł, zanim skończył mówić. - Tak mi przykro. To było tuż przed śmiercią twojego ojca.

I kilka godzin przed ich ślubem. Jak musiał żałować, że doszło do obydwu tych zdarzeń. Jak ona tego żałowała!

Wszyscy ruszyli w drogę powrotną w kierunku doliny, a potem ścieżką prowadzącą

ku domowi, pogrążeni w atmosferze niezadowolenia i zakłopotania. Lily i Neville szli na samym końcu.

- Przepraszam - powiedziała dziewczyna.

- Nie - odparł stanowczo. - Nie masz za co przepraszać, Lily. Przestań ciągle się usprawiedliwiać. Masz żyć tak, jak ci się podoba.

- Przeze mnie Miranda ma teraz kłopoty. Zachowałam się bezmyślnie.

- Porozmawiam z ciotką Teodorą. - Zaczaj się krztusić ze śmiechu. - Nie stało się nic strasznego.

- Nie - odparła. - Ja z nią porozmawiam. Nie musisz mnie ciągle osłaniać. Nie jestem dzieckiem.

- Lily - powiedział miękko. - Wszystko idzie nie tak, prawda? Może powinniśmy spędzić trochę czasu sam na sam? Chodź, pokażę ci domek.

- Ten w dolinie?

Skinął głową.

- To moje schronienie. Moje miejsce spokoju i ciszy. Zabiorę cię tam.

Wziął ją za rękę, splatając jej palce ze swoimi. Nie zważał na to, że ktoś przed nimi mógłby się odwrócić. Przecież byli małżeństwem.

- Domek należy do ciebie? - spytała. - Jest bardzo ładny.

- Moja babka była malarką - wyjaśnił. - Kiedy malowała, lubiła być sama. Dziadek wybudował dla niej ten domek w najpiękniejszym miejscu posiadłości. Jest umeblowany, a raz w miesiącu sprząta się tam i wietrzy. Wszyscy mogą z niego korzystać, chociaż, jak mi się wydaje, uważa się go za moje specjalne miejsce. Lubię pobycć sam w spokoju raz na jakiś czas.

Uśmiechnęła się do niego ze zrozumieniem. Ona także potrzebowała nieraz chwili samotności.

- To właśnie było najgorsze w wojsku - ciągnął. - Brak prywatności. Ty z pewnością też to czułaś, Lily. A przecież ty... zauważyłem, że często wypuszczałaś się gdzieś sama, chociaż zawsze pozostawałaś w zasięgu wzroku ojca. Siadałaś sobie lub stawałaś gdzieś i nic nie robiłaś, tylko rozglądałaś się wokół. Często wyobrażałem sobie, że odkryłaś jakiś sobie tylko znany świat, zamknięty dla mnie i niemal dla nas wszystkich. Miałem rację?

- Są takie miejsca, które zdają się być wyjątkowo wyróżnione - powiedziała. - Miejsca, w których czuje się... Boga, jak mi się wydaje. Nigdy nie odczuwałam jego istnienia w kościele. Wręcz przeciwnie, czułam się tam zamknięta, przygnieciona, jak zresztą w wielu budynkach. Są jednak miejsca niezwykle piękna, spokoju i... świętości. Tyle że zdarzają się

rzadko. Kiedy dorastałam, nie miałam takiej doliny jak ty tutaj, ani wodospadu, ani jeziora, ani domku. I nie spotkałam wielu takich miejsc, kiedy podróżowaliśmy z oddziałem, może kilka. Nauczyłam się...

- Tak? - Pochylił ku niej bliżej głowę. Często kiedyś z nią rozmawiał, czasami przez godzinę lub dłużej. Zawsze były to interesujące rozmowy, mimo różnicy płci i pochodzenia. Zdawało mu się, że zna ją dobrze. Nigdy jednak nie pytał o jej wewnętrzny świat, tylko obserwował ją. Istniały głębie w jej duszy, które nadal pozostawały dla niego tajemnicą. Przypuszczał, że znalazłby tam i piękno, i mądrość. Jego Lily, mimo młodego wieku i braku wykształcenia, nie była powierzchowną kobietą.

- Nie wiem, jak to powiedzieć. Nauczyłam się być cicho i powstrzymywać od wszelkiego działania, a nawet nie myśleć w takich chwilach. Nauczyłam się po prostu być. Uczyłam się, że niemal każde miejsce może być jednym z tych niezwykłych miejsc, jeśli tylko tego zechcemy. Może nauczyłam się odszukiwać to miejsce we mnie.

Spojrzał na nią - piękną, filigranową Lily w nowej pierwiosnkowej sukni i słomianym kapeluszu. W takim razie ten spokój, który w niej zauważył, miał swoje wyjaśnienie. W swym krótkim, trudnym życiu odkryła to, czego, jak podejrzewał, ludzie nie odkrywają nigdy. On sam nie doszedł jeszcze do tego, chociaż doceniał wartość samotności i ciszy. Zastanawiał się, czy umiejętność Lily do odkrywania wewnętrznego miejsca, do po prostu bycia, jak to wyraziła, pomogła jej przetrwać trudne chwile w Hiszpanii. Nie zapyta jej o to. Nie potrafił nawet o tym myśleć.

Doszli do doliny i ścieżki prowadzącej do domku i jeziora znajdującego się u wodospadu. Wszyscy zniknęli już za wzgórzem, między drzewami. Kiedy obydwójce podeszli bliżej, zatrzymali się jednocześnie pod wpływem niewypowiedzianego porozumienia i napawali oczy pięknem widoku, a uszy kojącym dźwiękiem spadającej wody.

- Tak - odezwała się wreszcie z westchnieniem. - To jedno z takich miejsc. Teraz wiem, dlaczego tutaj przychodzisz.

Zauważył, że od czasu swego przyjazdu nie zwraca się do niego po imieniu, chociaż przypomniał jej, że jest jego żoną i powinna tak mówić. Tęsknił za tym, by usłyszeć swe imię z jej ust. Pamiętał, że w noc poślubną brzmiało niemal jak intymne wyznanie. Nie mógł jednak, nie chciał naciskać na nią. Musiał dać jej czas.

- Chodźmy, obejrzyj domek - powiedział.

Niespodziewanie uprzytomnił sobie z niejakim zaskoczeniem, że nigdy nie przychodził tutaj z Lauren, a przynajmniej nie od czasów dzieciństwa.

Domek składał się tylko z dwóch urządzonych przytulnie pomieszczeń. W każdym

znajdował się kominek, a obok leżało przygotowane drewno, na wypadek zimnego dnia lub nocy. Czasami nocował tutaj. Zdarzało się tak często w ciągu ostatniego roku, kiedy wspominał swe życie w dziewięćdziesiątym piątym pułku i lata spędzone na półwyspie, i pogrążał się w niespokojnej, niewypowiedzianej tęsknocie.

Nie, wcale nie niewypowiedzianej. Tęsknił tutaj za Lily, którą stopniowo pokochał przez te wszystkie lata, od kiedy ją znał, chociaż ta miłość przemieniała się w namiętność bardzo krótko, zanim rozkwitła w nocy przed jej śmiercią.

W Newbury próbował zapomnieć o Lily. Próbował tutaj myśleć tylko o nowym życiu, życiu pełnym obowiązków, do których został wychowany i wykształcony, życiu, w którym czekała na niego Lauren. Przychodził do domku, by wspominać i pogrążyć się w żałobie.

Nadal trudno mu było uwierzyć, że Lily nie umarła. Że jest tutaj. Teraz.

Zajrzała do sypialni, jednak to drugie pomieszczenie zdawało się bardziej ją fascynować. Znajdowały się tu krzesła, stół, książki, papier, pióra i atrament, a z okien roztaczał się widok na wodospad. Neville uwielbiał siadać tutaj, czytać i pisać. Lubił również siedzieć i po prostu patrzeć. Może właśnie to Lily nazywała byciem.

- Czytasz tutaj - powiedziała, biorąc jedną z książek, kiedy już zdjęła kapelusz i odłożyła go na jedno z krzeseł. - Poznajesz inne światy i myśli innych ludzi. I możesz wracać do nich i czytać je na nowo.

- Tak.

- I czasami zapisujesz swoje myśli - ciągnęła, przesuwając palcem wzdłuż jednego z piór. - Możesz wrócić do nich, czytać je znowu i przypomnieć sobie, co myślałeś lub co czułeś.

- Tak. - Zauważył, że jej głos jest pełen tęsknoty.

- To musi być jedna z najwspanialszych rzeczy na świecie - móc czytać i pisać - stwierdziła.

Neville zrozumiał, że wiele rzeczy przyjmował za oczywiste. Nigdy tak naprawdę nie zdawał sobie sprawy, jakie przywileje, jakie możliwości dawało mu wykształcenie.

- Może ty również mogłabyś się nauczyć, Lily - zaproponował.

- Może - zgodziła się. - Chociaż prawdopodobnie jestem już za stara. Wydaje mi się, że nie byłabym dobrą uczennicą. Tatuś zawsze mawiał, że nauka pisania była najtrudniejszą rzeczą, jakiej dokonał. Nie uważał tego za łatwą sprawę. - Odłożyła książkę, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

Nie miał zamiaru zadawać jej pytań, na które odpowiedzi bał się usłyszeć - z pewnością jeszcze nie teraz. Nie czuł się na tyle silny, by to wiedzieć. Jednak i czas, i miejsce

wydały się odpowiednie, a słowa same cisnęły mu się na usta.

- Lily, powiedz mi, przez co przeszłaś.

Podszedł do niej, spoglądając w jej twarz. Opuškami palców dotknął jej policzków. Wyglądała tak delikatnie, a wiedział przecież, że na swój sposób była twarda niczym jego najbardziej zahartowani żołnierze.

- Czy możesz o rym mówić?

Zwróciła ku niemu głowę, jej błękitne oczy spojrzały mu prosto w twarz. Co najdziwniejsze, sprawiały wrażenie jednocześnie zranionych i spokojnych. Jakby to, przez co przeszła, zraniło ją, może nawet na zawsze, ale nie złamało. Tak przynajmniej zdawał się mówić jej wzrok.

- Była wojna - powiedziała. - Widziałam gorsze cierpienie niż moje. Widziałam okaleczenie, tortury i śmierć. Nikt mnie nie okaleczył. Nie umarłam.

- Czy byłaś... torturowana?

Potrząsnęła głową.

- Bito mnie kilka razy - odparła. - Kiedy... kiedy nie sprawiłam się zadowolająco. Ale tylko ręką. Nigdy tak naprawdę mnie nie męczono.

Chciałby, żeby ten hiszpański partyzant nagle pojawił się przed nim. Własnoręcznie połamałby mu wszystkie kości i rozerwał na strzępy. Bił Lily? Brzmiało to równie okropnie jak gwałt.

- Nie byłaś więc torturowana - powiedział. - Tylko bita i.. wykorzystywana.

- Tak. - Opuściła wzrok.

Wyobrazenie sobie, że jakiś mężczyzna wykorzystywał Lily, bolało. Nie dlatego, że stawała się mniej pociągająca w jego oczach - rozmyślał nad tym poprzedniej nocy i doszedł do wniosku, że to nieprawda - ale dlatego, że była taka niewinna, beztroska i dobra, a ktoś potraktował ją jak niewolnicę i wraz ze swą chucią napełnił jej ciało ciemnością i goryczą. I być może zranił ją na zawsze.

Skąd miał to wiedzieć? Prawdopodobnie ona również tego nie wiedziała. Może jej spokojna akceptacja tego, co się stało, jej racjonalne wyjaśnienie, że takie rzeczy zdarzają się podczas wojny, było niczym bandaż zakrywający wielką nie zagojoną ranę. Może w pewnym sensie przypominało to postępowanie Lauren...

Nagle stracił całą odwagę, a może wystarczyło jej tylko tyle, by zadać pierwsze pytanie. Gdyby pytał dalej, prawdopodobnie opowiedziałaby mu resztę. Wszystkie szczegóły o tym, co wycierpiała, przez co przeszła i jak udało jej się przetrwać. Nie chciał tego wiedzieć. Nie zniósłby tej świadomości. Chociaż zdał sobie sprawę, że, być może, ona

pragnęła mu to powiedzieć.

Ach, Lily, i ty mówisz o tchórzostwie?

Dotknął wierzchem dłoni jej policzka i brody.

- Nie masz się czego wstydzić, Lily - powiedział. Czy czuła się zawstydzona? Przecież oczekiwała, że zechce się z nią rozwieść, skoro nie była mu wierna. - Nie uczyniłaś nic złego. To wszystko przeze mnie. To ja powinienem się wstydzić. Powinienem lepiej cię chronić. Powinienem domyślić się, że zaatakują środek oddziału. Powinienem żywić nadzieję, że istnieje cień szansy, że przeżyłaś. Powinienem poruszyć niebo i ziemię, by cię odnaleźć i wykupić.

- Nie! - Spojrzała na niego spokojnie. - Czasami łatwiej znaleźć winę... obwiniać nawet siebie, niż przyjąć fakt, że sama wojna nie ma sensu. To tylko wojna. To wszystko.

A jednak winiła siebie, jak wynikało jasno z poprzedniej nocy. Winiła się za tchórzostwo, za to, że nie walczyła w obronie swej cnoty, że poddała się, nie umarła, jak francuscy jeńcy. Także i Neville nie czuł, by wojna rozgrzeszała jego winę.

Wydawało mu się, że już wyleczył się z ran. Lily sprawiała wrażenie osoby, którą nadal dręczą wspomnienia doznanych krzywd. Może, tak naprawdę, byli dwojgiem cierpiących ludzi, którzy powinni prosić Boga i siebie nawzajem o wybaczenie i o spokój, by razem przewyciężyć bolesną przeszłość.

Jednak, by tak się stało, musieli z pewnością wszystko sobie wyjawić. A przecież nie mógłby znieść świadomości...

Pochylił się i musnął ustami jej wargi. Były miękkie, ciepłe i uległe. A w jej oczach, kiedy podniósł głowę, ujrzał tęsknotę. Pocałował ją znowu, tak samo delikatnie jak przedtem, aż poczuł, że mu odpowiada, tak jak wtedy, gdy znaleźli się pod kocami w namiocie w noc poślubną.

Ach, Lily. Tak mu jej brakowało. Nawet kiedy wydawało mu się, że umarła, tęsknił za nią bardzo. Życie stało się bez niej puste. Tej pustki nic ani nikt nie był stanie wypełnić. Jednak Lily wróciła. Przyjechała do niego. Objął ją i przyciągnął do siebie. Znowu pocałował.

I wtem okazało się, że walczy z dziką istotą, która rzuciła się na niego z pięściami i odepchnęła go w panice, krzycząc ze strachu. Odskoczyła od niego i stanęła za krzesłem. Kiedy popatrzył na nią zaskoczony, odpowiedziała mu nieprzytomnym spojrzeniem, w jej oczach czaił się strach. Nagle zacisnęła mocno powieki, a kiedy chciał coś powiedzieć, zasłoniła uszy rękoma i zaczęła krzyczeć. Chciała przekrzyczeć jego. Przekrzyczeć siebie.

Poczuł jak w środku zamienia się w lód.

- Lily. - Użył głosu, którego powinna instynktownie posłuchać, swego oficerskiego

głosu. - Lily, nic ci nie grozi. Ręczę ci honorem. Jesteś bezpieczna.

W końcu ucichła i po kilku chwilach odjęła dłonie z uszu. Otworzyła oczy, nie patrzyła jednak na niego. Były wielkie i puste. Ujrzał z przerażeniem, że nie ma w nich nic, zniknął z nich nawet strach.

- Przepraszam - powiedział. - Przebacz mi. Nie chciałem cię skrzywdzić czy przestraszyć. Nie zrobię nic... przeciwko twojej woli. Przysięgam. Proszę, uwierz mi.

- Wiem.

Oto otrzymał odpowiedź na wszystkie wcześniejsze pytania, wyraźniejszą, niż gdyby je wypowiedział, niż gdyby ona odpowiedziała mu słowami. Została okaleczona niczym żołnierz, który powraca z wojny bez ręki lub nogi. Została okaleczona jeszcze dotkliwiej. Wziął głęboki oddech i znów odezwał się głosem, jakiego używał w wojsku jako oficer.

- Popatrz na mnie, Lily.

Spojrzała. Rumieńce, które pojawiły się na jej policzkach podczas wyprawy na plażę, zniknęły z jej twarzy. Znów była blada i wynędzniała.

- Przyjrzyj się - powiedział. - Kogo widzisz?

- Ciebie - odparła.

- Kim jestem?

- Majorem lordem Newbury.

- Czy ufasz mi, Lily?

Skinęła głową.

- Z całego serca.

Odpowiedź przestraszyła go - już raz zawiódł jej zaufanie - nie mógł jednak pozwolić sobie, by pokazać teraz swoją słabość.

- Nie przyrzekam ci, że nigdy więcej cię nie pocałuję - powiedział. - Lub że nie poprzestanę na pocałunku. Nie uczynię jednak nic bez twojego przyzwolenia. Wierzysz mi?

Znów skinęła głową.

- Tak.

- Rozejrzyj się - polecił. - Gdzie jesteś?

- W domku - odparła. - W Newbury Abbey.

- To znaczy gdzie, Lily? - pytał dalej.

- W Anglii.

- W Anglii nie ma wojny. Panuje pokój. A ta niewielka część Anglii należy do mnie. Jesteś tutaj ze mną bezpieczna. Wierzysz mi?

- Tak.

- A teraz chciałbym zobaczyć, jak się znowu uśmiechasz.

Na jej twarzy pojawił się trwożliwy uśmiech. Widział jednak, że przestała się bać, chociaż jego strach nie zniknął.

- Przepraszam - powiedziała.

- Nie masz za co przepraszać - westchnął cicho. - Lepiej skończmy na dzisiaj rozmowę. Nie przyprowadziłem cię tutaj, by sprawić ci przykrość. Przyszliśmy tutaj, ponieważ kocham to miejsce, czułem, że ty także je pokochasz. Należy również do ciebie, moja droga. Jesteś moją żoną. Przychodź tu, kiedy tylko zapragniesz. Nic ci tu nie będzie zagrażać, nawet ja. Przysięgam. Możesz tutaj być sobą. Możesz być tą osobą, jaką chciałaś być.

Skinęła głową i sięgnęła po kapelusz. Patrzył, jak zawiązuje wstążki i odwraca się do drzwi. Otworzył je, wyszli na zewnątrz i ruszyli w drogę ku ścieżce prowadzącej przez wzgórze. Szedł obok niej, trzymając rękę założoną z tyłu. Bał się nawet podać jej dłoń.

A więc jej rany okazały się groźniejsze, niż mu się wydawało. Czy kiedyś się zabliznią? Czy on mógłby ją wyleczyć? Tutaj, w miejscu, do którego nie pasowała, gdzie nie mogła pozostać kobietą, jaką była kiedyś, żywą, spontaniczną! wolną?

Nie miał jednak wyboru, mógł jej tylko pomóc wyleczyć się i zмагаć się z nowym życiem. Była jego żoną. Kochał ją głęboko, jeszcze zanim ją poślubił. Kochał ją namiętnie tamtej nocy, kiedy odbył się ich ślub. Kochał ją przez cały czas, mimo jej domniemanej śmierci.

I kochał ją, kiedy dwa dni temu pojawiła się w nawie kościoła na jego ślubie.

Lily przeprosiła ciotkę Teodorę, czyli wicehrabinę Sterne, i wzięła na siebie winę za niesforne zachowanie Mirandy. Zrobiła to przy obiedzie, by wszyscy się o tym dowiedzieli. Ciotka Teodora jedynie zaczerwieniła się i zapewniła Lily, że przecież nic się takiego nie stało. Hal dodał gorąco, że rzeczywiście nic się nie stało, na co jego ojciec, sir Samuel Wollston, powiedział mu ostro, by trzymał język za zębami. Joseph, markiz o bardzo długim nazwisku, udając znudzenie, znów wymruczał coś o burzy w filiżance herbaty. Pauline zachichotała. A Elizabeth zmieniła temat.

Lily pozostała z przekonaniem, że znów popełniła jakąś gafę.

To uczucie towarzyszyło jej zresztą nieustannie przez następne dni. Kiedy pewnego ranka wzięła nową suknię do kuchni i uparła się, że sama ją uprasuje, a następnie pomogła służącej zanieść olbrzymi kosz z upraną bielizną, którą trzeba było rozwiesić na sznurze do suszenia, matka Neville'a dała jej delikatnie do zrozumienia, że służba została najęta właśnie po to, by wykonywać takie rzeczy, tak by damy mogły się zajmować ważniejszymi sprawami. Jednak ważniejsze sprawy polegały na codziennych spotkaniach z ochmistrzynią i dokładnym studiowaniu rachunków, wpisywanych do rejestru, którego Lily nie potrafiła odczytać. Dość szybko hrabina musiała wziąć na siebie ten obowiązek.

Pewnego popołudnia pan Cannadine, który przyjechał do nich razem z matką, zaczął rozmawiać z Neville'em i księciem Anburey o wojnie, i Lily z radością przyłączyła się do tej konwersacji. Kiedy jednak goście wyszli, Lauren wzięła ją na stronę i wyjaśniła, że nie należy do dobrego tonu, by dama dyskutowała o tak nieprzyjemnych sprawach. Oczywiście, to nie wina Lily, dodała pospiesznie Lauren. Pan Cannadine nie powinien podejmować tego tematu, skoro rozmowie przysłuchiwały się damy.

Wizyty trzeba było odwzajemnić. Wymaga tego grzeczność, wyjaśniła hrabina, trzeba wyrazić podziękowanie tym, którzy okazali im uprzejmość. Pewnego popołudnia, kiedy powozik przejeżdżał przez wieś w drodze do lady Leigh, Lily zobaczyła panią Fundy i pod wpływem odruchu poprosiła stangreta, by się zatrzymał. Spytała panią Fundy, jak się miewa, jak się czuje jej mąż i dzieci. Słuchała z zainteresowaniem odpowiedzi i wyciągnęła ręce do dziecka, by uściskać je i ucałować, chociaż pani Fundy ostrzegła ją, że trzeba zmienić pieluszkę i maluch nie pachnie przyjemnie. Kiedy jednak powóz ruszył w dalszą drogę i Lily zwróciła swą radosną twarz do teściowej, naraziła się na kolejny delikatny wykład. Można łaskawie skinąć głową pewnym ludziom, usłyszała, ale zajmowanie ich rozmową nie jest konieczne.

„Pewni ludzie”, jak się domyśliła Lily, należeli do niższej klasy. Do jej klasy.

Wymykała się z domu, kiedy tylko mogła. Nie było to takie trudne, zwłaszcza po tym, kiedy reszta gości opuściła Newbury. Pod koniec tygodnia wszyscy z wyjątkiem księcia i księżnej Anburey, ich córki, Wilmy, Josepha, Elizabeth i księcia Portfrey, powrócili do swych domów, a reszta planowała za kilka dni wyjechać do Londynu. Lily zazwyczaj szczęśliwie udawało się wyjść z domu i wrócić niepostrzeżenie - nie zapomniała o bocznych drzwiach i schodach dla służby, którymi weszła do domu pierwszego dnia.

Poznała cały park, w słońcu i w deszczu. Tego drugiego nie brakowało w drugiej połowie tygodnia, jednak niepogoda nigdy jej nie odstraszała. Najbardziej lubiła plażę. Uwielbiała również trawniki i ogrody rozciągające się przed domem, leżący pomiędzy majątkiem a wsią gęsty las, przez który prowadziła kręta ścieżka, oraz wzgórze za domem wraz ze ścieżką, z której rozciągał się piękny widok. Tak zwana ścieżka rododendronowa biegła łukiem w kształcie podkowy - zaczynała się za skalnym ogrodem, okrążała wzgórze i wychodziła na krzak różany obok stajni.

Poszła tam pewnego popołudnia, po powrocie z nudnej wizyty u lady Leigh. Przebrała się w starą suknię, rozpuściła włosy, ale chłód zmusił ją do założenia płaszcza i butów. Widok ze szczytu, a także odosobnienie, którego tak potrzebowała, wynagrodziły jej niewygody wspinaczki. Z miejsca, gdzie stała, widziała morze i plażę, a także zatoczkę. Kiedy się odwróciła, ujrzała pola i pastwiska ciągnące się daleko.

Pomyślała, że to nic trudnego, zamknąwszy oczy, poczuć, że należy się do tego świata. To była Anglia, którą kochał jej ojciec, jej nowy dom. Gdyby tylko, pomyślała smutno, Neville mieszkał w jednym z tych zwykłych domków we wsi i codziennie wybierał się na połowy z innymi mężczyznami. Gdyby tylko...

Podobne rozważania nie miały jednak sensu. Rozejrzała się wokół, w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłaby usiąść i odpocząć. Wreszcie znalazła idealne. To dobrze, że Miranda już wyjechała, bo znów by się okazało, że mam na nią zły wpływ, pomyślała i zaczęła wspinać się na drzewo, zawinąwszy wcześniej suknię wokół kolan. Kilka minut później siedziała już na gałęzi, którą sobie upatrzyła z dołu. Wzrok jej nie oszukał. Gałąź była szeroka i mocna. Mogła bezpiecznie oprzeć się plecami o konar i wyprostować nogi.

Ach, gdyby tylko mogła zapomnieć o wszystkim i stać się częścią panującego wokół piękna i spokoju. Zaczepnęła głęboko powietrza, wciągając w nozdrza zapach liści i kory, a także ziemi i słonego powietrza znad morza. Jednak dawne umiejętności nie pomogły jej teraz. Czowała się samotna. Neville zachowywał się wobec niej bardzo delikatnie od tej strasznej sceny w domku. Niezwykle delikatnie, uprzejmie i... z dystansem. Sprawiał takie wrażenie,

jakby starał się nie przebywać z nią sam na sam. Może nie chciał jej znów spłoszyć.

Nie rozumiał tego, co się wtedy stało. Myślał, że przestraszyła się jego, że bała się, że zmusi ją do czegoś wbrew jej woli. Nie o to jednak chodziło. Przestraszyła się, że na samym pocałunku się nie skończy i bał się, co wtedy poczuje. Bała się, że nieustające marzenie, które jej towarzyszyło przez ostatnie półtora roku, zostanie zniszczone, a ona nie będzie miała nic, czym mogłaby je zastąpić. Co będzie, jeśli okaże się, że bycie z nim niczym się nie różni od bycia z Manuelem? Co się stanie, jeśli poczuje się jak rzecz, jak przedmiot, który został przez niego wykorzystany, by dać mu przyjemność? Niemal na pewno wiedziała, że tak nie będzie. Podpowiedziała jej to pamięć. Zachowywał się wobec niej tak ciepło i delikatnie, pachniał czystością i piżmem. Ogarnęła ją fala przemożnej tęsknoty.

Co się jednak stanie, jeśli poczuje obrzydzenie?

Słyszała śpiew ptaków, wielu ptaków. Większości z nich ukrytych w gałęziach drzew nie dostrzegała, były niewidoczne tak jak i ona. Ona jednak nie śpiewała. Oparła głowę o pień i zamknęła oczy.

Był jeszcze jeden powód do strachu, choć nie przyznawała się do niego nawet sama przed sobą. Bała się, że będzie to okropne dla niego - że on poczuje do niej obrzydzenie. Bała się, że Neville uzna ją za zepsutą, splugawioną. Była z Manuelem przez siedem miesięcy. Może Neville będzie pamiętał, kiedy przyjmie go do swego ciała, że należała, chociaż przeciwko swej woli, do innego mężczyzny. I może to będzie dla niego różnica. Nawet wbrew sobie poczuje odrazę.

Na pewno będzie sobie zdawała sprawę z jego uczuć. Wiedziała, że ta świadomość stanie się dla niej nie do zniesienia.

Samej siebie nie mogła znieść. Pamiętała, jak po wyzwoleniu, podczas długiej tułaczki do Lizbony, kiedy kąpała się w strumieniu, nagle okazało się, że nie może wyjść z wody, nie może przestać się myć, trzymając zwiniętą koszulkę, szorowała się i szorowała, aż wreszcie wpadła w histerię. Czowała się tak brudna jak nigdy w życiu, ale nie mogła zmyć tego brudu, ponieważ znajdował się pod skórą.

Nigdy jej się to potem nie zdarzyło, zrozumiała jednak, kiedy w końcu wydostała się z wody i położyła, cała drżąca i przestraszona, na brzegu, że już pewnie nigdy nie poczuje się czysta. Gdyby jednak okazało się, że on również podziela to uczucie, byłoby to nie do zniesienia.

Doszła do wniosku, że powinna podzielić się z nim tymi obawami w domku. Powinna wyjaśnić mu, co naprawdę czuje. Opowiedzieć mu o Manuelu, o długiej podróży do Londynu, o swych marzeniach, obawach, koszmarach nocnych... nie, był tylko jeden koszmar. Powinna

mu wszystko wytłumaczyć. Nie potrafiła jednak.

To chyba było najgorsze. Jak mieli się znów do siebie zbliżyć, kiedy dzieliła ich ta straszna tajemnica?

Lily, otworzywszy oczy, by popatrzeć ponad dachami rezydencji na morze w oddali, nagle poczuła na lewo od siebie nieznaczny ruch. Ktoś nadchodził ścieżką od strony skalnego ogrodu. Zatrzymał się niedaleko drzewa, na którym siedziała, przysłonił oczy dłonią i patrzył na ścieżkę. Nie mogła rozpoznać, co to za osoba, widziała jedynie wysoką sylwetkę w ciemnym płaszczu. Może to był Neville, może jej szukał. Serce zabiło jej z radości. Nie miałby na pewno nic przeciwko temu, że wdrapała się na drzewo. Pomachała, zdała sobie jednak sprawę, że to nie on.

Mężczyzna, a może kobieta? W każdym razie tajemniczy nieznajomy zniknął. Może stropiło go, że widzi ją na drzewie? A może, ktokolwiek to był, nie zauważył jej?

Lily ogarnął niewytłumaczalny smutek. Samotność najwidoczniej nie służyła jej dzisiaj. Wróci do domu, postanowiła, schodząc ostrożnie z drzewa na ziemię i wkraczając na ścieżkę prowadzącą do skalnego ogrodu. Może Elizabeth zechce wybrać się z nią na spacer?

W połowie drogi, kiedy znalazła się na zakręcie, wpadła niemal na księcia Portfrey, który szedł z przeciwnej strony. Miał na sobie ciemny płaszcz.

- Och - powiedziała. - To był pan.

- Byłem w stajniach, kiedy przechodziłaś tamtędy jakiś czas temu - wyjaśnił. - Domyśliłem się, że idziesz ścieżką rododendronową. Postanowiłem, że wyjdę ci naprzeciwko. - Podał jej ramię.

- To miło z pana strony - odparła. Dlaczego jednak stał tam potajemnie, szukając jej, a może kogoś innego, a potem wycofał się, by znów wrócić, udając, że dopiero teraz idzie jej na spotkanie? - Nic nie szkodzi - odparł. - Lily, opowiadałaś mi jakiś czas temu o swojej matce, przerwano nam wtedy.

Uczyniła to Elizabeth, która uznała, że jego pytania stają się zbyt dociekliwe.

- Tak.

- Powiedz, czy ona też pochodziła z hrabstwa Leicester?

- Tak mi się wydaje.

- A jak brzmiało jej panieńskie nazwisko?

Lily odpowiedziała, że nie ma pojęcia. Jego drobiazgowo wypytywanie wprowadzało ją w niepokój.

- Jak wyglądała? - pytał dalej. - Czy była podobna do ciebie?

Nie. Jej matka była pulchna i miała okrągłą, rumianą twarz i ciemne oczy. Była

wysoka, a taką się przynajmniej zdawała dziecku, które miało zaledwie siedem lat w chwili jej śmierci. Miała szerokie, miękkie piersi, na których można było złożyć głowę, chociaż Lily oczywiście przemilczała ten fakt.

- Ile ty masz dokładnie lat, Lily? - spytał książę.

- Dwadzieścia, proszę pana.

- Ach. - Zamilkł na chwilę. - Dwadzieścia. Nie wyglądasz na tyle Kiedy dokładnie się urodziłaś?

- Mam dwadzieścia lat proszę pana - powtórzyła stanowczo, coraz bardziej zirytowana natarczywymi pytaniami.

Minęli już ogród skalny i doszli do fontanny. Książę spojrzał na nią.

- Przepraszam cię, Lily. Zachowuję się arogancko. Przebac mi, proszę. Chodzi po prostu o to, że przypomniałaś mi o mojej starej... ach, obsesji, sądzę, że tak to można nazwać, o której, jak mi się wydawało, już dawno zapomniałem, dopóki nie pojawiłaś się w wiejskim kościele.

Wprawiał ją w zakłopotanie. I niepokoił. Nie była pewna, czy nie powinna się go trochę obawiać.

- Przebac mi. - Zatrzymał się przy fontannie, uśmiechnął i uniósł jej dłoń do swych ust.

- Oczywiście, książę - odparła uprzejmie, zabierając dłoń i ruszając pospiesznie schodami wiodącymi na taras. Zapomniała, że w takim stanie powinna pobiec do wejścia dla służby. Miała jednak szczęście, że nie zauważył jej nikt oprócz lokaja Jonesa, który zaczerwienił się i odpowiedział na jej radosne powitanie z zakłopotanym uśmiechem.

Pomyślała, że książę Portfrey ma ujmującą elegancką aparycję i miły uśmiech. Popełniłaby jednak głupstwo, gdyby przestała się go obawiać.

\*

Następnego dnia Neville wyszedł wcześniej z domu razem ze swym rządcą w sprawach majątku. Nie dochodziło jeszcze południe, kiedy wrócił sam, przechodząc przez wieś. Postanowił zajrzeć do wdowiego domku, by sprawdzić, co słychać u Lauren i Gwen, chociaż obydwie niemal co dzień przychodziły z wizytą do pałacu. Lauren uparła się, by zachowywać się tak, jakby nic złego się nie stało. Można by powiedzieć, że wzięła Lily pod swe skrzydła. Czasami nawet czytała jej lub grała na fortepianie. Chociaż wyglądało na to, że wszystko obróciło się na dobre, Neville'a wciąż dręczył niepokój.

Gwendoline siedziała sama w porannym salonie. Na widok brata odłożyła książkę i

nadstawiła do pocałunku policzek. Nie obdarzyła go uśmiechem. Gwen nie uśmiechała się zbyt często ostatnimi czasy.

- Minąłeś się z Lily o jakiś kwadrans - oznajmiła. - Przyszła tutaj po spacerze na plażę. Wróciła do pałacu przez las zamiast drogą. Zachowuje się bardzo niekonwencjonalnie.

- Jeśli to miała być krytyka, daruj sobie, Gwen - odparł. - Lily ma moje pełne poparcie, by zachowywać się tak niekonwencjonalnie, jak tylko zechce.

Zmierzyła go wzrokiem.

- W takim razie nigdy nie zdoła się dostosować - powiedziała. - Postępujesz nierozsądnie, Neville. Powiem ci jednak, co niepokoi mnie bardziej, niż mogę to wyrazić. W pewnym sensie zazdroszczę jej. Nigdy nie brodziłam w morskiej wodzie, w każdym razie nigdy od czasu dzieciństwa. Nigdy nie wspięłam się na tamtą skałę i nie zrzuciłam kapelusza i nie zdjęłam pończoch. Ja nigdy nawet... nie zesłam ze ścieżki do lasu.

Popatrzyli na siebie poważnie, a potem uśmiechnęli się smutno.

- Nie darz jej nienawiścią, Gwen. Nie chciała przecież nikogo urazić. Czuje się taka samotna. Nie jestem pewien, czy moje oparcie wystarcza jej. Potrzebuje pomocy.

Podniosła koronkę ze stolika stojącego obok i pochyliła się nad robótką.

- Miałam takie miłe marzenie - powiedziała. - Poślubiasz Lauren i mieszkasz z nią w pałacu. Ja mieszkam tu, z mamą. Wszyscy razem, tak jak kiedyś, zanim... poślubiłam Vernona. Teraz wszystko zaprzepaszczone. A Lauren cierpi tak bardzo, że nawet mi się z tego nie zwierza. Nev, zawsze o wszystkim rozmawiałyśmy.

- Gdzie jest teraz?

- Wyszła kilka minut po Lily - odparła. - Powiedziała, że musi zaczerpnąć powietrza i przyda jej się trochę ruchu, nie chciała jednak, bym z nią poszła. Chciałabym, by nie starała się traktować Lily jakby wypełniała jakiś obowiązek. Musi koniecznie udowodnić, że może być ponad niechęcią, że potrafi zapomnieć o urazach, że nadal jest wzorową damą, tak jak zawsze. Gdyby tylko mogła...

- Ciskać we mnie przedmiotami i nienawidzić Lily? - podpowiedział, kiedy się zawahała.

- Chociażby - odparła. - To byłby zdrowszy odruch, Nev. Lub gdyby zmoczyła kilka ręczników swymi łzami. Mówiła nawet o powrocie do pałacu, żeby być zawsze do dyspozycji Lily, by mogła jej pomóc dawać sobie radę z nowym życiem.

- Nie - odparł stanowczo.

- Nie - zgodziła się. - Zachoruję na trąd lub coś równie śmiertelnie niebezpiecznego, żeby została tutaj, by się mną opiekować.

Znów uśmiechnęli się do siebie krótko, a Gwen powróciła do robótki.

- Może zaproponuję, by Lauren pojechała do Londynu, przynajmniej na jakiś czas. Elizabeth wraca do stolicy za kilka dni. Z pewnością będzie rada z towarzystwa Lauren. Twojego również.

- Do Londynu? - Spojrzała na niego zaskoczona. - Och, nie, Neville Nie, nie chcę tam jechać. Lauren też by nie chciała. Masz na myśli znalezienie jej męża? Jeszcze za wcześnie. Poza tym, Lauren zapewne... nasza cała rodzina cieszy się teraz niezdrowym zainteresowaniem.

Skrzywił się. Rzeczywiście, nie pomyślał o rym. Wydarzenia ostatniego tygodnia z pewnością stały się pożywką dla spragnionego sensacji i skandalu towarzystwa. Wielu jego członków przybyło do Newbury na ślub. A ci, których nie było, chętnie dowiedzą się szczegółów. Gdyby Lauren pokazała się w tym roku w Londynie, czekałoby ją tam tylko upokorzenie.

Westchnął i wstał.

- Mam wrażenie, że wszyscy potrzebujemy trochę czasu - powiedział. - Chciałbym wziąć cały ciężar tego, co się stało, na swoje barki, by nie narażać was na cierpienie. Biedna Lily. Biedna Lauren. I biedna Gwen.

Odłożyła robótkę i odprowadziła brata do stajni, gdzie zostawił konia. Wzięła go pod ramię, więc zwolnił kroku.

- A kiedy minie jakiś czas, czy będziesz szczęśliwy, Nev? - spytała. - Czy teraz możesz być szczęśliwy?

- Tak - odparł.

- Więc lepiej naucz Lily. A jeszcze lepiej pozwól mamie, by ją nauczyła.

- Nie pozwolę, by Lily czuła się nieszczęśliwa, Gwen.

- A czy jest szczęśliwa w obecnym położeniu? - krzyknęła. - Czy ktokolwiek z nas jest szczęśliwy? A zresztą, jakie to ma znaczenie? Jeśli jesteśmy nieszczęśliwi, to nie wina Lily. I nawet, jak mi się wydaje, nie twoja. Dlaczego zawsze szukamy sprawcy własnego nieszczęścia w kimś innym? Chodzi po prostu o to, że od początku postanowiłam, że znenawidzę Lily.

- Gwen, Lily to moja żona - powiedział. - Zawarłem to małżeństwo z miłości, nie zapominaj o tym.

- Och? - Uniosła brwi. - Naprawdę? Biedna Lauren.

Nie powiedziała nic więcej, uniosła jedynie rękę w pożegnalnym geście, gdy ruszył w dalszą drogę.

Kiedy po powrocie zostawił konia stajennemu, by ten odprowadził go do boksu, okazało się, że Lily nie wróciła jeszcze do pałacu, chociaż opuściła domek wdowi dobre pół godziny temu. Gdzie się podziała? Trudno było zgadnąć, wiedział jednak, że poszła potem do lasu. Może nadal tam była. Nie znaczy to, że łatwo byłoby ją odnaleźć.

A może zgubiła drogę? Zawrócił koło fontanny i minął szeroki trawnik, ruszając w kierunku drzew.

Mógłby błądzić tam przez godzinę i nie znaleźć jej. Jednak przez zwykły przypadek ujrzał ją niemal natychmiast. Wpadła mu w oczy niebieska suknia, pierwszy nowy strój, jaki jej sprawił. Lily stała nieruchomo, obejmując obiema rękami pień drzewa. Nie chciał jej przestraszyć. Wcale się do niej nie skradał. Mimo to, zobaczył w jej oczach lęk.

- Och. - Zamknęła je na moment. - To tylko ty.

- Czyżbyś spodziewała się kogoś innego? - spytał z ciekawością. Nie miała na głowie kapelusza - gdyby tylko zobaczyła to jego matka! - miała za to starannie ufryzowane włosy.

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem - powiedziała. - Może księcia Portfrey.

- Księcia? - zmarszczył brwi.

- Co się stało z twoim płaszczem? - spytała.

- Nie założyłem dzisiaj płaszcza - odparł, spoglądając na swój strój do konnej jazdy. - Jest za ciepło.

- Ach. W takim razie pomyliłam się.

Nie chciał jej dotykać, pochylił się jednak bliżej.

- Dlaczego się przestraszyłaś?

Uśmiechnęła się słabo.

- Wcale nie. Naprawdę. Nic się nie stało. Przestraszyłam się własnego cienia.

Przyjrzał się jej uważnie. Wciąż jeszcze tuliła się do drzewa, wyglądała jak zagubione dziecko rozpaczliwie szukające schronienia i bezpieczeństwa. Nowa, bolesna myśl przyszła mu do głowy.

- Myślałem o twojej niewoli i pobycie w Lizbonie, gdzie próbowałaś znaleźć kogoś w Wojsku, kto uwierzyłby w twoją opowieść. Jest jednak pewien okres, o którym nie wspomniałaś, mam rację? Byłaś gdzieś w Hiszpanii i dostałaś się do Lizbony, idąc na piechotę przez całą Portugalię. Sama, Lily?

Skinęła głową.

- A każde wzgórze, wklęsłość terenu czy zarośla mogły skrywać bandę partyzantów - ciągnął. - Lub francuski oddział, który zaplątał się z dala od swych pozycji. A nawet naszych

ludzi. Nie miałaś żadnych papierów. Powiniennem pomyśleć o tamtej podróży, prawda? - Jaki strach musiała przeżywać w tej długiej drodze, oprócz trapiących ją niewygód fizycznych?

- W życiu każdego wpisane jest cierpienie - powiedziała. - Wystarczy, że sami musimy je przeżywać. Nie musimy się obarczać zmartwieniami innych osób.

- Nawet jeśli jedną z nich jest własna żona? - spytał.

Umilkł na chwilę, zawstydzony, że aż dotąd nie pomyślał o jej mozolnej, samotnej i pełnej niebezpieczeństw wędrówce przez półwysep.

- Wybacz mi, Lily.

- Co? - Uśmiechnęła się do niego i znów przypominała słodką, czarodziejską, dawną Lily. - Ten las jest piękny. Stary. Zaciszny. Pełen ptaków i ich śpiewu.

- Z czasem wszystko się ułoży - powiedział. - W końcu uwierzysz, że tu, w Anglii jesteś bezpieczna. Że tu jest twój dom. Nic ci tu nie grozi, Lily.

- Nie boję się teraz - zapewniła go, jej poważny uśmiech zdawał się zaprzeczać tym słowom. - To było tylko... takie uczucie. Byłam niemądra. Czy jestem spóźniona? Dlatego mnie szukałeś? Mamy jakichś gości? Zapomniałam, że ciągle ktoś nas odwiedza.

- Nie spóźniłaś się - zapewnił. - Nie ma żadnych gości, przyjadą dopiero wieczorem. Nawet jednak gdybyś się spóźniła, nie miałyby to znaczenia. Pragnę, byś czuła się tutaj wolna, Lily. To twój dom.

Nie odpowiedziała, skinęła jedynie głową. Odruchowo wyciągnął do niej rękę. Zanim ją cofnął, podała mu swoją i splotła palce, jakby dotykanie go było dla niej najnaturalniejszą rzeczą na świecie. Ujął mocno jej ciepłą, gładką dłoń, kiedy ruszyli w drogę powrotną do domu.

Po raz pierwszy od tamtego popołudnia w domku mógł jej dotykać. Spojrzał na jej jasne włosy, splecione na karku w węzeł z warkocza.

Zmieniła się. Nie była już tą Lily Doyle, niefrasobliwą, młodą kobietą, która potrafiła zmiękczyć serca najtwardszych wojaków w Portugalii. Straciła swą niewinność.

Po południu zrobiło się niezwykle gorąco jak na tę porę roku. Wieczorem nadal było ciepło, a nieco przed północą zapanował miły chłód, kiedy Neville, odprowadzając gości, wyszedł z nimi na taras. Ciotka i wuj Wollstonowie, ich synowie, Hal i Richard, Lauren i Gwen, Charles Cannadine z matką i siostrą, Paul Longford, lord i lady Leigh z najstarszą córką - wszyscy przybyli na obiad i zostali, by wieczorem posłuchać muzyki i zagrać w karty.

Neville wiedział, że dla Lily to ciężki wieczór. Nie grała w karty - biedna Lily, kolejna nieumiejętność, jaką jego przyjaciele i sąsiedzi odkryli u niej. I chociaż mogła znaleźć stosowne towarzystwo w osobach Hala i Richarda, a może nawet Charlesa i Paula - nie bez zdziwienia odkrył, że zawsze lepiej czuła się w męskim niż kobiecym towarzystwie - dostała się pod skrzydła lady Leigh i pani Cannadine, które pilnie tropiły wszystkie jej uchybienia. Następnie przeszła z Lauren do pokoju muzycznego, gdzie wszystkie młode panny oprócz niej, mogły popisać się swym muzycznym kunsztem.

To doprawdy fascynujące, że lady Kilbourne musiała spać na twardej ziemi pod gwiazdami w Portugalii, otoczona setką mężczyzn, lady Leigh zapewniła później Neville'a. Ukochana żona jego lordowskiej mości musi im jeszcze opowiedzieć więcej o swych szokujących doświadczeniach.

Z pewnością bywało ich więcej niż setka, pomyślał Neville z rozbawieniem, i zastanowił się, czy panie, najwyraźniej podniecone taką skandaliczną przeszłością młodej hrabiny, zdają sobie sprawę, że czasami większa liczba oznaczała większe bezpieczeństwo.

Czuł się nadal niespokojny, kiedy wszyscy poszli już spać. Przebywanie w towarzystwie Lily dzisiejszego ranka, rozmowa z nią i spacer, dotyk jej ręki, obudziły w nim pragnienie, o którym próbował zapomnieć. Nie była to jedynie fizyczna namiętność, nade wszystko głęboko pragnął zespolenia dusz, bliskości umysłów i serc. Zdał sobie sprawę, nigdy nie odczuwał takiej potrzeby, kiedy był z Lauren. Z nią wystarczała mu spokojna przyjaźń i przywiązanie, które łączyło ich od zawsze. Ale nie z Lily.

Walczył z pokusą, by pójść do jej pokoju, czego nie robił od chwili ich wspólnej wizyty w domku. Bał się, że będzie chciał znaleźć wymówkę, by zostać z nią na noc.

Nagle pochylił się do okna sypialni, przez które wpatrywał się beczynn timer. Zacisnął ręce na parapecie. Tak, to była Lily. Czyżby go mylił wzrok? Kto inny miałby opuszczać o tej porze dom? Płaszcz powiewał za nią, kiedy pospiesznie szła w kierunku ścieżki prowadzącej do doliny. Jej włosy, puszczone luźno na plecy rozwiewał lekki wiatr.

Najpierw zdziwił się, że zdecydowała się wyjść sama w środku nocy, chociaż bała się

w lesie za dnia. Jednak tylko przez chwilę. Zrozumiał szybko, że jeśli Lily wciąż dręczą koszmary, to wyjdzie im naprzeciw i stawi im czoło. Wiedział, że potrafi czerpać siłę i spokój z samotności, którą umiała znaleźć nawet pośród tłumu żołnierzy.

Powinien zostawić ją samą.

Powinien pozwolić jej odnaleźć pociechę na plaży pod gwiazdami, pozwolić, by sama natura ukoili jej zbolale serce.

A przeciez tęsknil za nią okropnie. Chcial być czescią jej zycia, jej swiata. Pragnął ofiarować się jej, jak jeszcze nigdy nie ofiarował się innej kobiecie. Pragnął, by ona również mu zaufała, by chciała podzielić się z nim sobą.

Pragnął jej przebaczenia, chociaz wiedzial, że ona uważala, że nie ma powodu, by mu przebaczyć. Chcial jakoś to odpokutować.

Powinien zostawić ją samą.

Jednak czasami trudno zwalczyć egoizm. A może nie tylko egoizm ciągnął go do niej. Może z dala od domu, w pięknie księżycowej nocy, mogliby odnaleźć dawną bliskość. Może skrępowanie, które dzieliło ich od jej przybycia - a zwłaszcza od tamtego popołudnia - mogłoby wreszcie zniknąć. Ich poranne spotkanie stanowiło pewną obietnicę. Może...

Może po prostu szukał wymówki, jakiegokolwiek wymówki, by zrobić to, co zamierzał zrobić. Znalazł się szybko w garderobie, przywdział strój do konnej jazdy, który kamerdyner przygotował mu na następny dzień.

Wyszedł, by ją odszukać.

Dopilnuje przynajmniej, by była bezpieczna, by nie stało się jej nic złego.

\*

Od czasu pikniku Lily była na plaży tylko raz, wczesnie rano, kiedy padał deszcz. Po jej powrocie Dolly utyskiwała, przewidując ponuro, że jej pani przeziębii się na śmierć, chociaz miała na sobie pożyczony płaszcz z kapturem. Lily wybrała się na plażę, ale nigdy więcej nie poszła do doliny, do jeziora i domku.

Było to z pewnością jedno z najpiękniejszych miejsc na ziemi, zepsuła je, kiedy przestraszyła się pocałunku. Nie chciała uwierzyć w piękno, spokój i dobroć, i została przez to ukarana. Od tamtego dnia nie mogła znaleźć spokoju ani zadowolenia. Ogarnął ją strach. Zaczęła wyobrażać sobie mężczyzn, a może kobiety, w ciemnych płaszczach skradających się po jej śladach. Nie umiała przezwyciężyć obaw i pogardzała sobą za tę słabość.

Ten wieczór był dla niej wyjątkowo wyczerpujący. Nie chodziło o liczbę gości. Ani o to, że ktoś zachowywał się wobec niej nieuprzejmie lub otwarcie okazywał dezaprobatę. Ani

nawet o to, że czuła się tam nie na miejscu. Po prostu po tygodniu spędzonym w Newbury Abbey Lily zdała sobie sprawę, że ten wieczór zapowiadał wiele podobnych wieczorów, które nadejdą w przyszłości. A takie dni jak ten będą powtarzać się stale przez następne lata.

Może w końcu potrafi się dostosować. Może żaden następny tydzień nie będzie tak trudny jak ten, który minął. Jednak coś zniknęło na zawsze z jej życia - jakaś nadzieja, marzenia.

Zamiast nich pojawił się strach.

Strach przed nieznanym. A może wcale nie był to nieznanym. Książę Portfrey zawsze przyglądał się jej, kiedy była w domu. A może też wtedy, kiedy wychodziła na dwór, szukając samotności? A może to nie był on? Może Lauren. Przychodziła do pałacu każdego dnia i niezmiennie nie odstępowała Lily na krok, zachowywała się wobec niej uprzedzająco grzecznie, dbała o jej dobre samopoczucie, pragnęła nauczyć ją tego, co powinna wiedzieć, i robiła za Lily to, czego dziewczyna nie potrafiła. Zachowywała się łaskawie i uprzejmie. Zupełnie inaczej, niż można by się spodziewać, to na pewno. Spokój i pogoda, z jaką znosiła swoją niewesołą sytuację, były nienaturalne. Już sama myśl o tym przyprawiała Lily o dreszcze. Może to Lauren uważała, że należy mieć na nią oko. Może w jakiś złośliwy sposób starała się uprzykrzać Lily życie, a nawet chciała przestraszyć ją, i w ten sposób zmusić do odejścia.

A może, pomyślała Lily z drżeniem, nie było nikogo, ani mężczyzny, ani kobiety, ani znajomego, ani nieznanego.

Zdała sobie sprawę, stojąc w sypialni i spoglądając tęsknie przez okno, że nie powinna pozwolić, by rządził nią strach. To by ją ostatecznie zniszczyło. Kiedyś poddała mu się, wybierając życie i postanowiła oddać się mężczyźnie, zamiast tortur i śmierci. W pewien sposób przebaczyła sobie za ten wybór. Jak powiedział jej Neville - i jak uczył ją kiedyś ojciec - żołnierz ma obowiązek zachować życie w niewoli i uciec, kiedy tylko nadarzy się taka sposobność. Została złapana podczas wojny. Ale wojna się już skończyła. Teraz była w Anglii. W domu. Nie pozwoli, by strach zapanował nad nią.

Wyszła więc na dwór, by stawić czoło najgorszemu. Postać w płaszczu, którą spostrzegła na ścieżce rododendronowej i w lesie, nie wywoływała najgorszego strachu. Najgorszy związany był z domkiem.

Noc była spokojna, oświetlona światłem księżyca i gwiazd. Było niemal ciepło. Płaszcz, który miała na sobie, wydawał się niepotrzebny, chociaż, pomyślała, zbiegając przez trawnik do ścieżki okolonej drzewami, na pewno przyda się w dolinie. Zwłaszcza jeśli zostanie tam na noc. Pomyślała, że mogłaby zrobić tak jak tamtej pierwszej nocy, kiedy

wyrzucono ją z pałacu. Mogłaby przespać się na plaży; skoro już zmusi się do odwiedzenia domku, niekoniecznie przecież musi wchodzić do środka. Teraz, kiedy wyszła z pałacu, niektóre z jej strachów ulotniły się i nie była pewna, czy potrafiłaby zmusić się do powrotu. Wolałaby nigdy tam nie wracać.

Stała na chwilę, kiedy doszła do doliny. Plaża oświetlona światłem księżycy i morze w czasie przyływu nęciły. Piasek w księżycowym blasku wyglądał jak jasna wstęga. Spacer boso byłby pociechą dla jej duszy, podobnie jak wspinaczka na skałę. Nie po to tu jednak przyszła. Odwróciła głowę niechętnie ku dolinie.

Ujrzała zaczarowany świat - porośnięte paprociami urwisko, ciemnozielone i tajemnicze, srebrną wstążkę wodospadu. Domek, stanowiący jakby nieodłączną część otoczenia, zdawał się wręcz stworzony przez naturę, a nie człowieka. Takiego właśnie miejsca potrzebowała, by rozprawić się z dręczącymi ją lękami.

Odwróciła się powoli w tym kierunku i powoli zbliżyła się do jeziora. Podchodząc, wiedziała, że robi to, co powinna. Istniało coś w tej niewielkiej połaci doliny, co odróżniało ją od plaży czy innej części parku - a nawet każdego innego miejsca na ziemi. Neville miał rację, ona również miała rację - było to jedno z tych szczególnych miejsc na świecie, jedno z tych miejsc, gdzie odczuwało się tajemniczą obecność... Zawahała się, czy można nazwać to bogiem. Bóg z kościołów był taki ograniczony. Znajdowała się w miejscu, gdzie wszystko stawało się zrozumiałe, gdzie mogła czuć i ogarnąć myślą wszystko, co tylko istnieje.

A przecież nie chodziło o to, by coś zrozumieć. Chodziło o to, by zaufać tajemnicy.

Niektórzy potrzebują odwagi, by uwierzyć w miejsca takie jak to. Ona straciła swą odwagę tamtego popołudnia, po pikniku. Musiała ją teraz odzyskać.

Stała wśród paproci gęsto porastających brzegi jeziora. Po kilku minutach rozplątała tasiemki płaszcza zawiązane przy szyi i odrzuciła okrycie. Po chwili krótkiego wahania zdjęła starą sukienkę i zrzuciła buty, zostając w samej koszulce. Powietrze było chłodne, ale ktoś, kto spędził większość życia na dworze, nie odczuwał tego jak dojmującego zimna. A ona chciała czuć. Stała bez ruchu. Po kilku minutach odchyliła do tyłu głowę i zamknęła oczy. Nie chciała odbierać piękna księżycowego krajobrazu tylko wzrokiem. Chciała słyszeć wodę, owady i mewy. Chciała czuć zapach paproci i świeżej wody w wodospadzie, zapach słonego morza. I czuć zimne nocne powietrze na ciele oraz paprocie i ziemię pod bosymi stopami.

Znów otworzyła oczy, kiedy jej zmysły dostosowały się do otoczenia. Spojrzała w ciemne, bezdenne wody jeziora. Wpadał doń z urwiska połyskujący, jasny wodospad. Ciemność i światło stawały się jednym.

- O czym myślisz?

Głos, jego głos, rozległ się zza jej pleców, z bliskiej odległości. Słowa wypowiedziane były miękko. Nie widziała ani nie słyszała, kiedy do niej podszedł, a mimo to, o dziwo, nie przestraszyło jej to ani nawet nie zaskoczyło. Nie ogarnął jej strach, to okropne uczucie, że coś groźnego skrada się ku niej, które rano pojawiło się na ścieżce rododendronowej, a potem w lesie. To dobrze, że przyszedł. Tak właśnie powinno być. Nie odwróciła się.

- Myślę o tym, że nie tylko przyglądam się temu, co mnie otacza - odpowiedziała - ale że jestem częścią tego wszystkiego. Ludzie często mówią o obserwowaniu przyrody. Mówiąc tak, kreślą dystans pomiędzy sobą i tym, co tak naprawdę jest częścią nich samych. Zatracają cząstkę swego istnienia. Ja nie tylko się temu przyglądam, ja po prostu jestem.

Nie obmyślała wcześniej swych słów, nie planowała, co powie, formułując własną filozofię życia. Słowa płynęły prosto z jej serca do jego serca. Nigdy i z nikim nie dzieliła się tak głęboko i szczerze swymi przemyśleniami. Z nim wydawało się to takie naturalne. On z pewnością potrafi to zrozumieć.

Nie odpowiedział. Odpowiedziała za niego cisza. Nagle doznała uczucia absolutnego spokoju, idealnej wspólnoty duchowej.

Podszedł do niej, wierzchem dłoni dotykając jej włosów na skroniach.

- W takim razie powinnaś się jeszcze pozbyć reszty ubrania, mała wodna nimfo - powiedział.

Słowa wcale nie zabrzmiały dwuznacznie. Wyrażały tylko zrozumienie i akceptację, których się spodziewała. Kiedy podniosła ramiona i zdjęła przez głowę koszulkę, on zaczął ściągać płaszcz, kurtkę i koszulę.

- Miałaś zamiar popływać, prawda? - zapytał.

Tak. Nie myślała o tym wprawdzie, ale tak, to byłby kolejny krok, nawet jeśli on nie wypowiedziałby tego za nią. Musiała zanurzyć się w wody jeziora, by stać się nieodłączną częścią tego piękna i spokoju, które odzyskała, tego cudownego daru.

Skinęła głową. On również stanowił część tego wszystkiego, wspaniały w swej nagości, kiedy pozbył się ostatniej części ubrania. Spojrzeli na siebie ze szczerym uznaniem i... tak, to było pożądanie, głód, potrzeba. I jeszcze więcej. Pragnienie duszy, ważniejsze w tej chwili niż tęsknota ciała.

Poza tym mieli przed sobą całą noc...

Podszedł do jeziora i zanurkował, wynurzył się z wody, chwytając powietrze i potrząsając głową jak zmoknięty psiak. Jego zęby zabłysnęły bielą w świetle księżyca. Zanim jednak odezwał się, Lily podążyła jego śladem.

Woda była zimna. Paralizująco, wstrząsająco zimna. Czysta, słodka i oczyszczająca. Lily czuła, jakby woda przenikała ją na wskroś, uspokajała, oczyszczała i odświeżała. Kiedy wreszcie zanurzyła się w niej, a potem wypłynęła, ujrzała, że woda wcale nie jest ciemna, lecz błyszcząca w świetle księżyca. Zrozumiała, że ciemność była tylko pozorem. Ciemność i jasność dopełniały się nawzajem.

Jeziorko nie było ani duże, ani głębokie. Pływali przez kilka minut pomiędzy jego brzegami, nie mówiąc nic, słowa były zbędne. Potem podpłynęli blisko wodospadu i wyciągnęli ręce, by czuć ostre igielki wody spadającej między ich palcami.

- Poczekaj - odezwał się w końcu Neville. Opierając dłonie o brzeg, wspiał się nań jednym zręcznym ruchem.

Lily unosiła się leniwie na plecach, aż wrócił z domku okręcony na biodrach ręcznikiem, z drugim na ramieniu. Podał jej rękę i pomógł wyjść z wody, a potem otulił jej drżące ciało. Wycisnął wodę z jej włosów i podał następny ręcznik, by zawiązała go na nich jak turban.

- Możemy napalić w kominku, jeśli chcesz wejść do domku, Lily - zaproponował. Nic ci nie grozi z mojej strony. Nie dotknę cię bez twojej zgody. Nie chciałabyś się ogrzać?

O tak, propozycja była kusząca. Jeszcze bardziej kusząca była myśl, by przedłużyć tę noc magii, tę noc, kiedy mogła się upewnić, że wszystkie smutki i obawy rozwieją się na zawsze. Zdawała sobie oczywiście sprawę, że życie wcale nie jest takie proste, wiedziała jednak, że takie chwile jak ta, są bezcenne, są balsamem na ukojenie duszy.

Nocą taką jak ta miłość może stać się wszystkim.

Uśmiechnęła się.

- Tak. Nie boję się. Czy mogłabym po tym wszystkim? - Wskazała za siebie. Wiedziała, że Neville zrozumie, o co jej chodzi. Razem z nią stał się częścią tego. - Chcę wejść do środka. Z tobą.

\*

Lily pomyślała, że Neville zna domek bardzo dobrze. W ciemnościach znalazł ręczniki, a teraz tylko kilka sekund zajęło mu odszukanie świec i hubki z krzesiwem, by w domku pojawiło się przytulne światło. Kiedy ubierała się w koszulkę i sukienkę, przykłęknął przy kominku i zapalił przygotowane tam polana. Pojawiło się więcej światła i przyjemny zapach palącego się drewna. Niemal natychmiast zrobiło się ciepło.

Resztki strachu zginęły.

Ubrawszy się, usiadł na krześle stojącym przy kominku - nie założył jedynie płaszcza

- a Lily kucnęła z podwiniętymi nogami na podłodze przy ogniu, próbując wysuszyć włosy w ciepłe dochodzącym z kominka. Przypomniało mu się spokojne, swobodne życie w obozie, chociaż Lily nigdy z nim tak nie siedziała - jej ojca i majora Newbury dzieliła przecież duża różnica społeczna.

- Czy po śmierci taty żałowałaś, że nie zrobiłaś lub nie powiedziałaś mu tych wszystkich rzeczy, które pragnęłabyś zrobić lub powiedzieć, gdybyś tylko wiedziała, że wtedy umrze? - spytał, najwyraźniej wyczuwając o czym myśli. - A może miałaś zawsze świadomość, że żołnierz może zginąć w każdej chwili, że istnieje możliwość, że nie zdąży się czegoś powiedzieć lub zrobić?

- Chyba to drugie - odparła po krótkim namyśle. - Na szczęście mogłam być z nim zawsze aż do tamtego dnia. Na szczęście miałam ojca, który kochał mnie bardzo i którego ja niezmiernie kochałam. Chciałabym dowiedzieć się, co przechowywał dla mnie z taką troską. Tyle razy powtarzał, że w jego plecaku jest coś dla mnie, coś cennego. Niestety, nie miałam okazji, by to sprawdzić - zostawił plecak w głównym obozie. Najważniejsze jest jednak to, że wiem, że mnie kochał i chciał zabezpieczyć moją przyszłość. - Spojrzała na Nevilla. - Ty nie miałeś tyle szczęścia?

- Mój ojciec należał do ludzi czynu - odpowiedział. - Lubił decydować o poczynaniach swoich bliskich. Robił to, oczywiście, ponieważ nas kochał. Zaplanował nasze życie - Gwen, Lauren i moje. Buntowałem się. Chciałem postępować po swojemu. Czasami nawet zachowywałem się zbyt nieustępliwie. Ojciec nie chciał, bym zaciągnął się do wojska, ale w końcu pogodził się z tym i radził, bym wybrał kawalerię, jako bardziej szacowną formację, ja zaś uparłem się na piechotę, którą on uważał za coś poniżej godności syna hrabiego. Kochałem go, Lily. Dziś wiem, że w swoim czasie ustatkowałbym się i znów darzył go szacunkiem należnym ojcu. Jednak zmarł, zanim mogłem mu to wszystko powiedzieć.

- Na pewno to wiedział. - Objęła ramionami kolana. - Jeśli kochał cię tak, jak ty jego, z pewnością to rozumiał. Nie możesz się obwiniać. Nie zrobiłeś nigdy nic, co by okryło go hańbą. Jestem pewna, że był z ciebie dumny.

- A co sprawia, że w dwudziestej wiosnie życia jesteś już taka mądra? - spytał, na jego ustach pojawił się uśmiech.

- Poznałam wielu ludzi w ciągu tych dwudziestu lat - odparła. - Bardzo różnych ludzi. Nauczyłam się słuchać i wiem, że każdy człowiek ma coś ważnego do powiedzenia.

- Szkoda, że nie znałem twojej mamy - powiedział. - Była jedną z tych nieugiętych kobiet, które podążały za wojskiem nawet wtedy, kiedy miały już dzieci. Miałem oczywiście szczęście, że tak zrobiła, i że twój ojciec był do ciebie tak przywiązany, że zawsze zabierał cię

ze sobą. Wychowali wyjątkową córkę.

- Ponieważ sami byli wyjątkowi - odparła. - Ja też żałuję, że nie poznałam mamy lepiej. Pamiętam ją, ale są to jakieś mgliste wspomnienia. Spokój, bezpieczeństwo i miłość. Na szczęście, miałam ją tak długo dla siebie i miałam tatę. Ty również miałeś szczęście, że miałeś takiego ojca, zależało mu na tobie tak bardzo, że pozwolił ci odejść. Uczynił to dla ciebie. Wykupił ci patent oficerski, a nawet pozwolił ci wybrać oddział, którego nie pochwalał. Cieszę się ze względu na siebie, że to zrobił.

Uśmiechnęli się do siebie.

Rozmawiali jeszcze około godziny, w tym czasie ogień zaczął dogasać, więc musieli dołożyć drewna. Rozmawiali na różne tematy, z przyjemnością i łatwością, jakich nie zaznali przez ostatni tydzień. Zupełnie jak za dawnych czasów.

W końcu zapadło między nimi niezręczne milczenie. Lily czuła zmieniającą się atmosferę, ale nic nie robiła. Tej nocy postanowiła nie zważać na strach, poddać się temu, co niesie jej życie. Postanowiła, że zda się na to, co ma być.

- Lily - powiedział w końcu Neville, nadal siedząc wygodnie na krześle. - Chciałbym się z tobą kochać. Czy też tego chcesz?

- Tak - wyszeptała.

- Tutaj? - spytał. - Na łóżku w sąsiednim pokoju? W tym domku? By zetrzeć wspomnienie tego, co stało się, kiedy byliśmy tu poprzednim razem?

- Czyż nie dlatego tutaj przyszliśmy? - odparła. - By poddać się magii, by znów być sobą, być razem pomimo tego, co się stało i co się dzieje nadal. Razem, tak jak tam, w jezioru i tutaj przy kominku. I razem... tam. - Skinęła głową w kierunku sypialni.

- Nie bój się - powiedział. - Ani przez chwilę. Bez względu na to, jak bardzo ulegnę namiętności, powstrzymam się od razu, kiedy tylko mi powiesz. Wierzysz mi?

- Tak - odparła. - Wierzę.

Wiedziała, że będzie tego chciała. Że będzie chciała go powstrzymać, zanim zacznie się z nią kochać. Ponieważ kiedy się połączą, będzie już wiedziała. Dowie się, czy marzenia o miłości muszą umrzeć na zawsze. A potem będzie już wiedziała, czy Neville potrafi znieść świadomość, że inny mężczyzna miał ją od czasu ich nocy poślubnej. Ale nie będzie go powstrzymywać. Niech to się stanie właśnie tej nocy, bez względu na to, jak się ona skończy.

- W takim razie chodźmy, Lily.

Wstał i wyciągnął do niej rękę. Stała obok niego i zaczekała, aż zgasi ogień w kominku, a potem znów wzięła jego dłoń i poszli do sypialni.

Rozebrali się, nie odczuwając skrępowania lub zakłopotania, przecież ponad godzinę temu pływali razem nago. Położył dłonie na jej ramionach, przytrzymał ją przed sobą, a potem przyciągnął bliżej. Była drobna, ale wspaniale zbudowana. Spostrzegł czerwoną, pofałdowaną szramę biegnącą powyżej jej lewej piersi. Przesunął po niej delikatnie palcami, a następnie, pochyliwszy głowę, musnął ustami.

- Więc tak mało brakowało, bym cię stracił, Lily? - powiedział, kiedy dotknęła ręką blizny niemal okrążającej jego lewe ramię, pozostałej po ciosie szablą, który niemal pozbawił go ręki pod Talaverą.

- Tak - odparła, a kiedy podniósł głowę, przeciągnęła palcem po szramie na jego twarzy. - Wojna jest okrutna. A jednak oboje ją przeżyliśmy.

Pocałował ją, leciutko dotykając jej ustami, jednocześnie opierając dłonie na jej wąskiej talii, tak by nie stykali się ciałami. Pomyślał, że wygląda tak słodko i niewinnie. Sprawiała wrażenie, jakby to był jej pierwszy raz, a przecież ciągle miał w pamięci ich noc poślubną. Potem pomyślał o Hiszpanie, partyzancie bez nazwiska, bez imienia, którego nie chciał znać, chociaż zapewne Lily w przyszłości będzie chciała o nim opowiedzieć, a on będzie musiał jej wysłuchać. Pomyślał o tamtym mężczyźnie, który poniżał Lily przez siedem miesięcy. Nie chciał zapomnieć, że zmuszona była zostać jego kochanką.

- To jednak ma znaczenie, prawda? - Spojrzała mu prosto w oczy. - Że był jeszcze ktoś inny?

- Ma - przyznał. - Ponieważ to się zdarzyło tobie, Lily. Ponieważ musiałaś przez to przejść, kiedy ja powracałem do zdrowia w szpitalu, a potem tutaj rozpoczynałem nowe życie, a raczej powracałem do starego. Ma znaczenie, ponieważ ty nic nie zawiniłaś, a ja tak. Nie czuję się ciębie godzien.

Podniosła dłoń do jego ust.

- Cóż, była wojna - powiedziała.

Och, Lily. Ta piękna, mądra, niewinna Lily, która potrafiła patrzeć na życie z taką niesamowitą prostotą, z taką głębią. Odsunął jej dłoń od swych warg, a potem pocałował ją w usta. Pragnął przywrócić jej uroczą niewinność. Chciał odzyskać swój honor.

- Nie chcę cię skrzywdzić - wyjaśnił. - Nie chcę cię wykorzystać dla własnej przyjemności i nie dać nic w zamian. Chcę się z tobą kochać.

- Tak - odparła. - Nie bój się. Wiem o tym. Będzie tak jak wtedy.

Przyciągnął ją do siebie, otaczając jedną ręką jej ramiona, a drugą talię, rozchylił jej

usta swymi wargami i wycisnął na nich jeszcze głębszy pocałunek. Z trudem się hamował. Nagle ożyło w nim wspomnienie nieposkromionej namiętności nocy poślubnej - od tamtej pory nie miał żadnej kobiety. Lily objęła go ramionami, przycisnęła swe ciało do niego tak jak wtedy i rozchyliła usta. Wsunął do nich język.

- Wszystko będzie dobrze - wymruczał po chwili. Z trudem oderwał się od jej warg i zaczął muskać pocałunkami jej skronie, brodę i podbródek. - Będzie dobrze.

- Tak - wyszeptała. - Tak. Jest dobrze.

Był równie przerażony jak ona, jeśli istotnie odczuwała strach. Pragnął, by była szczęśliwa. Uczyni wszystko, by tak się stało. Z popołudniową pocztą otrzymał wiadomość od kapitana Harrisa, a niedługo z pewnością dostanie resztę listów. Harris odpowiedział mu bardzo dokładnie na pytania. Papiery wielbnego Parkera - Rowe'a zostały na przełęczy w Portugalii.

Neville wiedział, jakie będą inne odpowiedzi, jakie powinny być.

- Chodźmy do łóżka - wyszeptał do Lily.

Położył się obok niej na boku, opierając głowę na ramieniu. Spojrzała na niego bez strachu. W jej oczach ujrział tęsknotę i namiętność.

Ułożyła się na plecach i uniosła rękę.

- Chodź do mnie - rzekła. - Nie boję się. Nigdy się ciebie nie bałam, jeśli już, to siebie. Powinnam była ci to wyjaśnić, powiedzieć. Zawsze ci ufałam.

Ukląkł pomiędzy jej udami, nie położył się jednak od razu na niej. Otoczył się jej nogami i pieścił ją powoli dłońmi i ustami, pochylając się nad nią, ale jeszcze jej nie dotykając ciałem. Żyje, pomyślał, jakby dopiero teraz to do niego dotarło. Była ciepła, miękka i żywa, leżała z nim w łóżku, w domku, tak jak on pogrążony w żałobie leżał wiele nocy ostatniego roku, marząc o niej.

Była jego żoną, jego miłością. Żyła.

I była gotowa do miłości. Wsunął dłoń pomiędzy jej uda. Palcami wyczuł jej wnętrze i zaczął pieścić ją, aż poczuł ciepło i wilgoć jej namiętności.

- Spójrz na mnie, Lily. - Nawet teraz nie dowierzał jej uległości, nie śmiał. Leżała tak nieruchomo.

- Spójrz na mnie - powtórzył. - Jestem twoim mężem. Chcę teraz wejść w ciebie, chcę byśmy się kochali. Nie chcę cię wykorzystać, skrzywdzić czy poniżyć.

- Tak - wymruczała. - Tak kochany.

Kiedy położył się na niej ostrożnie i wszedł w nią, patrzyła na niego spokojnie. Poczul jak napina się wokół niego odruchowo - miękka, gorąca i wilgotna. Spojrzała mu w oczy, ale

szybko uciekła wzrokiem, głowa opadła jej na poduszki, usta rozchyliły się. Z ulgą poznał, że Lily zbliża się do początków rozkoszy.

Trudno mężczyźnie zapomnieć o swych potrzebach, kiedy pożądanie burzy się w żyłach, pulsuje w skroniach i przyprawia o ból w lędźwiach.

Zaczął się wreszcie w niej poruszać, pobudzony jej uległością i oddaniem. Nie mógł się nacieszyć jej drobnym, pięknym ciałem, odgłosami rozkoszy, które wydobywały się z jej ust wraz z rytmem jego ruchów, kiedy powstrzymywał się jak mógł przed ostatecznym spełnieniem.

Lily, pomyślał, kiedy wszystkie doznania, cała świadomość skupiła się na ostrym bólu pożądania.

- Lily - wymruczał. - Moja kochana. Och, moja kochana.

Przestała głośno wzdychać. Jej ciało rozluźniło się, poznał, że przed nim wstąpiła w świat spełnienia, ogarnięta bardziej spokojną radością niż nagłym wybuchem namiętności. Nie mógł marzyć o większej nagrodzie za swą cierpliwość.

- Kochany. - Usłyszał nieledwie szept. Tak właśnie zwracała się do niego w noc poślubną.

Szybko owładnęła nim rozkosz. Naparł na nią całym ciężarem, zagłębiając się w niej aż wreszcie doznał błogosławionego wyzwolenia wszystkich tęsknot, bólu, całej swej miłości do niej.

Przeżyli moment cudownej jedności.

Wszystko będzie dobrze, pomyślał, wracając chwilę później do przytomności. Wszystko. Byli razem i stali się jednością. Razem mogli pokonać wszelkie przeciwności. Wszystko będzie dobrze.

Zdał sobie sprawę, że leży ciężko na niej. Podniósł się, uwalniając jej ciało, i położył się obok, nadal rozgrzany, bez tchu i spocony. Podłożył ramię pod jej szyję i spojrzął na nią. Zanim płomień świecy zamigotał i zgasł, zobaczył ją jedynie przez krótką chwilę. Dziewczyna miała zamknięte oczy. Sprawiała wrażenie spokojnej.

- Dziękuję. - Odkręciła się na bok i zwinęła przy nim, przesunęła ręką po jego wilgotnej piersi, a potem położyła ją obok jego ramienia.

Poczuł jak w gardle wzbiera mu szloch. To brzmiało jak przebaczenie. Jak rozgrzeszenie.

Poczuł na wilgotnym ciele chłodne powietrze. Przysunął stopą koce i okrył oboje.

- Lepiej ? - spytał. Roześmiał się miękko. - A podziękowania są zbędne, chyba że miały być komplementem. W takim razie powinienem się do nich przyłączyć. Dziękuję, Lily.

Westchnęła i zapadła w sen z uśmiechem na twarzy.

Wszystko będzie dobrze. Przysunął ją do siebie, potarł policzkiem o jej włosy, wciągając w nozdrza ich zapach i ułożył się wygodniej. Gdyby tylko mógł zobaczyć Lauren szczęśliwą. Z pewnością kiedyś tak będzie. Mogła tyle ofiarować odpowiedniemu mężczyźnie. A Gwen - jej szczęście trwało tak krótko.

Czasami jednak, pomyślał zasypiając, trzeba pozwolić sobie na zatopienie się w samolubnym szczęściu. Współczuł zarówno siostrze, jak i kuzynce, swej byłej narzeczonej. Teraz jednak, dzisiaj w nocy, czuł się tak niewiarygodnie szczęśliwy z Lily, że nie mógł myśleć o niczym innym.

Zasnął.

\*

Kiedy Lily obudziła się, doznała tęsknoty tak silnej, że niemal graniczącej z bólem. Za oknem pojawiły się pierwsze oznaki świtu. Znajdowała się w malowniczym, pokrytym strzechą domku, położonym nad jeziorkiem u stóp wodospadu. Była tu teraz z Neville'em, swym mężem, jego ręka spoczywała obok, głowę przytuliła do jego ramienia. Doznała oczyszczenia. Nie czuł do niej odrazy, wiedziałaby, gdyby tak było.

Pragnęła, by ta noc nie była jedyna. Gdyby mogli tu zamieszkać razem, tylko oni dwoje, przez resztę życia. Gdyby tylko mogli zapomnieć o Newbury Abbey, o tym, że na niego czekają obowiązki hrabiego, o jej niewoli, o jego rodzinie, o Lauren.

Bez wątpienia przeżyła najszczęśliwszą noc w swym życiu.

Jednak, chociaż była marzycielką, nigdy nie mieszała marzeń z rzeczywistością. Marzenia dawały tylko chwile szczęścia i siłę pozwalającą zmierzyć się z życiem. I czasami, kiedy marzenia i rzeczywistość zetknęły się ze sobą i przez krótką chwilę stały się jednością, tak jak tej nocy, można je było przyjąć jako cenny dar, można je było przeżyć do końca i doznać spełnienia. Trzymając się ich kurczowo i próbując na siłę zatrzymać, można było je tylko zniszczyć.

Noc się skończy i będą musieli powrócić do Newbury Abbey. Nadal będzie czuła, że od ludzi z jego sfery dzieli ją przepaść nie do pokonania. A on będzie nadal widywał się z Lauren i będzie, chociaż może nieświadomie, porównywał kobietę, która została jego żoną, z kobietą, która powinna nią być.

Zastanawiała się, czy potrafi czerpać siłę z marzenia, które stało się rzeczywistością. Neville nie będzie mógł kochać kogoś tak nieprzystającego do jego pozycji, mimo wyznań, jakimi ją obsypywał, kiedy się z nią kochał. Nie znaczy to, oczywiście, że czuje do niej

niechęć. Nie czuł do niej odrazy. Pragnął jej - domyśliła się tego po rosnącym napięciu, jakie się między nimi wytworzyło, kiedy siedzieli przy kominku. I doznał przy niej przyjemności. Ona również doznała rozkoszy. Rozwiały się jej najgorsze obawy, że będzie czuła odrazę do samego aktu miłości.

Pomyślała, że ta noc coś jednak jej dała. Wreszcie poczuli się ze sobą swobodnie, zarówno pod względem fizycznym, jak i uczuciowym. Rozmawiali jak para przyjaciół. Nie była tak naiwna, by uwierzyć, że nagle znikną wszystkie przeszkody stojące na ich drodze ku szczęściu. Może jednak to, co wydawało się niemożliwe, tej nocy stało się choć odrobinę mniej niemożliwe.

- Uwielbiam budzić się tutaj - wyszeptał jej do ucha. - Słucham szumu wodospadu, widzę brzeg jeziora przez okno, czuję zapach roślin. I mogę sobie wyobrazić, że świat jest daleko stąd.

- Czy często pragniesz, by tak było?

- Często. - Palcem odsunął włosy z twarzy dziewczyny. - Ale nie bez przerwy. Ucieczka to cudowna rzecz, pod warunkiem że można zawsze wrócić.

W takim razie nie pragnął, by ta noc trwała wiecznie?

Pocałował ją - miękko, powoli. Oddała pocałunek, czując przy sobie ciepło jego ciała, doznając nowego przyływu pożądania. Czuła, jak stopniowo rośnie napięcie w piersiach i twarzą sutki, czuła ból w dole brzucha, pulsowanie pomiędzy udami. I czuła jak jego męskość rośnie i twarząje przy jej brzuchu.

Przez kilka minut całowali się delikatnie. Wkrótce ciepło pomiędzy nimi przemieniło się w żar i gotowi byli znów zaznać rozkoszy.

- Usiądź na mnie - powiedział. - I zrób to, co ci sprawi przyjemność.

Pomyślała, że to cudowne, móc odczuwać pożądanie przed samym aktem miłości i wiedzieć, że podniecenie jest zapowiedzią spełnienia. I że może kochać się z nim tak, jak sama tego chce, jakby byli sobie równi. Wierzyła, że kiedy jest z nim, to właśnie jest prawda. Może jej nie kochał, ale była dla niego ważna. Jeśli chciał się z nią kochać i doznać rozkoszy, pragnął, by i ona też czuła rozkosz.

Jak bardzo różnili się obaj ci mężczyźni, nie chciała jednak ich porównywać.

Przypomniał sobie, jak kochali się w noc poślubną. Była wówczas bierna, jakby nieświadoma tego, co robi. Musieli zachowywać się cicho, nieopodal obozował cały oddział żołnierzy. Odczuwała wtedy jednocześnie ból i rozkosz.

Teraz klękła nad nim i przyjęła go w siebie. Położyła dłonie na jego piersi i pochyliła się.

Nie istnieją na świecie cudowniejsze doznania, pomyślała, czując w sobie jego twardą wyprężoną męskość, niż owo dobrowolne połączenie się ciał, niż ten rytm, niż ból pożądania pulsujący w jej wnętrzu i świadomość, że ten mężczyzna, jej kochanek, jej mąż, powiedzie ją do końca, kiedy wszystko roztapia się w spełnienie i spokój. Otworzyła oczy i popatrzyła na niego.

- Jest tak cudownie - powiedziała.

- Tak, to prawda.

Dopóki jej tego nie zaproponował, nie przyszło jej na myśl, że kobieta może zachowywać się bardziej aktywnie. Zawsze leżała nieruchomo - ogarnięta zachwytem i rozkoszą w ich pierwszą noc i teraz, a cierpiąc w ciągu siedmiu miesięcy niewoli. Nigdy nie pomyślała o sobie jako o czyjejś kochance - jedynie o tym, że może być albo kochana, albo wykorzystywana. Powiedział jej, że może się z nim kochać, jak sama chce. I zgodnie z własnymi słowami - chociaż Lily znała już teraz na tyle mężczyzn, by wiedzieć, że to dla niego trudne - leżał teraz pod nią nieruchomo, czuła tylko jego twardą rozpaloną męskość w swym łonie.

Jak chciała się z nim kochać? Oparła ręce na jego piersiach, uniosła się nad nim i znów opadła. Odkryła, poruszając się tak, że może znaleźć odpowiedni rytm, chociaż zawsze jej się wydawało, że to domena mężczyzn, i myśl ta podnieciła ją.

- O, tak. - Jego głos był ochryply, rękoma złapał ją za biodra i trzymał delikatnie. - Tak, Lily.

Poruszała się nad nim szybko, coraz szybciej, zacisnęła oczy, by poddać się całkowicie temu doznaniu. Słyszała jego ciężki oddech i własne westchnienia, skrzypienie sprężyn łóżka. I czuła zapach - mydła i wody kolońskiej, drewna w kominku i namiętności.

Nagle wszystko skupiło się w jednym miejscu, głęboko w niej, tam, gdzie ciągle bała się zejść, napinając się nawet wtedy, kiedy się poruszała, naprężając mięśnie, jakby broniąc się przed czymś.

- Zaufaj sobie, Lily. Zaufaj mi - usłyszała jego głos. - Nie zawiodę cię już.

Zawsze mu ufała, wierzyła mu. Nigdy jej nie zawiodł. Nigdy.

Wymagało od niej wyjątkowego natężenia wiary, by się otworzyła, by poruszała się na nim, zapominając o obronie przed bólem, przed upadkiem, przed śmiercią.

Otworzyła się, a on zacisnął dłonie na jej biodrach i trzymał ją mocno, i napierał na nią coraz mocniej, poruszał się coraz szybciej, popychając i cofając się i...

Usłyszała swój krzyk.

Nie zatraciła się całkowicie aż do tej chwili, aż wreszcie poczuła, że Neville dociera

do tajemnego miejsca, w którym żyła tylko ona, aż wreszcie obydwójce spotkali się i połączyli, i stali się jednością.

Sekundy, minuty, a może godziny minęły, kiedy poczuła, że Neville układa ją na sobie wygodnie. Była jednak na granicy snu, jedynie przez sekundę zacisnęła mięśnie i poczuła go, był nadal ciepły i twardy w jej wnętrzu. Gdyby mogli pozostać tak złączeni na zawsze.

Ciekawe, skąd wiedział, jak wyczuł jej strach w chwili, kiedy ona zaczynała być go dopiero świadoma, skąd znalazł słowa zdolne ją uspokoić, w jaki sposób zdołał powstrzymać swoje spełnienie i wlać swe nasienie dopiero wtedy, kiedy ona doszła do momentu rozkoszy - kiedy zaczęła, krzyżeć, poczuła jego ciepło rozlewające się w jej wnętrzu.

Słuchała jak ich oddechy uspokajają się, czuła się cudownie odprężona. Zapadłaby całkiem w sen, gdyby zimne powietrze nie owiewało jej wzdłuż pleców i nóg. Było to jednak przyjemne uczucie, tak samo jak ciepło jego ciała stykającego się z jej ciałem. Zarówno uczucie zimna, jak i ciepła sprawiało, że wiedziała, że żyje i jest jednocześnie wyczerpana i pełna energii.

- Możemy zasnąć albo iść popływać. - Neville bawił się jej potarganymi włosami, opuszkami palców gładził jej głowę. - Co wolisz?

Mogliby zasnąć w takiej pozycji - spleceni razem i nadal złączeni. Okryłby ich znów kocami i schroniliby się w kokonie ciepła. Odczuwała przemożną senność. Mogli też wyjść z domku, w zimny świt, i wskoczyć do jeszcze zimniejszej wody jeziora.

Skrzywiła się.

- Czy mam jakiś wybór? - spytała, nie otwierając oczu. Nagle uśmiechnęła się. - Wybieram, oczywiście, pływanie. Czy musiałeś pytać?

- Nie. - Roześmiał się i zaczął się z nią turlać, aż rozplatali swe ciała. - Nie byłabyś sobą, gdybyś przedkładała cywilizowany sen nad kąpiel w zimnej wodzie. Ostatni jest okropnym tchórzem!

Nie ryzykowała narażenia się na to obraźliwe przezwisko i nie złapała za ubrania. Wykorzystała fakt, że znajduje się bliżej drzwi. On skorzystał z tego, że ma dłuższe nogi. Zatrzymał się na chwilę, by zabrać ręczniki. A mimo to dobiegł na porośnięty paprociami brzeg jeziora jedynie chwilę po niej. Zatrzymał się jednak, by spojrzeć. Znaleźli się w wodzie w tym samym momencie, a w każdym razie doszli do takiego wniosku, kiedy wynurzyli się na powierzchnię, wdychając z szoku po zetknięciu się z lodowatą wodą i zadyszani zaczęli przekomarzać się ze śmiechem.

Pływali i dokazywali, przyskali się wodą i śmiali przez kwadrans, aż wreszcie bezlitosne zimno wody i nadchodzący dzień sprawiły, że z żalem wyszli na brzeg, szybko

wysuszyli się i pobiegli do domku, gdzie pospiesznie się ubrali.

Lily zdała sobie sprawę, że nadszedł kres nocy, w której marzenie i rzeczywistość zetknęły się ze sobą i połączyły w jedno. I znów te przeciwności miały się rozdzielić. Noc dobiegła końca, a dzień zabierał ją i Neville'a z powrotem do Newbury Abbey, gdzie nie mogli być ze sobą jak równy z równym. Na tym właśnie polegała magia tej nocy, pomyślała Lily. Tej nocy byli sobie równi, żadne z nich nie było ważniejsze lub gorsze. Byli sobie równi jako kochankowie. Jednak dwie osoby nie mogły żyć tylko miłością i niczym więcej. A nie znaleźliby oprócz tego nic, gdzie byliby sobie równi. W Newbury Abbey była od niego gorsza pod każdym względem.

- Czy chcesz zostać tutaj i przespąć się, kiedy ja wrócę do domu? - spytał Neville, gdy się ubrali. - Nie wypoczęłaś tej nocy dobrze, prawda?

Propozycja była kusząca. Wiedziała jednak, że nie przeżyje, jeśli będzie musiała patrzeć, jak marzenia ją opuszczają. Musi stąd wyjść. Tylko w ten sposób może mieć nadzieję, że zapanuje choć odrobinę nad rzeczywistością.

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

- Pora wracać do domu. - Podkreśliła specjalnie słowo dom, choć wiedziała, że Newbury Abbey długo jeszcze nie będzie jej domem.

- Tak. - Była pewna, że zobaczyła smutek w jego oczach. A więc on również to poczuł, poczuł, że jedna noc namiętności nie zdołała niczego zmienić.

Trzymał ją za rękę dopóki nie wyszli z doliny. Ale kiedy szli obok siebie trawnikiem w kierunku stajni, już się nie dotykali. Nic też nie mówili.

Wracali do domu.

Od dnia swego niedoszłego ślubu Lauren źle sypiała. Nie miała apetytu. Udawała cierpliwą, wesołą, uroczą i obowiązkową. Nigdy nie pomyślała, by z tym skończyć. Jednak były takie chwile, kiedy pragnęła, by jej życie już się skończyło, pragnęła zasnąć i nigdy się nie obudzić.

Częściej jeszcze zdarzały się takie chwile, kiedy pragnęła, by to Lily umarła.

Zaczęła wstawać wcześniej rano, czasami siedziała w porannym salonie, czytając przez godzinę lub dłużej, nie przewróciwszy nawet strony, czasami snuła się samotnie po dworze.

Szukała Lily.

Pamiętała, jak następnego dnia rano po ślubie dziewczyna wybrała się na plażę, a następnie minąwszy skały, poszła do wsi i wróciła do domu drogą, spotykając ją i Gwen. Lauren wiedziała, że Lily często wymyka się z domu, szukając samotności. Obserwowanie jej, przyglądanie się, jak bardzo tu nie pasuje, stało się wręcz jej obsesją.

Nigdy nie pomyślała o sobie jako o próżnej kobiecie. Nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego Neville zostawił ją, a potem poślubił Lily? Czy było w niej coś takiego, co sprawiało, że wszyscy ją opuszczali lub się jej wyrzekali? Co takiego miała w sobie Lily, co przyciągało innych? Wszyscy mężczyźni w domu byli wręcz w niej zakochani. Nawet kobiety stawały się dla niej coraz bardziej łagodne. Nawet Gwen...

Owego dnia wędrowka przywiodła ją, jak wiele razy przedtem, w kierunku plaży, znów bez powodzenia. Plaża nigdy nie należała do jej ulubionych miejsc. Zawsze najbardziej lubiła piękno pielęgnowanych trawników, ogrodów kwiatowych i ścieżki rododendronowej. Dzikość plaży i morza wydawała jej się zbyt żywiołowa, zbyt straszna. Przypominała jej zawsze o tym, jak niepewny jest jej własny los. Przecież miejsce w Newbury Abbey nie należało jej się z racji urodzenia. Mogli ją w każdej chwili odesłać. Jeśli nie byłaby dobra...

Szła wzgórzem, kiedy usłyszała głosy i śmiechy. Początkowo nie wiedziała, skąd dokładnie dochodzą. Kiedy jednak podeszła bliżej, wolniej i ostrożniej niż wcześniej, zdała sobie sprawę, że rozlegają się znad jeziora znajdującego się koło wodospadu. W końcu ujrzała ich - Neville'a i Lily - w wodzie. Jeśli jej zaszokowane oczy nie kłamały, obydwójce pływali nago. Śmiali się razem jak rozdokazywane dzieci lub... kochankowie. Zaczęła biec pod górę, lecz ciągle ich słyszała. Nadal widziała w myślach otwarte drzwi do domku, świadczące o tym, że spędzili tam noc.

Przecież są małżeństwem, mówiła sobie, kiedy spanikowane kroki unosiły ją szybko alejką do głównej bramy i wdowiego domku. Oczywiście, że są kochankami, oczywiście, że

mają prawo...

Nagle zdała sobie sprawę z czegoś, co zmroziło jej serce i umysł. Ona nigdy nie byłaby zdolna do czegoś takiego. Nie mogłaby pozostać z nim... naga. I dokazywać tak bez żadnego wstydu. Nie potrafiłaby nawet śmiać się razem z nim z taką niefrasobliwością. Owszem, śmiali się, kiedy byli dziećmi, ona, Gwen i Neville. Z pewnością się wtedy śmiali. Ale nie w ten sposób.

Nie umiałyby go zaspokoić tak, jak najwyraźniej potrafiła to uczynić Lily.

To spostrzeżenie napełniło ją grozą. Przecież ona i Neville należeli do siebie, byli dla siebie stworzeni, kochali się. Lauren zawsze tak myślała i nie potrafiła porzucić tego przekonania.

Kochała go. Bardziej niż Lily. Być może Lily była zdolna obdarzyć go fizyczną miłością, nie potrafiła jednak czytać i pisać czy rozmawiać na tematy, które go interesowały. Nie potrafiła prowadzić mu domu, zabawiać jego przyjaciół lub wykonywać setek obowiązków należących do hrabiny. Nie sprawiłaby, że byłby z niej dumny. Nie знаła go tak dobrze, jak ktoś, kto z nim dorastał, nie wiedziałyby, co zrobić, by uczynić jego życie wygodnym i szczęśliwym.

Lily nie potrafiłaby być jego przyjaciółką od serca.

Ale przecież to Lily była żoną Nevilla.

Lauren zatrzymała się nagle na ścieżce i szczerzej otuliła się ciemnym płaszczem dla ochrony przed zimnem. Drżała mimo długiego spaceru.

To nie było sprawiedliwe.

Jakże ona nienawidziła Lily. I jak bała się gwałtowności swych uczuć. Jako dama przez całe życie uczyła się być powściągliwa, uprzejma i dobrze wychowana. Jeśli będzie dobra, myślała w dzieciństwie, wszyscy ją pokochają. Jeśli będzie idealną damą, myślała, kiedy dorosła, wszyscy będą ją szanować, ufać jej i kochać ją.

Neville będzie jej ufał i kochał ją. W końcu będzie do kogoś należała.

On jednak wyjechał i poślubił Lily. Dokładne przeciwieństwo kobiety, która według niej powinna go w końcu zdobyć.

Pragnęła śmierci Lily. Pragnęła własnej śmierci.

Chciałaby umrzeć.

Długo stała na ścieżce, skulona w płaszczu, drżąc od nagłej gwałtowności ogarniającej ją nienawiści.

Lily powróciła do domu ogarnięta nową nadzieją. Nie była tak naiwna, by wyobrażać sobie, że wszystkie jej kłopoty znikną w czarodziejski sposób, czuła jednak siłę, i czuła, że Neville ma cierpliwość, by, kiedy przyjdzie czas, stawić czoło przeciwnościom i pokonać je.

Kiedy weszła do pokoju, Doiły czekała już na nią w przebieralni. Przyjrzała się swej pani badawczo.

- Zaziębi się pani na śmierć, milady - zaczęła narzekać. - Ma pani mokre włosy. I bose stopy. Nie wiem, co powiem jego lordowskiej mości, kiedy się pani rozchoruje.

Lily roześmiała się.

- To z nim byłam.

- Ach, tak - odparła nagle zażenowana Dolly. - Pani pozwoli, że jej pomogę.

Dziewczynę zawsze szokowało, kiedy widziała, jak Lily robiła coś, co należało do obowiązków pokojówki - na przykład sama się ubierała lub rozbierała.

Lily znów zachichotała.

- On również ma mokre włosy, Dolly. Chociaż wydaje mi się, że jego pokojowiec nie będzie miał takich kłopotów jak ty z moimi potarganymi kędziorami. Pływaliśmy.

- Pływaliście? - Oczy Dolly rozszerzyły się z przerażenia. - O tej porze? W maju? Pani i jego lordowską mość? Zawsze mi się wydawało, że hrabia jest... - Przypomniało jej się z kim rozmawia i odwróciła się, by wybrać suknię, którą przygotowała dla swojej pani.

- Rozsądny? - Lily roześmiała się znowu. - Prawdopodobnie taki był, dopóki nie przyjechałam, by go... sprowadzić na złą drogę. Pływaliśmy razem w jezioru, najpierw w nocy, a potem dzisiaj rano. Było cudownie. - Pozwoliła, by Dolly pomogła jej wsunąć suknię przez głowę i posłusznie odwróciła się, kiedy służąca zapinała guziki na plecach. - Będę od dzisiaj pływała codziennie. Jak myślisz, co na to powie hrabina wdowa?

Dolly spojrzała w jej oczy w odbiciu w lustrze, kiedy Lily usiadła do czesania i roześmiały się obydwie.

Pokojówka pomyślała o czymś jeszcze, kiedy zebrała zmierzwiłone włosy swojej pani i zastanawiała się, od czego zacząć ich poskramianie.

- A dlaczego bielizna pani w ogóle nie jest mokra? - spytała.

Jeszcze zanim skończyła mówić, domyśliła się odpowiedzi i splonęła rumieńcem. Znów roześmiały się radośnie.

- Mogę tylko powiedzieć, że mieliście szczęście, że nikt was nie widział - stwierdziła, szczerząc energicznie włosy Lily.

Obydwie prychnęły wesoło.

Lily postanowiła, że nie zrezygnuje z beztrioski, z jaką rozpoczęła nowy dzień. Po

śniadaniu, wiedząc, że panie jak zwykle przejdą do porannego salonu, by pisać listy, konwersować i siedzieć przy robótkach, zeszła do kuchni i pomogła zamiesić ciasto na chleb i pokroić warzywa, radośnie przyłączając się do rozmowy. Służba, co z radością zauważyła, przyzwyczała się do jej wizyt i przestała się krępować jej obecnością. W pewnym momencie kucharka odezwała się do niej ostro:

- Jeszcze pani nie skończyła tych marchewek? Za dużo pani gada... - Wreszcie zdała sobie sprawę, zresztą tak jak wszyscy w kuchni, do kogo mówi. Każdy zamarł w bezruchu.

- O rety - zaśmiała się Lily. - Ma pani rację, pani Lockhart. Już nie powiem ani słóweczka, dopóki nie skroję wszystkiej marchwi.

Wesoło roześmiała się ponownie po minucie pełnej napięcia ciszy, przerywanej jedynie dźwiękiem noża uderzającego o deskę.

- No, nareszcie - powiedziała. - Nie muszę już się bać, że pani Ailsham mnie zbeszta, nieprawdaż?

Wszyscy roześmiali się, może nawet zbyt ochoczo, ale szybko się uspokoili. Lily skończyła kroić marchewki i usiadła z filiżanką herbaty i pajdą ciepłego jeszcze chleba, nim wreszcie niechętnie ruszyła na górę. Ożywiła się jednak, kiedy matka Neville'a spytała, czy chce razem z nią złożyć wizytę pannom Taylor, a potem zanieść koszyki do dolnej wioski - jeden do starszego wieśniaka, który był niedomagający, i jeden do będącej w połogu żony rybaka.

Jednak okazało się później, kiedy siedziały w saloniku panien Taylor i popijały herbatę, że to nie one osobiście będą nosić koszyki. Stangret miał znieść je ze wzgórza i dostarczyć do odpowiednich domków.

- Ależ nie - zaprotestowała Lily, wstając. - Ja się tym zajmę.

- Droga hrabino Kilbourne, co za szlachetna myśl - odezwała się panna Amelia.

- Ależ wzgórze jest za strome dla powozu, lady Kilbourne - zauważyła panna Taylor.

- Och, nic nie szkodzi, pójdę na piechotę. - Lily uśmiechnęła się promiennie.

- Lily, moja droga. - Hrabina uśmiechnęła się do niej i potrząsnęła głową. - Nie musisz tam chodzić osobiście. Tego się od ciebie nie oczekuje.

- Ależ ja chcę iść - zapewniła ją dziewczyna.

Tak więc, kiedy po kilku minutach opuściły dom dystygowanych panien Taylor, hrabina udała się do pastora, a Lily podążyła lekkim krokiem w kierunku stromego wzgórza, dzierżąc w dłoniach duży koszyk. Stangret, który niósł drugi koszyk, chciał wziąć oba, ale ona pragnęła mieć swój udział w dźwiganiu ciężaru. Nie pozwoliła mu również, by szedł kilka kroków za nią. Szła obok niego i już po kilku minutach zaczął jej opowiadać o swojej

rodzinie - rok temu poślubił jedną z pokojówek i doczekali się pierworodnego syna.

Pani Gish, która dzień wcześniej powiła po ciężkim porodzie siódme dziecko, próbowała utrzymywać w porządku dom i dbać o całą rodzinę przy pomocy starszej sąsiadki. Lily szybko zrobiła porządki w izbie, uprzątnęła stół, zmyła stertę brudnych naczyń, a na koniec oczyściła krwawiące kolano jednego z dzieci i zabandażowała czystą szmatką. Czekają ją jeszcze jedne odwiedziny.

Stary Howells siedział właśnie przed domkiem swego wnuka, palił fajkę i spoglądał melancholijnie przed siebie. Spragniony był towarzystwa i rad powitał niespodziewaną wizytę Lily. Niespiesznie snuł wspomnienia jeszcze z czasów, gdy był rybakiem i... przemytnikiem. Ależ tak, zapewnił, mieli swoje niemałe udziały w szmuglowaniu w Upper Newbury, oj, mieli. Pamięta jak...

- Proszę pani - przerwał w końcu stojący niedaleko stangret, chrząknąwszy przedtem z szacunkiem. - Pani hrabina posłała służącego z domu pastora.

- Och, wielkie nieba! - Lily skoczyła na równe nogi. - Czekala na mnie, byśmy razem wróciły do domu.

I rzeczywiście hrabina czekała na nią, i to niemal od dwóch godzin. Oznajmiła to, stojąc koło pastora i jego żony. A także przypomniała o tym, kiedy jechały powozem z powrotem do domu.

- Lily, moja droga - powiedziała, kładąc odzianą w rękawiczkę dłoń na ręce swej synowej. - Twoje zainteresowanie biednymi dzierzawcami Neville'a to jak świeży, ożywczy powiew. Twój uśmiech i wdzięk przysparza ci przyjaciół, gdziekolwiek się pojawisz. Wszyscy bardzo cię podziwiamy.

- Ale? - Lily odwróciła głowę do okna. - Ale ciągle wprawiam was w zażenowanie.

- Ależ moja droga. - Teściowa poklepała ją po ręce. - Nie o to chodzi. Mogę powiedzieć, że ty możesz nas nauczyć tyle samo, co my ciebie. Musisz się jednak jeszcze wiele nauczyć, Lily. Jesteś żoną Neville'a, a on cię uwielbia. Cieszy mnie to, ponieważ ja uwielbiam jego. Ale jesteś również hrabiną.

- A ponadto córką zwykłego żołnierza - dodała gorzko Lily. - Jestem również osobą, która nie wie nic o życiu w Anglii i nie umie prowadzić domu. A także nie mam w ogóle żadnego pojęcia o tym, jak powinna żyć dama lub hrabina.

- Nigdy nie jest za późno na naukę - odparła żywo, ale uprzejmie teściowa.

- Kiedy wszyscy patrzą na każdy mój ruch, czekając na kolejne potknięcie - powiedziała Lily. - Wiem, nie jestem sprawiedliwa. Wszyscy są dla mnie bardzo mili. Pani jest dla mnie bardzo miła. Spróbuję. Postaram się, naprawdę. Nie jestem jednak pewna, czy

potrafię się nagiąć.

- Moja droga. - Hrabina wyglądała na naprawdę przejętą. - Nikt nie oczekuje od ciebie byś się naginała, jak to określiłaś.

- A jednak część mnie pragnie być w Lower Newbury razem z tymi rybakami - odparła. - Tam właśnie czuję się dobrze. Tam należę. Mam się nauczyć, jak okazywać tym ludziom zaledwie łaskawość, zamiast rozmawiać z nimi, interesować się ich losem, brać na ręce ich dzieci?

- Lily... - Hrabina nie potrafiła nic odpowiedzieć.

- Spróbuj ę - powtórzyła po chwili milczenia dziewczyna. - Nie wiem, czy potrafię być taką osobą, jaką chciałaby pani, żebym była. Nie jestem pewna, czy chcę przestać być sobą. Nie wiem, jak mam być i jednym, i drugim. Przrzekam jednak, że spróbuję.

- Właśnie tego wszyscy byśmy chcieli - powiedziała hrabina, znów poklepując ją po ręce.

To był szczęśliwy dla niej dzień - zadziwiająco szczęśliwy. Ogarnięta wspomnieniami zeszłej nocy i dzisiejszego ranka, świeżymi w jej umyśle i ciele, oraz nadzieją, że być może Neville znów do niej przyjdzie w nocy, spędziła ten dzień tak, jak lubiła, tak jak on powiedział, że powinna - i była szczęśliwa. Ale tylko dlatego, że zapomniała o rzeczywistości. A rzeczywistość polegała na tym, że nie należała do służby w Newbury Abbey - była tu hrabiną. Nie mieszkała też w wiosce rybaków jak dzierżawcy jej męża. Unikała osób, z którymi powinna była spędzić ten dzień, jak przystoi prawdziwej damie. Tak naprawdę nie starała się zachowywać jak hrabina, a przecież była nią z racji ślubu z Neville'em.

Zachowała się wręcz niepoprawnie. Zamiast zadzwonić po Dolly, by pomogła się jej przebrać w inną suknię, w której mogłaby zejść na herbatę, by jakoś naprawić swój błąd, Lily wbiegła do garderoby i zdejmując piękną, ozdobioną wzorem z gałązek suknię z muślinu, niemal ją poszarpała. Wrzuciła na siebie starą, bawełnianą suknię, narzuciła stary szal i zbiegła schodami dla służby do bocznych drzwi. Przemierzyła trawnik niemal biegiem, i roztrącając wielkie paprocie, szybko ześliznęła się ze wzgórza, by się uspokoić. Nawet nie spojrzała na dolinę - nie chciała zepsuć wspomnień w tym stanie rozdrażnienia - zbiegła na plażę, zwracając twarz ku niebu i rozrzucając ramiona, by w pełni poczuć wiatr.

Po kilku minutach uspokoiła się. Potrafi się dostosować. Będzie to wymagało wysiłku, ale, jeśli tylko spróbuje, na pewno jej się uda. Przecież większość życia spędziła, dostosowując się ciągle do zmieniających się , warunków. Zmusiła się, by pomyśleć o najważniejszej rzeczy, która ją czekała. Nauczyła się uległości i posłuszeństwa, nauczyła się

nawet języka hiszpańskiego, by przeżyć. Jeśli mogła zrobić tamto, z pewnością potrafi nauczyć się być damą i hrabiną.

Zaczynał się czas odpływu. Skały, które łączyły plażę z zatoczką w Lower Newbury były do połowy odsłonięte. Nie miała zamiaru znów iść do wsi, musiała jednak rozładować energię, a nie wystarczyło do tego chodzenie czy bieganie po plaży. Poza tym skały oferowały więcej dzikości i samotności, z jednej strony miała morze, z drugiej wyrastała niemal pionowa ściana urwiska. Stała przez chwilę nieruchomo, a następnie odwróciła głowę w stronę morza.

Wtem usłyszała coś, co nie było ani szumem wody, ani odgłosem wiatru czy mew. Coś innego, co niemal zamroziło ją w miejscu, aż poczuła ciarki strachu biegnące wzdłuż kręgosłupa. Rozejrzała się gwałtownie, ale nic nie ujrzała. Nikogo.

Jednak uczucie niepokoju jej nie opuszczało. Co to było, chrzęst kamieni?

Spojrzała w górę.

Wszystko potoczyło się tak szybko, że trudno jej potem było przypomnieć sobie dokładnie bieg wydarzeń, i to nawet wtedy, kiedy się już uspokoiła. Ujrzała kogoś stojącego powyżej, na urwisku - jakąś sylwetkę w ciemnym płaszczu. Nagle człowiek ten zamierzył się w jej kierunku i cisnął duży kamień w dół. Lily odskoczyła do ściany urwiska i kamień upadł niedaleko miejsca, w którym wcześniej stała - wielki głaz, który z pewnością mógł ją zabić.

Stała wciskając się plecami w skałę, z rękoma zaciśniętymi po bokach. Spojrzała na kamień, który omal nie pozbawił jej życia, czuła niespokojne tętno w gardle i szum w uszach - serce biło jej gwałtownie, pozbawiając ją oddechu i odbierając jasność umysłu.

To był wypadek, przekonywała się, kiedy tylko zdołała zebrać myśli. Kamień oderwał się z powodu erozji - właśnie ten odgłos słyszała - i upadł. Kiedy podniosła głowę ujrzała, że skały powyżej usiane były podobnymi, groźącymi obsunięciem głazami.

Nie, to nie był wypadek. Ktoś zepchnął kamień, ktoś w ciemnym płaszczu. Książę Portfrey? To śmieszne. Lauren? Śmieszne! Oczywiście, że nikogo tam nie było. Po prostu w ułamku sekundy, kiedy zobaczyła spadający kamień i grożące jej niebezpieczeństwo skojarzyło jej się to z zagrożeniem, które wyobrażała sobie od tamtego popołudnia na ścieżce rododendronowej.

A jednak ktoś tam był!

Czy ten mężczyzna stoi tam teraz nad nią i sprawdza, czy zdołał ją zabić? A może to kobieta?

Dlaczego ktoś chciałby ją pozbawić życia?

Czy niedoszły morderca schodzi właśnie teraz ścieżką ze wzgórza, by okrążyć skały i

zobaczyć, czy mu się udało? Lub też czy jej się udało?

Lily znów ogarnęła panika. Jeśli poruszy się choć odrobinę, może zginie. Wiedziała jednak, że jeśli się nie ruszy, zostanie tam całą wieczność. Jeśli się nie ruszy, nie potrafi już być panią swego losu. Powróciły wspomnienia podobnych chwil podczas owego długiego, strasznego marszu przez Hiszpanię i Portugalię. Kilka razy niemal wtedy oszalała, wyobrażając sobie partyzantów za każdą skałą, wyobrażając sobie, że nie uwierzą w jej opowieść.

Odeszła od ściany urwiska na drżących nogach i powoli, głęboko zaczerpnęła powietrza. Spojrzała w górę. Nikogo nie było - oczywiście. Nie ujrzała również nikogo na plaży. Miała ochotę ruszyć w odwrotnym kierunku, mając nadzieję, że odpływ jest już daleko i mogłaby dostać się do wsi, by znaleźć się pomiędzy ludźmi. Nie chciała jednak uciekać przed ogarniającym ją strachem. Nigdy go nie pokona, jeśli tak uczyni. Ostrożnie ruszyła w górę po skałach w kierunku plaży. Nikogo tam nie było. Ani w dolinie, ani na wzgórzu.

W ogóle nikogo nie było, powiedziała do siebie stanowczo, ruszając zdecydowanie w górę. Kiedy wspięła się na szczyt, zmusiła się, by ruszyć ścieżką, aż wreszcie domyśliła się, że dotarła niedaleko tamtego miejsca, i przeszła między drzewami, aż znalazła się na otwartym terenie, kończącym się tuż nad urwiskiem. Tak, znalazła się mniej więcej w tym miejscu, ale nie podeszła bliżej, żeby się upewnić. Nikogo tam nie było. Ani śladu czyjejś bytności.

Zobaczyła jedynie skałę.

Ucieszyło ją to wyjaśnienie, aż do momentu, kiedy dotarła bliżej domu. Strach powrócił, gdy zbliżyła się do jego bezpiecznych murów. Może, pomyślała, powinna wbiec przez główne drzwi, dowiedzieć się, gdzie jest Neville, i ukryć się bezpiecznie w jego ramionach. Przypomniała sobie jednak, jak jest ubrana. Ruszyła do bocznego wejścia i weszła tylnymi schodami na górę. Umyła się i przebrała, uspokajając się nieco.

Ktoś zapukał do drzwi. Otworzyły się i ukazała się w nich głowa Dolly.

- Och, tutaj pani jest - powiedziała pokojówka. - Jego lordowską mość szukał pani. Jest w bibliotece.

- Dziękuję Dolly.

Lily musiała powstrzymać się siłą woli, by nie pognać tam z szybkością, która nie przystoi damie. Czekał na nią w bibliotece. Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęła teraz znaleźć się w jego ramionach. Chciała przycisnąć się do jego ciała, czuć jego ciepło i siłę. Chciała położyć głowę na jego ramieniu i usłyszeć uspokajające bicie jego serca.

Pragnęła schronić się w nim.

Wraz z popołudniową pocztą przyszedły listy, na które czekał Neville. Nie mógł jednak nigdzie odnaleźć Lily. Wróciła z hrabiną z wioski, ale nie zeszła na herbatę. Nie zdziwiło go to, kiedy usłyszał opowieść matki o tym, co zaszło we wsi. Okazało się, że dwugodzinne oczekiwanie w domu pastora poważnie zdenerwowało hrabinę. Neville nie miał wątpliwości, że Lily dostała reprimendę w drodze powrotnej do domu.

Uznałby jej długą nieobecność w dolnej wiosce za zabawną, gdyby nie czuł się taki zdenerwowany. Wytrzymał w salonie niecałe pół godziny, a potem niecierpliwie spacerował po bibliotece. Nie był zdolny zająć się czymkolwiek.

W końcu usłyszał pukanie do drzwi. Kiedy się otworzyły, Lily w pośpiechu minęła lokaja a, zatrzymała się przed nim nagle, zaczerwieniła i uśmiechnęła. Ujął jej rękę.

- Lily. - Uniósł obie dłonie do ust, a potem pochylił się, by pocałować ją w usta. Kiedy podniósł z powrotem głowę, spojrzał na nią uważnie. - Co się stało?

Zawahała się, silniej zacisnęła dłonie w jego rękach.

- Nic - odparła bez tchu. - To tylko takie tam... głupstwo.

- Więcej cieni? - spytał. Miał nadzieję, że ostatnia noc rozwieje wszystkie lęki.

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

- Chciałeś się ze mną zobaczyć?

- Tak. Usiądź proszę. - Przytrzymał jej dłoń i poprowadził ją ku jednemu z wyściełanych skórą foteli, otaczających kominek. Kiedy usiadła, przystawił dla siebie drugie krzesło. - Czy moja matka była niemila? Pewnie znów udzielała ci stosownych nauk?

- Och. - Zagryzła wargę. - Nie, nic takiego. Była uprzejma. Uważa, że jeśli się bardziej postaram, zostanę taką hrabiną Kilbourne, jaką powinnam być, i oczywiście ma rację. Przeze mnie czekała przez... och, bardzo długo. Pewnie nie pomyślała, że mogę wrócić do domu pieszo.

Z pewnością nie.

- Założę się, że oczarowałaś dzisiaj mieszkańców wioski - powiedział. - Masz dar uszczęśliwiania ludzi. - On również się do tych ludzi zaliczał.

Spojrzała na niego, ale nie odpowiedziała. Poczł nagle zdenerwowanie i odchylił się na oparcie krzesła. Nie prosił jej tu, by omawiali wydarzenia, jakie miały miejsce dzisiaj po południu. Nie wiedział po prostu, jak poruszyć tę kwestię. Musiał jakoś zacząć.

- Rano wyjeżdżamy do Londynu - oznajmił. - Tylko ty i ja. Początkowo pomyślałem, że pojedę sam, ale kiedy się głębiej zastanowiłem, zdałem sobie sprawę, że lepiej, jeśli

będziesz mi towarzyszyć.

- Do Londynu?

Skinął głową.

- Muszę wystarać się o specjalne pozwolenie - wyjaśnił. - Mógłbym pojechać po nie do Londynu, wrócić z nim tutaj i poślubić cię w naszym kościele. Pewnie załatwiłbym to w przeciągu tygodnia. Mogłoby to jednak wywołać niepotrzebne zamieszanie w umysłach, a tego chciałbym uniknąć.

- Specjalne pozwolenie? - Spojrzała na niego bez wyrazu.

- Pozwolenie na ślub. W ten sposób mogliśmy się pobrać, bez konieczności dawania na zapowiedzi. - Pomyślał niespokojnie, że nie wyjaśnia tego dobrze.

- Ależ my już jesteśmy małżeństwem. - Niezrozumienie ustąpiło miejsca zaskoczeniu.

- Tak. - Zauważył, że ściska dłońmi oparcie fotela. Rozluźnił ręce. - Jesteśmy, Lily, pod każdym względem. Jednak kościół i państwo podchodzą niezwykle drobiazgowo do pewnych szczegółów. Wielebny Parker - - Rowe zmarł w trakcie tamtej zasadzki, przy ciele zostały jego rzeczy. Kapitan Harris potwierdził ten fakt w liście, który dostałem dzisiaj. Dostałem też odpowiedzi na listy, które wysłałem po twoim przybyciu. Nasze dokumenty małżeńskie zaginęły, Lily, zanim zostały odpowiednio zarejestrowane. Wygląda na to, że nasze małżeństwo nie istnieje w oczach kościoła i państwa. Musimy znów przejść przez tę ceremonię.

- Nie jesteśmy małżeństwem? - Jej błękitne oczy rozszerzyły się, nie? odwracała od niego wzroku.

- Ależ jesteśmy! - zapewnił pospiesznie. - Musimy jednak sprawić, by nasze małżeństwo stało się niepodważalnie legalne. Nikt nie musi o tym wiedzieć, tylko my dwoje. Pojedziemy do Londynu, na tydzień lub dwa, będziemy robić zakupy i zwiedzać, a nawet się trochę zabawimy. I podczas naszego pobytu pobierzemy się na podstawie specjalnego pozwolenia. Zadbam o to, by nie postawiło cię to w kłopotliwej sytuacji. Nikt o tym się nie dowie.

Rozpaczliwie próbował ją ochronić. Wiedział, że doznała wstrząsu. Czuła się tak osamotniona i opuszczona. Miała przecież tylko jego. Nie chciał, by przypuszczała, nawet przez chwilę, że będzie próbował wykorzystać tę sytuację, by wykręcić się od obowiązków, jakie miał względem niej.

- Nie jesteśmy małżeństwem. - Z wyrazu jej oczu nie można było odczytać, czy dotarło do niej coś poza tym faktem. Sprawiała wrażenie oszołomionej. Twarz jej pobleadła.

- Lily - odezwał się dobitnie. - Nie masz powodów do obaw. Nie mam zamiaru cię

opuścić. Jesteśmy małżeństwem. Istnieją jednak formalności, których musimy dopełnić.

- Jestem Lily Doyle - powiedziała. - Nadal jestem Lily Doyle.

Wstał i podszedł do niej. Wyciągnął rękę. Niemądra Lily. Jak mogła zwątpić choć na chwilę po ostatniej nocy? Powiedział jej o wszystkim zbyt obcesowo. Nie przygotował jej na to. Do licha, zachował się jak skończony dureń.

Lily nie przyjęła jego ręki. Kiedy jednak spojrzała na niego, zobaczył, że malujące się w jej oczach zaskoczenie minęło.

- Nie jesteśmy małżeństwem - powtórzyła. - Dzięki Bogu.

- Dzięki Bogu? - Nagle poczuł jak skręcają mu się wnętrzności.

- Nie widzisz? - zapytała, zaciskając palce na oparciu fotela i wychylając się ku niemu.

- Nigdy nie powinniśmy byli brać ślubu, byłam jednak w szoku po śmierci taty i zbyt przestraszona, a ty taki lojalny względem niego i uprzejmy wobec mnie. Popelniliśmy jednak straszny błąd. Nawet jeśli mielibyśmy spędzić resztę życia w armii, to byłaby okropna pomyłka. Nawet wtedy różnica dzieląca oficera i córkę sierżanta byłaby zbyt duża. Nie potrafiłabym być twoją żoną i obracać się w towarzystwie innych żon oficerów. A tutaj... - Ruchem ręki zdawała się ogarniać nie tylko całe Newbury Abbey, ale również wszystkie osoby mieszkające w tym domu i parku. - Tutaj ta przepaść jest nie do pokonania. Marzyłam o ucieczce, ty pewnie też o tym marzyłeś. A teraz cudem to się spełniło. Nie jesteśmy małżeństwem.

Nigdy, nawet przez chwilę, nie podejrzewał, że będzie zadowolona, kiedy usłyszy prawdę. Nagle opanował go nieprzewyciężony strach. Już raz ją stracił, myślał wtedy, że na zawsze. I nagle zdarzył się cud, odzyskał ją. Czy znów ma ją stracić? To byłoby okrutne. Czy ona chce go opuścić? Nie, nie, z pewnością nie zrozumiała. Klęknął przed nią i ujął jej dłonie.

- Lily - powiedział. - Istnieją sprawy ważniejsze nawet niż kościół czy państwo. Na przykład honor. Obiecałem twemu umierającemu ojcu, że cię poślubię. Podczas ceremonii ślubnej przyrzekałem przed tobą, Bogiem i świadkami kochać cię, szanować i nie opuścić aż do śmierci. Oddałaś mi wtedy dziewictwo. Zeszłej nocy znów byliśmy razem. Nawet jeśli nigdy nie poddamy się ceremonii, dzięki której nasze małżeństwo stanie się legalne, zawsze będę cię uważał za swoją żonę. Jesteś moją żoną.

- Nie. - Powiedziała bezbarwnym głosem, wpatrując się w niego błękitnymi oczami. Potrząsnęła głową. - Nie, nie jestem. Nie, jeśli nikt tego nie uznaje. Nie, jeśli tak nie powinno być, jeśli nie chcemy, by tak było.

- Jeśli tak nie powinno być? Byłem w twoim ciele, Lily. - Ścisnął jej rękę, aż się skrzywiła. Przecież chodziło o coś więcej, o dużo więcej. Byli... zjednoczeni. Zeszłej nocy

stali się jednością.

Spojrzała mu prosto w oczy. Usta poruszały się sztywno, kiedy zaczęła mówić.

- Tak jak Manuel - usłyszał. - A on również nie jest moim mężem.

Neville cofnął się, jakby go uderzyła. Manuel. Zamknął mocno oczy, walcząc z zawrotem głowy i mdłościami. A więc wreszcie usłyszał to imię. A ona potraktowała ich na równi - jego i człowieka, który ją posiadał, chociaż nie miał wobec niej żadnych praw. Czy naprawdę według niej niczym się nie różnili? Czy ostatnia noc nic się dla niej nie liczyła, oznaczała tylko cielesne spełnienie? Czy miały to być tylko egzorcyzmy mające odstraszyć jej demony? Nie mógł w to uwierzyć.

- Lily - powiedział. - Nasza ostatnia noc... Mogłaś począć dziecko. Nie pomyślałaś o tym? Musisz mnie poślubić. - Przecież to nie był powód. Nie ze względu na to chciał ją poślubić. Była jego miłością. Należał do niej.

- Jestem bezpłodna, milordzie - rzekła bezbarwnym głosem. - Czy nie zastanawiało cię, że byłam z Manuelem przez siedem miesięcy i nie zaszłam w ciążę? Wcale nie musimy brać ślubu. Powinieneś ożenić się z kobietą, która potrafi być nie tylko twoją żoną, ale również hrabiną Kilbourne. Możesz wreszcie ożenić się z Lauren. Uważam, że jest ci przeznaczona. Pasuje do ciebie pod każdym względem.

Znów ścisnął jej rękę, a potem wstał i przeczesał dłonią włosy. To jakieś szaleństwo. To jakiś okropny koszmar.

- Kocham cię, Lily. - Miał okropną świadomość, jak nieodpowiednie są to słowa. - Wydawało mi się, że ty również mnie kochasz. Wydawało mi się, że właśnie dlatego była wczorajsza noc. I nasza noc poślubna.

Patrzyła na niego oczami pełnymi łez, twarz miała nieruchomą i bladą.

- Zeszła noc nie ma z tym nic wspólnego - powiedziała. - Nie rozumiesz? Nie rozumiesz, że mogę być twoją kochanką, ale nie twoją żoną? Nie hrabiną? - Zanim nabrał oddechu, by zaprotestować z oburzeniem, odezwała się znowu pozbawionym emocji cichym głosem. - Ale nie będę twoją kochanką.

Wielkie nieba!

- Co masz zamiar zrobić? - Zdał sobie sprawę, że zniżył głos do szeptu. Odchrząknął. Nie mógł wierzyć, że zadaje jej takie pytania. - Dokąd się udasz?

Poruszyła ustami, ale nic nie powiedziała. Poczuł przyływ nadziei. Nie miała innego wyboru, musiała z nim zostać. Nie miała nikogo, nie miała dokąd pójść. Zapomniał jednak o jej nieugiętym duchu. Jej spokojna, czasami dziecięca postawa była tylko pozorem.

- Pojadę do Londynu - odezwała się wreszcie. - Jeśli będziesz tak dobry i pożyczysz

mi trochę pieniędzy na dylizans. Pewnie pani Harris okaże się tak miła i pomoże mi znaleźć zatrudnienie. Och, gdybym tylko zdążyła wtedy wrócić do Lizbony, by odnaleźć plecak taty. Może znalazłabym w nim wystarczająco dużo pieniędzy... Ale to nieważne. - Zamilkła na chwilę. - Nie musisz się o mnie martwić. Byłeś dla mnie miły, zachowałeś się zgodnie z tym, co dyktował ci honor i z pewnością nic by się nie zmieniło, jeśli tylko bym na to pozwoliła. Ale nie musisz już brać za mnie odpowiedzialności.

Oparł się ramieniem o kominek i patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- Nie obrażaj mnie, Lily. Nie zarzucaj mi, że moim zachowaniem wobec ciebie kierowało tylko współczucie i honor. - Walczył z paniką. - Nie chcesz więc mnie poślubić? To ostateczna decyzja? Czy nic cię nie przekona?

- Nie, proszę pana - odparła miękko.

To było w tym wszystkim najgorsze. Ciekawe, czy rozmyślnie zaczęła się do niego zwracać jakby nadal był oficerem, a ona córką zwykłego żołnierza.

- Lily. - Miał ochotę się rozplakać. Zamknął oczy, aż wreszcie zapanował nad głosem.

- Lily, obiecaj mi, że nie uciekniesz. Obiecuj, że zostaniesz tutaj przynajmniej na noc i pozwolisz, bym odesłał cię powozem do kogoś, kto ci pomoże. Nie wiem jeszcze, kto i jak. Nie zastanawiałem się nad tym. Daj mi czas do jutra. Obiecujesz? Proszę.

Pomyślał, że mu odmówi. Zapadła długa chwila milczenia. Jednak drzenie głosu zdradziło jej powód. Podobnie jak on znajdowała się na granicy załamania.

- Przebacz mi - powiedziała w końcu. - Nie chciałam cię zranić. Och, nie chciałam ci sprawić bólu. Neville? Naprawdę nie chciałam. Muszę cię opuścić. Z pewnością to zrozumiesz. Muszę wyjechać. Obiecuję jednak, że zostanę do jutra.

\*

Sir Samuel Wilson i lady Mary przebyli pięć mil do Newbury ze swymi pięcioma synami, by wziąć udział w obiedzie z tymi członkami rodziny, którzy mieli wyjechać następnego dnia. Lauren i Gwendoline przyszły z wdowiego domku. Księżę i księżna Anburey, Joseph i Wilma, matka Neville'a oraz Elizabeth siedziały z gośćmi w salonie, kiedy Neville wszedł tam i usprawiedliwił nieobecność Lily. Boli ją głowa, wyjaśnił wszystkim.

- Biedactwo - odezwała się ciotka Mary. - Sama jestem ofiarą migren, wiem, jak musi teraz cierpieć.

- Jaka szkoda, Nev - oświadczył Hal Wollston. - Bardzo się cieszyłem na spotkanie z Lily. Wspaniała kobieta!

- Tak mi przykro, Neville - rzekła Lauren. - Przekaż jej moje pozdrowienia, kiedy ją

później zobaczysz.

Skinął głową.

- Zachowała się rozsądnie, nie schodząc na dół, skoro boli ją głowa - stwierdziła Elizabeth.

Hrabina nie bawiła się w uprzejmości.

- To rodzinne zebranie - odezwała się po cichu do syna. - Na takich spotkaniach żona powinna się pokazywać u twego boku, Neville. Czy te migreny mają się przekształcić w chroniczną chorobę? Ciekawe. Lily nie wygląda mi na kobietę cierpiącą na nerwowe niedyspozycje.

- Boli ją głowa, mamó - oznajmił stanowczo. - Powinna być usprawiedliwiona.

Jednakże prawdy nie da się utrzymać długo w tajemnicy. Gdybyż Lily zechciała postąpić jak planował... Nadal nie mógł pojąć tego, że ich ślub jest nieważny, a ona nie poślubi go powtórnie. Że nie ma do niej żadnych praw. Że Lily chce go opuścić. Że nigdy już jej nie zobaczy.

A przecież była jeszcze ostatnia noc...

Musiał jakoś przebrnąć przez wieczór. Najpierw miał zamiar do końca utrzymywać początkową wersję, to znaczy udawać, że Lily jest chora. Panował wesoły nastrój, może dlatego, że wśród zebranych znajdowało się kilkoro młodzieży. Nawet młodemu Derekowi Wollstonowi, który miał dopiero piętnaście lat, pozwolono zasiąść do obiadu z dorosłymi. Jednak Neville zmienił zdanie. Miał i tak do napisania mnóstwo listów, w których musiał wyjaśnić całą sytuację. Ten wieczór dawał mu idealną okazję, by wyjawić nowinę przynajmniej tym osobom, których najbardziej dotyczyła.

Kiedy więc matka dała znak po ostatnim daniu, że panie mogą przejść do salonu, zostawiając panów na szklaneczkę porto, zdecydował się wszystko wyjawić.

- Prosiłbym, mamó, byś została jeszcze przez chwilę - odezwał się, podnosząc głos tak, aby usłyszeli go wszyscy siedzący za stołem. - Dotyczy to również wszystkich pań. Mam wam coś do powiedzenia.

Matka usiadła z powrotem, uśmiechnięta. Oczy wszystkich zwróciły się ku niemu. Przez chwilę bawił się łyżeczką leżącą przed nim na stole. Nie planował, co ma powiedzieć. Nigdy nie lubił przygotowanych przemówień. Uniósł oczy i popatrzył na członków rodziny. Większość przyglądała mu się z uprzejmym zainteresowaniem - może oczekiwali pożegnania z okazji wyjazdu części z nich. Kilka osób uśmiechało się. Joseph puścił oko. Elizabeth spojrzała na niego badawczo, jakby potrafiła w wyrazie jego twarzy odczytać coś, czego inni jeszcze nie zauważyli.

- Lily nie cierpi na migrenę - oznajmił.

Zapadła kłopotliwa cisza. Samuel odchrząknął. Ciotka Sadie dotknęła palcami pereł.

- Dowiedziała się dzisiaj po południu, że nie jest moją żoną - ciągnął dalej. - A przynajmniej, że nasze małżeństwo nie zostało uznane za legalne.

Najpierw zapadła jeszcze głębsza cisza, a potem wszyscy zaczęli się przekrzykiwać, domagając się wyjaśnień. Neville uniósł rękę i wszyscy zamilkli tak nagle, jak zaczęli mówić.

- Tuż po przyjeździe Lily podejrzewałem, że istnieje taka możliwość. - Powtórzył pokrótce to, co wcześniej jej powiedział. Nie wystarczyło, że ceremonia ślubna naprawdę się odbyła i że przeprowadził ją wyświęcony pastor. Nie wystarczyło, że on i Lily uczynili wobec siebie śluby i że jeden ze świadków żył nadal i mógł poświadczyć ten fakt. Istniały pewne formalności, których należało dopełnić, by małżeństwo stało się ważne w oczach kościoła i prawa. A owe formalności nie zostały dopełnione w ich przypadku, ponieważ wielbny Parker - Rowe poległ, a dokumenty zaginęły. Jeden ze świadków zmarł w Ciudad Rodrigo miesiąc później.

- Więc Lily nie jest twoją żoną - powiedział niepotrzebnie księżę Anburey, kiedy Neville skończył mówić. - Nigdy nie byłeś jej mężem.

- Do licha! - wykrzyknął skonsternowany Hal.

- Ostatecznie Lily nie jest hrabiną Kilbourne. - Ciotka Mary potrząsnęła głową, wyglądała na wstrząśniętą. - Nie dziwię się, że ma migreny, biedaczka. Więc tytuł nadal należy do ciebie, Klaro.

Większość osób zebranych przy stole miała coś do dodania, wszyscy oprócz hrabiny, patrzącej na syna w milczeniu, Josepha, który spoglądał na niego ze ściągniętymi brwiami, oraz Lauren, która bez wyrazu wpatrywała się w stół.

- Ależ, Neville. - Elizabeth pochyliła się i jak zawsze, kiedy zabierała głos, wszyscy zamilkli, by jej wysłuchać. - Z pewnością masz zamiar zachować się, jak nakazuje przyzwoitość i ożenić się z Lily, mam rację?

Wszyscy spojrzeli na niego. Próbował się uśmiechnąć, ale mu się to nie udało.

- Ona tego nie chce - powiedział. - Nie zgodziła się i nie da się przekonać.

- Doprawdy? - Hrabina przemówiła wreszcie.

- Miałem zamiar wyjechać z nią jutro do Londynu, mam - wyjaśnił. - Wzielibyśmy tam cichy ślub po uzyskaniu pozwolenia i nikt by o niczym nie wiedział, tylko my dwoje. Ale Lily nie chce tego. Nie poślubi mnie.

Nieoczekiwanie Elizabeth uśmiechnęła się, sadowiac się wygodniej na krześle.

- Nie, nie zrobi tego - odezwała się bardziej do siebie niż do innych.

W końcu to Gwendoline wyraziła na głos to, co wynikało z usłyszanej wiadomości. Uderzyła dłońmi o kolana, a jej oczy błysnęły radośnie.

- Ach, ależ to cudownie! - wykrzyknęła, uśmiechając się ciepło do brata. - Nareszcie ty i Lauren możecie się pobrać. Możecie wyznaczyć kolejną datę ślubu, wszystko zaplanujemy od nowa. Ślub latem będzie jeszcze bardziej uroczy niż wiosną. Możesz mieć wiązanekę z róż, Lauren.

Neville zacisnął rękę na łyżeczce. Zacerpnął powietrza, by odpowiedzieć, ale kuzynka ubiegła go.

- Nie - powiedziała. - Nie, Gwen. Ostatnich dziewięciu dni nie można tak po prostu wymazać, jakby się w ogóle nie zdarzyły. Nic nie będzie już takie jak przedtem. - Uniosła oczy i spojrzała na niego. - Prawda, Neville?

Nie wiedział, czy oczekiwała, że jej przytaknie, czy błaga go, by się z nią nie zgodził. Mógł tylko zdobyć się na ucziwość. Potrząsnął głową.

- Prawda jest taka, że złożyłem Lily przyrzeczenie w dobrej wierze. Naprawdę miałem zamiar je spełnić. Czy czyni to jakąś różnicę, że nasz ślub nie może zostać uznany za legalny? Czyż nie są to moralne śluby? I czy powinienem chcieć, by takie nie były? Uważam Lily za moją żonę. Wierzę, że tak będzie zawsze.

Lauren znów spuściła wzrok. Trudno było powiedzieć, czy taka odpowiedź zadowoliła ją, czy rozczarowała. Rzadko można było wyczuć, co tak naprawdę Lauren myśli. Zachowanie godności liczyło się dla niej najbardziej. Teraz również zachowywała się z godnością - siedziała przy stole blada i piękna. Neville głęboko jej współczuł. Bardzo chciał ulżyć cierpieniu, które zapewne odczuwała, ale nie potrafił tego zrobić.

- To jakiś absurd, Neville - odezwała się szorstko matka. - Czy stawiasz się ponad prawem? Ponad kościołem? Jeśli kościół twierdzi, że nie jesteście małżeństwem, to znaczy, oczywiście, że nie jesteście. A twoim obowiązkiem jest poślubienie kobiety z towarzystwa, która będzie odpowiednia do twojej pozycji i da ci dziedzica.

Lily nie była damą, nie pasowała do jego pozycji, nie mogła dać mu dziedzica. Ale Lily była jego żoną.

- Przecież to tylko kwestia dziewięciu dni - powiedział książę. - Towarzystwo będzie zachwycone tą historią i zapomni o niej, gdy tylko pojawi się inna sensacja lub zainteresuje ich inny skandal. Twoja matka ma rację, Neville, musisz powrócić do poprzedniego życia najszybciej jak to możliwe. Poślubić kogoś z naszej sfery. Nie chciałbym być niemiły wobec Lily, ale...

- W takim razie nie bądź. - Neville odezwał się spokojnie, ale tak stanowczo, że wuj

przerwał w połowie zdania. - Jeśli ktokolwiek ma zamiar jej uchybić, to informuję tę osobę, że będę bronił honoru Lily w sposób, jaki uznam za konieczny, tak, jakbym się zachował, gdyby cały świat uznawał ją za moją żonę.

- O, na Boga! - zawołał Richard Wollston. - Słusznie, Nev.

- Trzymaj język za zębami - ostrzegł go gwałtownie ojciec.

- Widzę, że przestajemy panować nad nerwami. - Elizabeth poruszyła inną kwestię, którą nikt się nie zainteresował, a która dręczyła go, odkąd Lily zostawiła go w bibliotece. - Co się z nią stanie, Neville? Cóż ona pocnie? Rozumiem, że nie zna swojej rodziny mieszkającej w Anglii.

- Chce pojechać do Londynu i poszukać pracy - odparł. - Lękam się o tym myśleć. Mam nadzieję, że pozwoli mi, bym znalazł dla niej jakieś przyzwoite mieszkanie. Obawiam się jednak, że się nie zgodzi. Wiem, że jest dumną i upartą kobietą.

W oczach Gwendoline zaświeciły łzy.

- Pomyślałam najpierw, co to znaczy dla naszego szczęścia - dla Lauren, Neville'a i dla mnie. Nie pomyślałam o tym, co się stanie z Lily. Chciałabym. .. tak, chciałabym, by nigdy nie pojawiła się w naszym życiu. Jednak przyjechała tu, a ja, mimo wszystko, polubiłam ją. Teraz bardzo mi jej żal. Miejmy nadzieję, że nie ucieknie tak po prostu, Nev?

- Obiecała, że tego nie zrobi - zapewnił siostrę.

- Neville - powiedziała Elizabeth. - Może ja jej pomogę. Mam powiązania w Londynie i bardzo ją polubiłam, chociaż jej przyjazd zniszczył szczęście mojej biednej Lauren. Czy mogę do niej pójść?

- Chciałbym, żebyś to zrobiła - odparł. - Może uda ci się ją nakłonić, by zmieniła zdanie. By mnie mimo wszystko poślubiła?

- Nie działaj zbyt pochopnie, Neville - poradził księżę. - Masz teraz drugą szansę, by wybrać sobie mądrze żonę. Dobrze byłoby, gdybyś podjął decyzję po głębokim zastanowieniu, a nie pod wpływem emocji.

Elizabeth wstała.

- Gdzie ona jest? - spytała. - U siebie?

- Tak mi się wydaje - odparł. Z Lily nic nie mogło być pewne, ale kiedy schodził na obiad była w swoim pokoju. Siedziała zwinęta w kłębek na krześle przy oknie, wpatrzona przed siebie. Nie odwróciła nawet głowy, by spojrzeć na niego, ani nie odpowiedziała na żadne z jego pytań, jedynie wzruszyła ramionami, choć w geście tym było więcej bezbronności niż beztrioski. Zauważył, że przebrała się w starą, bawełnianą suknię.

- W takim razie pójdę do niej - powiedziała Elizabeth. - Pozwolicie, że was opuszczę.

Neville zdał sobie dopiero poniewczasie sprawę, że Forbes stał cicho przy kredensie. Trudno. Prawda o tym, że on i Lily nie są małżeństwem, nie utrzyma się i tak w tajemnicy przed służbą. Lepiej, żeby dowiedzieli się wszystkiego od lokaja, niż gdyby miało to do nich dotrzeć we fragmentach, jako mieszanka prawdy i plotek, w ciągu nadchodzących dni.

- Może przejdziemy wszyscy do salonu - zaproponował, wstając i przysuwając nogą krzesło do stołu. - Na razie nie mam ochoty na porto.

Derek i jego brat, William, młodzieńcy siedemnastoletni, spojrzeli niemal komicznie zawiedzeni. Neville'a, kiedy to zauważył, opanował humor zupełnie nie pasujący do innych ogarniających go uczuć. Przypomniało mu to jednak, że życie toczy się dalej, mimo najgorszych wstrząsów, jakich doznajemy.

Nagle postanowił, że jeśli tylko okaże się to możliwe, odnajdzie plecak sierżanta Doyle'a. Prawdopodobnie rzeczy przeznaczone dla niej zniknęły, zwłaszcza jeśli były wśród nich pieniądze, może jednak uda mu się coś odzyskać. Zdał sobie sprawę, że Lily nie ma żadnej pamiątki po ojcu. Pamiętał, co mu powiedziała, kiedy pokazywał jej galerię z portretami przodków. Strasznie jest stracić swoich bliskich, nie znać nikogo z pozostałych członków rodziny, zostać bez jakiegokolwiek pamiątki związanej z rodzicami.

To właśnie dla niej zrobi. Jeśli plecak gdzieś się znajdował, odzuka go - nawet gdyby miało mu to zabrać resztę życia. Odzyska dla Lily rzecz należącą do jej ojca.

Pocieszające było, że istniało cokolwiek, choćby drobnostka, co mógł dla niej uczynić.

- Nev. - Joseph, markiz Attingsborough, położył mu rękę na ramieniu, kiedy opuszczali jadalnię. - Nie musisz iść z nami do salonu, stary druhu. Lepiej ci zrobi, jak urznieś się w sztok. Może przyda ci się ktoś współczujący do towarzystwa?

Lily siedziała wciąż z nogami podwiniętymi na krześle przysuniętym blisko okna. Od kiedy przybiegła tu z biblioteki i zdjęła w szaleńczym pośpiechu piękną suknię, którą niedawno otrzymała, i naciągnęła na siebie starą, wstała tylko raz. Po to, by zdjąć z łóżka nakrycie i otulić się nim. Wieczór zrobił się chłodny, lecz nie zamykała okien. Cały czas wpatrywała się w mrok.

Ciche pukanie do drzwi sypialni nie zaniepokoiło jej. Po prostu zignorowała. To mógł być Neville, a nie chciała patrzeć na niego ani rozmawiać z nim. Mogłaby zachwiać się w swym postanowieniu, a wtedy nie odeszłaby od niego nigdy. Nie mogła pozwolić, by tak się stało. Miłość to nie wszystko. Kochała go - uwielbiała - całym sercem, ale to po prostu nie wystarczało. Nie należała do jego życia. On nie należał do niej - chociaż akurat ta myśl przerażała ją. Nie miała przecież żadnego życia. Nie chciała jednak myśleć o ziejącej pustce, która czekała ją, kiedy skończy się ta ostatnia noc w Newbury Abbey.

- Lily? - Usłyszała głos Elizabeth. - Czy mogę wejść, moja droga? Mogę z tobą posiedzieć?

Dziewczyna podniosła wzrok. Ciotka Neville'a, jak zwykle nienagannie elegancka, miała na sobie ciemnozieloną suknię z wysoką talią, a jej blond włosy były gładko uczesane. Stanowiła przykład wzorowej arystokratki - była córką hrabiego, kobietą wykształconą, z ogładą, o nieskazitelnym manierach, choć łatwą w pożyciu. I właśnie ta Elizabeth pytała, czy może usiąść koło córki sierżanta, koło Lily Doyle. No cóż. Lily zawsze była dumna z ojca, pielęgnowała czułe wspomnienia o matce, miała poczucie własnej godności. Jej szacunek do siebie osłabł w ciągu tych siedmiu miesięcy, kiedy wybrała przetrwanie zamiast oporu, ale odzyskała go. Nie było w niej, w jej życiu i pochodzeniu nic, czego mogłaby się wstydzić.

Skinęła głową i znów spojrzała w ciemność.

Elizabeth przystawiła obok krzesło i usiadła. Wzięła dłoń Lily w swoje ciepłe ręce. Po raz pierwszy dziewczyna zdała sobie sprawę, że chociaż jest okryta, a powietrze wieczorne nie jest aż tak bardzo chłodne, nadal jej zimno.

- Bardzo cię szanuję, Lily - odezwała się Elizabeth.

Dziewczyna spojrzała na nią z zaskoczeniem.

- Zrobiłaś to, co jest dobre zarówno dla Neville'a, jak i dla ciebie. Nie było ci jednak łatwo. Zrezygnowałaś z tylu rzeczy.

- Nie. - Lily potrząsnęła głową. - Nie było trudno zrezygnować z Newbury Abbey i tego wszystkiego. - Wskazała wolną ręką wokół siebie. - Nic nie rozumiesz. To rodzaj życia,

do którego ty zostałaś wychowana. Ja dorastałam w taborach wojskowych.

- Miałam na myśli to, że zrezygnowałaś z Neville'a - wyjaśniła delikatnie Elizabeth. - Kochasz go.

To nie było pytanie.

- To nie wystarczy - odparła Lily.

- Nie, kochanie, nie wystarczy - zgodziła się Elizabeth. Siedziały przez chwilę w milczeniu. - Neville powiedział, że chciałabyś znaleźć jakieś zatrudnienie.

- Tak. Nie wiem, czy mam po temu odpowiednie kwalifikacje, ale potrafię ciężko pracować. Może pani Harris, z którą przyjechałam do Anglii z Lizbony, pomoże mi znaleźć jakąś posadę, jeśli ją poproszę.

- Ja mogę cię zatrudnić.

- Ty? - Lily spojrzała na nią.

Elizabeth uśmiechnęła się.

- Mam trzydzieści sześć lat, Lily, i już od dawna nie muszę chodzić w towarzystwie przyzwoitki. Mieszkam jednak sama i powinnam przestrzegać konwenansów. Oczekuj e się ode mnie, by w moim domu przebywała osoba towarzysząca i wybierała się ze mną na miasto jeśli jestem bez męskiej eskorty. Przez pięć lat mieszkała ze mną kuzynka Harriet, ale jakieś cztery miesiące temu udało ją się szczęśliwie wydać za proboszcza i zostałam bez przyzwoitki. Oczywiście cieszę się z jej szczęścia, jest starsza ode mnie, a ja zawsze wierzyłam, że kobieta nie będzie spełniona, jeśli nie wyjdzie za mąż. A poza tym, Lily, miałam jej już serdecznie dosyć. Trudno byłoby znaleźć dwie kobiety o tak różnym usposobieniu i charakterze. Muszę poszukać kogoś na jej miejsce. Czy chciałabyś ją zastąpić? Oczywiście, będę ci za to płacić.

Lily nienawidziła się za gwałtowny napływ zadowolenia, które poczuła. Nie, nic z tego na pewno nie wyjdzie.

- Jesteś bardzo uprzejma, jednak ja nie mam żadnego przygotowania nie potrafiłabym być dla ciebie odpowiednim towarzystwem - powiedziała. - Zważ na moje niedostatki - nie umiem czytać i pisać, nie maluję i nie gram na fortepianie, nie wiem nic o teatrze, muzyce i... na niczym się nie znam. Nie należę do twojego świata. Jeśli uważałaś swoją kuzynkę za nieznośną, szybko uznałabyś mnie za stokroć gorszą.

- Och, Lily. - Elizabeth uśmiechnęła się i ścisnęła jej rękę. - Żebyś tylko wiedziała, jak nudne potrafi być życie kobiety z towarzystwa, nie odmawiałabyś mi tak szybko. Zapewne nie zdajesz sobie sprawy, jaką radość sprawiałaś mi w ciągu ostatnich kilku dni. Myślisz, że nic mi nie możesz zaoferować, ponieważ nie znasz się na tych sprawach, na których ja się

znam. No cóż, moja droga, znam się na nich, więc nikt mi nie musi o nich mówić. Ale nie znam się na tych rzeczach, na których ty się znasz. Możemy podzielić się naszymi światami, Lily. Możemy się razem świetnie bawić. Jestem pewna, że kiedy będziesz w moim domu, będziemy miały wspaniałą rozrywkę. Masz żywy, inteligentny umysł, nawet jeśli nie zdajesz sobie z tego sprawy, a inteligencja to bardzo ważna cecha. Powiedz, że pojedziesz ze mną jako moja przyjaciółka. Ze względów praktycznych zostaniesz przeze mnie zatrudniona, musisz przecież z czegoś żyć. Ale w głębi duszy żywię nadzieję, że zostaniesz moją przyjaciółką.

Będę miała pracę, pomyślała Lily. A chociaż będzie dla niej pracowała, Elizabeth będzie traktować ją jak równą sobie. Wcale nie sądzi, że różnią się pod względem inteligencji czy umysłu. Uważa, że Lily, jako jej przyjaciółka, może jej zaoferować tyle samo co ona jej. Dziewczyna nie była o tym przekonana, ale pokusa, by się zgodzić, była zbyt silna, wręcz przemożna, zwłaszcza w obecnym położeniu.

- Może na jakiś czas - powiedziała. - Jeśli się jednak okaże, że nie jestem taka, jakbyś chciała, powiesz mi to, a wtedy opuszczę cię. Nie chciałabym nadużywać twojej życzliwości.

Elizabeth uniosła brwi.

- Nie wprowadzałabym kogoś do mojego domu powodowana jedynie życzliwością. Zbyt cenię sobie własną wygodę. Ale zgadzam się na twoje warunki. Będą obowiązywać nas obie. Jeśli po jakimś czasie okaże się, że nie możesz dla mnie pracować, powiesz mi to, a ja pomogę ci znaleźć inną pracę. Czy będziesz gotowa na jutro rano?

- Jeszcze wcześniej - odparła gorąco Lily. - Obiecałam jednak, że zostanę dzisiaj noc.

- I bardzo dobrze. Neville nie jest kontent z tego obrotu spraw. Powiedziałabym wręcz, że jest bardzo nieszczęśliwy. Nie masz chyba zamiaru zostawić swoich nowych rzeczy, mam nadzieję?

- Muszę - odparła Lily. - Zostały kupione dla jego żony. A ja nie jestem jego żoną.

- Bardzo byś go jednak zraniła, gdybyś nie wzięła ich ze sobą - zapewniła ją Elizabeth.

- Czasami duma jest zbyt egoistyczna. Czy weźmiesz je jako prezent od niego? Nie ma w tym nic niestosownego, moja droga. To wcale nie świadczyłoby o twojej chciwości. Powinnaś to zrobić. Byłabyś okrutna, gdybyś zdecydowała inaczej.

Lily zagryzła wargę, ale skinęła głową.

- Wspaniale! - Elizabeth wstała. - Wyjeżdżamy wcześniej. Spróbuj zasnąć, dobrze? - Pochyliła się i pocałowała ją w policzek.

Dziewczyna pokiwała głową.

- Dziękuję - powiedziała. Zatrzymała jeszcze Elizabeth przy drzwiach, kiedy przyszła jej do głowy pewna kłopotliwa myśl. - Czy księżę Portfrey jedzie razem z nami?

- Nie. Irytujący człowiek. - Ciotka Neville'a roześmiała się. - Wyjechał dzisiaj po południu. Nie jedzie prosto do Londynu, nie będzie go w stolicy kilka tygodni. To nie znaczy, że zostawił mnie na pastwę losu, zresztą nie ma obowiązku ciągle dotrzymywać mi towarzystwa. Webster i Sadie będą jechać obok w swoim powozie, i oczywiście Wilma. Joseph również opuszcza Newbury w tym samym czasie, ale on pewnie będzie jechał z szybkością stosowną do jego młodego wieku i płci. Szczęściarz!

Lily skinęła głową i doznała wielkiej ulgi. Księżę Portfrey wyjechał. Przez jakiś czas nie będzie go w Londynie. Wyjechał dzisiaj po południu? Tak nagle? Może po tym, kiedy próbował pozbawić ją życia? Może sądzi, że mu się udało? Przestraszyła się swoich myśli. Nie było żadnego mężczyzny. A nawet jeśli był, nie ma dowodu, żeby podejrzewać o to księcia. Poza tym, równie dobrze mogła to być kobieta. Jeśli to była Lauren, skończy się wreszcie to skradanie się za nią, te próby wywołania wypadku. Lauren będzie mogła znów pozyskać uczucia Neville'a. Z pewnością nikogo tam nie było. Głaz spadł zupełnie przypadkowo.

Gdy Elizabeth wyszła, Lily zamknęła oczy i oparła głowę na fotelu. Myślała o swoim ślubie i o nocy poślubnej, o marzeniu, by się znów połączyć z Neville'em, o marzeniu, dzięki któremu nie postradała zmysłów w czasie swej niewoli, o długiej, samotnej, niebezpiecznej wędrówce do Lizbony i bezowocnych poszukiwaniach Neville'a lub kogoś, kto uwierzyłby w jej historię, wreszcie o długiej podróży do Anglii i do Newbury, o tym, jak znalazła go w kościele i o wszystkich wydarzeniach ostatnich kilku dni.

O ostatniej nocy.

Dwie łzy uciekły spod powiek, spłynęły po policzkach i spadły na suknię.

I o dzisiejszym popołudniu w bibliotece.

Nadal jeszcze nie w pełni zdawała sobie sprawę z tego, że jej marzenia legły w gruzach. Nie śmiała spojrzeć w przyszłość. To prawda, wszystko wydawało się teraz jaśniejsze, a w każdym razie bezpieczniejsze niż godzinę temu. Ale to była przyszłość bez niego. Bez Neville'a.

Od kiedy skończyła czternaście lat, Neville był zawsze w jej życiu, chociaż przez cztery lata wydawał się nieosiągalny, a przez półtora roku przebywał daleko. Zawsze jednak marzyła o nim. Marzenia i realność zetknęły się poprzedniej nocy - nawet wtedy dobrze zdawała sobie sprawę, że było to jedynie zetknięcie, które nie mogło trwać długo. Nie wiedziała jednak, że tak prędko jej marzenia runą w gruzach. Nie wiedziała, że tej nocy jej

sen się skończy.

Mimo że nadal go kochała i zawsze będzie go kochać.

Mimo że on kochał ją.

Kres marzeń, które nie miały szans na spełnienie.

No cóż, pomyślała, otwierając oczy i wstając, by przygotować się do snu, przeżyje. To zawsze był główny cel w życiu ludzi, wśród których dorastała - chcieli po prostu przeżyć. I ona nie ma innego wyjścia. Może gdzieś w przyszłości pojawi się inne marzenie, któremu się podda. Nie mogła tego sobie teraz wyobrazić, ale miała nadzieję, że tak się stanie.

Mogła pograć się w marzeniu o marzeniu. Uśmiechnęła się na tę nedorzeczną myśl. Uśmiechnęła się, bo nawet teraz nie opuszczała jej nadzieja.

\*

Neville nie mógł się upić. Siedział w bibliotece z markizem Attingsborough i walcząc z pokusą, by znaleźć chociaż tymczasowe zapomnienie, wypił dwie brandy, jedną po drugiej, ale na tym poprzestał. Alkohol nie mógł ukoić jego bólu. Mógł jedynie zmącić mu umysł, a przecież powinien przygotować się na to, co czekało go rano.

Lily miała go opuścić następnego dnia.

- Chciałbym cię jakoś pocieszyć, Nev - powiedział markiz, odstawiając na pół wypity kieliszek, pierwszy kieliszek. - Kiedy dziewięć dni temu towarzyszyłem ci w kościele, myślałem, że nie może się stać już nic gorszego, niż to, co się wydarzyło. Okazuje się, do licha, że się myliłem. Stało się.

- Uważasz, że pomogłoby, gdybym jej ukręcił szyję? - Neville zaśmiał się, ale próba okazania dobrego humoru, nawet tak czarnego, tylko sprawiła, że poczuł się jeszcze gorzej. Oparł głowę na oparciu fotela i zamknął oczy.

- Jest wyjątkowa - stwierdził Joseph. Zachichotał bez sensu. - Kto oprócz Lily potrafiłby, do licha, odrzucić twoje oświadczyzny? Zwłaszcza że nie miała dużego wyboru. I że jest w tobie okropnie zakochana.

- Może Elizabeth zdoła ją przekonać do zmiany decyzji - powiedział z nadzieją w głosie Neville. - Co ja zrobię, jeśli jej się to nie uda? Obiecałem ojcu Lily, że się nią zaopiekuję. Złożyłem jej śluby małżeńskie. Ja... no cóż, wszystko to nie ma nic wspólnego z obietnicami i ślubami. Ja... nie zrozumiałbyś tego, Joe.

- Będąc bezdusznym facetem, który nigdy się nie zakochał i marzył, że spotka kiedyś tę jedną jedyną i będzie ją kochał przez całe życie? - spytał ponuro kuzyn. - Twoje uczucia względem niej są zupełnie oczywiste, Nev, i widzę wyraźnie, że niewzruszone. Zazdrościłem

ci. Wszyscy byliśmy pod urokiem Lily.

Do pokoju weszła Elizabeth i obaj mężczyźni skoczyli na równe nogi. Spojrzała znacząco na ich kieliszki, ale nic nie powiedziała.

- I? - Neville zacisnął mocno pięści.

- Rano Lily wyjeżdża ze mną do Londynu - oznajmiła. - Zgodziła się u mnie pracować. Jako osoba do towarzystwa.

Neville popatrzył na nią z niedowierzaniem.

Markiz odchrząknął i niespokojnie poruszył nogą.

- Tak właśnie zdecydowała - wyjaśniła spokojnie Elizabeth. - To będzie dla niej odpowiednia pozycja, Neville.

- Czy próbowałaś przekonać ją, by została i wyszła za mnie? - spytał. Jednak wyraz jej twarzy nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Cały jego powściągnięty niepokój znalazł ujście w gniewie. - Nie zrobiłaś tego, prawda? Nie miałaś nawet takiego zamiaru. Specjalnie mnie wprowadziłaś w błąd. Czy ty również chcesz zabrać ją z mojej drogi, Elizabeth, tak by scena była pusta, by znów było po staremu? Nic nie będzie po staremu. Lily jest moją żoną. Kocham ją. Czy nikt nie może tego zrozumieć, tylko dlatego, że nie należy do naszej sfery? Jest dla mnie wystarczającą damą. Jest moją damą. Pójdę teraz do niej i...

- Nie, Neville - przerwała mu spokojnie, zanim zrobił krok w kierunku drzwi. - Nie, mój drogi. Postąpiłbyś źle. Źle dla ciebie, źle dla Lily.

- A ty wiesz, co jest dla nas dobre? - Neville spojrzał na nią błyszczącymi oczami. - Ty, Elizabeth? Stara panna? Co ty wiesz o miłości?

- Uważaj, stary - odezwał się spokojnie Joseph.

Neville przecesał ręką włosy.

- Wybacz - powiedział. - Do diabła. Przepraszam, Elizabeth. Tak mi przykro.

- Bardziej bym się martwiła, gdybyś nie zareagował tak gwałtownie, Neville - odparła niezbyt poruszona. - Wysłuchaj mnie, proszę. To może być najlepsza rzecz, jaka się zdarzyła wam obojgu. Kochasz ją, nie muszę nawet pytać, czy to prawda. Musisz jednak przyznać, że twoje małżeństwo mogło doprowadzić do katastrofy. Może, kiedy następnym razem oświadczysz się Lily, połączy was nie tylko miłość i zobowiązanie.

- Następnym razem? - Neville uniósł brwi, a markiz podszedł do szafy i zaczął oglądać grzbiety książek.

- Nie należysz do mężczyzn, którzy poddają się bez walki - odpowiedziała. - Szczerze wątpię, czy pragnąłś czegoś bardziej niż Lily. Czy naprawdę masz zamiar tak łatwo z niej zrezygnować?

Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu. Nadal targały nim silne emocje. Nadal nie mógł spokojnie przyjąć, że Lily wyjeżdża następnego dnia. Nie myślał jeszcze o tym, czy będzie mógł ją odzyskać po jej wyjeździe z Newbury Abbey. Albo go teraz poślubi, sądził, albo będzie musiał resztę życia przeżyć bez niej.

- Kiedy?

- Nie mnie o tym mówić - odparła, potrząsając głową. - Może nigdy. Z pewnością nie w ciągu najbliższego miesiąca.

- Miesiąca?

- Ani jednego dnia wcześniej. Czeka nas jutro wczesna pobudka. Idę spać. Dobranoc, Neville. Dobranoc, Joseph.

Po jej wyjściu w bibliotece zapanowała cisza. Neville patrzył w drzwi, a Joseph nadal przeglądał książki stojące na półce, nie zdejmując żadnej.

- To byłaby głupia nadzieja a - powiedział w końcu Neville. - Głupia nadzieja, Joseph. Mam rację?

- Niech to piekło pochłonie. - Kuzyn westchnął głośno. - Kto potrafi przewidzieć zachowanie kobiety? Na pewno nie ja, mój stary. Zawsze jednak bardzo szanowałem Elizabeth.

- Przyrzeknij mi coś.

- Co tylko chcesz, Nev. - Markiz odwrócił się od szafy z książkami i spojrzał w zamyśleniu na kuzyna.

- Miej na nią oko. Jeśli będzie sprawiała wrażenie bardzo nieszczęśliwej...

- Do licha, Nev. Jeśli będzie sprawiała wrażenie? Problem w tym, staruszkule, że ona jest wolna i ma prawo do swoich wyborów. Odwiedzę kilka razy Elizabeth. I pojedę całą drogę do Londynu koło jej powozu, chociaż to będzie ciężka próba dla moich nerwów, ponieważ mój ojciec będzie jechał zbyt blisko, a podróż z matką i Wilmą nie należy do przyjemności. Mimo to przypilnuję, by Lily dotarła bezpiecznie do Londynu. Daję ci na to słowo honoru.

- Dziękuję.

- I kto wie? - Joseph powiedział wesoło i przeszedł przez pokój, by poklepać przyjacielsko kuzyna po ramieniu. - Może Elizabeth ma rację i Lily zrozumie, co traci, kiedy znajdzie się z daleka od ciebie. Elizabeth wie więcej o tym, jak pracuje umysł kobiety. Masz zamiar się upić czy idziemy spać?

- Nie sądzę, by udało mi się upić, nawet gdybym próbował - odparł Neville. - Dzięki jednak za propozycję.

- Od czego ma się przyjaciół...

\*

Neville poszedł spać podtrzymywany na duchu nową nadzieją. Udało mu się nawet zapaść w urywany sen. Rano jednak cały czas trawił w myślach echo słów Elizabeth - „Może nigdy” - a ich wspomnienie powodowało, że opuszczała go nadzieja.

Wyjeżdżali wszyscy razem - ciotka Sadie i wujek Webster z Wilmą, Joe na koniu, Elizabeth z Lily. Taras zappełnił się wieloma osobami żegnającymi się i ściskającymi, nawet Gwen i Lauren przysły z wdowiego domku. Neville zauważył, że Lily również została wyściskana przez wszystkich. Również Lauren i Gwen miały łzy w oczach, kiedy się z nią żegnały. Ubrana była w piękną błękitną suknię podróżną, którą niedawno dla niej uszyto - bardzo się obawiał, że nie będzie chciała zachować swoich nowych rzeczy.

Wreszcie podszedł do niej, świadom, że wszyscy cofają się taktownie na bok, dając im okazję do bycia sam na sam. Wziął jej dłoń w rękawiczce w obie ręce i spojrzał prosto w oczy. Były spokojne, bez łez, którymi inni się zalewali.

Próbował coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Patrzyła na niego bez słów. Uniósł jej dłoń do ust i pozostał tak nieruchomo, zamykając oczy. Kiedy jednak spojrzał na nią, nadal nie był w stanie nic powiedzieć. Nie, to było nie w porządku. Miał jej tyle do powiedzenia, ale żadne słowa nie mogły tego wyrazić. Więc nie mówił nic.

W końcu odezwała się Lily.

- Neville. - Niemal nie wydała żadnego dźwięku, ale widział, że jej usta wymówiły jego imię.

Wielkie nieba! Tak długo pragnął, by znów zwróciła się tak do niego. Powiedziała jego imię wczoraj po południu. Mówiła je teraz. Czuł jednak, jakby jego serce rozrywały cięcia ostrego noża.

- Lily - wyszeptał, pochylając ku niej głowę. - Zostań. Zmień zdanie. Zostań ze mną. Uda nam się.

Potrząsnęła jednak powoli głowę.

- Nie uda - powiedziała. - Nie uda. T - ta... tamta noc. Cieszę się, że to się stało.

- Lily...

Wyrwała jednak dłoń z jego uścisku i pospieszyła do otwartych drzwi powozu. Patrzył z niekłamaną rozpaczą, jak lokaj pomaga jej wejść do środka.

Usiadła obok Elizabeth i spojrzała bez wyrazu przed siebie. Służący złożył schodki i zamknął drzwi. Powóz zakołysał się na resorach i ruszył.

Neville przełknął ślinę, raz, drugi. Poczł, że ogarnia go panika, pragnienie, by rzucić się za nimi, otworzyć drzwi, porwać ją w swe ramiona i nie pozwolić jej jechać.

Uniósł rękę w geście pożegnania, jednak Lily nie odwróciła się.

Może nigdy. Te słowa cały czas rozbrzmiewały w jego umyśle.

Och, kochana. Marzenia legły w gruzach i nie było pewności, czy zdoła je odbudować.

**CZEŚĆ CZWARTA**  
**EDUKACJA DAMY**

Zabaw mnie Lily i odpowiedz na kilka pytań - zażądała nowa pracodawczyni, kiedy upłynęła niemal godzina milczenia i pierwszy ból minął. - Musisz odpowiadać szczerze, taka jest podstawowa zasada gry w „co by było, gdyby”.

Dziewczyna odwróciła się do niej, starając się zachować uśmiechniętą twarz. Nadal nie zdawała sobie sprawy, czy potrafi być odpowiednią damą do towarzystwa, postanowiła jednak, że postara się najlepiej, jak tylko może.

- Jeśli miałabyś wolny wybór i dysponowałabyś odpowiednimi środkami, by robić to, co chciałabyś najbardziej na świecie, co byś wybrała? - spytała Elizabeth.

Powrót do Neville'a. To byłaby jednak niemądra odpowiedź. Przecież może to zrobić. Błagał ją, by została. Jednak powrót do niego oznaczał powrót do Newbury Abbey i wszystkich związanych z tym spraw. Lily namyśliła się głęboko. Odpowiedź na pytanie, którą w końcu znalazła, była oczywista od pierwszej chwili.

- Nauczyłabym się czytać i pisać - powiedziała. - Czy to są dwie rzeczy?

- Potraktujemy je jako jedną - odparła Elizabeth, poklepując ją po dłoni. - Cudowna odpowiedź, Lily. Widzę, że mnie nie rozczarujesz. A teraz jeszcze coś. Może uda nam się znaleźć razem pięć życzeń. Próbuj dalej.

Tak, istniały również inne rzeczy, których pragnęła. Oczywiście, nie takie, które mogłyby zastąpić utracone właśnie marzenie, ale może mogłyby dać jej życiu jakiś cel. Nowe marzenia nie miały prawdopodobnie szans na spełnienie, ale taka jest przecież natura marzeń. Na tym polega ich urok. Ale „prawdopodobnie” było najważniejszym określeniem - dawało nadzieję.

- Nauczyłabym się grać na fortepianie - rzekła z przekonaniem. - I dowiedziałabym się wszystkiego, co tylko możliwe, o muzyce.

- Teraz mamy zdecydowanie więcej niż jedną rzecz - zaprotestowała ze śmiechem Elizabeth. - Ponieważ jednak to ja ustalam reguły gry, potraktuję je jako jedną rzecz. Dalej?

Lily spojrzała na swoją towarzyszkę, uroczą i elegancką w stroju podróżnym w kolorach brązowym, beżowym i kremowym, pasującym do jej wieku, pozycji, figury i cery.

- Nauczyłabym się odpowiednio i elegancko, a może nawet modnie ubierać - powiedziała.

- Ależ przecież ty jesteś modnie ubrana - stwierdziła Elizabeth. - Jasny błękit to z pewnością najlepszy dla ciebie kolor.

- To ty wybrałaś wszystkie moje stroje - przypomniała Lily. - Z wyjątkiem koszuli i

butów. Dla mnie ubranie zawsze było czymś, co ma być wygodne i przyzwoite, ciepłe zimą, a lekkie latem.

- W takim razie dobrze. - Elizabeth uśmiechnęła się. - To trzy. A cztery i pięć? Nie chciałabyś podróżować lub posiadać drogie przedmioty?

- Podróżowałam przez całe życie - odparła Lily. - Marzyłam o tym, by pozostać w jednym miejscu na tyle długo, by poczuć się jak w domu. A drogie rzeczy? - Wzruszyła ramionami. Co mogła jeszcze wybrać, by dokończyć listę? Chciałaby czytać i pisać, nauczyć się wszystkiego o muzyce. Grać na fortepianie i ubierać się dobrze i elegancko. Chciałaby...

- Chciałabym nauczyć się liczyć - dodała. - Nie tylko na palcach lub w pamięci, ale... och, tak jak pani Ailsham lub hrabina robią to w rejestrach wydatków domowych. Pokazały mi je pewnego ranka. Dzięki nim wiedziały, co tam było napisane, a po liczbach mogły sprawdzić, co dzieje się w posiadłości i zaplanować, co będzie się działo. Chciałabym to umieć., Chciałabym prowadzić księgi i wiedzieć, jak prowadzić tak duże i ważne gospodarstwo jak Newbury Abbey.

- A twoje ostatnie życzenie, Lily?

- Zawsze dobrze się czułam w towarzystwie innych osób - odparła po długim namyśle. - Wszystkich, nawet oficerów, kiedy przebywali w oddziale. Ale nie czuję się dobrze z ludźmi twojego pokroju. Chciałabym umieć... obracać się w dobrym towarzystwie, wiedzieć, jak prowadzić konwersację, robić to, czego się ode mnie oczekuje. Pragnęłabym nauczyć się dobrych manier, jakie obowiązują w twojej sferze. Nie dlatego, że chciałabym do niej należeć, ale ponieważ, och, nie wiem właściwie, dlaczego. Może dlatego, że bardzo cię podziwiam. Ponieważ szanuję hrabinę.

Elizabeth nie odzywała się przez chwilę.

- Nie jestem pewna, czy powinnam potraktować twoje życzenia jako pięć - powiedziała w końcu. - Tak naprawdę, to jedno życzenie - chciałabyś zdobyć umiejętności i wykształcenie damy. Można by jeszcze dodać do tego malowanie, szydełkowanie i taniec, a także znajomość języków obcych, ale z pewnością można je zaliczyć do jednego z pięciu życzeń, które wymieniłaś. Czy potrafisz malować lub tańczyć albo znasz język inny niż angielski? Wiem, że umiesz cerować i szyć, ale nie haftować.

- Mówię po hiszpańsku i w języku hindi - odparła Lily. - Znam tańce prostego ludu. Nigdy nie malowałam.

Ich rozmowa została jednak przerwana, kiedy powóz wjechał na wybrukowany dziedziniec gospody, gdzie mieli zmienić konie. Lily cieszyła się, że przez godzinę jej umysł był zajęty czymś przyjemnym. Bawiła się niemal dobrze. I to dzięki Elizabeth, która

postanowiła, że zajmie swoją towarzyszkę podróży tak, by zapomniała o bólu związanym z niedawnym pożegnaniem.

Książę Anburey zamówił prywatny salon w gospodzie, gdzie zjedli w szóstkę obiad. Lady Wilma cieszyła się na myśl o czekającym ich pobycie w Londynie, gdzie sezon trwał już w pełni. Mówiła tylko o balach, rautach, wizytach w teatrze, o prezentacji u dworu, a także wyprawach do Vauxhall i Almanachu. Wszystko to oszałamiało Lily, która zmusiła się, by zjeść przynajmniej trochę, ale nie brała udziału w rozmowie, nawet wtedy, gdy Joseph stwierdził, zwracając się do niej, że niewygodny podróży do Londynu nie dały się pewnie porównać z niewygodami jej wędrówki przez Półwysep Iberyjski. Uśmiechnęła się tylko do niego, zdając sobie sprawę, że próbuje on, podobnie jak Elizabeth, odwrócić jej uwagę od tego, co ciążyło jej niczym ołów.

Cały czas zastanawiała się, co Neville robi właśnie w tej chwili.

Elizabeth powróciła do przerwanej rozmowy, kiedy Joseph odprowadził je do powozu i ruszyli w dalszą drogę.

- No cóż, Lily - powiedziała, poklepując dziewczynę energicznie po kolanie. - Widzę, że przez następny miesiąc lub dwa będziemy miały wiele interesujących rzeczy do zrobienia. Czy użyłam wczoraj słowa zabawa? Nadchodzące miesiące z pewnością będą pełne zabawy, tak, to właściwe określenie. Obydwie, moja droga, z pomocą wszystkich nauczycieli, których zatrudnię, w ciągu miesiąca, dwóch lub dziesięciu przekształcimy cię, dzięki nauce i pracy, w prawdziwą damę. Oczywiście niektóre sprawy zajmą nam więcej czasu. Co ty na to?

Lily nie odezwała się przez jakiś czas. Grały w „co by było, gdyby”, czy tak?

- Nie - powiedziała, marszcząc brwi. - Och, nie. Nauczycielom trzeba by za to zapłacić.

- A najlepszym nauczycielom trzeba zapłacić bardzo dużo. - Elizabeth uśmiechnęła się. - Lily, moja droga, jestem niemal nieprzyzwoicie bogata.

- Nie możesz jednak wydawać na mnie pieniędzy - odparła skonsternowana dziewczyna. - Mam dla ciebie pracować.

- No cóż, masz rację - zgodziła się Elizabeth. - Nie chcąc urazić twej dumy, nie będę o tym zapominać. Pamiętaj jednak, że pracujące dla mnie osoby powinny zasłużyć na wynagrodzenie. A jak mają to robić? Będąc posłusznymi swej pracodawczyni, zaspokajając jej kaprysy. Jestem jedną z najszcześniejszych kobiet, i to z wielu powodów. Posiadanie wszystkiego - no, prawie wszystkiego - czego tylko można zapragnąć, ma również ujemne strony, zwłaszcza jeśli jest się kobietą. Pojawia się nuda, z którą trzeba walczyć. Nie potrafię ci powiedzieć, kiedy ostatni raz się dobrze bawiłam. Nadzorowanie twojej edukacji będzie dla

mnie taką rozrywką, Lily. Nie możesz mi odmówić, nie po tym, kiedy mi wyznałaś, że właśnie tego pragniesz niemal najbardziej na świecie.

Lily zdała sobie nagle sprawę, że to nie była gra. A ona nie została zatrudniona jako służąca - a przynajmniej nie w zwykłym tego słowa znaczeniu. Elizabeth zaplanowała to wszystko. Pragnęła znaleźć sobie rozrywkę i chciała zrobić przyjemność Lily, czyniąc z niej damę.

To niemożliwe.

Niemożliwe!

To byłoby cudowne i wspaniałe. Mogłaby się nauczyć czytać. Mogłaby czytać książki. Mogłaby napęłnić pokój muzyką - mogłaby to uczynić własnymi dłońmi. Mogłaby... W jej umyśle pojawiało się tyle oszałamiających możliwości.

Miała nowe marzenie.

- I co ty na to? - spytała Elizabeth.

- Mogłabym... oczywiście, kiedy będę cię opuszczała, znaleźć zatrudnienie jako pomocnica w sklepie, a może nawet jako... guwernantka. - To była oszałamiająca perspektywa. Zdobyłaby wiedzę i mogłaby ją później przekazywać innym.

- Oczywiście - powiedziała Elizabeth. - Lub mogłabyś kogoś poślubić, Lily. Zanim sezon się skończy, mam zamiar wprowadzić cię do towarzystwa. To jeden z obowiązków damy do towarzystwa. Będziesz jednak kimś więcej niż przyzwoitką, będziesz moją przyjaciółką i będziesz uczestniczyła we wszystkich towarzyskich obowiązkach, jakie mnie czekają.

Lily oparła się o siedzenie.

- Och, nie - powiedziała. - Nie, to niemożliwe. Nie jestem damą.

- To prawda - zgodziła się Elizabeth. - A *beau monde* zwraca uwagę na takie sprawy jak urodzenie i koneksje. To, że ktoś zachowuje się jak dama, nawet według najbardziej wygórowanych wymagań, nie czyni jeszcze tej osoby damą. Istnieją jednak wyjątki. Nie zapominaj, Lily, że stałaś się sławna. Twoja historia - przyjazd w środku ślubu Neville'a i Lauren, jego oświadczenie, że jesteś jego żoną, o której myślał, że nie żyje, jego opowieść o waszym ślubie i twojej domniemanej śmierci - stanie się w Londynie sensacją. Reszta historii - odkrycie, że twoje małżeństwo jest mimo wszystko nieważne, twoja odmowa, by uczynić je ważnym, odnawiając śluby małżeńskie z samym hrabią Kilbourne - sprawi, że wszyscy w towarzystwie będą chcieli o tym słuchać. Będą koniecznie chcieli cię poznać, przynajmniej zobaczyć przez chwilę. Gdy okaże się, że mieszkasz ze mną, posypią się zaproszenia. My jednak każemy wszystkim czekać w niepewności. Gdy wreszcie pokażesz się publicznie,

Lily, zawojujesz cały Londyn. Oprócz związanej z tobą historii, mamy jeszcze twoją naturalną urodę, wdzięk i urok. A zanim się publicznie pokażesz, dodamy do tego doskonałe maniery i modny wygląd. Jestem pewna, że mogłabyś poślubić księcia, gdybyś tylko zechciała i jeśli znalazłby się jakiś odpowiedni kandydat. - Roześmiała się lekko. Widać było, że świetnie się bawi.

- Nigdy nie wyjdę za mąż - powiedziała Lily, próbując opanować podniecenie, jakie wywołał obraz odmalowany przed chwilą przez Elizabeth. Pogładziła ręce w rękawiczkach, spoczywające na kolanach.

- Dlaczego? - Pytanie zostało zadane spokojnie, ale takim tonem, że nie mogło pozostać bez odpowiedzi.

Lily zamilkła. Ponieważ już mam męża. Ponieważ go kocham. Ponieważ kochałam się z nim i oddałam mu nie tylko ciało, ale całą siebie. Ponieważ, ponieważ.

- Nie mogę - odparła w końcu. - Dobrze wiesz, dlaczego.

- Tak, moja droga. - Elizabeth pochyliła się ze swego siedzenia i ścisnęła jej rękę. - Cóż by znaczyło, gdybym ci powiedziała, że czas leczy rany? Nigdy nie doznałam uczucia choć w części tak intensywnego, którego ty doświadczyłaś i doświadczasz, i nie wiem, czy w ogóle takie rany jak twoja potrafią się zaleczyć. Jesteś jednak kobietą wielkiego ducha i o silnym charakterze. Jestem pewna, że mój sąd jest słuszny, kochanie. Przeżyjesz, moja droga. Nie pogrążysz się w marnej wegetacji. Mam zamiar wesprzeć cię swoimi pieniędzmi i koneksjami, ale najważniejsze będzie zależeć od ciebie. Uczynisz to dla siebie. Wierzę w ciebie.

Lily nie była pewna, czy to zaufanie zostało dobrze ulokowane. Jej odwaga znów zaczęła słabnąć. Z każdym mijanym żywopłotem i słupem milowym zwiększała się odległość dzieląca ją od Neville'a, odległość, która nigdy się nie zmniejszy. W tej cennej chwili nie była pewna, czy zdolna jest nawet do marnej wegetacji, czy w ogóle ma siłę żyć.

- Dziękuję - powiedziała.

- Powiedz mi - Elizabeth odezwała się po jakimś czasie, kiedy przejechały kawałek drogi w milczeniu. - Co się z tobą działo w czasie tych kilku miesięcy, kiedy Neville myślał, że nie żyjesz?

Lily przełknęła ślinę.

- Chcesz znać prawdę?

- Przyszło mi do głowy, że przecież Francuzi daliby znać Brytyjczykom, że od jakiegoś czasu znajduje się u nich w niewoli żona oficera. Mogli nawet dokonać korzystnej zamiany na jednego lub więcej oficerów znajdujących się w angielskiej niewoli. Ale tak się

nie stało, prawda?

- Nie.

- Lily, chociaż, jak widzę, nie masz zamiaru pozwolić mi, bym zapomniała, że pracujesz dla mnie, chcę, żebyś wiedziała, że masz prawo do własnego życia. Nie musisz mi nic mówić. Wychowałaś się jednak wśród mężczyzn, moja droga. Może nie wiesz nawet, na czym polega przyjaźń z osobą tej samej płci, z kimś, z kim mogłabyś dzielić się swoimi przeżyciami i doświadczeniami.

Lily oparła głowę o poduszki, zamknęła oczy i opowiedziała wszystko, wszystkie bolesne, wstrętne, poniżające szczegóły, które zataiła przed Neville'em tamtego dnia w domku. Kiedy skończyła, Elizabeth trzymała ją mocno za rękę. Dotyk ten był zadziwiająco pokrzepiający, dotyk kobiety oznaczający współczucie. Elizabeth potrafiła zrozumieć, co oznaczało bycie jeńcem, któremu odebrano wolność, a na koniec, ku największemu poniżeniu, zabrano ciało, wykorzystując je dla własnej przyjemności. Druga kobieta potrafiła zrozumieć wielką wewnętrzną walkę, którą Lily musiała toczyć każdego dnia i nocy, by pozostać sobą, by nie zapominać o godności i o tym, kim jest. O tym, czego gwałciciel - a może nawet morderca - nie mógł jej odebrać.

- Dziękuję - odezwały się jednocześnie po chwili krótkiego milczenia. Obydwie roześmiały się, chociaż w tym śmiechu nie było radości.

- Wiesz, Lily - odezwała się Elizabeth. - Mężczyźni mają takie śmieszne nastawienie, że powinni powstrzymywać się od łez, mimo najokropniejszych rzeczy, które ich spotykają. Kobiety nie są aż tak głupie. Nie ma nic złego w płaczu, kochanie.

Lily zaczęła płakać. Szlochała tak, że zdawało się, że płacz rozerwie ją na strzępy. Szlochała z głową na kolanach Elizabeth, a starsza kobieta głaskała ją po włosach i mruzczała coś, czego dziewczyna nawet nie słyszała.

W końcu wyprostowała się, wytarła oczy, potem nos i przeprosiła za wilgotną plamę, która została na sukni Elizabeth. Roześmiała się drżąc.

- Zastanowisz się dwukrotnie, zanim pozwolisz mi znów płakać - powiedziała.

- Czy Neville wie o tym?

- O najważniejszym. Ale nie o szczegółach.

- Ach - powiedziała Elizabeth. - Mądra dziewczyna. Tak. Teraz zastanówmy się, co dalej, zaplanujmy wszystko. Lily, moja droga, czeka nas naprawdę świetna zabawa.

Znów roześmiały się razem.

\*

Neville czekał przez miesiąc.

Próbował żyć normalnie. Wyjąwszy fakt, że normalne życie po jego powrocie z wojny na Półwyspie Iberyjskim oznaczało bliskie kontakty z siostrą i kuzynką, a także stopniowe nieuchronne zabiegi o względy Lauren.

Przyjaźń została zburzona. Nie chciał zwodzić Lauren, nie chciał, by uwierzyła, że może znów obdarzyć ją uczuciami, a ona najwyraźniej dawała do zrozumienia, że tego od niego oczekuje. Z kolei Gwen czuła się po prostu skrępowana. Jak Lauren powiedziała przy obiedzie tego wieczoru przed wyjazdem Lily, nic już nie będzie takie samo.

A mimo to najwyraźniej oczekiwano, że on i Lauren pobiorą się. Sąsiedzi, którzy przyjeżdżali z wizytą pod jakimkolwiek pretekstem i którzy przysyłali więcej niż zazwyczaj zaproszeń na obiady, gry w karty, tańce i pikniki, byli zbyt dobrze wychowani, by wspomnieć o tym otwarcie, ale ukradkowo i na różne sposoby napomykali o tym i próbowali wybadać sytuację.

Czy mogą liczyć na ponowny przyjazd barona Galtona, dziadka panny Edgeworth, do Newbury w najbliższym czasie, spytała pewnego dnia lady Leigh. To taki dystyngowany dżentelmen!

Czy hrabina Kilbourne ma zamiar ponownie wprowadzić się do domu, chciała wiedzieć panna Amelia Taylor. Pytała o to, w razie gdyby razem z siostrą przyjechała pewnego dnia i okazało się, że hrabina mieszka w rezydencji. Zarumieniła się na myśl o tym.

Czy jego lordowska mość nadal planuje wyprawę nad jeziora, zastanawiał się sir Cuthbert Leigh. Jego kuzyn ze strony żony właśnie stamtąd wrócił i oznajmił, że to przepiękne miejsce i w dobrym tonie.

Jego lordowska mość musi się czuć obecnie samotnie w Newbury Abbey, od kiedy jego siostra i kuzynka już tu nie mieszkają, powiedziała mu pani Cannadine.

Czy jego lordowska mość uspokoił się już po tym małym zamieszaniu, dopytywała się pani Beckford, żona pastora, tym uspokajającym, współczującym tonem, jakim jej mąż przemawiał u łoża umierających. Ona i wielebny mieli nadzieję - słowu nadzieja towarzyszyło figlarne spojrzenie, nie pasujące do żony pastora - że sprawy przybiorą wkrótce szczęśliwy obrót.

Zachowywali się tak nie tylko sąsiedzi. Hrabina również naciskała, by powrócili do pierwotnego planu.

- Lubiłam Lily, Neville - zapewniła go, kiedy jedli razem śniadanie tydzień po wyjeździe dziewczyny. - Mimo wszystko lubiłam ją. Ma słodki, naturalny wdzięk. Pragnęłam obdarzyć ją uczuciem i wsparciem przez resztę życia. Wiem, że ją uwielbiasz i ten tydzień był

dla ciebie z pewnością ciężki. Jesteś moim synem, więc wiem o tym, a moje serce boleje nad tobą.

- Ale? - Obdarzył ją raczej ponurym uśmiechem.

- Ale ona nie jest twoją żoną - przypomniała. - I nie chce nią być. Lauren była ci przeznaczona od waszego dzieciństwa. Znać się dobrze, zawsze ją lubiłeś, macie taką samą umysłowość i wykształcenie. A przejęcie przez nią mojej pozycji nie wymagałoby przejścia przez bolesny okres przystosowania. Wprowadziłaby do twojego życia trochę stabilizacji, dałaby ci dzieci. Chciałabym mieć wnuki, Neville. Pewnie nie zrozumiesz, jaka byłam rozczarowana, kiedy Gwen poroniła po wypadku, i jak rozpaczalam z jej powodu. Ale zbaczam z tematu. Postanowiłeś poślubić Lauren. Byłeś szczęśliwy z powodu tej decyzji. Staliście przecież już przy ołtarzu. Zapomnij o zamieszaniu panującym w ciągu ostatnich kilku tygodni i wróć do takiego życia, jakim żyłeś wcześniej. Dla dobra wszystkich.

Sięgnął ponad stołem i ujął dłoń matki.

- Bardzo mi przykro, mamó - powiedział. - Ale nie.

Próbował wymyślić jakieś wyjaśnienie, które miałoby dla niej sens, ale nie znał żadnego. A nie potrafił obnażyć swego serca nawet przed nią.

- Pozostawmy to czasowi - dodał niezręcznie.

Wyglądało na to, że jego życie w owe dni stało się wielkim oczekiwaniem, daniem sobie czasu. Czekał dłużej niż tydzień na odpowiedź na list, który wysłał do dowództwa pułku po wyjeździe Lily. W końcu nadeszła; spodziewał się, że problem będzie trudniejszy do rozwiązania, jeśli nie niemożliwy. Nie powierzył listu poczcie, lecz wysłał go, wraz z ustnymi instrukcjami, przez lokaja, który kiedyś służył pod jego rozkazami jako ordynans, tęgiego, dość posępnego mężczyzny, który zawsze wypełniał polecenia swego pana co do joty. Odpowiedź sprawiła, że Neville miał wreszcie coś do zrobienia, a także znalazł wymówkę do opuszczenia majątku, w którym pozostawanie stało się dla niego zbyt uciążliwe.

Mógł wysłać kolejnego posłańca z poleceniem, by dowiedział się więcej, postanowił jednak, że pojedzie osobiście do Leavenscourt w hrabstwie Leicester, gdzie odesłano rzeczy Doyle'a po ich przewiezieniu do Anglii. Ojciec sierżanta pracował jako stajenny w majątku Leavenscourt.

Podróż była uciążliwa z powodu deszczów, burzy i chłodu. Neville musiał jechać w zamkniętym powozie, czego nie znosił. Obawiał się, że nie znajdzie nic u kresu swej podróży. W końcu jednak, myślał, czekając w gospodzie, w której zatrzymał się z powodu złej pogody na noc, może wreszcie coś robić. Newbury stało się dla niego nie do zniesienia, wszystko przypominało mu tam o Lily. Zadał sobie nawet dodatkowy ból, spędzając noc w domku,

kładąc się tam, gdzie leżeli kiedyś razem, przepelniony taką pustką że nie był nawet w stanie zmusić się do jakiegokolwiek ruchu, do wyjścia stamtąd.

Leavenscourt było małym, ale kwitnącym majątkiem. Rozejrzył się wokół z ciekawością, kiedy dochodził do domu. To tutaj dorastała Bessie Doyle? Rodziny właścicieli nie było w rezydencji, a jego pojawienie się wprawilo gospodynię w konsternację. Patrzyła na niego, kiedy wyjaśniał jej, że przybył porozmawiać z panem Doyle, jednym ze stajennych, ojcem zmarłego sierżanta Thomasa Doyle'a z dziewięćdziesiątego piątego pułku. Zapomniała nawet mu się uklonić.

Okazało się, że Henry Doyle zmarł jakieś cztery lata temu.

Neville poczuł się, jakby mu ktoś zatrzasnął drzwi przed nosem.

- Rozumiem - powiedział. - Jednak pułk zwrócił rzeczy należące do sierżanta po jego śmierci, czyli osiemnaście miesięcy temu. Czy wie pani coś o tym?

- Och. - Wreszcie przypomniała sobie o ukłonie. - Pewnie zostały zwrócone Williamowi Doyle, proszę pana. To syn Henry'ego Doyle'a.

- A gdzie go mogę znaleźć? - spytał.

- Nie żyje, milordzie - odparła. - Zmarł jakiś rok temu w okropnym wypadku.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział. I tak naprawdę było. Dwaj mężczyźni, prawdopodobnie jedyni krewni Lily, nie żyli. - A czy wie pani, co się stało z jego rzeczami?

- Pewnie Bessie Doyle je ma, milordzie. To wdowa po Williamie. Mieszka w wiosce. Ma dwóch nastoletnich chłopaków i pana, który miał na tyle dobre serce, że jej nie wygonił. Pracuje jako praczka.

Ciotka Lily i jej kuzyni.

- Czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie mam ich szukać?

Gospodyni, najwyraźniej znów zakłopotana, zapewniła jaśnie pana, że może kazać przywołać tutaj Bessie, ale nie skorzystał z jej propozycji i otrzymał od niej adres, o który prosił.

Bessie Doyle była otyłą kobietą w średnim wieku o rumianej twarzy. Jej dom był niezbyt zadbane, ale dość czysty. Pojawienie się wykwintnie ubranego gościa w swych progach powitała spojrzeniem mierzącym go od stóp do głów.

- Jeśli ma pan dla mnie rzeczy do wyprania, dobrze pan trafił - powiedziała. - Chociaż nie odpowiadam za takie wyszukane buty, jak pana, po chodzeniu po błocie. Lepiej niech pan wytrze je, zanim wejdzie do środka.

Neville obdarzył ją uśmiechem. Zaplecze armii pełne było takich Bessie Doyle, silnych, przystosowujących się do okoliczności, praktycznych kobiet, które mogłyby

przywitać całą armię Bonapartego, podpierając się pod boki, z kilkoma ciętymi uwagami na ustach.

Tak, Bessie pamiętała list, który nadszedł po śmierci Thomasa. Will zabrał go do pastora, by ten mu przeczytał. Ach tak, zostały przesłane również rzeczy - bezużyteczne kłamoty i to wszystko. Kiedy wróciła od chorej matki, którą pielęgnowała, znalazła ich cały stos o, tam, skinęła w kierunku kąta pokoju. Okazało się, że matka wcale nie umarła, za to Will owszem. Przebywała kilka mil stąd, kiedy dowiedziała się, że Will spadł z konia i rozbił sobie głowę o kamień.

- Przykro mi - powiedział Neville.

- No cóż, przynajmniej okazało się, że miał głowę, no nie? - odparła filozoficznie. - A czasami miałam co do tego wątpliwości.

Neville zdał sobie sprawę, że Bessie Doyle nie była nieutuloną w żalu wdową.

- Spaliłam to wszystko - powiedziała, zanim zdążył spytać. - Wszystkie te cholerne rupiecie.

Neville na chwilę zamknął oczy.

- Czy najpierw je pani przejrzała dokładnie? - spytał. - Czy był tam jakiś list, paczka, a może pieniądze?

Wspomnienie o pieniądzach wywołało krótki napad śmiechu u pani Doyle. Według jej opinii, Will przepiłby je w mig, jeśli nawet by tam były.

- Może właśnie przez to zwałił się z konia - zasugerowała niezbyt poważnie. - Nie, nie było żadnej forsy. Tom nie należał do takich, co pozwoliliby, by po śmierci ich forsa dostała się w ręce takiego Willa, chyba nic się nie zmieniło?

- Thomas Doyle miał córkę - poinformował ją Neville.

No cóż, Bessie Doyle nic o tym nie wiedziała, ale też nie zapalała nagle, chęcią ujrzenia nigdy nie widzianej siostrzenicy. Chłopcy już niedługo wrócą ze stajni, powiedziała jaśnie panu. Pracują tam. Przyjdą pewnie tak głodni, że zjedliby konia z kopytami.

Neville zrozumiał, że czas już na niego. Jednak coś wpadło mu w oko, kiedy zabierał się do wyjścia - na gwoździu przy drzwiach wisiał plecak wojskowy.

- Czy to właśnie jest plecak Thomasa Doyle'a? - wskazał.

- Pewnikiem tak - odparła. - To była jedyna pożyteczna rzecz w tym wszystkim. Ale jaka brudna! Musiałam go wyszorować do imentu, zanim nadał się do użytku. - Plecak pełen był szmat.

- Czy mogę go wziąć? - spytał Neville. - Zapłacę za niego. - Wyjął portfel z kieszeni, a z niego dziesięciofuntowy banknot.

Spojrzała krzywo na pieniądze.

- Czy pan oszalał? - spytała. - To więcej, niż zarabiam w ciągu roku razem z moimi chłopakami. Za tę starą torbę?

- Proszę. - Neville uśmiechnął się. - Jeśli dziesięć funtów nie wystarcza, podwoję sumę.

Ale Bessie Doyle miała swoją dumę. Jego hrabiowska mość w drogich butach mógł być sobie szalony, ale nie miał do czynienia ze złodziejką. Wyrzuciła na podłogę zawartość plecaka, podała mu go jedną ręką i wzięła dziesięć funtów drugą.

Czysty zdeformowany plecak należący kiedyś do jego sierżanta spoczywał na siedzeniu naprzeciwko Neville'a, kiedy powóz ruszył w drogę powrotną do Newbury. To będzie jedyna pamiątka Lily po jej ojcu. Zapłaciłby za nią sto funtów, nawet tysiąc. Czuł się jednak również rozczarowany. Czyżby pani Doyle nieumyślnie spaliła list lub jakąś paczkę, która zawierała coś bardziej osobistego dla Lily?

Neville postanowił, że zostanie w Newbury miesiąc, zanim wyruszy do swojego londyńskiego domu. Dwa tygodnie mijały, kiedy wrócił z hrabstwa Leicester. Miał jeszcze przed sobą tylko dwa tygodnie! A później nawet ta słaba nadzieja, która go nie opuszczała, mogła równie dobrze okazać się iluzją. Podejrzewał, że Lily nie tak łatwo da się przekonać do zmiany zdania.

Zanim jednak miesiąc dobiegł końca, zanim ustalił termin wyjazdu, otrzymał krótką wiadomość od Elizabeth.

„Przesyłam ci to, mając nadzieję, że planujesz niedługo przyjazd do stolicy. Może zechcesz się pojawić” - pisała w krótkim liście.

Listowi towarzyszyło zaproszenie na bal do lady Ashton na Cavendish Square.

Neville pokiwał głową w kierunku pustej biblioteki.

- Tak - odezwał się na głos. - Tak, Elizabeth. Będę tam na pewno.

Coroczny bal u lady Ashton na Cavendish Square należał zawsze do najważniejszych wydarzeń sezonu. Na tym właśnie balu lady Elizabeth Wyatt postanowiła wprowadzić Lily do towarzystwa.

Elizabeth miała sporo przyjaciół i znajomych. Wielu spośród nich odwiedzało ją w ciągu pierwszego miesiąca po jej powrocie do miasta, a ona również udzielała się towarzysko. Korzystała również z wielu wieczornych, rozrywek. Nikt jednak nie miał okazji ujrzeć jej nowej damy do towarzystwa, panny Doyle, ani zbytnio nie ciekawił się jej osobą, aż pewnego wieczoru tuż przed balem u lady Ashton Elizabeth, jakby przez przypadek, przy obiedzie powiedziała, że Lily Doyle i kobieta, która wiosną spowodowała takie zamieszanie na ślubie hrabiego Kilbourne, to ta sama osoba.

Wszyscy słyszeli o Lily. Była prawdopodobnie najstynniejszą, a w każdym razie najbardziej osławioną osobą w Anglii tej wiosny, przynajmniej wśród osób z wyższych sfer. Tylko jej pojawienie się w kościele w Newbury, kiedy zrujnowała jeden z najstynniejszych ślubów w tym roku, wystarczyłoby za temat rozmów prowadzonych przez cały sezon. Zanim jednak zainteresowanie zaczęło opadać, reszta rozkosznie dziwacznej historii wyszła na jaw - okazało się, że Lily ostatecznie nie jest hrabiną Kilbourne, ponieważ jej małżeństwo nie zostało odpowiednio zarejestrowane.

Historię dziewczyny powtarzano i omawiano w każdym modnym salonie i bawialni Londynu. Padało wiele pytań, na które nie znano odpowiedzi, a które stawały się niekończącym się tematem rozmów: Kim była? Dlaczego Kilbourne ją poślubił? Dlaczego nikomu o tym nie powiedział? Gdzie dokładnie przebywała, kiedy Kilbourne myślał, że zmarła? Co się stało, kiedy Kilbourne odkrył prawdę, że małżeństwo nie zostało zawarte legalnie? Czy błagała go na kolanach, by ją poślubił? Czy to prawda, że groziła, że rzuci się ze skały? Czy ktoś słyszał, ile Kilbourne musiał jej zapłacić? Czy naprawdę była taka wulgarna, jak wszyscy mówili? Co się z nią stało? Czy to prawda, że uciekła z połową fortuny hrabiego razem z jego stajennym? Kiedy Kilbourne ma zamiar poślubić pannę Edgeworth? Czy tym razem zdecydują się na cichy ślub? I kim była ta Lily? Czy naprawdę jedynie córką zwykłego żołnierza?

A wtedy okazało się, że panna Doyle, która mieszka z lady Elizabeth Wyatt jako jej dama do towarzystwa, to w istocie panna Lily Doyle, która była przez krótki czas hrabiną Kilbourne. I że będzie ona na balu u lady Ashton. Tylko nieliczni pomyśleli, że jako córka zwykłego sierżanta piechoty, członka niższej klasy społecznej, Lily nie ma prawa pojawiać

się na balu, lub że Elizabeth łamie poważnie wymogi etykiety, zabierając ze sobą taką osobę.

Prawda była taka, że wszyscy niecierpliwie czekali, by wreszcie ujrzeć Lily Doyle, a jeśli można było tego dokonać jedynie na balu u lady Ashton, no cóż, niech i tak będzie. Ci, którzy widzieli ją już w kościele w Newbury, zapamiętali szczupłą, biednie ubraną kobietę, którą wzięto za żebraczkę. Zastanawiali się, jak lady Elizabeth miała śmiałość wpaść na pomysł, by wprowadzić ją na salony, nawet jeśli jako płatna towarzyszka dziewczyna będzie siedziała cicho w kącie z innymi przyzwoitkami. Jednak prawie wszyscy, powodowani ciekawością, cieszyli się, że Elizabeth zdobyła się na takie zuchwalstwo - mieli ochotę przyjrzeć się jeszcze raz kobiecie, którą widzieli jedynie przez chwilę.

Ci, którzy nigdy nie widzieli Lily, pragnęli chociaż przez moment ujrzeć kobietę, która złapała w sidła hrabiego Kilbourne. Jaka była kobieta, zastanawiali się wszyscy, która spędziła całe życie wśród pospolitych żołnierzy? Wulgarna? Czy mogła być inna?

U lady Ashton zawsze bywało mnóstwo osób. W tym roku również zapowiadało się, że będzie wielu gości. Co więcej, cały *beau monde*, zazwyczaj umierający już z nudów w tym okresie, z utęsknieniem oczekiwał rozrywki, która zapowiadała się na dość niezwykłą.

Dwa dni przed balem okazało się, że hrabia Kilbourne zjechał do swego domu na Grosvenor Square. Dzień przed balem o jego przyjeździe wiedzieli wszyscy. A także o tym, że przyjął zaproszenie na bal u lady Ashton.

\*

Lily, wchodząc do salonu Elizabeth, ujrzała, że zjawił się już książę Portfrey. Wiedziała, że będzie im towarzyszył, więc jego widok nie był dla niej zaskoczeniem. Jednak to spotkanie zdenerwowało ją. Nie przebywał w mieście, odkąd przyjechały tu z Elizabeth, nie znaczy to, że chciałyby go widzieć, nawet jeśli tu był. Widywała jedynie Elizabeth i jej służbę, a także różnych nauczycieli, którzy przychodzili, by udzielać jej lekcji. Pragnęła, by książę wcale nie przyjeżdżał do stolicy, chociaż w ciągu miesiąca, odkąd go ostatni raz widziała, przekonała samą siebie, że nie ma powodu, by się go bać.

Stała tuż przy drzwiach do salonu, nie wchodząc dalej - nauczono ją, jaka odległość jest odpowiednia - i ukloniła się. Zajęło jej absurdalnie dużo czasu, zanim nauczyła się poprawnie wykonywać ukłon. Zwykłe zgięcie kolana i skinienie głową nie wystarczało, tak kłaniała się służba. Przeciwnieństwo tego - zamiatanie podłogi nogą i czołem - było przesadne, nadawało się co najwyżej na prezentację u królowej lub księcia regenta. Poza tym rozśmieszało Elizabeth do łez. Tak naprawdę, Lily musiała to przyznać, nauka była istotnie bardzo zabawna, jak określała Elizabeth ich działalność w ciągu ostatniego miesiąca. Miały

wiele powodów do śmiechu.

- Wasza książęca mość - powiedziała Lily, opuszczając skromnie oczy, kiedy się skłoniła i podnosząc, kiedy się wyprostowała. Spojrzała prosto na niego, niezbyt śmiało, trzymając nieco uniesiony podbródek, a plecy i ramiona wyprostowane, ale nie sztywne jak u żołnierza podczas parady. Rozluźniona, pełna godności postawa, mawiała wielokrotnie Elizabeth.

- Panno Doyle?

Książę skinął jej lekko, ale wytwornie. Wszystko było w nim eleganckie, od ułożonych w modną fryzurę w stylu Brutusa ciemnych włosów po równie modne lakierki do tańca. W ciągu ostatniego miesiąca Lily nauczyła się wiele o modzie - zarówno męskiej, jak i kobiecej - i poznawała różnice między dobrym smakiem a dandyzmem. Jego książęca mość ubierał się z nieskazitelnie dobrym smakiem. Jak na starszego mężczyznę jest naprawdę przystojny, pomyślała. Nie dziwiła się, że Elizabeth traktuje go jako przyjaciela. On również patrzył na nią uważnie, używając nawet monokla, i przypomniała sobie o niepokoju, jakim napelniał ją w Newbury.

- Wspaniale. Wybornie - wymruczał.

- Ależ oczywiście - odpowiedziała Elizabeth z zadowoleniem. - Czyżbyś spodziewał się czegoś innego, Lyndonie? - Uśmiechnęła się ciepło do Lily. - Wyglądasz doprawdy uroczo, kochanie. Bardziej niż uroczo. Wyglądasz jakbyś była...

- Damą? - spytała Lily, kiedy ciotka Neville'a szukała odpowiedniego określenia.

Elizabeth uniosła brwi.

- O, tak, bez wątplenia - powiedziała. - Miałam jednak na myśli „pewna siebie”. Wyglądasz, jakbyś miała to we krwi. Nieprawdaż, Lyndonie?

- Czy zechce pani, panno Doyle, zaszczyścić mnie i zatańczyć ze mną pierwszy taniec?

- Dziękuję, wasza książęca mość.

Lily powstrzymała się od zagryzienia wargi lub powiedzenia tego, co powtarzała Elizabeth w ciągu ostatniego tygodnia - zresztą bez skutku. Dowodziła, że chociaż ma najwspanialszą suknię balową, jaką kiedykolwiek widziała, i chociaż nauczyła się wykonywać ukłony, utrzymywać odpowiednią postawę, zwracać się do różnych osób i wykonywać tak śmieszne czynności, jak używanie w odpowiedni sposób wachlarza - okazało się, że służy on nie tylko do ochładzania się, kiedy jest gorąco - z pewnością nie może wziąć udziału w balu jako tancerka. To prawda, że miała lekcje tańca trzy razy w tygodniu, a kapryśny nauczyciel, który doprowadzał ją i Elizabeth do łez, oznajmił, że jest zdolną i pełną wdzięku uczennicą, ale mimo to nie czuła się na tyle pewna swych umiejętności, by tańczyć

na prawdziwym balu. Nie czuła się nawet odpowiednio przygotowana, by tkwić nieruchomo gdzieś w najgłębszym cieniu sali balowej.

- Czy możemy już jechać? - spytał książę.

Pięć minut później Lily siedziała wraz z Elizabeth i księciem w jego miejskim powozie. Udawali się na bal do lady Ashton. Lily ma obowiązek tam pojechać, wyjaśniła Elizabeth, kiedy dziewczyna protestowała z przerażeniem. A jaki jest pożytek z przyzwoitki, jeśli nie może obracać się w towarzystwie ze swoją pracodawczynią? Elizabeth nie potrzebowała kolejnej służącej, miała już cały komplet. Potrzebna jej była przyjaciółka.

Lily była przerażona. Newbury Abbey dało jej przedsmak tego, na czym polegało życie wyższych sfer. Był to obcy, nieznany świat. Z tego, między innymi, powodu z zadowoleniem przyjęła fakt, że wcale nie jest mężatką. A teraz udawała się na bal w Londynie. Poczowała mdłości, chociaż podczas obiadu zdołała przełknąć jedynie kilka kęsów. Nie będzie zdziwiona, jeśli kolana odmówią jej posłuszeństwa, kiedy będzie wysiadała z powozu.

Miała nadzieję, że po tańcu z księciem Portfrey będzie mogła się wycofać w jakiś bezpieczny kącik, ale czy na balu znajdzie się takie miejsce? Miała nadzieję, że Elizabeth nie będzie naciskała, by zatańczyła z kimś jeszcze. Miała nadzieję, że nikt jej nie zna. Wiedziała, oczywiście, że niektórzy z obecnych gości z pewnością byli w kościele w Newbury na ślubie, który przerwała. Nie wierzyła jednak, że ktoś ją rozpozna. Z pewnością by ją haniebnie wyrzucono, jeśli ktokolwiek by odkrył, kim jest lub, co gorsza, kim nie jest. A z pewnością nie jest damą.

Kiedy zerknęła na księcia okazało się, że ten nie odrywa od niej wzroku. Zawsze przez niego traciła oddech - nie z tego samego powodu, co przebywając z Neville'em, i nie ze strachu. Nie potrafiła nazwać tego uczucia, wiedziała jednak, że nie jest ono przyjemne.

- To zupełnie nadzwyczajne - wymruczał.

- Nieprawdaż? - powiedziała wesoło Elizabeth. - Zupełnie jak Kopciuszek, zgodzisz się ze mną, Lyndonie? Musisz jednak przyznać, że nie niemożliwe. Jest w niej wiele piękna i naturalnego wdzięku, na którym można się było oprzeć. Nie stworzyliśmy nowej Lily. My jedynie wypolerowaliśmy dawną i uczyniliśmy ją taką, na jaką się zapowiadała.

- Ciekawe. - Książę uniósł brwi i spoglądał na nią uważnie. Mówił miękko, ale dziewczyna niespokojnie zdała sobie sprawę, że Elizabeth nie zrozumiała jego poprzedniej uwagi.

Nie miała jednak czasu na obawy. Powóz zwolnił, wreszcie zatrzymał się. Lily, wyrzawszy przez okno, ujrzała, że stanęli w długiej kolejce pojazdów. Przed nimi widniał

rzęsiście oświetlony pałac. Czerwony dywan rozpostarto od drzwi na schodach i chodniku tak, by goście wychodzący z powozów nie musieli stawać na twardej, zimnej ziemi.

Przybyli już prawie na miejsce. Musieli jeszcze poczekać na swoją kolej, tymczasem powozy podjeżdżały do dywanu, gdzie ubrani w liberię lokaje pomagali wysiąść pasażerom w bogatych strojach.

Lily marzyła ze strachem, by ich kolej nigdy nie nadeszła. To znów pragnęła, by mieli to już za sobą, by nie miała czasu na trwożne myśli.

- Wejdzie pani do domu wsparta o moje ramię, panno Doyle - powiedział spokojnie książę, najwyraźniej zdając sobie sprawę z jej niepokoju, chociaż myślała, że go nie okazuje.  
- Nic pani przy mnie nie grozi. A nawet bez mojego towarzystwa wygląda pani w każdym calu jak dama. Tak pięknie, że z pewnością wywoła pani podziw każdej obecnej tu osoby.

Lily nie chciała w ogóle zwracać na siebie uwagi, ale musiała przyznać, że jego słowa podziałały na nią uspokajająco. I nagle sprawił wrażenie człowieka, na którym można polegać i któremu można ufać. Uspokoila się. Aż wreszcie powóz podjechał kolejnych kilka metrów, jeden z lokajów otworzył drzwi i rozłożył schodki.

\*

Neville przyjechał na bal dość późno. Zjadł obiad z markizem Attingsborough, a potem zasiedzieli się nad swoim portem dłużej niż zwykle.

- Tak naprawdę, nie miałem okazji jej zobaczyć - przyznał kuzyn. - Elizabeth trzymała ją cały czas przy sobie. Nie wiedziałbym nawet, że przebywa w mieście, gdybym nie był w Newbury, kiedy stamtąd wyjeżdżała. Cały świat wie, że Lily przyjedzie na bal, i oczywiście, że ty tam będziesz.

Neville skrzywił się. Myślał, że wie - miał taką nadzieję - co Elizabeth zamierza, nie był jednak pewien, czy pochwała stosowane przez nią metody. Wolałby po prostu odwiedzić je w domu, ale ciotka nie zgodziła się na to. Mógłby się założyć, że Lily nawet nie wie o jego przyjeździe do Londynu.

Starał się nie myśleć, jak zareagowałaby na wiadomość o tym lub jak zareaguje, widząc go niespodzianie dzisiaj.

Biedna Lily - dzisiaj wieczór czeka ją nie tylko ta niespodzianka. Spodziewał się po Elizabeth większej delikatności, wiedziała przecież, że Lily czuje się niepewnie w towarzystwie, nie musiała jej brać ze sobą na bal, skoro nawet zwykły dzień w Newbury Abbey był ponad siły dziewczyny. Nie da sobie rady w takiej sytuacji, i znenawidzi to. Gdy wreszcie razem z kuzynem dotarł na Cavendish Square i wszedł na schody prowadzące do

sali balowej Ashtonów, denerwował się o nią równie mocno jak o siebie.

- Do licha - wymruczał do przyjaciela, kiedy stanęli w drzwiach. - Po co ja to robię?

Weszli, niestety, akurat w przerwie między tańcami. Na ich widok najpierw rozległy się szepty, a potem wszyscy zaczęli rozmawiać z jeszcze większym ożywieniem, nie kryjąc się z tym zupełnie. Oznaczało to, że Lily już tu jest. Neville nie wierzył, że to tylko jego pojawienie się wywołało takie wielkie poruszenie.

Podjeżdżał, że cała ta historia z pewnością jest sensacją roku. Do licha z tym, powinien się na to nie zgodzić. To nie tak miało być.

- Ach, ta Elizabeth! - wymruczał.

- Mój drogi, właśnie dla takich okazji wynaleziono monokle - powiedział markiz. Właśnie przystawił do oka swój i wyniośle zmierzył wzrokiem zebranych gości.

- Po to, żebym w powiększeniu zobaczył własne zakłopotanie? - spytał Neville, zakładając rękę na plecy i zmuszając się, by rozejrzeć się dokoła. Przez cały miesiąc pragnął zobaczyć Lily chociaż przez chwilę, a teraz zrozumiał, że boi się ją ujrzeć, boi się zobaczyć dziewczynę sparaliżowaną z zażenowania, które nawet dla niego było niemal nie do zniesienia.

- Po prawej stronie, Nev. - Usłyszał kuzyna.

Naraz ujrzał Portfryya, a u jego boku Elizabeth. Otaczał ich wianuszek osób, w większości mężczyzn, chociaż wydawało się, że w środku stoi jakaś kobieta. Lily? Neville poczuł jak opanowuje go chłód, jaki zawsze ogarniał go podczas bitwy, kiedy widział jednego ze swych ludzi otoczonego wrogami.

Jeszcze go nie zauważyli. Za to inni zebrani tak. Kiedy szedł przez salę w tamtym kierunku, wszyscy przyglądali mu się ciekawie, chociaż domyślał się, że gdyby nagle odwrócił głowę, nie przyłapałby na tym nikogo.

- Spokojnie, Nev - odezwał się zza prawego ramienia markiz. - Wyglądasz, jakbyś miał zamiar przebijać się łokciami. To nie byłyby dobre maniery, stary. Z pewnością całe towarzystwo rzuciłoby się na to z chciwością kota pożerającego śmietankę i wystawiłoby cię na niesławę na wiele lat. A przy okazji również Lily.

Elizabeth ujrzała, jak nadchodzą, i posłała im uprzejmy uśmiech.

- Joseph? Neville? - rzekła. - Cieszę się, że was widzę.

Dobre maniery przeważały. Neville skłonił się, kuzyn poszedł w jego ślady. Wymienili ukłony z księciem Portfrey, który odwrócił się, by się z nimi przywitać.

- Mam nadzieję, że zostawiłeś matkę w zdrowiu, Neville? - spytała Elizabeth. - A także Gwendoline i Lauren.

- Wszystkie cieszą się dobrym zdrowiem - zapewnił ją. - Przesyłają ci pozdrowienia.

- Dziękuję. Czy poznałeś już pannę Doyle? Czy mogę cię przedstawić?

Cóż za kobieta, pomyślał Neville. Musi się świetnie bawić. Był świadom, że grupka uciszyła się. Kilku panów wycofało się. I wtedy głupio przestraszył się, by odwrócić głowę. Wręcz nie mógł tego zrobić. W końcu zmusił się, by to uczynić.

Zapomniał, że obserwuje go połowa śmietanki towarzyskiej. I ją też.

Była ubrana na biało, z delikatną prostotą. Wyglądała jak anioł. Miała na sobie ozdobioną tiulową tuniką satynową suknię z wysokim stanem, dekoltem karo i krótkimi rękawami, a także biały wachlarz, pantofelki i długie rękawiczki. Biała była nawet wstążka wpleciona w jej włosy - jej włosy! Zostały obcięte krótko i kręciły się miękko wokół twarzy, podkreślając jej kształt i sprawiając, że oczy dziewczyny wydawały się jeszcze większe. Wyglądała gustownie, niewinnie i wyjątkowo pociągająco.

Lily. O, wielkie nieba! Odkąd wyjechała, tęsknił za nią każdą minutę, każdą godzinę. Nie zdawał jednak sobie sprawy z tego bólu, dopóki znowu jej nie zobaczył.

- Lily, pozwól, że przedstawię ci markiza Attingsborough i hrabiego Kilbourne - odezwała się Elizabeth. - Panowie, panna Doyle.

Po co ta cała farsa? - myślał Neville, nie spuszczać wzroku z dziewczyny. Jej oczy rozszerzyły się. Patrzyła na niego zarumieniona - zatem nie powiedziano jej, że go tu spotka. Jednak nie straciła zimnej krwi. Skłoniła się ślicznie.

- Panowie - zwróciła się najpierw do Josepha, a później do Neville'a.

Uklonił się jej oficjalnie, przyłączając się do farsy.

- Panno Doyle?

Zdał sobie sprawę, że nigdy się tak do niej nie zwracał. Zawsze ją podziwiał i szanował jako córkę sierżanta Doyle'a, ale zazwyczaj mówił do niej po imieniu, jak nigdy by nie uczynił, gdyby była córką jednego z oficerów. A więc nigdy nie traktował jej jak damy?

- Tak - Lily odpowiedziała na pytanie, które zadał jej Joseph. - Dziękuję, milordzie. Wszyscy byli bardzo uprzejmi. Tańczyłam do tej pory trzy razy. Jego książęca mość był tak miły i zaproponował mi pierwszy taniec.

Jak bardzo się zmieniła, nie tylko jej włosy, które, trzeba to przyznać, wyglądały prześlicznie, chociaż Neville czuł, że nie przeboleje utraty jej dawnej dzikiej fryzury. Zmieniła się pod innym względem, pod tysiącem innych względów. Zawsze była pełna wdzięku. Lecz tego wieczoru jej zachowanie było nie tylko wdzięczne, ale i eleganckie. Zmienił się również jej sposób mówienia. Nigdy nie odzywała się z pospolitym akcentem, lecz teraz jej wymowa była bardzo wyrafinowana. Jednak największa różnica, z czego zdał

sobie sprawę po bardzo krótkim namyśle, polegała na tym, że nie sprawiała wrażenia zagubionej lub zakłopotanej, jak to się zdarzało w Newbury. Wyglądała na pewną siebie, zachowywała się spokojnie. Jakby przynależała do tego świata.

- Czy zatańczy pani ze mną, panno Doyle? - zapytał nagle. Zobaczył, że wszyscy przygotowują się do następnego tańca.

- Przykro mi, milordzie, ale już obiecałam ten taniec panu Farnhope - odpowiedziała.

I na potwierdzenie tych słów ujrzał, jak Freddie Farnhope kręci się obok i patrzy niespokojnie, ale widać wyraźnie, że nie ustąpi mu pola.

- Może więc później? - powiedział.

- Dziękuję - odparła, kładąc dłoń na nadgarstku ręki wyciągniętej przez Farnhope'a. Gdzie ona się tego nauczyła? - Z przyjemnością, milordzie.

Milordzie. Po raz pierwszy tak się do niego zwracała. Zachowywała się oficjalnie i bezosobowo, tak jak on wobec niej. Jakby dopiero co się poznali. Czy Lily potrafiła tańczyć kadryla? Wraz z pierwszymi taktami muzyki zobaczył, że potrafi. Tańczyła płynnie i z gracją - a z jej twarzy nie znikał wyraz pełnego wdzięku skupienia. Jak gdyby, pomyślał, niedawno nauczyła się kroków, a bez wątpienia tak właśnie było.

Zrozumiał, że Elizabeth i Lily nie traciły czasu w ciągu ostatniego miesiąca w Londynie.

To go zabolalo. Powrócił z konieczności do dawnego trybu życia w Newbury Abbey, wydawało mu się jednak, że Elizabeth również powróciła do swojego, natomiast Lily ukryła się, zakłopotana i nieszczęśliwa, gdzieś w cieniu. Przez cały miesiąc obmyślał, jak ją przekonać, by powróciła do niego, jak ma zmienić życie w Newbury, by było dla niej mniej zniechęcające. Lub, gdyby to zawiodło, próbował wymyślić, jaki rodzaj życia i otoczenia pasowałby do młodej kobiety, która do tej pory pędziła wędrowny tryb życia z dala od Anglii. Postanowił, że gdzieś znajdzie dla niej odpowiednie miejsce. Marzył, że ją uratuje, przedkładając jej szczęście nad własne, czyniąc wszystko dla jej dobra.

Tymczasem Elizabeth i Lily robiły to, czego nigdy nie brał pod uwagę, co więcej, spuścił ten obowiązek na barki matki. A tymczasem Lily przy pomocy jego ciotki stała się damą.

Na pewno nie jest szczęśliwa, pomyślał, patrząc na nią smutno, gdy tańczyła. Czy mogłaby? Gdzie podziiała się Lily, ta szczęśliwa marzycielska wróżka, której widok zawsze podnosił go na duchu i to jeszcze zanim się w niej zakochał? Długowłosa nimfa z bosymi stopami, siedząca na skale w Portugalii, przyglądająca się ptakowi krążącemu nad głową i marząca o tym, by unosić się na wietrze. Piękna czarodziejka, stojąca nad jeziorkiem u stóp

wodospadu, mówiąca mu, że nie tylko obserwuje wszystko wokół ale jest tym wszystkim?

Stała się wykwinną, elegancką, ponętą damą, tańczyła kadryla na balu?, śmietanki towarzyskiej w Londynie, uśmiechała się wdzięcznie do Freddiego Farnhope'a.

- Na Jowisza, Elizabeth - powiedział Joseph, patrząc znów przez monokl. - Cóż za niezwykła piękność. Jaka przemiana!

- Tylko dla oczu przyzwyczajonych do balowych ślicznotek, Joe - Neville odezwał się bardziej do siebie niż do kuzyna. - Zawsze była niezwykłą pięknnością.

- Neville, chciałabym, byś towarzyszył mi do bufetu.

Podał ciotce ramię i poprowadził do drzwi.

- Luiz może być zadowolona - odezwała się, kiedy znaleźli się w spokojnym miejscu poza salą balową. - Ma w tym roku więcej gości niż zazwyczaj. A może po prostu więcej osób tłoczy się w sali balowej, zamiast w sali do kart lub w salonie.

- Elizabeth, dlaczego to robisz? - spytał. - Dlaczego próbujesz zmieniać Lily? Lubiałem ją taką, jaka była.

- W takim razie byłeś bardzo samolubny - odparła. - Tak, do bufetu idzie się tędy. Muszę się napić lemoniady.

- Samolubny? - Zmarszczył brwi.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Może Lily wcale nie czuła się szczęśliwa taka, jaką była. Kiedy ktoś się uczy, dodaje tylko wiedzę i umiejętności to tego, kim już jest. Wzbogaca swoje życie. Dojrzewa. Nie zmienia się od podstaw. Ja też lubiałam dawną Lily. Lubię ją taką, jaka jest teraz. Nadal jest to ta sama Lily i taka pozostanie.

- Nie cierpiała pobytu w Newbury Abbey, chociaż wszyscy starali się okazywać jej uprzejmość - powiedział. - Nawet mama była dla niej miła, kiedy udało jej się otrząsnąć z zaskoczenia. Przygotowała się nawet, by przejąć część obowiązków hrabiny z ramion Lily. Ale Lily mimo wszystko nie lubiła tam być. Na pewno jej się to teraz też nie podoba. Nie chciałbym, Elizabeth, by była nieszczęśliwa lub zmuszona do bycia tym, kim nie chce być. Umieszczę ją w jakimś miejscu, może gdzieś na wsi, gdzie będzie mogła wieść spokojne życie.

- Może właśnie to kiedyś sobie wybierze - rzekła Elizabeth. - A może nie. Może zdecyduje się pracować, może nawet zostanie moją stałą damą do towarzystwa. A może poślubi kogoś, mimo że nie ma pieniędzy. Wielu mężczyzn tego wieczoru wydaje się być pod jej urokiem.

- Nigdy za nikogo nie wyjdzie - wycodził przez zęby. - Jest moją żoną.

- A ty z pewnością wyczujesz na pistolety każdego mężczyznę, który by to

kwestionował - powiedziała wesoło, kiedy dotarli do sali bufetowej. - Podaj mi łaskawie lemoniadę, Neville.

Uśmiechnęła się, kiedy wrócił do niej ze szklanką.

- Dziękuję - powiedziała. Potem wróciła do rozmowy. - Rzecz w tym, że Lily ma dwadzieścia lat. Za dwa miesiące będzie pełnoletnia. Może wreszcie zaczniesz brać pod uwagę nie to, co ty byś chciał dla jej przyszłości, ale to, czego ona by sobie życzyła.

- Chciałbym, by była szczęśliwa. Szkoda, że nie znałaś jej w Portugalii, Elizabeth. Mimo warunków życia była najszczęśliwszą, najbardziej pogodną osobą, jaką kiedykolwiek znałem. Chciałbym, by znów mogła żyć prostym życiem.

- Ale to niemożliwe. Nie tylko z tego powodu, że wcale nie masz wpływu na jej poczynania. Wiele się zdarzyło w jej życiu - śmierć ojca, małżeństwo z tobą, niewola, powrót do Anglii i wszystko to, co stało się od tego czasu. Nie może wrócić do przeszłości. Pozwól, by poszła naprzód, znalazła swoją drogę.

- Swoją drogę. - Jego głos zabrzmiał bardziej gorzko, niż by sobie życzył. - Beze mnie.

- Swoją drogę - powtórzyła. - Z tobą lub bez ciebie. Ach, właśnie idą ku nam Hanna Quisley i George Carson.

Neville odwrócił się, uśmiechając się do nich uprzejmie.

Książę Portfrey nie miał w zwyczaju zaszczycać swoją obecnością modnych balów podczas sezonu. Nie prowadził bynajmniej pustelniczego trybu życia, ale bale, jak lubił mawiać przyjaciółom, są dla młodzieniaszków poszukujących żony lub okazji do flirtu. W wieku czterdziestu dwóch lat nie interesowały go takie publiczne łowy - poza tym była przecież Elizabeth, z którą łączyła go bliska przyjaźń, chociaż jej dokładnej natury nigdy nie zgłębiono.

Wybrał się jednak do Ashtonów ze względu na szczególne zainteresowanie osobą Lily, a także dlatego, że Elizabeth poprosiła go, by im towarzyszył. W ogóle nie przyszło mu do głowy, by jej odmówić, skoro tak rzuciku o coś prosiła. Zatańczył pierwszą serię tańców z Lily, drugą z Elizabeth, a następnie zmuszony był zachowywać się jeszcze bardziej oziębło niż zwykle, by odwieść ciotkę od zamiaru przedstawienia mu całej chmary młodych dam, które, jak go zapewniała, wspaniale tańczyły.

Zainteresowanie dam jego osobą zbladło w ciągu ostatnich lat, kiedy jego wiek i obojętność wobec kobiecych forteli i pułapek stopniowo przeważały urok związany z pozycją, bogactwem i nieprzemijającą urodą.

Dobry humor opuścił księcia, kiedy, chwilę po tym jak Neville wyprowadził Elizabeth z sali balowej do bufetu, zaczął się do niego przybliżać! Calvin Dorsey. Portfrey udawał, że go nie zauważa i jest zajęty lustrowaniem salonu przez monokl. Dorsey był bliskim kuzynem zmarłej żony księcia i dziedzicem jej ojca, barona Onslow. Książę nie lubił go, tak jak kiedy jego żona.

- Portfrey? Uniżony sługa - odezwał się przymilnym tonem Dorsey zginając się w niedbałym ukłonie. - Przyjechałem dopiero niedawno. Czy to prawda, co mówi plotka? Książę Portfrey poprowadził córkę sierżanta do pierwszego tańca na najświetniejszym balu sezonu? - Potrząsnął głową chichocząc. - Mężczyzna posunie się do wielu rzeczy, by zadowolić swoją koch... - Przerwał jednak, zakrywając usta dłonią. - Bliską przyjaciółkę.

- Moje gratulacje, Dorsey - odparł książę, nawet nie racząc spojrzeć na niego. - Nadal udaje ci się o pół słowa uniknąć wyzwania na pojedynek.

Mężczyzna roześmiał się wesoło i nie odpowiedział, przez chwilę przyglądając się tańczącym parom. Był w wieku księcia, ale czas okazał się dla niego mniej przychylny. Niegdyś kasztanowe włosy posiwiały i przeredziły się, sprawiając, że wyglądał starzej. Należał jednak do mężczyzn obdarzonych dużym poczuciem humoru i pewnym urokiem osobistym. Nie była zbyt wielu ludzi, do których zwracał się z rozmyślną złośliwością.

Portfrey należał do tych nielicznych.

- Mówiono mi, że byłeś w Nuttall Grange kilka tygodni temu - odezwał się po chwili Dorsey.

- Naprawdę? - Księżę skłonił się przechodzącej obok korpulentnej wdowie z okazałym piórem kiwającym się nad fryzurą.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że to miejsce ma dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie. A może po prostu było ci po drodze?

Po raz pierwszy Portfrey skierował monokl na towarzysza, a następnie opuścił go i popatrzył na niego bez szkieł.

- Czy odwiedzając mego teścia, muszę być narażony na śledztwo ze strony jego bratanka? - spytał.

- Wytrącasz go z równowagi - odparł Dorsey. - Jest słabego zdrowia, i do moich obowiązków należy dopilnować, by miał spokój.

- Ponieważ czekasz już dwadzieścia lat z ledwie skrywaną niecierpliwością, by odziedziczyć tytuł i majątek Onslowa, myślałem, że w twoim interesie byłoby raczej, bym go niepokoił, Dorsey - powiedział ze szczerą brutalnością księżę. - Nie musisz się jednak niczego bać czy raczej mieć nadziei. Zostawiłem jedynie wizytówkę, kiedy przebywałem w sąsiedztwie. Nie oczekiwałem, że zostanę przyjęty i nie pragnąłem tego. Między rodziną Onslowa i moją nigdy nie było miłości, zanim ja i Francis wzięliśmy potajemny ślub. A jeszcze mniej nas łączyło po jej śmierci i moim powrocie z Indii Zachodnich.

- Skoro mówimy szczerze, może wyjaśniłbyś mi, po co wścibiasz nos w Grange, kiedy mój wuj jest zbyt chory, by cię przepędzić - powiedział Dorsey.

- Wścibiam nos? - Księżę znów uniósł monokl do oka. - Picie herbaty z gospodynią nazywasz wścibianiem nosa, Dorsey? A niech to, język angielski musi przybierać inne znaczenia w hrabstwie Leicester niż w innych częściach kraju, w których miałem okazję przebywać.

- Czego chciałeś od pani Ruffles? - Nie ustawał w pytaniach Dorsey.

- Mój drogi - odezwał się beznamiętnie księżę. - Chciałem się dowiedzieć, wprost pałałem niezaspokojoną ciekawością, ile kompletów bielizny pościelowej trzyma wasza gospodyni w szafce z bielizną.

Jego rozmówca poczerwieniał z irytacji.

- Nie podoba mi się twój żart, Portfrey. Ostrzegam cię, byś w przyszłości trzymał się z daleka od mojego wuja, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre.

- O, z pewnością to wiem - odparł powoli księżę. - A teraz, pozwolisz, że cię

opuszczę. Mam ochotę porozmawiać z żoną jednego z moich krewnych. Upłynęło trochę czasu, odkąd, jakiś miesiąc temu, obydwaj raczej wyraźnie ignorowaliśmy się w Newbury Abbey. Mam nadzieję, że minie równie dużo czasu, kiedy znów będziemy mieli okazję się spotkać.

Odpowiedzi, jakie usłyszał od pani Ruffles, w pełni go zadowolily. Gospodyni musiała tylko wysilić pamięć, ponieważ wydarzenia, o które ją wypytywał, rozegrały się dwadzieścia lat wcześniej. Otóż tak, w Grange była zatrudniona niejaka Beatrice. Gospodyni zdołała sobie przypomnieć, że dziewczyna została zwolniona z powodu impertynenckiego zachowania, ale, jeśli dobrze pamiętała, nie chodziło o pannę Frances. Dlaczego pomyślała, że mogłoby chodzić o pannę Frances, spytał księżę? No cóż, pani Ruffles przypomniała sobie już całkiem wyraźnie, ponieważ Beatrice była osobistą pokojówką panny Frances, a panienka bardzo ją lubiła i zdenerwowała się na swego kuzyna. Gospodyni aż zmarszczyła brwi na to wspomnienie. Tak, właśnie tak było. To wobec pana Dorseya pokojówka zachowała się tak impertynencko, chociaż gospodyni nie pamiętała, a może nawet wtedy nie wiedziała, co dokładnie dziewczyna powiedziała lub zrobiła.

Pani Ruffles uważała, że Beatrice opuściła Nuttall Grange rok, a może nawet wcześniej - o, tak, z pewnością wcześniej - przed śmiercią panny Frances. Gospodyni nie wiedziała jednak, dokąd się pokojówka udała. Jej siostra nadal mieszkała we wsi, dodała po namyśle.

Księżę odwiedził tę kobietę, a ta, kiedy już przestała się rumienić i mamrotać coś bez sensu, poinformowała go, że Beatrice wyjechała do ciotki i poślubiła szeregowca Thomasa Doyle'a, którego ojciec pracował jako stajenny w majątku pana Craddock w Leavenscourt, położonego jakieś sześć mil stąd. Rodzina Doyle'ów wyjechała do Indii, gdzie Beatrice zmarła jakiś czas później. Wydaje się, że Thomas Doyle też już nie żyje. Nie słyszała, by powrócił do kraju. Nie żeby miał wracać do Leavenscourt, dodała. Z tego, co słyszała, jego ojciec i brat również nie żyją.

Nie wiedziała natomiast, że Beatrice i Thomas dochowali się dzieci.

Nic nie słyszała o Lily Doyle, której teraz księżę Portfrey przyglądał się bacznie, kiedy z Freddie'iem Farnhope'em tańczyła kadryla na balu u Ashtonów.

\*

Lily była oszołomiona. Uśmiechała się i nawet prowadziła rozmowę. Tańczyła skomplikowane, niedawno poznane kroki, ani razu się nie potknąwszy. Oto bawiła na balu w najwyższych kręgach londyńskiej arystokracji. Szybko zdała sobie sprawę, że nie występuje

tu jako anonimowa przyzwoitka lady Elizabeth Wyatt, ale że wszyscy wiedzą, kim jest i wiedzieli to prawdopodobnie jeszcze przed jej przybyciem. Zauważyła jednak, że nie traktują jej z wrogością, ale z pobłażliwym, chciwym zaciekawieniem.

To miała być próba sił, Elizabeth rozmyślnie tak wszystko zorganizowała, by Lily uwierzyła, że stanie na wysokości zadania. Miała nadzieję, że nie zawiedzie ani Elizabeth, ani siebie. Pamiętała o wszystkim, czego ją nauczono, i jakoś dawała sobie radę. Jeśli nie czuła się swobodnie, to przynajmniej panowała nad sobą.

Dopóki nie odwróciła głowy, by poznać kolejnego dżentelmena, który poprosił Elizabeth o prezentację, i nie ujrzała Neville'a.

Od tej chwili nie pamiętała nawet dokładnie, co się działo. On skinął głową, ona ukloniła się. Zwrócił się do niej chyba „Panno Doyle”. Nigdy tak jej nie nazywał. I złożył bardzo oficjalny ukłon. Nie uśmiechał się. Pamiętała, by zwrócić się do niego „milordzie”, w każdym razie miała nadzieję, że to zrobiła.

Obydwoje zachowywali się, jakby się nigdy nie spotkali. A przecież...

Pan Farnhope odezwał się do niej, uśmiechnęła się więc do niego i odpowiedziała coś bez namysłu.

A przecież łączyła ich ta noc nad jeziorkiem i w domku, ta noc, którą nieustannie przywoływała we wspomnieniach. W miarę upływu czasu wspomnienia te stawały się coraz bardziej bolesne. Zrozumiała, że bardzo dobrze jest mieć jakieś zajęcie, jakieś zadanie do wykonania. Inaczej z pewnością pogrążyłaby się w cierpieniu.

Tańczyła z panem Farnhope, zdając sobie sprawę, że wszyscy przyglądają się jej jeszcze uważniej niż na początku balu. Tańczyła, uśmiechała się i ani na chwilę nie opuszczał jej żywy ból. Po co tu przyszedł? Z pewnością nie wiedział, że spotka ją tu dzisiaj. Dlaczego jednak przyjechał do Londynu? Może po to, by uzyskać specjalne pozwolenie? Tym razem na ślub z Lauren?

Nie chciała wiedzieć. I nagle przypomniała sobie, że obiecała mu następny taniec. Po raz pierwszy tego wieczoru ogarnął ją strach, strach, który często towarzyszył jej w Newbury Abbey. Opanowała ją przemożna chęć, by rzucić się do ucieczki. Jednak nie było parku za drzwiami rezydencji lady Ashton, gdzie mogłaby się skryć, ani lasu lub plaży. Poza tym, ucieczka nic by nie dała, tyle tylko, że uniemożliwiłaby jej powrót. Dama nigdy nie ucieka. Lily Doyle, jeśli już o to chodzi, również. Już nigdy więcej.

Neville stał z Elizabeth, kiedy kadryl się skończył. Pan Farnhope poprowadził ją w ich kierunku. Neville patrzył na nią bez uśmiechu, niemal wyniośle. Może on również czuł się zakłopotany, wiedząc, że stanowią pewną towarzyską sensację, chociaż wszyscy są zbyt

dobrze wychowani, by to otwarcie okazać. Wyglądał inaczej niż zazwyczaj. Trudno było w nim rozpoznać mężczyznę, który kiedyś ją poślubił - majora lorda Newbury. Tego mężczyznę, który kochał się z nią w domku przy wodospadzie.

Skinął jej znów głową, ona znów odpowiedziała ukłonem.

- Mam nadzieję, że hrabina Kilbourne czuje się dobrze, milordzie? - zwróciła się do niego.

- Tak, dziękuję - odparł.

- Lauren i Gwendoline również?

- Tak, obie czują się dobrze.

Uśmiechnęła się, czekając z przerażeniem, by Elizabeth wtrąciła choć słowo, ale ta nie odezwała się.

- Mam nadzieję, że dobrze się pani bawi... panno Doyle - powiedział Neville.

- Och, wyśmienicie, milordzie. - Lily nie zapomniała o uśmiechu i o wachlarzu, i zrobiła z nich użytek.

- Mam nadzieję, że zwiedziła pani już Londyn?

- Nie widziałam zbyt wiele, milordzie - odparła. - Byłam bardzo zajęta.

Jeśli Elizabeth miałaby nóż, pomyślała Lily bez wesołości, mogłaby pokroić ciszę panującą pomiędzy nimi. Czy nikt im nie pomoże? Wreszcie ktoś to zrobił.

- Lady Elizabeth? Czy uczyni mi pani ten zaszczyt i znów mnie przedstawi? - Głos był miły, więc Lily odwróciła się z uśmiechem ku jego właścicielowi. Poznała go. Przez kilka dni po jej przyjeździe przebywał w Newbury Abbey. Należał do przyjaciół barona Galtona, dziadka Lauren.

- Pan Dorsey? - Elizabeth odwróciła się do dziewczyny. - Lily, pamiętasz pana Dorseya? Panie Dorsey - panna Doyle.

- Miło mi pana poznać. - Lily skłoniła się, mając nadzieję, że mężczyzna zostanie z nimi i podejmie rozmowę, chociaż zdawała sobie sprawę, że niedługo znów zaczną się tańce.

- Bardzo mi miło panią poznać - powiedział. - Jestem panią oczarowany, jeśli wolno mi to wyznać. Czy sprawi mi pani zaszczyt i zatańczy ze mną następny taniec?

- Obiecałam go już panu hrabiemu - odparła.

- Ach tak. - Uśmiechnął się do Neville'a. - Witaj, Kilbourne. Może więc następny taniec, panno Doyle?

- Następny panna Doyle obiecała mi, Dorsey.

Lily odwróciła się z zaskoczeniem, by zobaczyć, że księżę Portfrey stoi tuż za nią. Odezwał się gwałtownie, nie siląc się bynajmniej na uprzejmość.

- I każdy następny taniec - ciągnął dalej. Kłamał, przecież poprosił ją do tańca tylko raz.

- Lyndon... - zaczęła Elizabeth.

- Żegnam, Dorsey - książę zbył Dorseya stanowczym tonem.

Mężczyzna uśmiechnął się, złożył ukłon i odszedł bez jednego słowa.

- Lyndon, co cię napadło, by tak się karygodnie zachować? - spytała Elizabeth.

- Karygodnie, lady Elizabeth? - odparł zimno. - Bo chcę trzymać hultajów z dala od młodych niewinnych dziewcząt? Jestem zdumiony, że ty nie masz nic przeciwko temu, by przedstawiać panie Doyle każdego łajdaka, który o to poprosi.

Elizabeth zacisnęła usta i zbladła.

- A ja jestem zdumiona, książę, że pozwalasz sobie pouczać mnie, jak mam postępować. Pan Dorsey, o ile pamiętam, jest kuzynem twojej żony. Jeśli miałeś z nim jakiś zatarg, nie możesz oczekiwać ode mnie, bym opowiadała się w tym sporze po którejś ze stron.

To była krótka, ostra wymiana zdań, wyrażona szeptem. Zaszokowało to i zasmuciło Lily, która czuła, że jest przyczyną tej nieoczekiwanej kłótni. Pomogło jej to również stłumić własne oburzenie na księcia, że pozwolił sobie mówić i działać w jej imieniu.

- Lily. - Neville wyciągnął do niej dłoń. - Tańce zaraz się zaczną. Czy możemy?

Na kilka chwil zapomniała o jego obecności. Ale rzeczywiście pary zaczynały się już ustawiać, a ona zgodziła się spędzić całe pół godziny w jego towarzystwie. Perspektywa pół godziny spędzonej z nim, kiedy czekała ją cała wieczność bez niego, stawała się nieznośna.

Podala mu dłoń, mając nadzieję, że nie zauważy jej drżenia, i położyła ją, tak jak ją uczono, na rękawie jego czarnego wieczorowego stroju. Poczowała bijącą od niego siłę i ciepło. Doszedł do niej znajomy zapach wody kolońskiej. Aż zapomniała o otoczeniu i obawach, że właśnie na tę chwilę zebrani musieli czekać, od kiedy Neville wszedł do sali balowej. Pragnęła uścisnąć mocno jego rękę, przyłgnąć do jego ciała i ukryć się w jego bezpieczeństwie i ciepłe. Chciała wypłakać smutek i samotność. Chwilę później przestraszyła się tej chwili zapomnienia i własnej słabości. Minał miesiąc, miesiąc nie tylko wyętej pracy, ale i zabawy. Przygotowywała się do niezależnego i wartościowego życia. Próbowała usilnie w ciągu tego miesiąca odgrodzić się od Neville'a niby potężnym wałem ochronnym, przynajmniej tak jej się wydawało. Wystarczyło jednak, że na niego spojrziała i wszystko runęło. Ból, była tego pewna, stał się jeszcze bardziej nieznośny niż do tej pory.

Stała w szeregu dam stojących naprzeciwko panów. Uśmiechnęła się, a on odpowiedział jej uśmiechem.

\*

Elizabeth nadal stała z zaciśniętymi ustami. Rozglądała się wokół za kimś znajomym, do kogo mogłaby podejść. Księżę Portfirey patrzył na nią zimno.

- Weź moją dłoń - polecił. - Pójdziemy do sali bufetowej.

- Właśnie stamtąd wróciłam - powiedziała. - I nie mam zamiaru odpowiadać na słowa rzucane tym tonem, księżę.

Westchnął głośno.

- Elizabeth? Czy zechcesz mi towarzyszyć do sali bufetowej? Znajdziemy tam trochę spokoju. Doświadczenie nauczyło mnie, że spór, którego nie rozstrzygnięto od razu, prawdopodobnie nigdy nie zostanie rozwiązany.

- Być może lepiej będzie, jeśli tak stanie się w naszym wypadku.

- Naprawdę chciałabyś tego? - spytał, z jego głosu zniknęło zimno.

Obrzuciła go długim, badawczym spojrzeniem i podała rękę.

- Czy znasz dobrze Dorsey'a? - spytał, kiedy wyszli z sali balowej.

- Prawie w ogóle - przyznała. - Wydaje mi się, że wymieniliśmy tej wiosny w Newbury niewiele ponad tuzin uprzejmości. Byłam zaskoczona, kiedy zwrócił się do mnie, bym oficjalnie przedstawiła mu Lily, skoro poznał ją już wcześniej. Ale to nie taka niezwykła prośba jak na dzisiejszy wieczór, i nie widziałam powodu, by mu odmówić. Czy istnieje taka przyczyna?

- Narzucał się kiedyś Frances, mojej żonie - odparł księżę. - Czy to nie wystarczająca przyczyna?

- Wielkie nieba! - zakrzyknęła. - Och, tak mi przykro, Lyndonie. Widzę, że choć to wszystko zdarzyło się dwadzieścia czy więcej lat temu, kiedy był młody i porywczy, dla ciebie obraza jest nadal świeża.

- Chciał koniecznie się z nią ożenić. Wyjąwszy tytuł, cała reszta należąca do Onslowa, w tym Nuttall Grange, nie wchodzi w skład majoratu. Chciał to wszystko zapisać Frances. Kiedy nie przyjęła oświadczeń Dorsey'a, próbował... zmusić ją do małżeństwa. To był jeden z powodów naszego pospiesznego ślubu, który zawarliśmy dzień przed tym, zanim wyjechałem z pułkiem do Holandii. Istniała również rodzinna waśń, która uniemożliwiała nam otwarty ślub. Obydwoje myśleliśmy, że po moim powrocie uda nam się przekonać obie rodziny. Byliśmy młodzi, chociaż oboje pełnoletni - i naiwni. Ale przynajmniej nasze małżeństwo mogło chronić Frances, gdyby Dorsey nadal się upierał, by ją poślubić.

Portfirey nigdy przedtem nie mówił o swojej żonie, pomyślała Elizabeth, kiedy weszli

do opustoszałej sali bufetowej, w której znajdowało się jedynie kilku służących. Nigdy nie chciała wypytywać go o małżeństwo.

- Rozumiem, dlaczego go tak nie lubisz. Zapewne zmienił się w ciągu tych dwudziestu lat, poza tym Lily nie ma nic, czym mogłaby go skusić. Ale dam mu do zrozumienia, że nie życzę sobie bliższej znajomości.

- Dziękuję - odparł. - Trzymaj ją z dala od niego, Elizabeth.

Nagle zmarszczyła brwi i przechyliła głowę. Starła się nie zważać na ogarniające ją uczucie. Czyżby opanowała ją zazdrość?

- Dlaczego tak bardzo interesujesz się Lily? - spytała.

Nie odpowiedział. Za to zrobił coś, czego nigdy nie robił przedtem, chociaż od kilku lat łączyła ich bliska zażyłość. Pochylił się i pocałował ją mocno w usta.

- To pewnie ostatni taniec przed kolacją - powiedział. - Dlatego sala świeci pustkami. Może przejdziemy już do jadalni?

Kiedy brała go pod ramię, próbowała usilnie uporządkować myśli. Pomyślała, śmiejąc się z siebie w duchu, że zachowuje się jak młoda panienka - brakło jej tchu, drżała, pragnęła więcej. I oczywiście była beznadziejnie zakochana. Zazwyczaj potrafiła na tyle utrzymywać się w ryzach, by ukryć ten fakt nawet przed sobą.

Tańczyli powolny taniec wiejski. Ponieważ kilka razy okrążali się i brali za ręce, mieli okazję zamienić kilka słów. Jednak Neville nie skorzystał z żadnej sposobności, a Lily również nie próbowała się do niego odzywać, uśmiechała się jedynie przez cały czas. Tańczyli więc w milczeniu.

Wiedział, że są obserwowani, zauważone zostanie każde słowo i każdy dotyk, a potem będzie się to komentować w wielu salonach stolicy, rozprawiając nad każdym szczegółem. Poczul jednak, że nic go to nie obchodzi. Lily tańczyła lekko i z wdziękiem. Zachowywała się dumnie i wytwornie. Była piękna jak czystej wody diament. Nie mógł, nie chciał oderwać od niej wzroku.

Przyjechał do Londynu ogarnięty jednocześnie nadzieją i niepokojem. Myślał, że ujrzy ją nieszczęśliwą. Miał nadzieję, że będzie mógł ją porwać - dosłownie i w przenośni - w swe ramiona i zapewnić, że będzie ją chronić przez resztę swego życia, nawet jeśli ona nie zgodzi się go poślubić. Tymczasem Lily wyglądała, jakby całe życie bywała na takich balach jak u lady Ashton. Była spokojna i odprężona.

Czul się prawie tak, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Nadal była drobna i szczupła, miała jednak przyjemne, kuszące krągłości. Nie było śladu owej trzpiotowatej, bez troskiej dziewczyny, którą tak dobrze pamiętał. Ani też pięknej, wymizerowanej kobiety,

która pojawiła się w kościele w Newbury. Teraz wyglądała...

Brakowało mu słów, by to opisać. Była uosobieniem kobiecości. Była wszystkim, czego pragnął, czego mógłby kiedykolwiek chcieć. Nie tylko towarzyszką życia, żoną, przyjaciółką. Była wszystkim, czego pragnęło jego ciało. Była... była kobietą.

Pomyślał, że gdyby tańczyli walca, tak by nią pokierował, aż znaleźliby się przy francuskich oknach, a potem na zewnątrz i znaleźliby się w cieniu, z dala od blasku świateł i mógłby ją całować aż do utraty tchu.

Ale nie tańczyli walca. Stali naprzeciwko siebie, potem odwracali do siebie plecami i znów powracali do szeregów, nie mogąc się dotykać. Czuł jedynie ciepło jej ciała owijające się wokół niego niczym ciepły koc. Uśmiechała się cały czas tym samym uśmiechem, ale w jej wzroku widział, że jest świadoma jego myśli.

Dzięki Bogu, że to nie walc. W jej oczach zamigotał uśmiech. Honor nakazywał mu, by nawet nie próbował skorzystać z okazji bez jej pełnej i niewymuszonej zgody.

Och, Lily.

Kiedy taniec miał się ku końcowi, Neville domyślił się, że czas na kolację, a ona wyraźnie zdawała sobie sprawę, co to oznacza. Bez sprzeciwu wzięła podaną dłoń i pozwoliła, by poprowadził ją do jadalni, gdzie udało mu się zająć dwa miejsca przy stole, nieco oddalone od innych gości. Pomógł jej usiąść, a następnie przyniósł talerz z jedzeniem i filiżankę herbaty.

- Lily - odezwał się, siadając obok i ledwo powstrzymując się, by nie wziąć ją za rękę.

- Jak się czujesz?

- Czuję się dobrze, dziękuję, milordzie.

- Wyglądasz uroczo - powiedział. - Tylko szkoda mi twoich włosów. Spojrzała na niego, a w rozbawieniu, które w nich się rozpało, dostrzegł dawną Lily.

Dolly też rozpacziała, głupiutka dziewczyna, wreszcie musiałam jej obiecać, że nadal potrzebuję służącej. Spędzała godziny nad moimi włosami. W dalszym ciągu jest bardzo zajęta, ponieważ nie prasuję już sama ubrań, nic robię też żadnych przeróbek i nie ceruję.

- Nie ślesz swojego łóżka, nie obierasz ziemniaków i nie siekasz cebuli?

- Tego też nie robię - potwierdziła. - Damy nie zajmują się takimi sprawami.

- Chyba że mają na to ochotę. - Uśmiechnął się.

- Są zajęte czym innym - zapewniła go.

- Naprawdę, Lily? - spytał. - A czym?

Nie powiedziała mu jednak, co zajmowało ją przez ostatni miesiąc - oprócz obcięcia włosów i lekcji tańca, a także nauki, jak powinna zachowywać się dama. Zmieniła temat.

- Dziękuję, że zwrócił pan pieniądze, które pożyczyłam od kapitana Harrisa, chociaż nie musiał pan tego robić. Odwiedziłam ich kilka razy. Elizabeth nie miała nic przeciwko tym wizytom.

- Czy jest bardzo wymagająca?

- Oczywiście że nie. Czy obraziłby się pan, gdybym, kiedy tylko będę mogła, oddała pieniądze, które przesłał pan kapitanowi?

- Obrażę się, Lily - odparł. - Zranisz mnie tym ciężko - dodał po chwili.

Skinęła głową.

- Tak - rzekła. - Tak właśnie myślałam. Nie będę więc nalegać.

- Dziękuję.

Zauważył, że nic nie je, tylko bawi się jedzeniem na talerzu. Ale on również nie uszczknął ani kęsa.

- Czy mogę cię odwiedzić, Lily? - spytał. - Jutro po południu?

- Dlaczego? - Znow spojrzała prosto na niego. Zadrżał, słysząc to pytanie. Czyżby mu chciała odmówić?

- Mam coś dla ciebie - odparł. - Coś w rodzaju prezentu.

- Nie powinnam przyjmować od pana prezentów.

- To właściwie coś innego - odparł. - Coś, co z pewnością przyjmiesz. Czy mogą to przynieść sam i oddać prosto w twoje ręce? Proszę!

Jej oczy zabłyśły na chwilę czymś, co można było wziąć za łzy, ale spuściła wzrok, zanim mógł się upewnić.

- Tak, proszę bardzo, jeśli Elizabeth wyrazi zgodę na te odwiedziny. Musi pan pamiętać, że pracuję u niej.

- Poproszę ją o pozwolenie - przyrzekł. Nie mogąc się powstrzymać, wziął jej rękę i uniósł do ust. - Lily, kochanie...

Tym razem szybciej opuściła powieki, ale zdążył zauważyć, że pojawiły się w nich łzy. Zmusił się, by nie skończyć tego, co chciał powiedzieć. Nawet jeśli jej uczucia nic się nie zmieniły, wiedział, że tak szybko nie podda się jego zabiegom. Miłość czy też brak miłości nie miały nic wspólnego z tym, że go odrzuciła. Gdyby nie mogli znaleźć wspólnego świata, gdzie mogliby żyć razem, gdyby nie mogli żyć gdzieś jak równi sobie, odrzuciłaby go, nawet jeśli by prosił ją o rękę co tydzień przez następne pięćdziesiąt lat.

Ale jej uczucia nie uległy zmianie. Wiedział to. Było to jednocześnie bolesne i pocieszające odkrycie. W końcu mógł się uchwycić tej nadziei, miał po co żyć.

Lily dotarła do rozpaczliwego punktu edukacji. Na początku wszystko ją oszalało i wyczerpywało, ale wydawało się raczej łatwe - i pasjonujące. Każdego dnia uczyła się czegoś nowego i każdego dnia mogła widzieć, że robi postępy. Myślała, że w ciągu miesiąca będzie umiała wszystko, a przynajmniej zdobędzie podstawowe umiejętności, które umożliwią jej poznanie tego, co zawsze chciała wiedzieć.

Nadszedł jednak czas, kiedy lekcje zaczęły ją nudzić, nie zauważała żadnych postępów, zdawało się jej, że nigdy nie uda się jej zdobyć nawet podstaw edukacji.

Poznała wszystkie litery alfabetu, duże i małe, i potrafiła wszystkie je napisać. Umiała odczytać niektóre słowa, zwłaszcza te łatwiejsze. Czasami wydawało się jej, że potrafi już czytać, kiedy jednak brała książkę z półki w bibliotece Elizabeth, okazywało się, że każda strona to dla niej nadal wielka tajemnica. Nie potrafiła zapanować nad całością, a powolność, z jaką czytała, zabijała jakiegokolwiek zainteresowanie i chęć dalszej nauki. Kiedy pewnego dnia wzięła z biurka zaproszenie i odkryła, że kształt pisma różni się od liter, które znała z książek, i że nie potrafi rozpoznać poszczególnych liter, wpadła w rozpacz.

Wytrwała tylko dzięki zaciętości. Nie podda się. Uparła się nawet, że siądzie nad lekcjami nazajutrz po balu, chociaż kiedy wróciły do domu, wstawał już świt i Elizabeth zaproponowała, że wyśle wiadomość do nauczyciela, by nie przychodził.

Lily nie zrezygnowała też z lekcji muzyki tuż po drugim śniadaniu. Fortepian także doprowadzał ją do rozpacz. Na początku czuła się wspaniale tylko dlatego, że mogła naciskać klawisze i uczyć się nut. Czuła, że w pewien sposób zaczyna odkrywać tajemnice muzyki. Z radością ćwiczyła gamy, uczyła się grać je płynnie, układając poprawnie palce i ręce, siedząc z odpowiednio wyprostowanymi plecami, stopami i głową. To była czysta magia, że mogła grać melodię prawą ręką i mogła wmówić sobie, że gra na fortepianie. Potem jednak nadszedł straszliwy moment, kiedy musiała zacząć używać również lewej ręki i grać obiema jednocześnie, ale nie dokładnie tak samo. Jak mogła podzielić uwagę pomiędzy obydwie dłonie i grać obydwoma poprawnie? Było to podobne do zabawy, w którą bawiły się dzieci dorastające przy wojsku - w tym samym czasie musiały pocierać brzuch jedną ręką i poklepywać się po głowie drugą.

Ale nie ustawała. Nauczy się grać. Prawdopodobnie nigdy tak dobrze by zagrać w salonie dla publiczności, co potrafiła większość dam. Postanowiła jednak, że nauczy się grać poprawnie i mniej więcej melodyjnie dla własnej przyjemności.

Już od pół godziny grała tę samą palcówkę Bacha. Nauczyciel przerywał jej, by

wytknąć kolejną pomyłkę lub chwalił, kiedy udało jej się zagrać całość bez potknięcia, a ona czuła, że niedługo wpadnie we wściekłość ciśnie nutami i oznajmi, że nigdy więcej nie dotknie klawiatury fortepianu. Jednak słuchała pilnie jego uwag i próbowała jeszcze raz. Wiedziała, dlaczego jest tak zmęczona - późno położyła się do łóżka i nie mogła zasnąć, myśląc o Neville'u - i taka niespokojna. Miał ją później odwiedzić. Miał dla niej prezent. Czy zdoła patrzeć na niego i nie załamać się, nie okaże, jaka z niej słaba istota?

Grała jednak dalej. Wreszcie udało jej się skończyć melodię nie tylko bez żadnej przerwy, ale i z pewną biegłością. Położyła dłonie na kolanach i czekała na ocenę.

- Wspaniale - usłyszała.

Obejrzała się. Neville stał w otwartych drzwiach salonu razem z Elizabeth, obydwójce wyglądali na zdziwionych i zadowolonych.

- To tak spędzałaś czas, Lily? - spytał.

Wstała i skłoniła się. Gdyby miała pod stopami głęboką, czarną jamę, z chęcią by w nią wskoczyła. Nakryto ją, jak ćwiczyła palcówkę, którą z pewnością zagrałaby o wiele lepiej pięcioletnia dziewczynka. Spojrzała z wyrzutem na swoją pracodawczynię.

- Panie Stanwick - Elizabeth zwróciła się do preceptora. - Sądzę, że Lily zgodzi się już zwolnić pana na dzisiaj. Prawda, Lily?

Dziewczyna skinęła głową.

- Tak, dziękuję, panie Stanwick.

Elizabeth wyszła z nauczycielem, zupełnie niepotrzebnie, by odprowadzić go do drzwi, i nie wróciła od razu.

- Grałaś bardzo ładnie - powiedział Neville.

- To było elementarne ćwiczenie - wyjaśniła. - Zagrałam zaledwie poprawnie, milordzie.

- Tak - odparł poważnie. - Tak było.

W ten sposób odebrał jej broń z ręki. Poczowała się oburzona. Czy powiedział jej komplement, czy też właśnie go wycofał?

- Zaledwie miesiąc... - ciągnął dalej. - To wspaniałe osiągnięcie, Lily. Nauczyłaś się również, jak obracać się w towarzystwie z wdziękiem i łatwością, a także tańczyć. Co jeszcze robiłaś?

- Uczyłam się czytać i pisać - odparła, unosząc podbródek. - W obydwu przypadkach nie robię tego nawet poprawnie, jeszcze nie.

Uśmiechnął się do niej.

- Pamiętam, jak mówiłaś, to było w domku, że uważasz umiejętność czytania i pisanie

za najwspanialsze na świecie. Teraz widzę, że zaczęłaś spełniać swoje marzenie. A niegdyś myślałem, że wystarczy ci tylko wolność i kojący balsam dzikiej przyrody.

Odwróciła się od niego bokiem i usiadła na taborecie. Nie chciała, by przypominał jej o domku. Te wspomnienia sprawiały jej ból.

- Jak się czuje Lauren? - Czy już pytała go o to zeszłej nocy?

- Dobrze.

Wpatrywała się w wierzch dłoni.

- Czy... czy ślub odbędzie się latem? - zadała pytanie bez namysłu.

- Lauren i mój? Nie, Lily.

Nie zdawała sobie sprawy, jak bała się, zanim usłyszała tę odpowiedź, chociaż, nie powiedział, że nie będzie ślubu jesienią lub zimą, lub...

- Dlaczego nie?

- Ponieważ już jestem żonaty - odparł cicho.

Lily czuła, jak cała w środku zamiera. Dokładnie tak samo mówił jay w Newbury. Nic się nie zmieniło. Jeśli poprosiłby ją o to samo co wtedy, odpowiedź również by się nie zmieniła. Nie mogła.

- Przyniosłem ci prezent, o którym wspominałem zeszłej nocy - odezwał się, podchodząc bliżej. Spojrzała na niego i zobaczyła, że trzyma w ręku paczkę. Podał ją.

Powiedział, że to nic osobistego. Gdyby było inaczej, odmówiłaby. Kupił jej ubrania i buty, kiedy przebywała w Newbury i zatrzymała je. Ale teraz było inaczej. Wtedy uważała, że jest jego żoną. Obecnie była niezamężną kobietą przebywającą właśnie w towarzystwie nieżonatego mężczyzny i nie mogła przyjmować od niego podarków. Wyciągnęła jednak rękę i wzięła paczkę.

Kiedy tylko odwinęła opakowanie, od razu go poznała, chociaż teraz plecak zniekształcił się i był nienaturalnie czysty. Położyła rękę na spłowiałej tkaninie.

- To taty? - wyszeptwała.

- Tak - odparł. - Obawiam się, że zawartość zaginęła bezpowrotnie. Tylko tyle mogłem dla ciebie odzyskać. Pomyślałem jednak, że mimo to zechcesz go mieć.

- Tak. - Poczwała w gardle piekący ból. - Tak. Dziękuję. Och, dziękuję. - Spozstrzegła ciemną plamę na plecaku i przeciągnęła po niej palcem. - Dziękuję.

Zerwała się na równe nogi i objęła go za szyję, zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi. Otoczył ją silnie ramionami. Ścisnęła plecak w ręce i przypomniała sobie ojca, majora Newbury i te wszystkie lata spędzone na Półwyspie Iberyjskim. To nie były beztrudne dni - wojna jest straszna - niemniej Lily zachowała też wspomnienia pięknych chwil.

Kiedy się uspokoiła, puścił ją z objęć. Z powrotem usiadła na krześle.

- Przykro mi, że nie znalazłem tego, co było w środku - powiedział. Szkoda, że nigdy się nie dowiesz, co twój ojciec trzymał tam dla ciebie.

- Gdzie to znalazłeś?

- Przesłano to do twojego dziadka w Leavenscourt w hrabstwie Leicester - wyjaśnił. - Pracował tam jako stajenny. Zmarł jeszcze przed śmiercią twojego ojca, a jego syn - brat twojego ojca - zmarł wkrótce potem. Nadal jednak żyje tam twoja ciotka i dwaj kuzyni. To właśnie ona miała ten plecak.

A więc miała krewnych - ciotkę i dwóch kuzynów. Myśl ta powinna ją przepełnić radością. Może kiedyś będzie potrafiła się z tego cieszyć. Teraz odczuwała jedynie smutek po stracie ojca. Zdała sobie sprawę, że przecież nigdy wystarczająco nie przeboleła jego śmierci. Trzy godziny po tym, jak zginął, zawarła małżeństwo, a kilka godzin później, po owej długiej nocy, została postrzelona i zaczął się koszmar.

- Tęsknię za nim.

- Ja również, Lily. - Neville oparł się o drugi koniec fortepianu. - Teraz masz przynajmniej coś, co będzie ci go przypominało. Co się stało z twoim medalionikiem? Czy zabrali go Francuzi, a może Hiszpanie?

- Manuel - odparła. - Ale oddał mi go, kiedy zwrócono mi wolność. Jest zepsuty. Łańcuszek rozerwał się, kiedy Manuel szarpnął go z mojej szyi.

Usłyszała, jak Neville wciąga powietrze.

- Zawsze go nosiłaś. To prezent od mamy czy od taty?

- Chyba od obydwójga. Miałam go, odkąd tylko pamiętam. Tata ciągle powtarzał, że muszę go nosić, że nie mogę go zdejmować ani zgubić.

- Łańcuszek jest jednak zerwany. Powinnaś znów go nosić, Lily. Jako kolejną pamiątkę po rodzicach. Czy pozwolisz mi, bym oddał go do jubilera, by ci go naprawiono?

Zawahała się. Ufała mu najbardziej na świecie, ale nie mogła znieść myśli, że znów miałyby stracić medalionik. Zabrano jej ubranie, kiedy tylko znalazła się w hiszpańskiej niewoli, ale poczuła się odarta ze wszystkiego dopiero wtedy, kiedy Manuel zerwał jej medalionik z szyi. Czuła się, jakby straciła część siebie.

- Mam lepszy pomysł. - Neville zrozumiał przyczynę jej wahania. - Czy pozwolisz, że zaprowadzę cię do jubilera, by zreperowano łańcuszek? Bez wątpienia można to zrobić na poczekaniu, dzięki temu będziesz go mogła mieć cały czas na oku.

Spojrzała na niego z zaufaniem i zapomniała na chwilę o barierze, która już na zawsze miała ich dzielić.

- Dobrze - powiedziała. - Dziękuję, Neville.

Zagryzła wargi, kiedy spotkały się ich oczy. Czowała, jakby uczyniła wyznanie, on sprawiał wrażenie, jakby właśnie tak to odebrał.

Na szczęście drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Elizabeth, uśmiechając się wesoło.

- O Boże! - powiedziała. - Pan Stanwick lubi sobie pogadać, kiedy mu się tylko da sposobność. Przepraszam, że cię opuściłam, Neville. Mam jednak nadzieję, że Lily zajęła się tobą. Potrafi świetnie prowadzić konwersację.

- Nie narzekam - odparł Neville.

- Przejdźmy do bawialni na herbatę - zaproponowała. - Kazałam tam napalić w kominku. Jak na letni dzień jest raczej chłodno, nieprawdaż? I wilgotno.

Lily spojrzała w okno salonu. Rzeczywiście, dzień był szary i pochmurny. Na szybie widniały krople deszczu, chociaż wydawało się, że w tym momencie nie pada. Przypomniała sobie, że rano pogoda popsuła jej humor.

A teraz miała wrażenie, że słońce świeciło przez całe popołudnie. Myliła się jednak.

\*

Elizabeth zawsze otwarcie przyznawała, że Neville jest jej ukochanym bratankiem. Wiedział, że obchodzi ją jego szczęście. Wiedział również, że zdawała sobie sprawę z głębi uczuć, jakie żywił do Lily. Nie zamierzała jednak naciskać dziewczyny, by do niego wróciła. Była na to zbyt uczciwa. Postanowiła umożliwić Lily zdobycie umiejętności, dzięki którym dziewczyna mogła stać się bardziej pewna siebie, by mogła wybrać sama swoją przyszłość. Jeśli Lily zdecydowałaby się go poślubić, Elizabeth byłaby szczęśliwa. Jeśli postanowiłaby inaczej, Elizabeth umocniłaby ją w tym postanowieniu.

Kobiety, kiedy tylko się zjednoczą, pomyślał ponuro Neville, są twarde i niewzruszone, niczym skały Gibraltaru.

Bardzo chciał zabrać Lily do jubilera. Wiedział, że medalionik jest dla niej niezwykle cenny i chciał pomóc jej go zreperować, by mogła go znów nosić. To przede wszystkim nim kierowało, tego był pewien. Była to również, oczywiście, wymówka, dzięki której mógł spędzić z dziewczyną trochę czasu.

Jednak podczas popołudniowej herbaty Elizabeth oznajmiła mu, że następny dzień absolutnie nie wchodzi w rachubę. Rano Lily będzie zajęta lekcjami, a po południu wybierają się na przyjęcie ogrodowe do Foglesów. Chce, by Lily towarzyszyła jej przy takich okazjach. A jeszcze następnego dnia dziewczyna miała rano lekcje, a po południu naukę tańca. Tego

dnia również Elizabeth przyjmowała wizyty i chciałaby, by jej dama do towarzystwa siedziała obok i pomagała zabawiać gości.

Neville'owi pozostało jedynie, skoro nie dostał zaproszenia na przyjęcie ogrodowe, odwiedzić ciotkę następnego popołudnia, siedzieć nad filiżanką herbaty i rozmawiać z grupką przybyłych gości, ale nie z Lily. Dopiero nazajutrz dziewczyna w końcu mogła pojechać z nim do jubilera. A nawet wtedy Elizabeth była skłonna wybrać się razem z nimi, gdyby nie zapewnił jej, że weźmie otwarty powóz i służącego.

Elizabeth, oczywiście, bardzo się przejmowała względami przyzwoitości. Traktowała jednak Lily bardziej jak nieoceniony skarb niż jak płatną przyzwoitkę. To było denerwujące, ale Neville odkrył, że również się z tego cieszy. Zbyt wielu młodych ludzi przychodziło do Elizabeth na herbatę nie z innego powodu, niż chęć adorowania jej damy do towarzystwa.

Nareszcie znowu pojawiło się słońce, a Lily miała na sobie elegancką modną zieloną suknię i kapelusz ze słomki. Neville podał jej rękę, gdy wsiadała do faetonu. Wziąwszy lejce od stajennego, usiadł obok niej i poczekał, aż chłopak usadowi się z tyłu.

- Powiedz mi prawdę, Lily? - powiedział, kierując pojazd w stronę Bond Street. - Jak się czujesz?

Namyśliła się nad odpowiedzią.

- Czuję się... swobodnie - powiedziała. - Czuję, że mogę teraz obracać się niemal w każdym towarzystwie, w którym kiedykolwiek w życiu będę miała okazję przebywać. To dobre uczucie, milordzie.

- Czy uczysz się tego, co zawsze chciałaś umieć?

- Stanowczo nie - odparła. - Wątpię, by ktokolwiek był w stanie nauczyć się lub chociażby w części poznać wszystkie fascynujące fakty i tajemnice życia. Uczę się wolniej, niż się spodziewałam. Ledwo umiem czytać, a przecież mam lekcje od ponad miesiąca. Kiedy jednak czuję się zdenerwowana i nieszczęśliwa, przypominam sobie, że zawsze chciałam się uczyć. I nie zapominam, jaka jestem szczęśliwa, że mogę w końcu spełnić swoje marzenia.

Westchnął.

- Nie chciałem, byś się zmieniała, Lily - powiedział. - Lubilem cię taką, jaką byłaś. Kiedy powiedziałem to Elizabeth, wytknęła mi, że to bardzo samolubne z mojej strony. Z przyjemnością zauważam, że czujesz się, jak to ujęłaś, swobodnie. - Uśmiechnął się do niej. - I podoba mi się twoja fryzura.

- Mnie również.

Uśmiechnęła się wesoło i podniosła rękę, by pomachać dwóm damom, które wychodziły od modystki. W tym samym momencie George Brigham, który przechodził przez

ulicę, dotknął róna kapelusza laseczk i skłónił si jej.

Neville zdał sobie spraw, że Lily sprawia wrazenie młodej damy i tak jest traktowana. Dziki wsnej odwadze i wsparciu Elizabeth dziewczyna przestała si ukrywa i zachowywała si bez skrpowania. Natomiast on chroniłby j i bronił. W ten sposób sprawiłby, że zawsze czułaby si zażenowana i nieszczęśliwa. Niełatwo było mu si do tego przyzna.

Zaprowadził j do najlepszego jubilera, gdzie wyjaśnił, że panna Doyle nie chciaby zostawia medalionika i odbiera go pźniej, lecz pragnie przyglda si naprawie. Usiedli tak, że cenny przedmiot nie zniknł jej z oczu.

Medalionik był złoty. Łncuszek rwnie. Trudno było uwierzy, że zwykłego żołnierza sta było na tak ozdob, skoro jeszcze nie otrzymał żołdu sierzanta, kiedy została zakupiona. Neville widywał medalionik setki razy na szyi Lily. Był jakby nieodłczn czścią dziewczyny. Nigdy si jednak nad nim nie zastanawiał. Na zewntrznej stronie znajdował si jakis zawiy ornament, ale nie próbował pochyla si bliej, by mu si dokłdniej przyjrze. Z niewiadomych przyczyn Lily nie lubi, kiedy kto si nim interesowa. A on szanowa jej życzenia.

Zapłacił za zreperowanie łncuszka, a Lily schowa medalionik ostronie do torebki.

- Nie chcesz go załżyć? - spytał, kiedy wyszli ze sklepu.

- Nie nosiam go tak dugo... - powiedziaa. - Chciaabym wiec załżyć go ponownie z jakiejs specjalnej okazji. Nie wiem kiedy. Pomysł, gdy nadejdzie odpowiednia chwila.

- Moe pójdziemy do Guntera na lody? - zaproponowa.

Zagryzła warg, ale skinła głw.

- Dobrze - powiedziaa. - Dzikuje, milordzie. I dzikuje, że mogam zreperowa medalionik. Jest pan bardzo uprzejmy.

Zatrzyma si na chodniku i pochyli si nad ni, by spojrze jej prosto w oczy.

- Lily, nie łdz si, że uczyniem to z uprzejmoci - wyjaśnił. - Znw zachowaem si samolubnie. Mam nadziej, co wieczej, wierz, że kiedy ponownie załżysz medalionik, bdzie ci przypomina nie tylko o rodzicach, ale rwnie o mężczyźnie, który zawsze bdzie uwazał si za twojego męża.

- Prosze, nie. - Spojrzaa na niego błkitnymi oczyma.

- Bdziesz o tym pamitaa, prawda?

Nie odpowiedziaa, ale po chwili skinła niemal niedostrzegalnie głw.

Lily bała się tego popołudnia. Modliła się, by Elizabeth wybrała się razem z nimi. Kiedy postanowiono, że pojedą faetonem, modliła się o deszcz, ponieważ wtedy powinni jechać zakrytym powozem i Elizabeth musiałaby koniecznie im towarzyszyć.

Była taka słaba. Patrzyła na niego, rozmawiała z nim, przebywała z nim sam na sam, z trudem panując nad sobą, by nie odkryć przed nim prawdziwych uczuć. Przerażeniem napawała ją myśl, że gdy on wróci do domu, pozostaną jej tylko wspomnienia.

Na przekór swym obawom, spędziła wręcz magiczne popołudnie. Pogoda znów zrobiła się słoneczna po kilku dniach zachmurzenia i nieprzerwanego deszczu. Jazda otwartym powozem, ciepło i blask słoneczny podniosły ją na duchu. Towarzystwo Neville'a również.

Było jeszcze coś, co tworzyło ten magiczny nastrój. Pomyślała o tym nagle i wprowadziło ją to w podniecenie, nie mogła się oprzeć rodzącej się nadziei, chociaż wiedziała, że musi wrócić do domu i przemyśleć wszystko dokładnie, zanim zacznie działać w tym kierunku.

Nie chciała poślubić Neville'a, ponieważ źle się czuła w jego świetle i w ogóle nie nadawała się do roli hrabiny. Odrzuciła oświadczenia dla własnego i dla jego dobra - w końcu stałby się bardzo nieszczęśliwy, widząc jej niedopasowanie.

Nagle jednak zdała sobie sprawę, że wcale nie czuje się źle, nie czuje się skrępowana w jego środowisku. O, w ciągu tego miesiąca nie zmieniła się bardzo. Nadal czekała ją długa droga, zanim będzie traktowana jak dama, która jest damą z racji pochodzenia i wychowania. Była jednak na najlepszej drodze. Nigdy nie zostanie damą z urodzenia i z pewnością znajdą się tacy w wielkim świecie, dla których będzie to argument przeciwko niej, ale stanie się damą dzięki wykształceniu. Mnóstwo ludzi, ludzi, których lubiła i szanowała, z pewnością ją zaakceptuje.

Co, w takim razie, powstrzymało ją od małżeństwa z Neville'em?

Najpierw powiedziała sobie, że nie pozwoli, żeby poślubił ją wiedziony poczuciem obowiązku. Wiedziała jednak, że to śmieszne. Wiedziała, że Neville nadal ją kocha, i to jeszcze zanim zatrzymali się po wyjściu od jubilera i wyjaśnił jej, dlaczego chciał, by naprawiła medalionik. I z pewnością wiedziała, że ona go kocha. Nie przestała go uwielbiać, od kiedy w wieku czternastu lat zobaczyła go po raz pierwszy.

Musiała jednak całą sprawę ostrożnie rozważyć. Wiedziała, że nigdy nie będzie mu równa pod względem urodzenia czy majątku. Musi się jednak upewnić, że fakt ten nie stanie się przeszkodą dla żadnego z nich, nawet kiedy miną pierwsze porwy miłości, tak jak to często zdarza się w życiu.

Zdecydowała, że pomyśli o tym, kiedy zostanie sama. Postanowiła, że tego

popołudnia podda się magii i po prostu będzie się dobrze bawiła. Dlatego właśnie poszła z nim do Guntera, jadła lody, opowiadała mu o lekcjach, które pobierała przez ostatni miesiąc. Postanowiła rozśmieszyć go własnym kosztem, opowiadając o wszystkich komicznych szczegółach, jakie sobie przypomniła. Śmiali się razem radośnie. Zdawała sobie sprawę, aczkolwiek z niepokojem, że on również poddaje się nastrojowi tej chwili.

Niestety, ich sam na sam nagle zostało przerwane, jednak Lily uśmiechnęła się uprzejmie do dżentelmena, który podszedł do ich stolika, by zamienić z nimi kilka słów. Trudno jej było zapamiętać wszystkie osoby, którym została przedstawiona na balu u Ashtonów, od razu jednak przypomniała sobie pana Dorsey'a, może dlatego, że przebywał w Newbury Abbey przez dzień lub dwa po jej przybyciu, ale głównie dlatego, że właśnie przez niego Elizabeth miała scysję z księciem Portfrey.

- Och, panno Doyle. Witam panią. - Uśmiechnął się i skinął głową, sprawiając wrażenie zaskoczonego, jakby ją dopiero co zobaczył. Kilbourne?

Obydwoje odpowiedzieli uprzejmie, ale bez większego entuzjazmu. Lily domyślała się, że Neville pragnął być z nią sam na sam, ona również tego chciała. Pamiętała krótką uwagę Elizabeth na temat tego incydentu następnego dnia po balu. Elizabeth powiedziała, że nie może dać jej szczegółowego wyjaśnienia, ponieważ nie chce zawieść czyjegoś zaufania, ale stwierdziła, że istnieje powód, by Lily unikała dalszej znajomości z panem Dorsey'em.

Dziewczyna pomyślała jednak w ciągu następnych pięciu minut, kiedy przysiadł się nieproszony do ich stolika i zabawiał ich rozmową, że to bardzo przyjazny dżentelmen i z pewnością niegroźny. Słyszał, że hrabia Kilbourne przebywał niedawno w Levenscourt w hrabstwie Leicester. Szkoda, że o tym nie wiedział. Był spadkobiercą barona Onslow, który mieszkał w Nuttall Grange, pięć czy sześć mil stamtąd. Z radością pokazałby hrabiemu okolicę. A może hrabia pojechał tam w interesach?

Lily doszła do wniosku, że to dość kłopotliwy zbieg okoliczności, że książę Portfrey przechodził tamtędy i zobaczył ich troje. Zatrzymał się na ułamek sekundy, a potem poszedł dalej, skłoniwszy się jej. No cóż, pomyślała, przynajmniej będzie mogła zapewnić Elizabeth, że obydwójce z Neville'em nie mogli zachować się niegrzecznie wobec pana Dorsey'a.

Po minucie lub dwóch dżentelmen oddalił się.

- Zdumiewająco uprzejmy człowiek - powiedział Neville. - Gotów był pojechać do hrabstwa Leicester, by pokazać mi okolicę, jeśliby tylko wiedział, że przebywam pięć mil od majątku jego wuja? A przecież ledwo go znam. Może uważa, że winien mi tę grzeczność dlatego, że gościłem go w maju w Newbury? Przyjechał tam jednak jako krewny dziadka Lauren. Dobrze, że już sobie poszedł i przestał powtarzać, że nie czuje do mnie urazy.

Uśmiechnęli się do siebie.

- Czy byłaś już w ogrodach Vauxhall, Lily? - Pochylił się ku niej, zapominając o tym incydencie.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Tylko o nich słyszałam. Mówiono mi, że jest tam cudownie w nocy.

- Czy wybrałabyś się tam ze mną, gdyby udało mi się zebrać większe towarzystwo?

To mogło być najbardziej niebezpieczne miejsce, jeśli po dokładnym namyśle doszłaby do wniosku, że mimo wszystko nie może zmienić zdania co do niego. Może powinna odmówić od razu. Albo przynajmniej powiedzieć, że zastanowi się i porozmawia o tym z Elizabeth.

Pochyliła się jednak żywo ku niemu, tak że dzieliły ich tylko centymetry.

- Och, tak - powiedziała. - Bardzo chętnie.

Ciekawe, czego chciał od pani Calvin Dorsey, panno Doyle - powiedział książe Portfrey.

Elizabeth i Lily znajdowały się wśród gości zaproszonych do jego łoża teatralnej. Lily była oczarowana teatrem - uroczą atmosferą, wykwintną publicznością siedzącą w łożach, na parterze i na galeriach, a także pierwszą częścią sztuki. Kiedy tylko zaczęło się przedstawienie, odpłynęła w inny świat i straciła poczucie rzeczywistości, stała się jedną z bohaterek na scenie i żyła razem z innymi postaciami sztuki. W czasie przerwy łoża zapelniła się gośćmi, którzy przyszedli przywitać Elizabeth i inne osoby - i przyjrzeć się słynnej Lily Doyle.

Jego książęca mość nie tracił czasu na bezsensowne podchody. zaproponował, by dziewczyna pospacerowała z nim przez chwilę.

- Dlaczego ktoś miałby w ogóle chcieć czegokolwiek ode mnie, książe - odparła. - W arystokratycznych kręgach jestem nikim.

- Nigdy nie interesowałem się kobietami - odparł. - Ani nie zachowywałem się szczególnie rycersko wobec dam. A przecież rozmyślnie odszukałem panią dwa razy, tyle przynajmniej miałem okazję widzieć.

- Wydaje mi się, wasza książęca mość, że to nie pańska sprawa.

- Oho, ten błysk w oku i uniesiony podbródek. - Portfrey potrząsnął głową. - Lily, co się dzieje, jeśli... A zresztą, nieważne.

- Poza tym, u Guntera pan Dorsey interesował się bardziej hrabią Kilbournem niż mną. Oznajmił, że gdyby wiedział, że kilka tygodni temu hrabia wyjeżdżał do hrabstwa Leicester, pojechałby tam.

- Kilbourne tam był? - spytał książe.

- W Leavenscourt - wyjaśniła. - Dorastał tam mój ojciec, a dziadek pracował jako stajenny.

- Czy żyje nadal?

- Nie. Zmarł jeszcze przed śmiercią mojego ojca, brat taty również zmarł jakiś czas temu.

- Ach, więc nie masz już żadnej rodziny. Przykro mi to słyszeć.

- Mam tylko ciotkę - powiedziała. - I dwóch kuzynów.

- Moja żona pochodziła z hrabstwa Leicester - wyjaśnił. - Czy wiesz Lily, że byłem kiedyś żonaty? Mieszkała w Nuttall Grange, kilka mil od Leavenscourt. Calvin Dorsey był jej

kuzynem. A twoja matka pracowała tam kiedyś jako jej osobista pokojówka.

Lily zatrzymała się nagle. Nie wiadomo dlaczego, ogarnął ją strach.

- Skąd pan o tym wie? - spytała niemal szeptem.

- Rozmawiałem z jej siostrą - odpowiedział. - Twoją kolejną ciotką.

W ciągu ostatniego tygodnia Lily dowiedziała się kilku faktów o pochodzeniu swoich rodziców. Odkryła, że nadal żyją ich bliscy krewni. Pomyślała, że nie jest taka samotna na świecie. Zamiast się tym radować, czuła niepokój, więcej niż niepokój. Czego, a może kogo właściwie się bała?

- Wydaje mi się, że czas już wracać - odezwał się książę. - Zaraz zacznie się drugi akt.

\*

Lily uwielbiała Elizabeth, która była dla niej uosobieniem wszystkich cech, jakie powinna mieć prawdziwa dama. Nie zapominała również, że pracuje dla niej, chociaż prawie nic nie robi, by zasłużyć na wspaniałomyślną zapłatę. Elizabeth wymagała tylko od niej, by Lily odbywała lekcje, które sobie wymarzyła, i by mogła popisywać się nowo nabytą wiedzą i umiejętnościami, pokazując się przy różnych okazjach towarzyskich ze swoją chlebobawczynią.

Dziewczyna pracowała bardzo ciężko, zarówno dla własnego pożytku, jak i dla Elizabeth. Zachwycaly ją osiągnięte rezultaty, chociaż nieco niecierpliwiło ją, że jest zbyt powolna w niektórych sprawach. Czasami jednak ogarniała ją przemożna tęsknota za starym życiem. Czasami potrzeba wyjścia na dwór, powiązania z naturą, zatopienia się we własnym świecie wewnętrznego spokoju nie dawała się uciszyć. Hyde Park nie mógł zastąpić prawdziwej wsi, skoro otaczało go największe, najgwarniejsze miasto świata. Poza tym przez większość dnia stawał się ulubionym miejscem śmietanki towarzyskiej, która uwielbiała paradować tam, by pokazywać się i być ogladaną, by wymieniać ostatnie ploteczki. Lily rzadko znajdowała idylliczne warunki, w których mogła cieszyć się urokami natury. Nauczyła się widzieć to, co chciała widzieć, nie dostrzegała świata w ciągu tych wszystkich cennych chwil. A Hyde Park wczesnym rankiem był niemal sielankowy.

Kilka razy od przybycia do Londynu Lily wymknęła się z domu skoro świt, by nacieszyć się spokojną godziną samotności, zanim zaczną się lekcje i inne obowiązki. Nigdy nie mówiła o tym Elizabeth, a jeśli jej pracodawczyni o tym wiedziała, nie dała tego po sobie poznać. Gdyby przyznała, że o tym wie, musiałyby nalegać, by Lily brała ze sobą pokojówkę lub lokaja. A to już nie byłoby to samo.

Lily poszła do parku następnego dnia po wizycie w teatrze. Był zimny, nieco mglisty

poranek, zapowiadała się jednak piękna pogoda. W parku nie było niemal nikogo. Lily unikała ścieżek i szła przez pokrytą rosą trawę. Kusilo ją, by zdjąć buty i pończochy, ale nie zrobiła tego. Istniały, niestety, nakazy przyzwoitości, którym musiała się podporządkować. Poza tym park nie był zupełnie opustoszały. Kilku kupców spieszyło do pracy, a czasami ścieżką przegalopował jakiś jeździec.

Lily odrzuciła głowę do tyłu, by popatrzeć na wierzchołki drzew i głęboko nabrała powietrza do płuc. Chciała oczyścić umysł, w którym niepokój i radość mieszały się w takim stopniu, że nie mogła zasnąć niemal przez całą noc - i znów powrócił dawny koszmar.

Nie rozumiała zupełnie, dlaczego się przestraszyła tego, czego dowiedziała się poprzedniego wieczoru. Może dlatego, że przyzwyczała się do myśli, że nie ma żadnych bliskich krewnych. Odkąd skończyła siedem lat miała tylko ojca. A obecnie naraz okazało się, że ma całą gromadę krewnych - dwie ciotki, dwóch kuzynów - i zna dwie osoby blisko związane z miejscem, gdzie jej matka pracowała jako pokojówka. Lily nie wiedziała nawet, że jej matka była służącą. A tu okazało się, że na dodatek osobistą pokojówką kuzynki pana Dorseya, żony księcia Portfrey.

Co takiego nieokreślenie niepokojącego kryło się w tych faktach? Nadal tego ranka nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Próbowwała otrząsnąć się z tego uczucia.

Wiedziała za to bardzo dobrze, dlaczego ogarnia ją radość. Neville zdołał zebrać grono osób, z którymi mieli wybrać się za trzy dni do ogrodów Vauxhall. Pomyślała, że podniecałby ją już sam fakt, że wybiera się do takiego słynnego miejsca. Ale... No, cóż, nie tylko myśl o tej wyprawie tak ją ekscytowała, że nie mogła spać. Słyszała, że ogrody Vauxhall należały do bardzo romantycznych miejsc, były tam alejki, wzdłuż których rosły drzewa i stały latarnie, a także bardziej intymne ścieżki oraz prywatne łóżka, koncerty, tańce i ogniska.

I już za kilka dni miała wybrać się tam z Neville'em. Jechało razem osiem osób, ale to nie było dla niej ważne. Wiedziała, że zaprosił pozostałe sześć osób tylko dlatego, że nie mógł jej zaprosić samej.

Zastanawiała się, czy planował romantyczny wieczór, i czy jej to odpowiadało. Nadal nie podjęła decyzji.

Idąc przez park, starała się o tym nie myśleć. Uniosła głowę, słuchała głosu ptaków śpiewających całym chórem. Próbowwała skupić się nad drogocenną chwilą teraźniejszą.

Zdecydowała, że na wizytę w Vauxhall założy medalionik. Neville z pewnością to zauważy i przypomni sobie, jak mu powiedziała, że czeka z tym na specjalną okazję.

Czy jednak była gotowa, by dać mu taki sygnał?

Wdychała w nieco wilgotnym powietrzu mocny zapach roślin i słuchała odległego odgłosu końskich kopyt.

Jeśli książe Portfrey rozmawiał z siostrą jej matki, to oznacza, że on również przebywał niedawno w hrabstwie Leicester. Dlaczego nie miałoby tak być? Przecież poślubił kobietę, która tam mieszkała. Może nadal pozostawał w bliskich kontaktach z jej rodziną.

Usłyszała za sobą zbliżającego się konia. Jego kroki stały się szybsze, jakby przyspieszył niemal do galopu. Po tych kilku razach, kiedy Lily jeździła konno, uznała, że to jedno z najwspanialszych uczuć na świecie. Pomyślała, że chętnie popędziłaby na koniu ścieżkami Hyde Parku.

Nagle trzy rzeczy zdarzyły się jednocześnie - odgłos kopyt stał się stłumiony, jakby koń jechał teraz po trawie, ktoś krzyknął i Lily znów tego doznała - ogarnął ją dojmujący, obezwładniający strach. Wiedziona instynktem odskoczyła i upadła na trawę. Koń minął ją w galopie.

Znów usłyszała krzyk, młoda służąca biegła przed trawę, odrzuciwszy wielki koszyk. Dwaj mężczyźni, jeden ubrany jak robotnik, drugi wyglądający bardziej jak zamożny kupiec, również pojawili się jakby spod ziemi. Lily leżała oszołomiona na mokrej trawie, patrząc na nich.

- Och, panienko. - Dziewczyna uklękła obok niej. - Och, panienko, żyje pani?

- Jest zszokowana, ale żyje, ty głupia - powiedział robotnik. - Czy pani jest ranna, panienko?

- Nie - odparła Lily. - Myślę, że nie. Nie wiem.

- Lepiej niech się panienska nie rusza - powiedział żywo kupiec. - Trzeba się upewnić. Najpierw niech pani się uspokoi, a potem zobaczymy, czy nic się nie stało z nogami.

- Brutal! - krzyknęła pokojówka za szybko znikającym jeźdźcem. - Nie patrzy taki, gdzie jedzie. Pewnie nawet nie zauważył, że omal kogoś nie zabił.

- Nic takiemu nie zależy - dodał cynicznie robotnik. - Bogacze nie przejmują się, że mogliby poturbować jakiegoś człeka, bardziej ich obchodzi, czy koń se kopyt nie zniszczył. Proszem, panienko, chce panienska; wstać?

- Dajcie jej na razie spokój - powiedział kupiec. - Nie ma z panią służącej, proszę pani?

Lily zaczynała wreszcie rozumieć, że o mały włos uniknęła śmierci - i to już po raz drugi. Na razie nie zwracała uwagi na liczne sińce, które spowodował upadek.

- Już mi lepiej - powiedziała. - Dziękuję.

- To jakiś diabeł z piekła rodem - powiedziała pokojówka. - Czarny płaszcz za nim

powiewał. Nie widziałam jego twarzy. Może jej nie miał. Och, ani chybi diabeł.

- Nie bądź głupia, dziewczyno - odezwał się robotnik. - Chociaż po co mu był ten kaptur na głowie? Żeby go kto nie rozpoznał, czy co? Bogacze to mają przewrócone w głowach, mówię wam.

Kupiec pragnął okazać bardziej praktyczną pomoc i pomógł Lily wstać. Oparła się na jego ramieniu, zanim upewniła się, że może utrzymać się na nogach.

- Czy pozwoli pani, bym odprowadził panią do domu? - spytał.

- Och, dziękuję - odparła. - Dziękuję, ale nie trzeba. Już mi jest lepiej, tylko się trochę zmoczyłam. Dziękuję państwu. Jestem wam bardzo wdzięczna.

- No cóż, jeśli jest pani pewna... - Kupiec, psując rycerski gest, wyjął z kieszeni zegarek i zmarszczył brwi, dając do zrozumienia, że już jest spóźniony na spotkanie.

Lily wróciła sama, udało jej się nawet wejść do domu tak, że nie zauważyła jej ani Elizabeth, ani nikt ze służby. Zrzuciła z siebie wilgotne ubranie, a następnie zadzwoniła po Dolly i uśmiechając się do dziewczyny powiedziała, że poszła do parku i pośliznęła się na trawie - chciałyby jednak, by nikt nie dowiedział się o tej wyprawie. Pokojówka przyłączyła się wesoło do spisku i obiecała, że będzie milczała jak grób, a następnie, pomagając Lily doprowadzić się do porządku, zaczęła opowiadać entuzjastycznie o coraz bliższej znajomości z przystojnym stangretem Elizabeth.

To był wypadek, wmawiała sobie Lily, zaczynając odczuwać bolesne skutki upadku. Jakiś nierozważny jeździec zjechał ze ścieżki i nawet jej nie zauważył.

Miał na sobie ciemny płaszcz - ciemny płaszcz z kapturem.

Zapewne każdy dżentelmen w tym kraju miał przynajmniej jeden ciemny płaszcz. A przecież był chłodny, chociaż nie bardzo zimny poranek.

Może była to kobieta, a nie mężczyzna?

To był tylko wypadek.

Bała się jednak, że to nieprawda.

Tym razem incydent był poważniejszy niż zrzucenie kamienia ze szczytu urwiska w Newbury Abbey.

\*

Sprawy posuwały się naprzód bardzo powoli, jeśli w ogóle. Od czasu przyjazdu do miasta Neville nawet nie widywał Lily codziennie. A jeśli miał taką możliwość, to zazwyczaj na jakimś przyjęciu, kiedy dziewczyna znajdowała się blisko Elizabeth.

Nadal obserwowano ich z zaciekawieniem, kiedy tylko pokazywali się gdzieś razem.

Joseph powiedział mu, że stali się głównym tematem salonowych rozmów. Mówiono nawet, że w związku z nimi poczyniono kilka zakładów w klubie White. Niektórzy z panów obstawiali możliwość, że Neville ożeni się z Lily znów w tym roku. Inni - a może nawet ci sami - twierdzili, że poślubi Lauren, podając zresztą ten sam termin.

Joseph był w tajemnicy zachwycony tym wszystkim. Publicznie zaś dawał do zrozumienia, że go to nudzi - a nikt nie potrafił lepiej okazać znudzenia niż markiz Attingsborough.

Neville miał zamiar machnąć ręką na to wszystko podczas wieczoru w Vauxhall. Chciał w pełni wykorzystać nadarzącą się okazję. Chociaż zarezerwował prywatną lożę i zaprosił kilka osób, pragnął spędzić kilka chwil sam na sam z Lily. Od niemal dwóch tygodni zabiegał o jej względy dyskretnie i ostrożnie. Postanowił zalecać się do niej bardziej energicznie w ogrodach Vauxhall. Miał nadzieję osiągnąć sukces. Popołudnie spędzone u jubilera, a potem u Guntera wspominał z zapartym tchem. Była wtedy taka spokojna i szczęśliwa - szczęśliwa, że jest z nim.

Modlił się tylko o ładną pogodę.

Modlitwy zostały wysłuchane. Nadszedł gorący i słoneczny, chociaż trochę wietrzny dzień. Kiedy zapadł zmierzch, wiatr uspokoił się. Nie można byłoby sobie wymarzyć lepszej pogody na wyprawę do Vauxhall.

Przepłynęli Tamizę łódką. Neville usiadł obok Lily, a Elizabeth naprzeciwko. Portfrey, który od kilku dni przebywał poza miastem, miał dołączyć do nich dzisiaj, ale jeszcze się nie pojawił. Za nimi siedział Joseph, flirtując dyskretnie z lady Seliną Rowlings, swą aktualną wybranką, obecną na tym wieczorze dzięki temu, że Elizabeth odgrywała rolę przyzwoitki. Kapitan Harris i jego żona siedzieli na rufie. Kolorowe światelka z ogrodów połyskiwały na rzece. Zmierzch dopiero zapadał.

- I cóż, Lily? - Neville pochylił się bliżej, by móc zobaczyć wyraz jej twarzy.

- To magia - powiedziała.

I tak też było - magia miała rzucić na nich urok i uwolnić ich dopiero wtedy, kiedy skończy się noc, a może nigdy.

Kiedy dotarli do Vauxhall, Neville poprowadził Elizabeth i Lily do zamówionej przez siebie loży, sąsiadującej z innymi lożami i miejscem dla orkiestry. Dzisiejszego wieczoru miały odbyć się tańce.

- Czy tańczyłaś kiedyś pod gwiazdami, Lily? - spytał, kiedy zajęli miejsca i zamówili jedzenie i picie.

- Oczywiście, że tańczyłam - odparła. - Nie pamiętasz tych wszystkich tańców, które

kiedyś tańczyliśmy?

W armii? Tak, rzeczywiście, mieli wiele okazji ku temu. Oficerowie mieli swoje potańcówki, lepiej zorganizowane, chociaż Neville uważał, że nie były tak ciekawe jak te, które odbywały się przy ogniskach lub w barakach. Czasami stał tam i się przyglądał.

- Tak, pamiętam. - Uśmiechnął się do niej. - Ale czy tańczyłaś walca pod gwiazdami? Czy znasz kroki?

- Nie mogę go tańczyć - powiedziała mu. - Powinnam najpierw zostać zaakceptowana przez jedną z patronek Almanachu, chociaż pewnie to nigdy się nie zdarzy.

Pochylił bliżej głowę i wyszeptał jej do ucha.

- To nie jest oficjalny bal, Lily. Tutaj tamte zasady nie obowiązują. Dzisiaj zatańczysz walca... ze mną.

Z jej oczu wyczytał, że chciała tego. Wyczytał z nich wiele innych rzeczy. Wyraźnie zobaczył w nich tęsknotę, wiedział, że nie pomylił się co do wyrazu jej twarzy.

I wtedy zobaczył medalionik.

- Czy masz go po raz pierwszy? - spytał.

- Tak.

- Czy zatem uważasz, że to specjalna okazja, Lily.

- Tak, Neville.

To dziwne, pomyślał, jego imię w jej ustach brzmiało jak najintymniejsze z wyznań.

Przez jakiś czas nie mieli więcej okazji do prywatnej wymiany zdań. Przyniesiono jedzenie i napoje, orkiestra zaczęła grać.

Kiedy zaczęły się tańce, Neville zaprosił najpierw na parkiet Elizabeth, później panią Harris. Trzecim tańcem był walc, więc uznał, że czas obowiązków towarzyskich dobiegł końca. Nadszedł czas na miłość.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo pragnęłam zatańczyć walca. - Kiedy orkiestra zaczęła grać, Lily podała mu jedną dłoń, a drugą położyła na jego ramieniu. - Może dlatego, że myślałam, że nigdy nie będę miała takiej okazji.

- Ze mną, Lily? - wymruczał. - Czy marzyłaś o walcu ze mną?

Jej oczy rozszerzyły się.

- Tak - powiedziała. - Och, tak. Z tobą.

Nie próbowali nawet rozmawiać. Był czas na słowa i był czas na doznania. Powietrze było chłodne, a nad nimi świeciły jasno księżyc i gwiazdy. Przyroda w Vauxhall pozostała w szczęśliwej wspólnocie z dziełami człowieka: dźwiękami orkiestry, barwami latarenek kołyszących się lekko na drzewach.

Trzymał w objęciach kobietę, drobną, zgrabną i filigranową, która uśmiechała się do niego przez cały czas, nie okazując zakłopotania i nie udając, że jej to obojętne.

- I jak? - zapytał, kiedy taniec miał się ku końcowi. - Czy jest tak gorszący, jak się o nim mówi, Lily?

- Och, tak - powiedziała. - Nawet bardziej.

Roześmiał się miękko, a ona przyłączyła się do niego.

- Pójdziemy na spacer? - spytał. Skinęła głową.

- Musimy wziąć ze sobą resztę towarzystwa - powiedział, prowadząc ją ku łożu. - Przy odrobinie szczęścia, Lily, uda nam się ich zgubić, zanim zajdziemy za daleko.

Nie protestowała.

\*

Nie myliła się. Z pewnością się nie myliła. Nie poślubił jej li tylko ze względu na przysięgę. Traktował ją rycersko po jej przyjeździe do Anglii, ponieważ był uprzejmym mężczyzną. Kochał się z nią, ponieważ należał do ludzi, którzy korzystali z nadarzającej się okazji. Oświadczył się jej ponownie, kiedy dowiedział się, że ich małżeństwa nie można uznać za legalne, ponieważ czuł się do tego zobowiązany względami honoru. Ale łączyła ich również miłość, on mówił, że ją kocha, a ona nie wątpiła w to.

Teraz jednak łączyło ich czyste uczucie. Nie żadne obowiązki. Ona uczyniła go wolnym, a od tej pory sama zaczęła żyć dla siebie, uczyć się i nabywać umiejętności, które pomogłyby jej żyć niezależnym życiem, nie skazując na czyjeś miłosierdzie, i pozwoliłyby jej zarabiać na swe utrzymanie.

Adorował ją teraz dlatego, że ją kochał.

Nie wątpiła w to. Nie chciała już dłużej stawiać między nimi przeszkód, które nie powinny ich dzielić. Może nigdy nie stanie mu się równa w oczach reszty świata, wiedziała już jednak, że potrafi żyć w jego świecie, nie tracąc do siebie szacunku. Myśl o Newbury Abbey już nie nappełniała jej trwogą.

Miała zamiar pozwolić, by to się stało.

Kiedy razem z markizem i lady Seliną ruszyli oświetloną latarniami alejką, wzdłuż której rosły drzewa, nie protestowała wcale, widząc niemal komiczne usiłowania panów, by obydwie pary rozdzieliły się. Lady Selina również nie miała nic przeciwko temu.

- Widzisz, Lily, to właśnie miejsca stworzone dla kochanków - powiedział Neville, kiedy znaleźli się na węższych, ciemniejszych i spokojniejszych ścieżkach.

- Tak - potwierdziła. - Rzeczywiście są wprost wymarzone.

- I na tyle wąskie, że dwoje ludzi musi iść jedno za drugim, a jeśli nie, muszą się obejmować ramionami.

- Nie mogliśmy rozmawiać, jeśli szlibyśmy pojedynczo. - Uśmiechnęła się w ciemności.

- Otóż to właśnie. - Objął ją i przyciągnął bliżej do siebie. Nie wiedziała, co zrobić z ręką, więc objęła go w pasie. Jej głowa znalazła wygodne miejsce na jego ramieniu.

Uczucie odosobnienia było dziwne, chociaż dochodziły do nich dźwięki orkiestry, krzyki i śmiechy. Na niektórych drzewach wisiały lampiony, ale większą część ścieżki oświetlał tylko księżyc. Lily pomyślała, że właśnie takiego romantycznego nastroju jej było potrzeba, że z pewnością miała go tu pod dostatkiem.

Ich kroki nieuchronnie stawały się coraz powolniejsze, aż w końcu zatrzymali się. Obrócił ją ku sobie, poczuła pod plecami szeroki pień drzewa.

- Lily - powiedział, obejmując jej głowę rękoma. - Jeśli nie chcesz, byśmy zabrnęli dalej, kochanie, powiedz tylko nie.

Sięgnęła dłonią ku jego twarzy i przeciągnęła palcem po biegnącej przez policzek szramie.

- Nie mówię nie - wyszeptała.

Pocałował ją, dotykając jej najpierw jedynie wargami. Pomyślała, opierając się rękoma o jego ramiona i otaczając ramionami jego szyję, że to pocałunek miłości. Tylko to jedno mogło nimi kierować. Po prostu miłość. Rozchyliła usta i oddała mu pocałunek.

Podniósł głowę, objął ją i przycisnął do siebie. Ledwie widziała jego twarz w świetle księżyca, wydawało się jednak, że Neville się uśmiecha.

- Tak powinno być od samego początku - powiedział, muskając ją ustami.

Nie spytała, o jakim początku myśli - wtedy, kiedy się pierwszy raz spotkali? Wtedy, kiedy weszła do kościoła w Newbury? Na samym początku świata? Może miał na myśli wszystkie te chwile. Ale miał rację. Tak zawsze powinno być.

Całował ją w usta, w oczy, w skronie. Muskał ustami policzki i włosy. Całował jej szyję i znów usta, mruczając wyznania miłości.

Lily czuła jego ciało tuż przy swoim. Dochodził do niej aromat wody kolońskiej i jego męski zapach. Czuła na jego ustach i języku smak wina, które pił wcześniej. Słyszała jego przyspieszony oddech, czuła jego rosnące pożądanie. Jej ciało odpowiedziało tym samym od pierwszego dotyku jego ust. Kiedy tuliła się do niego, by być bliżej, najbliżej jak to możliwe, w dole brzucha i między udami pojawił się nieznośny ból. Pragnęła go. I to tu i teraz. Tutaj. Teraz.

Nagle Neville uniósł głowę, otaczające ją ramiona zeszywniały. Nasłuchiwał czegoś. Nawet w ciemnościach widziała, jak zmarszczył brwi.

Lily nie pamiętała później, czy sama usłyszała ten dźwięk, dźwięk inny niż dalekie odgłosy zabawy. Z pewnością jednak znów ogarnął ją znany już okropny strach, kiedy Neville odsunął się od niej, by spojrzeć na drzewa po drugiej stronie ścieżki. Nie była później nawet pewna, czy coś ujrzała. Nie była całkiem pewna, czy widziała kogoś w ciemnym płaszczu stojącego z wycelowanym pistoletem. Wszystko zdarzyło się zbyt szybko.

Nagle Neville obrócił się szybko ku niej i szarpnął ją za drzewo, zakrywając przed niebezpieczeństwem swym ciałem. Wydawało się, że dźwięk rozległ się później. Myślała, że kula chybiła, kiedy Neville przycisnął ją boleśnie do drzewa, skrywając ją za sobą. Nadal jednak dźwięk ten rozbrzmiewał w jej uszach.

Czuła, że się dusi. Ledwo mogła oddychać. Gdyby nie obecność Neville'a, pograżyłyby się w bezrozumnym strachu.

Neville starał się zachować ciszę, by nie zdradzić, gdzie się znajdują. Wiedziała też, że tylko mu zawadza. Jeśliby nie musiał jej chronić, mógłby się ruszyć, poszukać zabójcy, zamiast czekać, aż tamten ich znajdzie.

Zdawało się, że stali tak w napięciu nie do wytrzymania przez pięć minut, może nawet, jak Lily myślała później, dłużej. Nagle gdzieś niedaleko rozległ się czyjś śmiech, dźwięk ten zaczął się przybliżać, ktoś nadchodził ścieżką - i to na pewno więcej niż jedna osoba.

Minęły ich cztery osoby. Neville wziął ją mocno za rękę i wyprowadził na ścieżkę. Szli tuż za dwoma parami, tak wesoło podchmielonymi, że nawet nie zauważyły dodatkowego towarzystwa.

- Zabieram cię z powrotem do Elizabeth - oznajmił, otaczając ją ramieniem, kiedy dotarli do głównej alejki. - A potem dorwę tego łaj... - Nie dokończył. Głośno oddychał. Lily, podtrzymując go mocno w pasie, bojąc się, że zaraz upadnie, nagle poczuła coś ciepłego, wilgotnego i lepkiego.

- Jesteś ranny - powiedziała. Powtórzyła z największą paniką: - Neville, zostałeś postrzelony!

- Nic mi nie jest - odezwał się przez zaciśnięte zęby. Przyspieszył kroku.

Kiedy dotarli do altany, rozluźnił uścisk i niemal popchnął ją w kierunku zaszokowanej Elizabeth, która stała na zewnątrz w towarzystwie księcia Portfrey.

- Zabierzcie ją - powiedział chrapliwie. - Wyprowadźcie ją stąd. Zabierzcie ją do domu.

I upadł na ziemię u ich stóp.

Kiedy Neville przyszedł do siebie, leżał twarzą do dołu na czyimś łóżku. Ktoś trzymał go mocno za nadgarstki. Zdał sobie sprawę, że jest nagi, przynajmniej od pasa w górę. A prawe ramię bolało jak wszyscy diabli.

Znał już ten ból.

- Do krośset! - Rozległ się głos Josepha, który trzymał jego prawy nadgarstek w żelaznym uścisku. - Nie mogłeś pospać kilka minut dłużej, Nev? Cieszyć się bujaniem w krainie fantazji?

- Może mnie już puścisz z tego piekielnego uchwytu - odezwał się Neville. - Nie będę się wrywał. Kto się mną zajmuje?

- Doktor Nightingale jest moim osobistym lekarzem, Neville. - Głos Elizabeth, jak można się było spodziewać, był spokojny i rozsądny, bez śladu hysterii. - Kulanadał tkwi w ramieniu.

A lekarzowi właśnie udało się do niej dotrzeć. Neville zdał sobie sprawę, ściskając brzeg materaca, że to właśnie dlatego oprzytomniał. W tej samej chwili otworzył oczy. Głowę miał zwróconą w lewo - to Lily trzymała jego nadgarstek z tej strony.

- Wyjdź stąd - powiedział do niej.

- Nie.

- Żony powinny słuchać mężów.

- Nie jesteś moim mężem.

- A ty oczywiście widywałeś gorsze sceny na polu bitwy. Nie robi to na tobie żadnego wrażenia. Głupiec ze mnie, że próbowałem cię chronić przed atakiem chimera.

- Właśnie.

Lekarz, o wiele bardziej zręczny niż wojskowi chirurdzy, znów zabrał się do roboty i próbując wgłębić się w ranę, wywołał długotrwałe i rozdzierające męczarnie. Neville nie spuszczał wzroku z Lily, aż wreszcie ból stał się tak dojmujący, że zamknął oczy i zacisnął mocno zęby.

- Ach - rozległ się w końcu zadowolony głos doktora.

- Nareszcie. - Joseph dyszał ciężko jakby uciekał milę przed atakującym go bykiem. - Mamy ją, Nev.

- Z tego, co widzę, kości i ścięgna są nienaruszone - dodał lekarz. - A teraz szybko pana zszyjemy, milordzie.

Ból nie zmniejszył się ani na jotę. Czuł, że mu się poddaje, powracając tylko chwilami

do przytomności. Kiedy jednak znów otworzył oczy, ujrzał, że dziewczyna puściła jego nadgarstek, i że tym razem to on ścisnął, wręcz miażdży jej rękę. Przez parę chwil w ogóle nie mógł poruszyć dłonią, aż wreszcie stopniowo rozluźnił ją i uwolnił Lily z uchwytu. Z dziwaczną obojętnością patrzył na jej pobieliałe palce, przez krótką chwilę nie mogła nimi poruszyć. Aż dziw, że ich nie złamał, a przecież nie poskarżyła się nawet słowem.

Odeszła na chwilę, a kiedy wróciła, poczuł na rozpalonej twarzy zimny, wilgotny okład. Joe coś mówił, ale Neville nie słyszał co. Lekarz cały czas zajmował się jego ramieniem, a Elizabeth najwyraźniej mu pomagała. Neville przyglądał się, jak Lily pracuje: spokojnie i ze znajomością rzeczy - jak zawsze po bitwie lub potyczce - zanurza kompres, wyciska nadmiar wody, przykładła lekko do jego twarzy i szyi. Skrył się za kokonem bólu.

- Czy złapaliście go? - spytał w końcu. Przypomniał sobie, że byli w ogrodach Vauxhall, że całował się z Lily w jednej z ciemniejszych alejek, że zastanawiał się, w jaki sposób zaciągnąć ją głębiej między drzewa, by mogli mieć większą swobodę. I nagle zdarzyło się coś dziwnego, jakby o niebezpieczeństwie ostrzegał go szósty zmysł, który bardzo mu się przydawał, kiedy służył jako oficer w wojsku. Nawet nie zdając sobie z tego sprawy, usłyszał poruszenie gałęzi. Przypomniał sobie, że zobaczył postać w płaszczu wyglądającą spośród drzew rosnących po przeciwnej stronie alejki, celującą do nich z pistoletu. Pamiętał, że zasłonił sobą Lily, i kula, która z pewnością by ją zabiła, trafiła w niego.

- Czy ktoś złapał tego łajdaka? - Za późno przypomniał sobie o obecności Elizabeth i Lily.

- Harris i Portfrey ruszyli w pościg - wyjaśnił markiz. - Przyszło im z pomocą kilku mężczyzn, Nev. Mogę się założyć, że damy opuszczały Vauxhall szybciej niż ktokolwiek w całej jego historii. Wątpię jednak, czy go znaleźli. Lily powiedziała, że miała na sobie ciemny płaszcz. Pewnie z pięćdziesięciu mężczyzn odpowiadało temu opisowi, między innymi ja i Portfrey.

- Znalazłeś się w złym miejscu, w złym czasie, Neville - powiedziała zimno Elizabeth.  
- Proszę, doktor Nightingale już skończył. Lily, może odprowadzisz pana doktora do drzwi, a ja i Joseph zdejmujemy z Neville'a resztę ubrań i przebierzemy go w koszulę nocną.

- Nie - odparła Lily. - Zostanę.

- Lily, moja droga...

- Zostanę.

Neville domyślił się, że to Elizabeth poszła ostatecznie odprowadzić lekarza. Tymczasem on przez kilka chwil, które jemu wydawały się godzinami, przeżywał koszmarnie męki, kiedy Lily i jego kuzyn zdołali jakoś ubrać go w czyjąś koszulę i zwlec go z łóżka tak,

by zdjęto ręczniki, na których leżał. Potem z trudnością położył się w czystej pościeli. Doznał już kilku kontuzji na wojnie w ciągu tych lat. Za każdym razem odkrywał, że nie pamięta, jak okropny może być ból.

Słyszał swój chrapliwy oddech. Pomyślał, że gdyby udało mu się skoncentrować na jego rytmie, mógłby chociaż trochę zapanować nad sytuacją.

- Nie powinniśmy go kłaść na plecach - odezwał się Joseph.

- Nie - usłyszał głos Lily. - Lepiej mu będzie tak. Neville, masz wziąć laudanum, które zostawił lekarz.

- Idź do diabła. - Nagle otworzył oczy. - Och, wybacz.

Skrzywiła usta w uśmiechu.

- Podtrzymam ci głowę.

Zawsze był przeciwny zażywaniu jakichkolwiek lekarstw. Tym razem połknął potulnie całą porcję, za karę, że tak się do niej odezwał.

Wszystko stało się jedną wielką plamą bólu, a potem obraz stopniowo zaczął się rozmazywać. Wydawało mu się, że w pokoju są Elizabeth i Portfrey, jednak nie otworzył oczu, by to sprawdzić i nie zainteresował się szczegółowym sprawozdaniem, że nie odnaleziono śladów mężczyzny z pistoletem. Następnie w pokoju została już tylko Elizabeth i Lily, i niemal pokłóciły się, która zostanie z nim na noc. Ciotka nalegała, że posiedzi przy nim najpierw, a później zastąpi ją gospodyni. Lily nie powinna zostawać z nim sam na sam w jednym pokoju - gdyby tylko potrafił wydobyć się z głębi samego siebie, znalazłby ten argument niewymownie śmiesznym. Lily jest za bardzo znużona. Jest zbyt zdenerwowana, by się nim dobrze opiekować, może pojawić się gorączka, a wtedy przyda się spokój i opamiętanie.

Dziewczyna w ogóle nie podjęła dyskusji, po prostu odmówiła opuszczenia pokoju. Szybko zapadł w letarg, kiedy tylko zostali sami, ale otworzył oczy, by sprawdzić, czy się nie myli. Stała przy łóżku, wpatrując się w niego. Nadal miała na sobie elegancką złotą suknię z jedwabiu i tiulu, w którą była ubrana w Vauxhall.

- Nie będziesz przecież siedziała całą noc u mego wezgłowia - usłyszał niewyraźnie wypowiedane przez siebie słowa. - Jeśli masz zamiar zostać, zdejmij suknię i połóż się przy mnie. Jesteś przecież moją żoną.

- Tak. - Nie był w stanie zrozumieć, czy oznacza to zgodę.

Ból znów się pojawił, głucho pulsował w ramieniu. Spuchł mu język. Oddech zaczął się pogłębiać. Poczul u swego boku ciepło i czyjąś drobną rękę w swej dłoni.

\*

Lily obudziła się, kiedy przedświt zabarwił szarością pokój, nieznany pokój. Czowała, jakby obok niej płonął ogień. Ktoś coś mówił.

Neville usprawiedliwiał się przed Lauren. Następnie tłumaczył sierżantowi Doyle'owi, przeklinając strasznie, jak okropne głupstwo zrobił, przyjmując kulę przeznaczoną dla kogoś innego. Potem rozkazywał całemu oddziałowi żołnierzy, by nie ruszali się z przełęczy, by nie zważali na morderczy atak Francuzów ze wzgórz, lecz rzucili się do szukania jego małżeńskich dokumentów. To znów tłumaczył komuś, że na pewno zostanie z Lily sam na sam i niech tylko Elizabeth próbuje go powstrzymać.

Miał wysoką gorączkę i majaczył.

Lily rozpięła na piersiach jego koszulę i zaczęła obmywać go zimną wodą, kiedy nadeszła Elizabeth. Uniosła lekko brwi, zobaczywszy ubraną jedynie w koszulę dziewczynę, i spojrzała na lewą stronę łóżka, gdzie widać było ślady świadczące o tym, że ktoś tam spał, ale nie odezwała się. Zaczęła jej pomagać. Poinformowała Lily, że odwołała na razie wszystkie lekcje.

Dziewczyna nieugięcie odmawiała opuszczenia pokoju aż do następnego popołudnia. Wiedziała z doświadczenia, że więcej ludzi umierało z powodu gorączki, która wdawała się po zabiegach, niż z odniesionych obrażeń. Rana od kuli nie była groźna, ale gorączka mogła spowodować śmierć. Lily nie chciała opuścić Neville'a. Albo uda jej się przywrócić go do zdrowia, albo będzie przy jego boku w chwili śmierci.

Elizabeth miała jednak rację, trudno było opiekować się człowiekiem, którego darzy się uczuciem. Kiedy ktoś kocha głęboko, wie, że śmierć ukochanego pozostawi ziejącą pustkę, której nigdy nie da się wypełnić. Na domiar złego Lily miała świadomość, że zraniła go kula przeznaczona dla niej. I nikt nie wiedział, dlaczego to się stało.

Nie powiedziała mu, że aż do chwili śmierci będzie go uważała za swego męża, bez względu na to, jakie przeciwności będą stwarzać kościół i państwo, i że nigdy nie przestała tak uważać. Nie powiedziała mu, a teraz było już może za późno.

Rano złapał jej dłoń z gorącym, mocnym uściskiem.

- Powinienem zatrzymać ją u swego boku na czole kolumny, nieprawdaż? - Patrzył na nią oczami błyszczącymi od gorączki. - Nie powinienem powierzać jej bezpieczeństwa innym. Nie powinienem tego robić. Powinienem umrzeć w jej obronie.

- Zrobiłeś, co mogłeś, Neville. - Pochyliła się bliżej. - Nie byłeś w stanie nic innego zrobić.

- Mogłem oszczędzić jej... Czy to prawda, że to los gorszy od śmierci? Wolałbym umrzeć, niż ją na to narażać.

- Nie ma rzeczy gorszej niż śmierć - powiedziała. - Po tej stronie grobu zawsze istnieje promyk nadziei. Tak długo, jak długo pozostawałam przy życiu, mogłam marzyć, że do ciebie wrócę. Kochałam cię. Zawsze cię kochałam.

- Nie mów tak, Lauren. Proszę, nie mów tak, moja droga.

Po południu Lily w końcu dała się przekonać, by pójść do swego pokoju, ale dopiero wtedy, kiedy Elizabeth obiecała, że nie będzie się sprzeciwiać, by dziewczyna znów czuwała przy nim w nocy. Dolly czeka na nią, wyjaśniła Elizabeth, grozi, że wyciągnie swoją panią siłą. Przygotowała gorącą kąpiel i łóżko.

- Obudzę cię, kiedy będzie się coś działo - obiecała. - Jest twardy, Lily. Nic mu nie będzie.

Dobrze wiedziała, że Elizabeth mówi prawdę, ale tu chodziło o jej ukochanego. Tak rozpaczliwie chciała, by żył.

Okazało się, że spała głęboko, bez marzeń sennych, całe cztery godziny. Kiedy zadzwoniła po Dolly, pokojówka poinformowała ją, że księżę Portfrey prosi, by poświęciła mu kilka minut, zanim uda się do pokoju rannego.

Lily stanowczo pragnęła zapomnieć o wszystkim, co zdarzyło się w Vauxhall. Łatwiej było to postanowić niż uczynić. Nie chciała rozmyślać nad tą straszną tajemnicą. Nie mogła, nie, nie teraz. Musiała zebrać wszystkie siły dla Neville'a. Jednak strach powrócił, kiedy tylko dowiedziała się, że na dole czeka na nią księżę i kiedy przypomniała sobie, że pojawił się nagle w Vauxhall. I miał na sobie długi, ciemny płaszcz.

Mimo to zeszła na dół.

Podbiegł do niej, rozkładając ręce.

- Lily, moja droga! - Na jego twarzy malowało się współczucie.

Dziewczyna cofnęła się do drzwi i za plecami złapała za klamkę.

Opuścił dłonie i zatrzymał się o kilka kroków od niej.

- Niestety nie złapaliśmy go. Tak mi przykro. Czy widziałas go? Przyjrzałaś mu się? Przypominasz sobie coś jeszcze, oprócz ciemnego płaszcza i pistoletu?

- Czy to był pan? - wyszeptwała.

Spojrzał na nią, nic nie rozumiejąc.

- Czy to pan strzelił do Neville'a? - podniosła głos.

Długo nie odzywał się.

- Dlaczego myślisz, że to ja? - spytał w końcu.

- Stał pan na ścieżce rododendronowej. Czy to pan śledził mnie w lesie? To pan zepchnął ten głaz z urwiska, próbując mnie zabić? Czy to pan próbował przejechać mnie w Hyde Parku? Wiem, że w Vauxhall mierzono do mnie, a nie do Neville'a. Czy to był pan? - O dziwo, czuła się zupełnie spokojna. Zauważyła, że pobladła mu twarz.

- Ktoś próbował cię zabić, kiedy byłeś w Newbury? A potem w Hyde Parku?

- Widziałam sylwetkę na ścieżce rododendronowej, ktoś stał nieruchomo i wypatrywał mnie, siedziałam wtedy na drzewie. A kiedy zeszłam, natknęłam się na pana. Dlaczego pragnie pan mojej śmierci?

Zasłonił zamknięte oczy dłonią.

- Jest tylko jedno wyjaśnienie - wymruczał. Otworzył oczy i spojrzał na nią. - Jak na Boga ma to udowodnić? - Zamrugał i popatrzył na nią bardziej przytomnym wzrokiem. - Lily, to nie byłem ja. Przysięgam. Nie chciałbym wyrządzić ci krzywdy. Wręcz przeciwnie. Gdybyś tylko wiedziała... - Potrząsnął głową. - Nie mam dowodów... żadnych. Proszę, uwierz, że to nie ja.

Nagle zrozumiała, że jej podejrzenia są niemądre. Nie wiedziała, czemu w nie uwierzyła. Ale myśl, że ktoś pragnie jej śmierci, również była niedorzeczna. Poza tym trudno byłoby uwierzyć, że najbardziej podejrzana osoba przyzna się swej ofierze, że śledzi ją od ponad miesiąca.

- Jeśli chcesz zachować spokój ducha, uwierz mi, proszę - powiedział książę. - Och, Lily, gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo cię kocham.

Znów ogarnął ją strach, przywarła do drzwi, tak że klamka boleśnie wpijała jej się w plecy. O co mu chodzi? Kochają? Jakże to? Był w takim wieku, że mógłby być jej ojcem. Poza tym zabiegał o względy Elizabeth.

Przezcesał palcami siwiejące włosy i odetchnął głęboko.

- Przebacz mi. Nigdy nie zachowałem się równie niestosownie. Idź do Kilbourne'a, Lily, i poproś Elizabeth, by do mnie przyszła. I proszę cię na wszystko, uwierz mi.

Nie odpowiedziała. Odwróciła się, otworzyła drzwi i wybiegła. Miała teraz wiele powodów, by mu nie wierzyć. Co miał na myśli, mówiąc, że ją kocha? A jednak, kiedy prosił ją, by mu uwierzyła, była skłonna to uczynić.

\*

Gdy Neville otworzył oczy, w pokoju panowały ciemności. Nie wiedział, ile dni upłynęło odkąd został ranny. Czuł się osłabiony. Ramię mu zeszywniało i potwornie bolało. Odwrócił głowę i skrzywił się z bólu. Lily leżała obok niego, z odwróconą ku niemu głową i

otwartymi oczami.

- Jeśli to sen, nie mów mi tego. - Uśmiechnął się do niej.

- Gorączka zaczęła opadać dwie godziny temu - powiedziała. - Jesteś głodny?

- Spragniony.

Kiedy wstała z łóżka i poszła w stronę stolika, by nalać mu wody, zobaczył, że ma na sobie tylko cienką koszulkę. Przytrzymała szklanekę, kiedy próbował wstać. Zajęło mu to chwilę, ale nie chciał, by mu pomagała. Kiedy wziął od niej szklanekę, utworzyła z poduszek oparcie. Skończywszy pić, opadł ostrożnie na łóżko.

- Życie w cywilizacji osłabia, Lily. Gdyby to się stało w Hiszpanii, już bym wrócił na pole bitwy.

- Wiem - odparła.

Poklepał obok siebie miejsce i wziął jej dłoń, kiedy usiadła obok niego.

- Pewnie nikogo nie złapano.

Potrząsnęła głową.

- Nie musisz się bać. - Tak naprawdę nie mógł sobie wyobrazić Lily trzęsącej się ze strachu. - To zapewne jakiś szaleniec, albo wziął cię omyłkowo za kogoś innego. Coś takiego nigdy się już nie zdarzy.

- Zdarzyło się już przedtem.

Przez chwilę nie dotarło do niego, o czym Lily mówi. Poczł, jak ogarnia go chłód. Nie wierzył w głębi duszy w swe wyjaśnienia, po prostu nie wiedział, co jej powiedzieć. Czyżby ktoś chciał zabić Lily lub jego?

- Ktoś już do ciebie strzelał? - Nie mógł w to uwierzyć.

Potrząsnęła głową.

- Nie strzelał. - Opowiedziała pokrótce o tym, jak na ścieżce rododendronowej zobaczyła czyjąś sylwetkę w ciemnym płaszczu i o uczuciu, które ogarnęło ją w lesie, że znów widzi kogoś ubranego tak samo. Opowiedziała o głazie, który stoczył się z urwiska, kiedy wspinała się na skałę. I o tym, jak była bliska śmierci w Hyde Parku.

- Ktoś chce mnie zabić - skończyła.

- Ale dlaczego? - Skrzywił się. Wiele by dał, by nie być takim okropnie słabym. By jego umysł nie pracował tak powoli.

Potrząsnęła głową i wzruszyła ramionami.

Ktoś chciał ją zabić i niemal mu się udało tego dokonać trzy razy - w tym raz w Newbury.

Pochylił się ku niej, prawie nie czując przenikliwego bólu. Przyciągnął ją do siebie,

objął i przytulił.

- Nie - odezwał się, jakby mógł ochronić ją jedynie siłą woli. - Koniec na tym, Lily. Przyrzekam, że to był ostatni raz. Kiedyś nie udało mi się ciebie uratować. To się nigdy nie powtórzy.

- Powinieneś zapomnieć o tej zasadzce w Portugalii. - Musnęła ręką jego policzek. - Uratowałeś mnie w Vauxhall. Masz czyste sumienie.

- Nie pozwolę, by stało ci się coś złego. Daję na to słowo honoru. - Śmieszne słowo w ustach mężczyzny, który nie tylko nie wiedział, że grozi jej śmierć, ale że nawet omal nie straciła życia w jego posiadłości.

Pocałowała go w podbródek.

- Powinieneś teraz odpocząć, jeśli nie chcesz, by wróciła gorączka.

- Lily, połóż się obok mnie - poprosił. - Nie chcę cię stracić z oczu.

Obeszła dookoła łóżko i położyła się obok niego pod przykryciem.

- Odpocznij teraz. Nie powiem nic, dopóki nie wrócisz do sił.

Ujął ją za rękę i spojrzał na nią.

- Pozwól mi się kochać z tobą.

Zawahała się, ale potrząsnęła głową.

- Nie, jeszcze nie, Neville. To nie jest odpowiednia chwila.

Zauważył, że znów się zwraca do niego po imieniu. I chociaż powiedziała nie, dodała, że jeszcze nie. Zamknął oczy i uśmiechnął się. Skąd by, do licha, zebrał siły, gdyby się zgodziła?

- Poza tym nadal jesteś osłabiony - dodała.

- Wrrrr... - Wymruczał, nie otwierając oczu.

Zaśmiała się lekko.

Opiekowanie się nim kosztowało ją z pewnością wiele sił. I mimo spokojnego zachowania, musiała być wyczerpana z niepokoju. W ciągu kilku minut zapadła w sen.

Neville leżał obok niej, patrząc w sufit. Ktoś pragnął jej śmierci? Nie do wiary! Kto to mógł być? Jaki kierował nim motyw? Kto mógłby mieć jakikolwiek powód, by jej nienawidzić? Pomyślał jedynie o Lauren i Gwen. Ale nienawiść, jaką mogły odczuwać, z pewnością nie poprowadziłyby do zbrodni. Poza tym były daleko stąd, Gwen w Newbury, Lauren u dziadka. Jak napisała jego matka, dziewczyna postanowiła wyjechać tam pod wpływem chwilowego impulsu, wkrótce po jego wyjeździe do Londynu, nie chciała jednak, by ktoś towarzyszył jej w podróży.

Ktoś jeszcze?

Nie było nikogo jeszcze.

Czy Lily miała coś, czego ktoś mógł pragnąć? Nie miała nic. Medalionik był jedyną kosztownością, jaką posiadała, nikt nie próbowałby jej zabić tylko dla złotego drobiazgu, kiedy niemal każda rezydencja w Mayfair pełna była kosztowności. Może w plecaku Doyle'a znajdowały się dla niej jakieś pieniądze, ale z pewnością nie była to suma, dla której warto zabijać. Poza tym, nawet jeśli coś tam było, zostało spalone.

Z niewiadomych przyczyn zatrzymał się przy tej myśli.

Czy to możliwe, by Bessie Doyle spaliła wszystko, nie zaglądając do środka? Czy nie zatrzymałaby przy sobie czegoś wartościowego? Czy zostawiła coś oprócz samego plecaka? Wydawała mu się kobietą uczciwą. Nie sprawiała wrażenia osoby, która coś ukrywa - nie mógł w to jakoś uwierzyć.

Nie było jej w domu, kiedy nadeszła paczka. Prawdopodobnie odebrał przesyłkę jej mąż. Zginął w wypadku, zanim wróciła do domu, zostawiając plecak i jego zawartość, rozsypaną w kącie.

Tak, jakby on lub ktoś inny czegoś szukał.

Nagle ogarnął Neville'a chłód i niepokój.

Sierżant Doyle próbował powiedzieć mu coś tuż przed śmiercią. Coś, co powinien powtórzyć Lily i jeszcze komuś. Mówił o plecaku, który zostawił w obozie głównym. Czy to możliwe, że William Doyle znalazł w plecaku coś cennego?

I z tego powodu został zabity?

Nie było jednak sposobu, by znaleźć odpowiedź na te pytania.

To śmieszne, pomyślał niecierpliwie. Jeszcze trochę i stworzy całą powieść grozy. Ale przecież w istocie ktoś trzykrotnie próbował zabić Lily.

I nagle pamięć przywołała myśl jakby znikąd - szczegół, na który wtedy nie zwrócił uwagi. Przyszedł list, powiedziała mu Bessie Doyle, mówiący o śmierci sierżanta Doyle'a. A William, który nie umiał czytać, zaniósł pismo do pastora. Jeśli plecak zawierał list lub paczkę z jakąś wiadomością, czy to też zaniósł na plebanię?

To wszystko jest po prostu niedorzeczne, pomyślał ponownie.

Ktoś jednak pragnął śmierci Lily. I choć wydawało się to niepojęte, musiał być jakiś powód. Wiedział już, co powinien zrobić.

Zacisnął opiekuńczo rękę na dłoni dziewczyny.

Uratuje ją. Choćby miało go to kosztować życie, uratuje ją przed strachem i śmiercią. Nie ustanie, dopóki nie odnajdzie i nie unicestwi tego czegoś lub kogoś, co jej zagraża.

Lily ogarnęło przygnębienie. Kiedy gorączka opadła, Neville szybko powrócił do zdrowia, czego można się było zresztą spodziewać po zahartowanym żołnierzu, i dwa dni później powrócił do swej londyńskiej rezydencji. Nazajutrz przybył do nich z krótką wizytą, jedynie po to, by oznajmić, że wyjeżdża z miasta na kilka dni. Nie wyjaśnił ani dokąd się wybiera, ani kiedy mogą się spodziewać jego powrotu, jeśli w ogóle przyjedzie jeszcze do stolicy. Zachowywał się oschle i w sposób niezwykle oficjalny, chociaż przed wyjściem wziął Lily za rękę. Elizabeth również była w tym czasie w pokoju.

- Lily - powiedział. - Przyrzeknij mi, bardzo cię proszę, że nigdy nie wyjdiesz na miasto sama i zawsze będziesz w czyimś towarzystwie, nawet w domu.

Jakąś godzinę później była w bibliotece razem z Elizabeth i markizem Attingsborough oraz dwoma innymi dżentelmenami. Pan Wylie spytał ją w salonie, czy zapisała się do jakiejś miejskiej wypożyczalni, więc markiz poinformował go, że panna Doyle nie umie czytać, ale nie można jej tego mieć za złe, ponieważ jest jedną z najpiękniejszych kobiet w Londynie. Lily postąpiła niemądrze, protestując gwałtownie, że owszem umie czytać.

Joseph uśmiechnął się do niej.

- Ludzie, którzy kłamią, Lily, idą po śmierci prosto do piekła.

- W takim razie udowodnię wam to.

Dlatego właśnie znajdowali się teraz w bibliotece. Dziewczyna zaproponowała, by markiz zdjął z półki jakąś książkę, a ona przeczyta na głos pierwsze zdanie.

- Czy masz jakieś książki z kazaniami, Elizabeth? - spytał markiz, rozglądając się po półkach.

- Wierzę pani na słowo, panno Doyle - powiedział pan Wylie. - Jestem pewien, że czyta pani bardzo dobrze. A nawet, jeśli tak nie jest, to i cóż z tego.

Lily uśmiechnęła się do niego.

- Rycerskie zachowanie wobec dam nigdy nie należało do najmocniejszych stron Josepha, panie Wylie - oznajmiła Elizabeth. - Nie szukaj kazań, Josephie. Nasłucham się ich dosyć na niedzielnej mszy.

- Wstydzilibyś się - wymruczał. - O, co my tu mamy, *Wędrowki pielgrzyma*. - Teatralnym gestem zdjął z półki oprawny w skórę tom i otworzył go na pierwszej stronie, po czym podał go Lily.

Zaśmiała się i jednocześnie okropnie zaczerwieniła. Poczula się jeszcze bardziej zakłopotana, kiedy ktoś pojawił się w drzwiach. Ujrzała księcia Portfrey. Widocznie dopiero

co przyjechał do miasta i przybył, by przywitać się z Elizabeth.

- Och, Lyndon - zwróciła się do niego pani domu. - Joseph właśnie obraził Lily, insynuując, że jest analfaberką. Lily ma zamiar mu udowodnić, że się myli.

Księżę uśmiechnął się i stanął niedaleko wejścia, zakładając ręce na plecach.

- Może się założymy, Attingsborough - zaproponował. - Na pewno przegrałbyś mnóstwo pieniędzy.

- O masz ci los - powiedziała Lily. - Nie czytam jeszcze dobrze. Może nie uda mi się odczytać każdego słowa. - Pochyliła głowę i ujrzała z ulgą, że pierwsze zdanie nie należy do skomplikowanych, poza tym nie zawiera długich wyrazów.

- „Kiedy przeszedłem pustkowiem tego świata” - przeczytała jednostajnie, przerywając co chwila. - „Znalazłem pewne miejsce, gdzie znajdowała się jaskinia, a kiedy usnąłem, miałem sen”. - Spojrzała z triumfalnym uśmiechem i opuściła książkę.

Panowie zaczęli bić brawo, markiz zagwizdał.

- Brawo, Lily - zawołał. - Może jednak dostaniesz się do nieba. Przyjmij moje najpokorniejsze, najuniżeńsze przeprosiny. - Wziął książkę z jej rąk i zamknął ją z trzaskiem.

Lily spojrzała na księcia, który zrobił w jej stronę kilka kroków. Uśmiech zamarł na jej ustach. Portfrey patrzył na nią z pobieloną twarzą. Wszyscy to zauważyli. W pokoju rozległy się podniecone szepty.

- Lily, skąd masz ten medalionik? - odezwał się dziwnym, stłumionym głosem.

Zakryła ręką wisiorek.

- Należy do mnie - odparła. - Rodzice mi go podarowali.

- Kiedy? - spytał.

- Zawsze go miałam, odkąd tylko pamiętam. Jest mój. - Znów ogarnął ją strach.

Zacisnęła palce na łańcuszku.

- Pozwól, że mu się przyjrzę. - Podeszedł do niej na wyciągnięcie ręki.

Lily zacisnęła jeszcze mocniej dłoń.

- Lyndon... - zaczęła Elizabeth.

- Pozwól mi go zobaczyć!

Dziewczyna odsunęła rękę. Patrzył na medalionik z twarzą jeszcze bardziej, o ile to było możliwe, pobladała, wyglądał, jakby był bliski omdlenia.

- Ma splecione litery F i L - powiedział. - Otwórz go, proszę. Co znajduje się w środku?

- Lydonie, o co chodzi? - W głosie Elizabeth zabrzmiała irytacja.

- Otwórz go! - Księżę nie zwrócił uwagi na panią domu.

Lily potrząsnęła głową, przepelniona strachem, mimo że w pokoju przebywały inne osoby. Portfrey zdawał się nie być świadomy ich obecności, w końcu odwrócił wzrok od wisiora i potarł oczy dłonią. Następnie, kiedy przyglądali mu się w milczeniu, poluzował krawat i wyciągnął spod koszuli złoty łańcuszek, na którym wisiał medalionik identyczny z tym, który miała dziewczyna.

- Istniały tylko dwa takie same - wyjaśnił. - To ja kazałem je zrobić. Czy w twoim coś jest, Lily?

Potrząsnęła głową.

- Dostałam go od taty - powiedziała. - On nie był złodziejem.

- Nie - odparł książę. - Nie, z pewnością nie był. Czy jest coś w środku?

Ponownie potrząsnęła głową i odstepiła krok do tyłu.

- Jest pusty - oświadczyła. - Należy do mnie. Nie zabierze mi go pan. Nie pozwolę na to.

Elizabeth stanęła obok niej.

- Lyndon, sprawiłeś, że Lily się ciebie boi. Co to ma wszystko znaczyć? Kazałeś specjalnie zrobić dwa identyczne medalioniki?

- L oznacza Lyndon, a F - Frances. Moja żona. Twoja matka, Lily.

Dziewczyna spojrzała na niego bez wyrazu.

- Jesteś Lily Montague - powiedział, patrząc na nią. - Moją córką.

Lily potrząsnęła głową. Miała wrażenie, że szumi jej w uszach.

- Lyndon. - Usłyszała głos Elizabeth. - Skąd takie przypuszczenie? Może...

- Wiem to, odkąd ujrzałem ją w kościele w Newbury. Z wyjątkiem błękitnych oczu jest niesamowicie podobna do Frances, do swojej matki.

- Do licha! Spójrzcie na pannę Doyle - powiedział zupełnie niepotrzebnie jeden z mężczyzn.

Książę podskoczył do Lily i złapał ją w ramiona. Dziewczyna, na wpół przytomna, ujrzała swój, nie, jego medalionik, zwisający z jej szyi tuż przed oczami.

Posadził ją na sofie i zaczął pocierać jej dłonie, a Elizabeth podłożyła pod głowę poduszkę.

- Nie miałem dowodów, Lily - powiedział książę. - Aż do tej pory. Wiedziałem, że żyjesz, chociaż nie miałem nic na potwierdzenie tego faktu. Nie mogłem cię odnaleźć. Nigdy nie przestałem cię szukać. A kiedy weszłaś do kościoła...

Lily potrząsała głową. Nie chciała tego słuchać.

- Lyndon - odezwała się spokojnie Elizabeth. - Wolniej. Sama ledwo jestem

przytomna. Wyobraź sobie, jak musi się czuć Lily.

Księżę popatrzył na Elizabeth, a potem rozejrzał się po pokoju.

- Tak - powiedziała. Inni taktownie wyszli z pokoju. - Lily, kochanie, nie masz się czego bać. Nikt nie ma zamiaru nic ci zabierać.

- Mama i tata byli moimi rodzicami - wyszeptała dziewczyna.

Elizabeth pocałowała ją w czoło.

- Co tu się dzieje? - Od drzwi rozległ się nowy, energiczny głos. - Joseph powiedział mi, żebym szybko tu przyszedł. Lily?

Krzyknęła i zerwała się na nogi. Znalazła się w jego ramionach, zanim zrobiła choć krok od sofy. Objął ją mocno, przycisnęła twarz do jego piersi.

- To ja ją wytrąciłem z równowagi, Kilbourne - wyjaśnił księżę. - Właśnie oznajmiłem jej, że jest moją córką.

Lily wtuliła się mocniej w ciepłe i bezpieczne ramiona Neville'a.

- Tak, wiem o tym - usłyszała. - To prawda.

\*

- List adresowano do lady Frances Lilian Montague - wyjaśniał Neville. - Ktoś jednak napisał poniżej innym charakterem pisma, tak mnie przynajmniej zapewnił pastor, „Lily Doyle”.

Siedział na sofie obok niej, trzymając ją za rękę. Dziewczyna była tak oszołomiona, że sprawiała wrażenie nieobecnej. Księżę Portfrey przeszedł przez pokój i wrócił ze szklanką brandy, którą bez słowa jej podał. Potrząsnęła głową. Odstawił szklanekę i usiadł na krześle naprzeciwko. Patrzył na nią teraz, niemal pożerając ją wzrokiem. Elizabeth przechadzała się po pokoju.

- Gdybyśmy tylko wiedzieli, co było w tym liście - powiedział Portfrey smutno.

- Ależ wiemy - odezwał się Neville. - List zaadresowano do Lily Doyle. William Doyle był jej najbliższym krewnym, chociaż nie zdawał sobie sprawy z jej istnienia. Pastor otworzył list i przeczytał go.

- I pamięta jego treść? - spytał gwałtownie księżę.

- Jeszcze lepiej. Sporządził odpis. Po przeczytaniu listu poradził Williamowi, by zaniósł list do Nuttall Grange do barona Onslow, dziadka Lily. Pomyślał jednak, że William powinien dostać kopię. Może uważał, że Doyle'owie zechcą jakiegoś zadośćuczynienia za lata opieki Thomasa Doyle'a nad Lily.

Dziewczyna splatała między palcami kosztowne frędzle zdobiące wieczorową suknię.

Zachowywała się spokojnie i apatycznie, jak dziecko siedzące w towarzystwie dorosłych.

- Czy masz tę kopię, Kilbourne? - powiedział z napięciem w głosie książę.

Neville wyjął list z kieszeni i podał bez słowa. Portfrey zaczął po cichu czytać.

- Lady Frances Montague poinformowała swego ojca, że na kilka miesięcy wyjeżdża do chorej szkolnej koleżanki - powiedział po kilku minutach Neville. Elizabeth usiadła przy nich. - Tak naprawdę udała się do swej byłej pokojówki i jej nowo poślubionego męża, Beatrice i Thomasa Doyle'ów, by u nich urodzić dziecko.

Lily rozplotła frędzle i od nowa zaczęła je splatać.

- Małżeństwo z Lyndonem Montague zawarte zostało w sekrecie mówił dalej Neville. - Obydwoje postanowili, że nie zdradzą tej tajemnicy, dopóki on nie wróci z Holandii. Wysłano go jednak z pułkiem do Indii Zachodnich, a ona odkryła, że spodziewa się dziecka. Bała się gniewu ojca i teścia. Co gorsza, bała się swego kuzyna, który zmuszał ją do ślubu, by odziedziczyć fortunę i majątek, a także tytuł po śmierci Onslowa. Bała się tego, co zrobi jej i dziecku, kiedy dowie się prawdy.

- Pan Dorsey? - spytała Elizabeth.

- Nie kto inny. - Książę złożył list i umieścił go na kolanach. Znów spojrzał na Lily. - Jakże byliśmy naiwni, wierząc, że nasze małżeństwo ochroni Frances przed tym człowiekiem. Stało się, oczywiście, inaczej.

- Bała się wrócić do domu z dzieckiem - ciągnął dalej Neville. - Czekwała, aż mąż przyjedzie z Indii Zachodnich. Napisała mu o sytuacji, w jakiej się znalazła. Tymczasem zostawiła dziecko u Doyle'ów. Zapewne chciała wierzyć, że wkrótce po nie wróci razem z mężem. Bała się jednak o własne bezpieczeństwo. Zostawiła więc z dzieckiem medalionik i list, jakby przeczuwała, że spotkają coś złego.

- Zawsze uważałem, że jej śmierć nie była przypadkowa - powiedział książę. - Podejrzywałem, że to Dorsey ją zabił. Istotnie poinformowała mnie, że spodziewa się dziecka, jeśli jednak napisała jeszcze jeden list, z pewnością go nie otrzymałem. Kiedy zmarła, dziecka przy niej nie było i nikt o niczym nie wiedział. Myślałem, że mogła się pomylić, kiedy pisała pierwszy list, lub że poroniła. Jednak z niewiadomych przyczyn zawsze wiedziałem, że dziecko istnieje, że gdzieś w świecie jest ktoś, kto jest moim synem lub córką. Sprawdziłem każdą możliwość, która mi przyszła do głowy, nie wiedziałem jednak o Beatrice Doyle.

- Lyndon, czy to pan Dorsey próbował zabić Lily? - spytała Elizabeth. - Nie mogę wprost uwierzyć, że byłby do tego zdolny.

- Onslow jest ciężko chory - powiedział Neville. - Prawdopodobnie to Dorseyowi William Doyle dostarczył list. Doyle odkrył więc prawdę, chociaż był przekonany, że Lily nie

żyje. Ciekawe, czy śmierć Williama Doyle'a to też był wypadek. Może domagał się od Onslowa jakiejś nagrody za lata opieki nad jego wnuczką. Pastor z Leavenscourt z pewnością ma szczęście, że jeszcze żyje. Nagle Lily pojawiła się w Newbury. Dorsey również znajdował się w kościele. Zobaczył to samo, co Portfrey.

- Lily. - Księżę pochylił się nagle na krzesło i wziął jej wolną rękę w swe dłonie. List upadł zapomniany na podłogę. - Beatrice i Thomas Doyle'owie to twój ojciec i matka. Stworzyli ci rodzinę i dali bezpieczeństwo, wychowali cię i obdarzyli głęboką miłością. Nikt, a już na pewno nie ja, nie ma zamiaru ci ich odbierać. Zawsze będą twoimi rodzicami.

Wtuliła głowę w ramię Neville'a, widział jednak, że uniosła wzrok, by spojrzeć na Portfreya.

- Kochaliśmy się, Lily - rzekł księżę. - Twoja m... Frances i ja. Jesteś dzieckiem zrodzonym z uczucia. Obdarzylibyśmy cię naszą miłością, gdyby.... - Zaczerpnął powietrza i wypuścił je wolno. - Kochała cię na tyle, by zapewnić ci, przynajmniej na jakiś czas, bezpieczeństwo. W ciągu ostatnich dwudziestu lat nie mogłem się pogodzić z jej śmiercią i nie mogłem zrezygnować z myśli, że istniejesz naprawdę. Nie porzuciliśmy cię. Jeśli mogłabyś pomyśleć o niej, o Frances, mojej żonie, jako o twojej mamie, Lily, gdyby ona nie... Jeśli mogłabyś tylko pomyśleć o mnie jak o twoim ojcu... Nie chciałbym rywalizować z twoim tatą. Nigdy. Pozwól mi jednak. .. - Podniósł jej rękę do ust, a potem uwolnił ją i wstał.

- Gdzie się wybierasz? - spytała Elizabeth.

- Lily jest w szoku - powiedział. - A ja tylko samolubnie zawracam jej głowę. Muszę wyjść, Elizabeth. Wybaczysz mi? Przyjdę jutro, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Nie próbuj jednak zmuszać Lily, by mnie przyjęła. Opiekuj się nią.

- Wasza książęca mość - dziewczyna odezwała się po raz pierwszy, odkąd Neville wszedł do pokoju. Portfrey i Elizabeth odwrócili się do niej. - Przyjmę pana... jutro.

- Dziękuję. - Nie uśmiechnął się, ale kiedy spojrzał na nią, znów nie mógł oderwać od niej wzroku. Wreszcie uklonił się oficjalnie i ruszył w kierunku drzwi.

- Poczekaj na mnie, Portfrey - odezwał się Neville. - Zaraz do ciebie przyjdę.

Księżę skinął głową i wyszedł z Elizabeth.

Neville wstał, pociągając za sobą Lily. Objął ją ramionami i przytulił do siebie. Jakie to jest uczucie, zastanawiał się, kiedy ktoś odkrywa, że jego ukochani rodzice nie są prawdziwymi rodzicami? Próbował sobie wyobrazić, jak sam odkrywa taką prawdę. Czułby się pozbawiony korzeni, kotwicy. Czułby... strach.

- Zapomnij o przyjęciu - powiedział. - Idź do swojego pokoju. Zadzwoń po Dolly i połóż się do łóżka. Spróbuj zasnąć. Dobrze?

- Tak.

Nie mógł znieść jej apatii, tego, że zachowywała się tak posłusznie jak grzeczne dziecko. To było do niej niepodobne. Portfrey miał rację. Przeżyła szok. Przypomniawszy sobie, jak zachowywała się tuż po śmierci Doyle'a.

- Staraj się dzisiaj w nocy nie myśleć o tym. Jutro łatwiej ci będzie przyzwycząć się do nowych okoliczności. Na pewno w końcu dojdiesz do wniosku, że wcale nic nie straciłaś. Co innego, kiedy ktoś dba o dziecko zrodzone z własnego ciała, a co innego, kiedy darzy się miłością i przywiązaniem dziecko kogoś innego, dziecko, za które wcale nie trzeba odpowiadać. Tak właśnie postąpili twoi rodzice. Nie znałem twojej mamy, zawsze jednak byłem pełen podziwu, że ojciec może obdarzać swe dziecko tak bezgraniczną miłością, jaką twój ojciec obdarzał ciebie. Wcale ich nie straciłaś. Tyle tylko, że zyskałaś osoby, które cię będą kochać i dbać o ciebie w przyszłości i nie będą odczuwać zazdrości o przeszłość.

- Jestem taka zmęczona. - Podniosła ku niemu bladą twarz i popatrzyła szeroko otwartymi oczami. - Nie mogę myśleć, wszystko mi się płacze.

- Wiem. - Pochylił się nad nią i pocałował. Oddała mu pocałunek i uniosła ramiona, by objąć go za szyję.

Tęsknił za nią okropnie w trakcie podróży do Leicester. Umierał z niepokoju o jej bezpieczeństwo - zwłaszcza po tym, kiedy przeczytał list. Czując znów jej drobne, kształtne ciało, jej ramiona oplecione wokół swej szyi, jej usta przylegające do jego ust, czuł jak zaczyna ogarniać go głód. To jednak nie był czas na namiętność. Tej nocy musiał załatwić ważną sprawę, czekał na niego Portfrey.

- Idź spać, kochanie - powiedział, podnosząc głowę i ujmując jej twarz w swe dłonie. - Zobaczymy się jutro.

- Tak. Jutro. Może jutro będę w stanie myśleć.

Lily obudziła się z głębokiego snu, kiedy w jej pokoju świeciło już poranne słońce. Odsunęła okrycie, wyskoczyła z łóżka i przeciągnęła się - tak jak zawsze. Jaki miała osobliwy sen! Nie mogła go sobie przypomnieć, pamiętała jednak, że był dziwaczny.

Nagle zatrzymała się w pół ruchu.

I przypomniała sobie. To nie był sen.

Nie była Lily Doyle. Tata nie był jej prawdziwym ojcem. Nie była nawet Lily Wyatt, hrabiną Kilbourne. Była lady Frances Lilian Montague, obcą osobą. Córka księcia Portfrey. Wnuczką barona Onslow.

Przez chwilę miała ochotę znów uciec w sen, to byłoby jednak daremne. Zmagą się z ogarniającą ją paniką.

Kim jest?

Przez siedem miesięcy spędzonych w Hiszpanii walczyła o to, by nie zapomnieć swojej tożsamości. Nie było to łatwe. Zabrano jej wszystko - ubrania, medalionik, wolność, ciało. A jednak trwała kurczowo przy podstawowej wiedzy o tym, kim jest - nie chciała z tego zrezygnować.

A teraz, dzisiaj rano, już nie wiedziała, kim jest. Kim jest Frances Lilian Montague? Czy ten srogi, przystojny mężczyzna o błękitnych, jak jej, oczach, to ojciec? Czy kobieta, której inicjał spleciony z jego inicjałem widniał na medalioniku, mogła być jej matką?

Rozdzielono ich, księcia, który był jej ojcem, i kobietę, która była jej matką, tuż po ślubie. Lily wiedziała, co wtedy oboje czuli. Znała ból tęsknoty i samotności. Zeszłego wieczoru książę powiedział, że Lily została poczęta z miłości. Jej matka wierzyła, że zostawia nowo narodzone dziecko jedynie na krótko u swej wiernej pokojówki i jej męża. U prostych, uczciwych ludzi, którzy zostali rodzicami Lily.

U mamy i taty, którzy kochali ją tak mocno, jak tylko rodzice mogliby kochać własne dziecko.

Ta kobieta, jej matka, również musiała ją kochać. Lily wyobrażała sobie, jak musiałaby się czuć, gdyby miała dziecko z Neville'em po ich rozłączeniu się. O, tak, matka z pewnością ją kochała. A przez ponad dwadzieścia lat książę, jej ojciec, nie potrafił zapomnieć o swojej żonie i nie porzucił nadziei, że ona, Lily, istnieje.

Nie chciała być Frances Lilian Montague. Nie chciała, by książę Portfrey był jej ojcem. Chciała, by to tata, ten którego znała, był jej prawdziwym ojcem. Teraz jednak poznała prawdę o swym pochodzeniu i nic już tego nie zmieni. Ciągle myślała o tym, że

kiedy przez osiemnaście lat tata był najlepszym ojcem na świecie, a w ciągu trzech lat po jego śmierci ona miała przynajmniej wspomnienia, księżę Portfrey żył bez swojego dziecka. Wszystkie te lata, dla niej przepełnione miłością, dla niego były puste.

Był jej ojcem. Próbowwała oswoić się z tą myślą, nie uciekać przed nią. Księżę Portfrey jest jej ojcem. A tata pragnął, by w końcu poznała prawdę. Obydwoje z mamą kazali jej nosić medalionik przez całe życie, a tata ciągle przypominał, że po jego śmierci powinna zanieść plecak do oficera. Nie wiedziała, dlaczego tak długo ukrywał przed nią prawdę, dlaczego nie skontaktował się z księciem Portfrey. Nie, jednak wiedziała, co nim kierowało. Pamiętała, że mama niczego poza nią nie widziała, że tata zachowywał się tak, jakby była najważniejsza na świecie. Nie potrafili się z nią rozstać, i z pewnością wymyślali tysiące powodów, by z nimi została. Tata miał zamiar powiedzieć jej o wszystkim, kiedyś... Z pewnością miał taki zamiar.

Nigdy się nie dowie, jakie motywy nim kierowały. Wiedziała jednak dwie rzeczy. Tata nie miał zamiaru na zawsze ukryć przed nią prawdy. I tata ją kochał.

Nagle pomyślała, że to nie taka okropna rzecz być córką księcia lub wnuczką barona. Marzyła o tym, by stać się równą Neville'owi i wierzyła, że uda jej się tego dokonać, choć nie dorówna mu urodzeniem i majątkiem.

Uśmiechnęła się słabo.

Elizabeth, już ubrana, siedziała w pokoju śniadaniowym, zanim przyszła Lily. Wstała, ujęła dłonie dziewczyny i pocałowała ją w obydwa policzki, a potem spojrzała na nią badawczo.

- Lily, jak się czujesz kochanie?

- Jakbym się obudziła. Jakbym ocknęła się ze snu.

- Przyjmiesz go dzisiaj rano? - spytała niespokojnie Elizabeth. - Nie musisz, jeśli nie czujesz się jeszcze gotowa.

- Przyjmę go.

Księżę przyszedł godzinę później, kiedy siedziały w salonie, zajmując się haftem, a przynajmniej udając, że to robią. Wszedł do pokoju, niemal deptając lokajowi po piętach, złożył ukłon, a następnie zawahał się koło drzwi, jakby stracił nagle pewność siebie.

- Wielkie nieba, Lyndon. - Elizabeth pospieszyła ku niemu. - Co się stało?

- Zderzyłem się nieszczęśliwie z drzwiami? - odezwał się pytająco, jakby były skłonne uwierzyć w to jawne kłamstwo. Twarz miał pokrytą krwawymi siniakami. Zewnętrzny kącik lewego oka był opuchnięty.

- Walczył pan z panem Dorseyem - powiedziała cicho Lily.

Podszedł do niej kilka kroków bliżej.

- Nic ci już nie grozi z jego strony, Lily - odezwał się. - Podczas gdy Kilbourne zapewnił ci opiekę i ochronę, ja kazałem śledzić Dorsey'a. Widzisz, podejrzewałem go, ale nie miałem żadnego dowodu, aż do zeszłego wieczoru. Już nigdy nie będzie cię dręczył.

Lily domyślała się wczoraj, dlaczego księżę i Neville wyszli z przyjęcia tak szybko.

- Nie żyje? - spytała.

Pochylił głowę.

- Pan go zabił?

Zawahał się.

- Poturbowałem go tak, że stracił przytomność. Razem z Kilbourne'em doszliśmy z wielkim żalem do wniosku, że nie będziemy obciążać sobie sumienia zabijaniem go z zimną krwią lub w pojedynku, zgodziliśmy się jednak, że poważnie go ukarzymy, zanim odstawimy go do konstabla i sędziego. Zachowaliśmy się jednak nieostroźnie. Wyciągnął pistolet, zanim zdołaliśmy mu go zabrać. Zabiłby mnie, gdyby Kilbourne wcześniej go nie zastrzelił.

Elizabeth zakryła usta dłonią. Lily tylko spojrzała spokojnie w oczy księcia i wiedziała, że słyszy tylko to, co postanowił jej powiedzieć. Wiedziała, że chociaż Dorsey prawdopodobnie zabił jej matkę i Williama Doyle'a, że chociaż trzykrotnie próbował zabić ją i poważnie postrzelił Neville'a, trudno byłoby mu udowodnić którykolwiek z tych czynów przed sądem. Nie była pewna, czy brak rozwagi spowodował, że w rękach Dorsey'a znalazł się pistolet. Może chcieli, by tak się stało. Może chcieli, by się bronił, bo mieli wtedy powód, by zabić go w obronie własnej.

Księżę, oczywiście, nigdy by tego nie powiedział. Neville również nie. A ona nie miała zamiaru o to pytać. Nie chciała znać prawdy.

- Cieszę się, że nie żyje - powiedziała zaskoczona, zdając sobie sprawę, że mówi prawdę. - Dziękuję.

- I to wszystko, co możemy powiedzieć na temat Calvina Dorsey'a - podsumował. - Jesteś wolna, Lily. Wolna.

Skinęła głową.

- No cóż - powiedziała z ożywieniem Elizabeth. - Muszę porozmawiać z gospodynią. Dzisiaj wypada dzień, kiedy sprawdzamy rachunki. Pozwolicie, że was opuszczę na pół godziny. Portfey? Lily?

Dziewczyna skinęła głową, księżę skłonił się. Odwrócił głowę od wychodzącej Elizabeth i spojrzał ostrożnie, ale Lily uśmiechnęła się do niego.

- Zrozumiem, jeśli doszłaś do wniosku, że nie możesz uznać mnie za ojca - zaczął jakby wypowiadał przygotowaną wcześniej przemowę. - Zeszłej nocy Kilbourne wiele mi

opowiedział o Thomasie Doyle'u. Rozumiem twoją dumę z niego i miłość, jaką go darzyłaś. Jednak błagam cię - proszę! - żebyś zgodziła się, bym przeznaczył ci znaczną część majątku, która pozwoliłaby ci żyć w wygodnej niezależności przez resztę życia. Przynajmniej pozwól, bym tyle uczynił dla ciebie.

- A co by pan chciał zrobić, gdybym powiedziała, że jestem skłonna przyjąć więcej niż to?

Odchylił się na oparcie krzesła i głęboko wciągnął powietrze, patrząc na nią uważnie.

- Uznałbym cię publicznie jako swoją córkę - odparł. - Zabrałbym cię do domu, do Rutland Park w hrabstwie Warwick i spędziłbym wszystkie możliwe chwile każdego dnia poznając cię bliżej i starając się, byś ty mnie poznała. Kupiłbym ci mnóstwo strojów i obsypał klejnotami. Popierałbym twoją chęć kształcenia się. Zawiózłbym cię do twojego dziadka do hrabstwa Leicester. I... Co jeszcze? Starałbym się, jak tylko to możliwe, nadrobić stracone lata. - Uśmiechnął się nieznacznie. - I poprosiłbym cię, byś opowiedziała mi wszystko, co pamiętasz o Thomasie i Beatrice Doyle'ach i latach twojej młodości. Właśnie tego bym pragnął, Lily.

- W takim razie, proszę to uczynić, wasza książęca mość.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, zanim książę wstał, podszedł do niej i wyciągnął ku niej rękę. Lily wstała, podała mu dłoń patrząc jak unosi ją do ust.

- Lily - odezwał się. - O, moja kochana. Moja kochana córeczko.

Cofnęła dłoń, objęła go i oparła policzek o jego ramię.

- On zawsze będzie moim tatą - rzekła. - Ale od dzisiaj ty będziesz moim ojcem. Czy mogę tak się do ciebie zwracać? Ojczy?

Oplótł ją ramionami. Zaniepokoiła się, kiedy usłyszała pierwsze odgłosy rozdzierającego szloch, ale przytrzymała go mocniej, kiedy chciał się wyrwać z jej objęcia.

- Nie, nie - powiedziała. - Wszystko w porządku. Wszystko w porządku.

Nie płakał długo. Mężczyźni przecież nie płaczą. Wiedziała to z doświadczenia. Uważają, że to okropnie wstydliva oznaka słabości, nawet wtedy, kiedy patrzą jak najbliższego przyjaciela rozrywa na kawałki kula armatnia albo chirurg ucina mu nogę, albo właśnie po dwudziestu latach odzyskują własną córkę. Po kilku minutach wyzwolił się z jej ramion i stanął przy oknie, tyłem do pokoju, wycierając nos w wielką chusteczkę.

- Przepraszam, że naraziłem cię na to. Nigdy się to już nie powtórzy. Zobaczysz, że jestem silny i można na mnie polegać, będę dobrym opiekunem.

- Tak, wiem, ojczy - uśmiechnęła się do niego.

- Pewnie mógłbym się ożenić w ciągu tych minionych dwudziestu lat. Mogłem mieć

mnóstwo dzieci, które powtarzałyby to tysiące razy. Uważam, Lily, że warto było czekać, by usłyszeć to z twych ust.

- Kiedy wyjeżdżamy do Rutland Park? - spytała. - Czy masz duży dom? Czy go polubię... ojczy?

Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Najszybciej jak to możliwe. Dom jest większy niż Newbury Abbey. Na pewno go pokochasz. Czekał na ciebie przez tyle lat. Sprawdźmy, czy Elizabeth zechce tam z tobą pojechać. Dzisiaj mamy środę. Może wyjedziemy w poniedziałek?

Lily skinęła głową.

Uśmiechnął się do niej i pociągnął za dzwonek. Służącemu, który się zjawił, polecił, by poprosił lady Elizabeth, by wróciła do salonu, kiedy tylko będzie mogła. Następnie usiedli oboje i zapatrzyli się na siebie.

Lily pomyślała, że księżę wręcz promienieje. Mimo obrzmiałej twarzy wyglądał na bardzo szczęśliwego. Ona również postanowiła sprawiać wrażenie pogodnej, choć odczuwała pewien niepokój. Znow, jak już wiele razy w życiu, czekało ją nieznanne.

Przypomniała sobie jazdę do Newbury Abbey i swoją nadzieję, że jej długa podróż już dobiega końca. Pamiętała, jak zobaczyła Neville'a po raz pierwszy po półtora roku i doznała uczucia, mimo tych trudnych okoliczności, że w końcu dotarła do domu. A jednak nie była w domu. I nadal nie jest. Czy kiedykolwiek będzie? Czy przyjdzie taki czas, że w końcu poczuje, że przybyła na swoje miejsce, że może osiąść w spokoju na resztę życia?

A może życie po prostu było podróżą wiodącą nieznaną ścieżką?

- Kilbourne poprosił mnie, bym ci powiedział, że ma zamiar cię dzisiaj odwiedzić - odezwał się księżę, zanim wróciła do pokoju Elizabeth. - Oczywiście, jeśli zechcesz go zobaczyć.

\*

Zabicie człowieka nie należy do przyjemnych czynności, myślał Neville w nocy i rano po śmierci Calvina Dorsey'a. Odczuł pewną satysfakcję, patrząc jak Dorsey dał się sprowokować i nieostrożnie wyciągnął pistolet, nie dając im wyboru. Musieli go zabić, zwłaszcza po tym, kiedy Portfrey wygrał spór, który z nich ma ukarać Dorsey'a, zanim odstawią go przed sąd. Nie odczuwał jednak ulgi.

Czy cieszył się z odkrycia prawdy o pochodzeniu Lily? Wiedząc, że teraz to ona stoi wyżej niż on? Że nie mógł już nic jej zaoferować, ponieważ miała wszystko? Czy tak właśnie chciał ją zdobyć - pozycją i majątkiem, mając nadzieję, że ubóstwo zmusi ją do powrotu do

niego? Z pewnością nie. Chciał, by była mu równa, by czuła, że tak jest. To, że czuła się niższa od niego, zepsuło jakąkolwiek szansę na szczęście po jej pojawieniu się w Newbury.

Bieg wypadków powinien więc go ucieszyć. Dlaczego nie odczuwał radości? W końcu doszedł do wniosku, że to z powodu Lily. Biedna dziewczyna, tyle musiała przejść w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy. Jak wytrzyma świadomość, że utraciła korzenie? Czy kiedy odwiedzi po południu Elizabeth, znajdzie Lily złamaną bólem? A może, co gorsza, okaże się, że nadal będzie apatyczna, jak nigdy dotąd, oszołomiona i bierna jak wczoraj wieczorem?

Wybierał się do Elizabeth z przerażeniem. Miał nawet tchórzliwą nadzieję, kiedy wchodził do domu i spytał, czy panna Doyle przyjmie go, że usłyszy odpowiedź odmowną. Ale tak się nie stało. Lokaj zaprowadził go do salonu. Siedziały tam Elizabeth i Lily.

- Neville. - Ciotka wyszła mu naprzeciw, kiedy przywitał się z nimi i uklonił. Pocałowała go w policzek. - Zostawię was na chwilę samych. - I wyszła od razu z pokoju.

Lily nie sprawiała wrażenia zdruzgotanej czy oszołomionej. Wręcz przeciwnie, była pełna życia, ubrana w modną muślinową suknię i z włosami układającymi się w pukle wokół twarzy.

- Zabiłeś pana Dorsey'a - powiedziała. - Ojciec poinformował mnie o tym dzisiaj rano. Wcale mi nie żal, że nie żyje, chociaż nigdy nie życzyłam nikomu śmierci. Przykro mi jednak, że musiałeś to zrobić. Wiem, że nie było to łatwe.

Tak, Lily wiedziała to, przecież dorastała w wojsku, wśród żołnierzy, którzy musieli zabijać.

Powiedziała „ojciec”?

- To akurat nie przyszło mi z dużą trudnością.

- Więcej do tego nie wracajmy - odezwała się stanowczo. Wstała z krzesła i podeszła do niego. - Neville, w poniedziałek jadę z ojcem i Elizabeth do Rutland Park. W jutrzejszych gazetach ukaże się wzmianka o rym. Chcę spędzić z nim trochę czasu, chcę go bliżej poznać. Chcę również spotkać się z dziadkiem i odwiedzić grób matki. Ja... wyjeżdżam.

- Tak. - Serce w nim zamarło.

Uśmiechnęła się do niego.

- Byłam Lily Doyle - powiedziała. - Potem zostałam Lily Wyatt, potem przestałam nią być. Teraz jestem Lily Montague. Muszę odkryć, kim naprawdę jestem. Wydawało mi się, że powoli odkrywam to, kiedy przyjechałam do Londynu, ale dzisiaj mam wrażenie, jakby to zdarzyło się bardzo dawno temu.

- Jesteś po prostu Lily. - Próbował uśmiechnąć się do niej.

Skinęła głową, jej oczy zaświeciły się od łez.

- Na jak długo wyjeżdżasz? - spytał.

Potrząsnęła głową.

Zdał sobie sprawę, że nie może jej naciskać w tej kwestii. Nie chciał obarczać jej kolejnym problemem. Wiedział, że na to pytanie nie ma odpowiedzi.

Kiedy przyjechał do Londynu, zaczynał wierzyć, że mimo wszystko istnieje dla nich wspólna przyszłość. Miał zamiar przekonać się o tym w Vauxhall. Nie chciał pamiętać tamtej nocy, która zaczęła się w taki czarowny sposób. Teraz musiał czekać nie wiadomo jak długo, nie mając pewności, która czyniłaby oczekiwanie łatwiejszym.

Podał jej obie dłonie.

- Polubisz go, Lily. Może nawet pokochasz. To dobry człowiek, jest twoim ojcem. Jedź z nim odnaleźć siebie. I bądź szczęśliwa. Obiecujesz?

Widział, jak zagryza górną wargę.

Ścisnął jej dłonie i uniósł obie do ust.

- Nie przepadam za Londynem. Z radością wrócę do Newbury na lato. Wyjeżdżam jutro albo pojutrze. Może, jeśli uznasz to za stosowne, napiszesz do mnie?

- Nie umiem... dobrze pisać.

- Ale się nauczysz. - Uśmiechnął się do niej. - I będziesz umiała przeczytać moją odpowiedź.

- Naprawdę? - spytała. - Czasami chciałabym, och, jak bardzo bym chciała, znów być Lily Doyle, i żebyś ty był majorem lordem Newbury, a tata...

- Ale tak nie jest - powiedział smutno. - Chcę, żebyś o czymś wiedziała, Lily. Nie zamierzam kłaść na twoje barki jeszcze jednego ciężaru, pragnę jednak, byś wiedziała, że pewne rzeczy nie uległy zmianie. Kochałem cię, kiedy się z tobą żeniłem. Kocham cię nadal. Będę cię kochał aż do śmierci. Kochałem cię i będę cię kochał niezmiennie.

- Och, ale to nie jest odpowiednia chwila. - W jej oczach pojawiło się uczucie, którego nie potrafił odgadnąć. Biedna Lily. Tyle się ostatnio zdarzyło, a ona musiała to wszystko dzielnie znosić.

- Nie będę przedłużał wizyty. Przepróż Elizabeth w moim imieniu, dobrze?

Skinęła głową.

Trzymali się długo za ręce. Lily miała jednak rację. To nie jest odpowiedni moment.

Delikatnie wyswobodził ręce i z uśmiechem w oczach wyszedł bez słowa.

Doszedł pieszo niemal do domu, kiedy uprzytomnił sobie, że przecież wyruszył do Elizabeth kariolką.

**CZEŚĆ PIĄTA**  
**ŚLUB**

Lily z ożywieniem wyglądała przed okno powozu, zapominając o dystyngowanym zachowaniu, jakie przystoi damie. Wioska Upper Newbury wyglądała bardzo znajomo. Ujrzała gospodę, przy której wysiadła kiedyś z dylizansu, a także stromą alejkę biegnącą do Lower Newbury. I nagle...

- Och, czy możemy stanąć na chwilę? - spytała.

Siedzący naprzeciwko księżę Portfrey zastukał w przednią ściankę i powóz zatrzymał się raptownie.

- Pani Fundy - zawołała Lily. - Jak się pani ma? Jak pani dzieci? Och, widzę, że najmłodsze już urosło.

Kiedy Elizabeth i księżę bez słów wymienili rozbawione spojrzenia, pani Fundy, która zagapiła się na wielki powóz z książęcymi herbami, uśmiechając się szeroko, nagle zaczerwieniła się i dygnęła w ukłonie.

- Wszyscyśmy zdrowi, milady. Dziękuję - powiedziała. - Miło panią znowu widzieć.

- Och, i miło znów tu wrócić - usłyszała w odpowiedzi. - Zajrzę do was któregoś dnia, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Obdarzyła kobietę uśmiechem i powóz ruszył w dalszą drogę. Przypomniała sobie, że nie wraca do domu. Newbury nie jest jej domem. Ale czuła się tak, jakby był. Pokochała Rutland Park, jak przewidywał jej ojciec. Jego również pokochała, tak jak postanowiła, chociaż to akurat nie okazało się wcale takie trudne. Cieszyła się bardzo z długiej wizyty w Nuttall Grange, gdzie podbiła serce schorowanego dziadka oraz Bessie Doyle i siostry mamy - dwóch ciotek, które tak naprawdę nie były jej ciotkami. Wreszcie poczuła się szczęśliwa i przynależna do czegoś, w pokoju z sobą i z całym światem. Ani razu, odkąd wyjechała z Londynu, nie śnił jej się tamten koszmar.

Ale w Newbury Abbey, chociaż jeszcze nie widziała ani parku, ani pałacu, czuła się jak w domu.

- Och, spójrzcie tylko - wykrzyknęła przepelniona podziwem, kiedy powóz minął bramy i zaczął podążać drogą przecinającą las. Drzewa pokrywały wspaniałe odcienie czerwieni, żółci i brązów. Wiele liści spadło już i zalegało wielobarwnym kobiercem na drodze. - Czy widziałeś coś wspanialszego niż Anglia jesienią, ojczy? A ty Elizabeth?

- Nie - odparł księżę.

- Tylko Anglię wiosną - dodała Elizabeth. - I nie tyle wspanialszą, ile równie wspaniałą.

To wiosną Lily przyjechała tu po raz pierwszy. Teraz była jesień - październik. W ciągu tych ostatnich miesięcy wiele się zdarzyło, pomyślała. Pamiętała, jak nocą szła tutaj, ściskając w dłoni torbę...

Napisała do niego na początku sierpnia, tak jak ją o to prosił. Spytała Elizabeth, czy to wypada, by wysłała list do nieżonatego mężczyzny. Elizabeth z błyskiem w oczach odparła, że to absolutnie nie wchodzi w rachubę, ale ojciec, obecny przy tej rozmowie, przypomniał, że mają przecież do czynienia z Lily, której jak wiadomo często zdarza się naruszać wszystkie możliwe zasady, na szczęście tak, by nie wywołać skandalu - to jej największy wdzięk, dodał z pobłażliwym uśmiechem, który zaskoczył ją za pierwszym razem. Koniec końców napisała mozolnie dziecięcymi, okrągłymi literami. Usilnie pracowała nad charakterem pisma, ale wiedziała, że minie jeszcze trochę czasu, zanim osiągnie biegłość.

Napisała, że czuje się szczęśliwa przy ojcu. Cieszy się z towarzystwa Elizabeth. Pojechała do Nuttall Grange, by odwiedzić dziadka. Położyła kwiaty na grobie matki. Pytała o hrabinę Kilbourne, a także o Lauren i Gwendoline. Miała nadzieję, że u niego wszystko w porządku.

Odpisał, że zaprasza ją wraz z ojcem w gościnę do Newbury Abbey z okazji obchodzonych w październiku pięćdziesiątych urodzin matki. Elizabeth przygotowała wszystko do wyjazdu.

Tak więc przybywali do Newbury Abbey. Tylko jako goście. Czują się jednak tak, jakby wracała do domu. Spoglądając nagle na ojca błyszczącymi oczami, zobaczyła, że on to zrozumiał i posmutniał, chociaż uśmiechnął się do niej.

- Ojczy. - Sięgnęła porywczo po jego rękę. - Dziękuję, że zgodziłeś się, byśmy przyjechali. Bardzo cię kocham.

Poklepał jej dłoń wolną ręką.

- Lily, masz dwadzieścia jeden lat, kochanie. Jesteś już zbyt dorosła, by nadal mieszkać z ojcem. Nie spodziewałem się, że zdołam cię zatrzymać przy sobie na dłużej.

Wolałaby, by nie mówił tak otwarcie. Opała z powrotem na siedzenie, jej uśmiech pobrał. Wolała nic nie przesądzać z góry. Minęło przecież kilka miesięcy. Wiele się w jej życiu zmieniło, u niego również mogło się zmienić. Zaprosił ich zapewne ze względów grzecznościowych. Z pewnością przybędzie wielu gości. Wolała nie przywiązywać wielkiej wagi do tego, że ona również znalazła się wśród zaproszonych.

Jeśliby wmawiała sobie ciągle te głupstwa, z pewnością w końcu by w nie uwierzyła.

Powóz zatrzymał się. Otworzyły się wielkie podwójne drzwi i Lily ujrzała Gwendoline, Josepha, hrabinę i... Neville'a.

Markiz otworzył drzwi powozu i rozsunął schodki. Kiedy zostały ustawione, książę był już prawie na zewnątrz i wyciągał rękę do Elizabeth. Hrabina podeszła, by ją uściskać. Wszyscy próbowali mówić na raz.

Nagle ktoś wsunął się do środka powozu i wyciągnął rękę do Lily - mogli być dzięki temu sami. Przestała widzieć i słyszeć cokolwiek. Neville patrzył na nią błyszczącymi oczami, miał mocno zaciśnięte usta. Uśmiechnęła się do niego.

- Lily... - powiedział.

- Tak. - I wszystkie jej obawy rozwiały się w jednej chwili. - Witaj, Neville.

Podąła mu dłoń.

\*

Chociaż urodziny odbywały się następnego dnia, do domu zjechało już mnóstwo gości. Na obiedzie panował ścisk i gwar. Neville z radością zauważył, że matka umieściła księcia po swojej prawej, a Lily po lewej ręce. Siedzieli daleko od niego, po drugiej stronie stołu. Oprócz kilku chwil spędzonych po południu na tarasie, nie miał prawie żadnej sposobności, by zamienić z nią chociaż słowo.

Zresztą nawet się o to nie starał. Cieszył się, że może na nią patrzeć, przyglądać się zmianom, które zaszły w niej w ciągu tych kilku miesięcy. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś Elizabeth powiedziała mu, że zdobywana wiedza i nowe umiejętności nie zmieniają człowieka, a jedynie wzbogacają to, co już w nim jest. Tak stało się w przypadku Lily. Zachowywała się wytwornie, z pewnością siebie i ożywieniem. Zniknęło okropne uczucie niedopasowania, które sprawiało, że w czasie ostatniego pobytu w Newbury, przebywając w dobrym towarzystwie - zwłaszcza wśród kobiet - nie mogła wydobyć głosu. Obecnie odzywała się tyle samo, co inni, jeśli nie więcej. Uśmiechała się pogodnie.

Jednak nadal to była po prostu Lily. Taka, jaką została stworzona, ale na tyle teraz wolna, że potrafiła znajdować radość, przebywając w każdym towarzystwie i każdym otoczeniu.

Docierały do niego strzępy rozmowy, ponieważ Lily stała się ośrodkiem zainteresowania i często zapadała przy stole cisza, kiedy wszyscy pochylał i się, by usłyszeć, co mówi. Stało się tak na przykład, kiedy Joseph zapytał ją, jakie poczyniła postępy w czytaniu.

- Zapewniam cię, że straciłbyś bardzo dużo pieniędzy, gdybyś był na tyle nierozsądny i założył się teraz o to - odparła z uśmiechem. - Czytam całkiem dobrze. Nieprawdaż, Elizabeth? Całą stronę czytam w niespełna pół godziny, jeśli nic mnie nie rozprasza lub nie

ma tam długich wyrazów. Nie muszę również czytać na głos, ani nawet poruszać ustami. I co o tym sądzisz, Josephie? - Żartowała sama z siebie, a jej śmiech dźwięczał wzdłuż stołu.

- Sądzę, że zasnąłbym z nudów, zanim dotarłabyś do końca strony, Lily - powiedział Joseph i udając, że ziewa, poklepał się delikatnie po ustach.

Neville nie mógł wyjść z podziwu, chociaż starał się czasami oderwać od niej wzrok, by móc podtrzymać rozmowę z krewnymi siedzącymi obok. Nie było to jednak łatwe.

O, tak, to jest nadal Lily, pomyślał kilka minut później. Jeden z lokajów pochylił się nad stołem obok niej, by zabrać talerz. Kiedy spojrzała na niego, rozjaśniła się, poznając go.

- Pan Jones - zawołała. - Jak się pan ma?

Biedny służący o mało co nie upuścił talerza. Oblał się rumieńcem i wymamrotał coś, czego Neville nie dosłyszał.

- O, tak, wiem - powiedziała Lily, pełna skruchy. - Przepraszam, że wprowadziłam pana w zakłopotanie. Zejdę jutro rano do kuchni na pogawędkę, jeśli można. Wydaje się, że minęły wieki, odkąd się ostatni raz widzieliśmy.

Neville zauważył, że jego matka uśmiecha się do niej z niekłamany miłością.

- Oczywiście, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, milady - dziewczyna zwróciła się do niej. - Zapomniałam, że nie jestem u siebie. W domu często schodzę do kuchni, prawda ojcze? To najprzytulniejsze miejsce w całym pałacu, zawsze znajdzie się tam coś pożytecznego do roboty. Tatuś nie ma nic przeciwko temu.

- Ja również, moje drogie dziecko - powiedziała hrabina, poklepując jej leżącą na stole dłoń.

- Człowiek się szybko uczy, hrabino, że córki po to przychodzą na świat, by okręcać ojców wokół swoich małych paluszków - stwierdził książę. Neville niemal od chwili ich przybycia odkrył, że Portfrey sprawia wrażenie odmienionego. Promieniejąc szczęściem, nie ukrywał wcale wielkiej dumy ze swej córki.

Później, kiedy przeszli do salonu, Lily zachowywała się czarująco wobec jego matki i wszystkich ciotek. Kiedy wypili herbatę i jedna z kuzynek przeszła do drugiego pokoju, by zabawić gości muzyką, Lily usiadła na chwilę przy Lauren i rozmawiała z nią z ożywieniem, trzymając ją za rękę. Wtedy Gwen nachyliła się nad nią, powiedziała coś, uśmiechnęły się do siebie i przeszły, ramię w ramię, do pokoju muzycznego.

Neville pomyślał ze smutkiem, że to musi być trudny wieczór dla Lauren. Od jego powrotu z Londynu odczuwali w swym towarzystwie skrępowanie - ostatecznie zrezygnowała z podróży do hrabstwa York - bo chociaż nic nie mówiono w ich obecności, wiedzieli obydwójce, że w sąsiedztwie krążyły pogłoski dotyczące ich przyszłych planów.

Zastanawiano się, czy Neville ma zamiar oświadczyć się lady Lilian Montague, czy też ponownie poprosi o rękę Lauren.

Obydwoje znali odpowiedź. Nigdy jednak o tym nie rozmawiali. Dlaczego mieliby to robić? Czy miał jej powiedzieć, że nie ma zamiaru ponawiać swych oświadczeń? I czy Lauren miała powiedzieć mu, że wcale się tego nie spodziewa?

Jednak jak zawsze zachowywała się swobodnie i z godnością. Trudno było się domyślić, co tak naprawdę chodzi jej po głowie.

Neville kochał Lily od dawna. Wiosną myślał, że nie może jej kochać jeszcze bardziej. Ale tak właśnie było. Starał się żyć tak jak dawniej, nie myśląc stale tylko o niej. Starał się nie być pewien, że w odpowiednim czasie Lily wróci do niego.

Wystarczyło jednak, że ją zobaczył, a przestał się oszukiwać. Bez Lily życie nie znaczyło dla niego nic. Była dla niego słońcem, ciepłem i śmiechem. Była... Była po prostu jego miłością.

Trzymał się od niej z daleka. Nie chciał przyspieszać jej decyzji, chociaż jej wizyta dawała wiele sposobności ku temu. Przyjechała z ojcem na urodziny. Chciał, by się jutro dobrze bawiła. Ale pojutrze...

Wszystko zależało od tego, co zdarzy się pojutrze. Walczył z ogarniającymi go wątpliwościami i strachem.

Chociaż zrobiło się już późno, Lauren i Gwendoline nie położyły się od razu spać po powrocie do wdowiego domku. Usiadły w bawialni, gdzie napalono w kominku. Przez chwilę w milczeniu przyglądały się trzaskającym płomieniom.

- Wiesz, co mi powiedziała? - spytała w końcu Lauren.

- Co? - Gwendoline dobrze wiedziała, o kim mowa.

- Że zdaje sobie sprawę, że muszę ją nienawidzić. Powiedziała, że wiosną ona również mnie nienawidziła, ponieważ wydawałam się jej taka idealna, uosobienie damy, bardziej nadawałam się na hrabinę niż ona. Powiedziała, że podziwia moją powściągliwość, pełne godności zachowanie, ciągle okazywaną jej uprzejmość, pomimo moich prawdziwych uczuć. Prosiła, bym przebaczyła jej, że zwątpiła w motywy, jakie mną kierowały.

- Dobrze zrobiła, że otwarcie powiedziała o tym, co jest pomiędzy wami - rzekła Gwendoline. - Zawsze mówi to, co myśli, nieprawdaż?

- Ona jest... - Lauren zamknęła oczy. - Ona jest kobietą, jakiej potrzebuje Neville. Czy zauważyłaś, że przez cały wieczór nie odrywał od niej wzroku? Czy widziałaś jego oczy?

- Powiedziała mi, że wie, iż mnie zraniła, pojawiając się tak nagle w naszej rodzinie, kiedy jeszcze nie przestałam rozpaczać po śmierci Vernona i nie pogodziłam się z wszystkimi

wstrząsami życiowymi - odezwała się cicho Gwendoline. - Prosiła mnie, bym jej wybaczyła. Nie robiła tego tylko dlatego, że tak wypadło. Naprawdę tak myślała. Nadal chciałabym ją nienawidzić, ale nie potrafię. Jest taka miła.

Lauren uśmiechnęła się do ognia.

- Kiedy to mówiłam - dodała pospiesznie Gwendoline. - Ja nie miałam na myśli...

- Że w związku z tym mnie nie lubisz. - Lauren popatrzyła na nią. - Nie, oczywiście że nie, Gwen. Dlaczego miałyby to znaczyć coś takiego? Nie jest moją rywalką. Neville i ja wzięlibyśmy ślub, gdyby Lily nie przyjechała, ale dobrze się stało. Nasze małżeństwo nie byłoby związkiem z miłości.

- Ależ oczywiście, byłoby! - krzyknęła Gwen.

- Nie. - Lauren potrząsnęła głową. - Musiałaś czuć dzisiaj wieczorem to, co czuli wszyscy. Powietrze gęstniało pod wpływem napięcia ich namiętności. Są dla siebie stworzeni. Pomiedzy mną a Neville'em nigdy czegoś takiego nie było.

- Może... - zaczęła Gwendoline, ale Lauren znów zapatrzyła się w ogień, a wyraz jej twarzy uciszył kuzynkę.

- Widziałam ich kiedyś, kiedy nie powinnam ich widzieć - powiedziała Lauren. - Byli razem nad jeziorkiem, wcześniej rano. Kąpali się, śmiali, ogarnięci szczęściem. Drzwi domku były otwarte - spędzili tam razem noc. Tak właśnie powinna wyglądać miłość, Gwen. Tak jak twoja i lorda Muira.

Gwendoline zacisnęła dłonie na krześle i głośno westchnęła, ale się nie odezwała.

- To taka miłość, jakiej nigdy nie poznam - dodała Lauren.

- Oczywiście, że poznasz. Jesteś młoda i śliczna i...

- Niezdolna do namiętności - dokończyła Lauren. - Czy zauważyłaś, jaka jest różnica między Lily i mną? Po... ślubie mogłam stąd wyjechać. Mogłam wrócić do domu z dziadkiem. Pewnie by mi pomógł. Mogłam zacząć nowe życie. Zamiast tego, zostałam tutaj, życząc jej śmierci. I chociaż później wreszcie zdecydowałam o wyjeździe, zrezygnowałam. Bałam się, że wyjeżdżając, zaprzepaszczę tu jakąś szansę. Natomiast Lily, która miała więcej do przejścia niż ja i więcej do stracenia, wolała stąd odejść i rozpocząć nowe życie. Nie mam takiej odwagi.

- Jesteś trochę zmęczona i dlatego trochę przygnębiona - powiedziała z ożywieniem Gwendoline. - Jutro rano wszystko będzie wyglądało dużo lepiej.

- Starcza mi jednak odwagi, by zrobić jedną rzecz - oznajmiła Lauren wstając. Wspięła się na palcach i sięgnęła po kosztowną porcelanową figurkę pasterki, stojącą na kominku. Wzięła ją do rąk, uśmiechając się. - O, tak, mam na to wielką ochotę.

Wrzuciła ozdobę do ognia, rozbijając ją na tysiąc kawałków.

\*

Główne obchody urodzinowe hrabiny miały odbyć się wieczorem, ale ponieważ tylu gości przybyło do Newbury Abbey, nawet na herbacie panował tłok. Na dworze był wilgotny, jesienny dzień. Wszyscy z chęcią pozostali w domu.

Wszyscy, z wyjątkiem Elizabeth. Oczywiście, cieszyła się, że wróciła do domu, że może ujrzeć krewnych, wziąć udział w rodzinnej uroczystości. A jeszcze bardziej cieszyła się z tego, że mogła zobaczyć, jak zaczynają się spełniać nadzieje, którymi żywiła się już od wiosny. Chociaż oficjalnie okazją były urodziny Klary, wszyscy wiedzieli, że czekało ich jeszcze coś ważniejszego. Ten rodzaj miłości, który łączył Neville'a i Lily był tak niezwykle i cudowny, że nie sposób było go nie zauważyć.

To cieszyło nieegoistyczną część jej duszy.

Ale zasmucało samolubną.

Już nie będzie potrzebna. Ani Lily, ani jej ojcu.

Wymknęła się cicho z salonu, wcześniej niż większość gości, zabrała z pokoju płaszcz, kapelusz i rękawiczki i wybrała się na samotny spacer do skalnego ogrodu. O tej porze roku prezentował się ponuro i bezbarwnie. Przypomniała sobie, jak przyszła tutaj, kiedy Lily przybyła do Newbury Abbey tego dnia, kiedy miały odbyć się zaślubiny Lauren i Neville'a. Lyndon wypytywał wtedy bardzo dokładnie Lily, a Elizabeth zbeształa go, nie wiedząc, że już wtedy podejrzewał prawdę. Minęło od tamtej chwili tyle czasu...

- Czy nie przyda ci się towarzystwo? - usłyszała. - A może wolisz zostać sama?

Przyszedł tutaj za nią. Odwróciła się i uśmiechnęła do niego. Pragnęła być na tyle silna, by móc powiedzieć, że tak, rzeczywiście pragnie być sama, ale nie chciała kłamać. Samotność czekała ją przez resztę życia. Po co miała zacząć się wcześniej niż to konieczne...

- Lydonie, czy to cię nie smuci? - spytała kiedy podszedł bliżej. - Spędziłeś z nią tak mało czasu. - Obserwowała zmianę swojego przyjaciela od odkrycia prawdy o Lily z zachwytem i radością, ale jednocześnie z bólem serca.

- Że opuści mnie dla Kilbourne'a? Tak, trochę. Ostatnie miesiące były najszcześniejszym okresem w moim życiu. Może pójdziemy rododendronową ścieżką? Nie będzie ci za zimno?

Potrząsnęła głową. Zauważyła jednak, że nie podał jej ramienia. Nigdy nie czuła się skrepowana w jego towarzystwie. Teraz ogarnęło ją zakłopotanie.

- Mam jednak powody do zadowolenia. Lily będzie szczęśliwa, oczywiście jeśli go

przyjmie. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Hrabina zresztą również, jak i wszyscy w Newbury. Cieszę się z tego, Elizabeth, że teraz będę mógł zająć się swoim życiem.

- Kiedy bardzo płakałeś latem nad grobem Frances, tak jak i Lily, czy w końcu pogodziłeś się z tym, że jej już nie ma? Musiałeś ją naprawdę bardzo kochać.

- Tak - przyznał. - Dawno, dawno temu. Myślałem, by znów się ożenić, mieć syna i wychować go na swego dziedzica. A potem zacząłem sobie wyobrażać, że odnajduję dziecko Frances i moje, i okazuje się, że to syn. Wyobrażałem sobie, jak rośnie wrogość i uraza pomiędzy dwoma braćmi, między dwójkiem moich dzieci, z których tylko jedno może zostać dziedzicem.

Na ścieżce prowadzącej na wzgórze było piękniej niż w ogrodzie. Wielobarwne liście zwisały nad ich głowami i leżały u ich stóp. Do zimy było jeszcze daleko.

- Nie jest jeszcze za późno, Lyndonie. - Zmusiła się, by to powiedzieć, jej serce było zimne niczym chłodna bryza wiejąca im w twarz. - Chodzi mi o to, że jeszcze doczekasz się syna i dziedzica. Nie jesteś stary. I stanowisz dobrą partię. Jeśli poślubisz młodą kobietę, może dać ci jeszcze wiele dzieci. Możesz założyć rodzinę, by pocieszyć się brakiem Lily.

- To właśnie mi radzisz, moja przyjaciółko?

- Tak - odparła, mając nadzieję, że jej głos jest tak zimny i stanowczy, jak tego pragnęła.

Zawsze uwielbiała tę ścieżkę, w najwyższym punkcie górowała nad wierzchołkami drzew i nagle rozpościerał się piękny widok na park i morze malujące się w oddali. W ciszy, jaka zapadła, Elizabeth starała się skoncentrować na podziwianiu krajobrazu. Zdała sobie sprawę, że się zatrzymali.

- A czy siebie uważasz za młodą, Elizabeth? - spytał w końcu.

Serce w niej zamarło. Spojrzała na ołowiane, szare morze, starając się nie zważać, że książę rozplata jej ściśnięte za plecami palce i bierze jej rękę w swą dłoń.

- Niewystarczająco - powiedziała. - Nie jestem wystarczająco młoda, Lyndonie. Mam trzydzieści sześć lat. Pozostałam niezamężna z własnego wyboru. Postanowiłam, że nie wyjdę za mąż bez miłości. Teraz jestem już za stara.

- Czy kochasz mnie?

Odwrócił się do niej i patrzył wyczekująco. Serce biło jej tak mocno, że zabrakło jej tchu.

- Jak bliskiego przyjaciela - odparła.

- Ach - powiedział miękko. - Jaka szkoda, Elizabeth. Jeszcze kilka miesięcy temu mógłbym powiedzieć to samo. Ale już nie teraz. W takim razie nie ma sensu, bym poruszał z

tobą temat małżeństwa, prawda? Nie kochasz mnie tak, jakbyś chciała kochać swojego męża?

- Lyndonie - wyszeptała. - Jest już za późno, bym mogła dać ci syna.

- Naprawdę? - Uniósł jej rękę i przycisnął do swych ust, zdjawszy z niej przedtem rękawiczkę. - Ależ ty masz dopiero trzydzieści sześć lat, moja droga.

Śmiał się. O, nie otwarcie, ale w głosie tego okropnego człowieka pobrzmiwał śmiech. Próbowwała wyrwać mu rękę, ale przytrzymał ją jeszcze mocniej.

- Lyndonie, zachowuj się rozsądnie. Nic mi nie jesteś winien. Powinieneś pamiętać o powinności wobec swego nazwiska i pozycji.

- Powiniennem pamiętać o sobie. Moją powinnością jest poślubić ciebie, Elizabeth. Kocham cię. Czy wyjdiesz za mnie?

- Och. - Przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć, on zaś odwrócił jej dłoń i odszukał ustami odsłonięty nadgarstek. - Pożałujesz tego już po kilku dniach, kiedy sprawy Lily ułożą się i zdasz sobie sprawę, że możesz teraz robić, co tylko zechcesz.

- Czy to znaczy, że mi odmawiasz, moja droga? - Nagle posmutniał, w jego głosie nie słychać już było śmiechu. - Czy możesz spojrzeć na mnie i powiedzieć, że taka jest twoja decyzja, że mnie nie kochasz i wolisz resztę życia spędzić sama zamiast ze mną? Spójrz mi w oczy.

Odwróciła głowę i popatrzyła najpierw na jego podbródek, a potem prosto w błękitne oczy. Czy to spojrzenie było przeznaczone dla niej? Takie samo, jakim patrzył Neville na Lily i jakiego ona im zazdrościła? Portfrey nie odrywał od niej oczu.

- Obiecuj, że nie pożałujesz tej decyzji. - Nadzieja i strach tworzyły osobliwą mieszankę, przyprawiając ją niemal o mdłości. - Obiecuj, że nie będziesz żałował, jeśli za rok lub dwa nie doczekamy się dzieci. Obiecuj...

Zaczął ją mocno całować.

- Aż do tej pory nie wiedziałem, że potrafisz pleść takie androny, Elizabeth - powiedział minutę później.

- Lyndonie. - Zamrugła powiekami. W niewiadomy sposób jej ręce znalazły drogę do jego ramion. - Och, Lyndonie, jesteś taki, taki...

Pocałował ją znowu, tym razem mocniej, wsunął język pomiędzy jej rozchylone wargi i zęby aż do wnętrza ust. Był to tak szokująco intymny dotyk, że straciła oddech, poczuła, że słabnie w kolanach i musiała zacisnąć ramiona na jego szyi, by nie upaść. A potem oddała pocałunek, dotykając jego język swoim, ssąc go, słuchając z radością jak odpowiada cichym pomrukiem.

Uśmiechał się, kiedy znów podniósł głowę.

- Przepraszam. Przerwałem ci. Co mówiłaś?

- Mam przeczucie, że nie pozwolisz mi skończyć żadnego zdania, którego nie będziesz chciał usłyszeć - odezwała się srogim tonem.

- Szybko się uczysz. - Żartobliwie potarł jej nos swoim. Znow zaczął ją całować delikatnie od policzka do skroni, a następnie lekko kąsać jej ucho, czym wywołał stłumiony okrzyk rozkoszy. - Jesteś przecież inteligentną kobietą. Teraz już wiesz, jak będę wymuszał małżeńskie posłuszeństwo.

- Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jaki potrafisz być nedorzeczny. I pozbawiony skrupułów. Lyndonie?

- Mmm?

- Kocham cię - powiedziała, zamykając oczy. - I jako bliskiego przyjaciela i o wiele bardziej. Jeśli wyjdę za ciebie, będę się starała dać ci syna.

Odrzucił do tyłu głowę, roześmiał się głośno i następnie przytulił ją do siebie mocno.

- Naprawdę? To dość prowokująca propozycja, moja kochana, bardzo prowokująca. Sprawdzę twoje postanowienie w noc poślubną, przyrzekam ci to, a potem będę je sprawdzał w każdą kolejną noc. A czasami może także rano lub po południu. Kiedy, Elizabeth? Wkrótce? Jeszcze szybciej? Wystarać się o specjalne pozwolenie? Nie mam cierpliwości do zapowiedzi ślubnych, a ty? Mam już czterdzieści dwa lata. Ty masz trzydzieści sześć. Chcę, byśmy byli ze sobą codziennie, w każdej chwili przez resztę życia.

- Nie jesteśmy jeszcze tacy starzy - zaprotestowała. Oczywiście - zgodził się, całując ją znow w usta. Uśmiechnął się.

- Zobaczmy, co te dzieciaki postanowią w ciągu następnych dwóch dni. Z pewnością będę upierał się przy odpowiednim ślubie w Rutland dla mojej ukochanej Lily, nigdzie indziej. Chciałbym jednak bardzo, by jej macocha pomogła mi wszystko przygotować.

- Aha! - krzyknęła. - Teraz już wiem, o co tu chodzi. Teraz już znam prawdziwy powód, dla którego namawiałaś mnie tak usilnie...

Zamknął jej usta długim namiętym pocałunkiem.

Lily odkryła, że Newbury Abbey nic się nie zmieniło, a jednak wygląda jakoś inaczej. Kiedy tu była poprzednim razem, czuła się zdeprymowana, wszystko ją przytłaczało. Obecnie mogła podziwiać wspaniałość i elegancję pałacu. Teraz czuła się tu jak w domu. Ponieważ to był jego dom i z pewnością stanie się jej domem.

Przez półtora dnia od przyjazdu rozmawiała ze wszystkimi gośćmi i cieszyła się ich towarzystwem. Również służących w kuchni, z którymi wypła rano kawę, obierając ziemniaki. Przebywała także w towarzystwie Neville 'a, ale nigdy sam na sam. Jediną okazją do chwili samotności była minuta - nie, nawet nie tyle - kiedy wsunął się do wnętrza powozu po ich przyjeździe.

To nie było ważne. Istniał sposób bycia z kimś sam na sam, nawet wśród tłumu. Dorastała otoczona przez pułk żołnierzy, ich kobiet i dzieci, i nauczyła się tego dosyć wcześnie.

Rozmawiali ze sobą, ale w towarzystwie innych osób. Patrzyli na siebie i uśmiechali się do siebie - ciągle na oczach innych. Ale łączyło ich ciche porozumienie. Oboje wiedzieli, że Lily zostanie tu do końca życia.

Nie wypowiedzieli tego głośno, bo odpowiedni moment jeszcze nie nadszedł. Nie starali się niczego przyspieszać, jakby za obopólną cichą zgodą. Czekali już tak długo, tyle przeżyli. Chwila ich ostatecznego połączenia nadejdzie sama. Nie trzeba przyspieszać biegu zdarzeń.

W salonie zwinięto dywan, by wieczorem, podczas przyjęcia urodzinowego hrabiny, mogły się odbyć tańce. Lady Wollston, czyli ciotka Neville'a, Mary, zajęła miejsce przy fortepianie. Neville zatańczył z matką, a potem z siostrą ponieważ Gwendoline mimo kłopotów z nogą lubiła tańczyć. Następnie poprosił Elizabeth i Mirandę.

I, oczywiście na koniec, zatańczył z Lily, wybierając walca.

- Widzisz, Lily, jestem samolubny - powiedział do niej z uśmiechem. - Gdyby to był wiejski taniec nie miałbym nic przeciwko temu, żebyś zatańczyła go z kimś innym. W walcu mam cię tylko dla siebie.

Lily zaśmiała się. Tańczyła już z ojcem, z Josephem, z Ralphem i Halem. Świetnie się bawiła. Wiedziała, że w końcu zatańczy z nim.

- Wiedziałam, że wybierzesz walca.

- Lily. - Przysunął odrobinę bliżej głowę. - Jesteś niezameżną kobietą, córką księcia, ograniczają cię nakazy przyzwoitości, do których musi się stosować dama z dobrego

towarzystwa.

Oczy Lily błysnęły wesoło.

- Rozmawiałem już z Portfreyem i mam jego zgodę - powiedział Neville. - Mógłbym oświadczyć ci się oficjalnie jutro w bibliotece. Twój ojciec i Elizabeth przyprowadziliby cię tam i taktownie zostawiliby nas razem na piętnaście minut. Ale nie na dłużej, bo to byłoby nie na miejscu.

- O? - Lily zaśmiała się znowu. - W twoim głosie i w wyrazie twojej twarzy dostrzegam jeszcze inną możliwość. Jeśli perspektywa kwadransa w bibliotece nie napawa cię radością, mnie zresztą również, jaki masz pomysł?

Uśmiechnął się do niej.

- Portfrey wyzwałby mnie na pistolety o świcie, gdybym tylko o tym pomyślał.

- Neville. - Przynęła się bliżej. Dziеляca ich odległość mogłaby wywołać skandal wśród wyższych sfer na balu, byli jednak wśród rodziny, która śledziła ich z tkliwym pobłażaniem, udając, że w ogóle nie patrzy. - Czy masz na myśli jakieś inne miejsce zamiast biblioteki? O! Czy mam to powiedzieć? Masz na myśli dolinę, prawda? Wodospad i jezioro. Domek.

Skinął głową i uśmiechnął się.

- Jutro? - spytała. - Nie, tata mógłby się zdenerwować. Masz na myśli dzisiejszą noc, prawda?

Nie przestawał się uśmiechać. Lily odwzajemniła mu uśmiech. Patrzyli sobie głęboko w oczy, ledwo zdając sobie w ogóle sprawę, że tańczą. A Lily, odczuwając przemożną słabość w kolanach, wiedziała, że właśnie nadszedł ten moment. Idealny moment. Neville odezwał się znowu, kiedy skończył się taniec.

- Pójdiesz tam ze mną, Lily?

- Oczywiście.

- Kiedy już wszyscy zasną, zapukam do twoich drzwi.

- Będę czekała.

Tak, pomyślała Lily kilka minut później, kiedy szła do swego pokoju, wyściskawszy przedtem hrabinę, Elizabeth, ojca i pożegnawszy się stosownie z Neville'em. To właśnie powinni zrobić - iść do domku. Tej nocy. Była teraz damą, córką księcia, była niezamężna i ograniczały ją konwenanse towarzyskie. Jednak ważniejszy od tych spraw był fakt, że była Lily, że w głębi serca była już żoną Neville'a od dwóch lat, i że wiązało ich coś silniejszego niż stworzone przez ludzi zasady.

\*

Księżyc, niemal w pełni, świecił z czystego, obsypanego gwiazdami nieba. Panował jesienny chłód, ale Lily, trzymając Neville'a za rękę, postrzegala i czuła jedynie piękno tej chwili. Minęli pospiesznie stajnię, przemknęli przez trawnik, pobiegli między drzewami, a potem wśród paproci, po stromym zboczu do doliny. Nic nie mówili, nawet kiedy już byli wystarczająco daleko od domu i nikt nie mógł usłyszeć ich głosów. Nie było takiej potrzeby. Coś głębszego niż słowa pulsowało między nimi, kiedy szli.

Wreszcie znaleźli się w dolinie i zaczęli iść w kierunku wodospadu, jeziora i domku. To właśnie tutaj przeżyli razem inny moment - na pewno zbyt krótki - moment całkowitego największego szczęścia, zanim rozdzieliły ich zdarzenia, których nie chcieli teraz pamiętać. Wrócili do miejsca, w którym czuli się szczęśliwi. I byli szczęśliwi teraz.

Wrócili do miejsca, do którego należeli.

Neville odezwał się dopiero wtedy, gdy znaleźli się przed drzwiami domku.

- Lily, zanim porozmawiamy, będziemy się kochać, dobrze? - Pochylił się nad nią, ujmując jej twarz w swe dłonie. - Chociaż ani kościół, ani państwo nie uznały naszego małżeństwa.

- Ja uważam, że jesteśmy małżeństwem - odparła. - Ty również. To jest najważniejsze. Jesteś moim mężem.

To zawsze była prawda, nawet wtedy, na wzgórzach Portugalii, kiedy przeżyła szok i była pogrążona w żałobie. Nawet wtedy wiedziała, że Neville jest dla niej najważniejszy na świecie. Nikt - a tym bardziej bezosobowe siły kościoła czy państwa - nie mógł odebrać ich małżeńskiej przysiędze wagi ani świętości.

- Tak - odrzekł i zamknął oczy. - Tak, jesteś moją żoną.

Po wejściu do domku zapalił dwie świece. Lily wzięła jedną z nich i zaniósła do sypialni, a Neville przyklęknął przy kominku, by rozniecić ogień. Powietrze było lodowato zimne.

- Zaraz zrobi się ciepło - powiedział. Wstał, rozpiął płaszcz, przyciągnął ją do siebie i okrył ich oboje. - Będziemy się przytulać i całować, aż zrobi się na tyle ciepło, byśmy mogli się rozebrać i położyć do łóżka.

Lily roześmiewszy się, odchyliła głowę do tyłu i popatrzyła na niego.

- W naszą noc poślubną również było zimno - przypomniała.

- O, tak, na niebiosa. - Roześmiał się. - Tylko płaszcze, koce i namiot chroniły nas przed grudniowym chłodem.

- I miłość - dodała.

Przycisnął usta do jej warg.

- Pewnie cię okropnie wtedy poturbowałem. To nie był najlepszy wstęp do świata namiętności, nie tak to by wyglądało, gdybym mógł to zaplanować.

- To była jedna z dwóch najpiękniejszych nocy w moim życiu. Inną spędziliśmy tutaj. Przy kominku jest już ciepło.

- Ale podłoga jest twarda.

Uśmiechnęła się do niego kokieteryjnie.

- Nie tak twarda jak ziemia w namiocie w Portugalii.

Ściągnęli poduszki i całe nakrycie z łóżka. Wykorzystali również płaszcze. Nie zdjęli wszystkich ubrań. Podłoga rzeczywiście była twarda i chłodna, a powietrze wcale się jeszcze dobrze nie nagrzało, mimo trzaskającego w kominku ognia.

Ich namiętność nie zauważała tych niedogodności. Istnieli tylko oni obydwój, ciepły, żywi i pełni pożądania. Neville pieścił ją rękoma i ustami, mruczając miłosne wyznania, a kiedy wszedł w nią głęboko, przestali być dwojgiem ludzi, stali się jednym ciałem, jednym sercem, po prostu jednością. I kiedy zaczął się w niej poruszać przez długie minuty dzielonej wspólnie namiętności stali się jedną wielką oszałamiającą rozkoszą.

O, tak, byli sobie poślubieni.

\*

Neville zasnął, nie wypuszczając jej z ramion. Spał, a Lily czuła ciężar jego odprężonego ciała. I twardą podłogę pod plecami. Kiedy zsunął się z niej, jęknęła cicho i przytuliła się do niego, mruczając sennie.

Ujrzał przez ramię, że ogień w kominku rozpalił się na dobre. Nie spał więc długo.

- Pewnie bolą cię wszystkie kości.

- Mmm. - Westchnęła. Potem uniosła głowę i pocałowała go powoli w usta. - Czy po tym wszystkim zechcesz uczynić ze mnie uczciwą kobietę?

- Lily. - Przycisnął ją do siebie mocno. - O, Lily, kochana. Tak jakbyś nie była uczciwą kobietą... Jesteś moją żoną. Możesz tysiące razy odmawiać mi swej ręki, a ja nigdy w to nie zwątpię.

- Nie mam zamiaru odmawiać ci tysiąc razy - odparła. - Ani nawet jeden raz. Powiedziałam „tak”, kiedy poprosiłeś mnie pierwszy raz. Wtedy zostałam twoją żoną, byłam nią nawet potem, kiedy wiosną nie chciałam zalegalizować naszego związku. Teraz nie mówię „nie”. Jestem twoją żoną i chcę, by cały świat się o tym dowiedział - mój ojciec, twoja

mama, wszyscy. By dowiedział się o tym, co już od dawna jest prawdą.

Pocałował ją.

- Tata marzy o dużym weselu, chociaż dla mnie najważniejszy jest nasz ślub w Portugalii. Chciałby, żebyśmy wzięli ślub w Rutland Park. Musimy się na to zgodzić, Neville. Jest dla mnie kimś wyjątkowym. On... ja go kocham.

- Oczywiście. Mama również tego chce - powiedział, całując ją znowu. - Wszyscy tego oczekują. Oczywiście, nasz powtórny ślub stanie się wielkim wydarzeniem. Kiedy, Lily?

- Kiedy tylko mój tata i twoja mama postanowią.

- Nie. - Uśmiechnął się do niej nagle. - Nie, Lily. To my zdecydujemy. Co sądzisz o drugiej rocznicy naszego ślubu? W grudniu, w Rutland Park?

- O, tak. - Odwzajemniła jego uśmiech z widoczną radością. - Tak, to wspomniała myśl.

Wszystko układało się teraz idealnie. Oczywiście nie będzie tak zawsze. Po prostu nie na tym polega życie. Ale teraz, tej nocy, wszystko było dobrze. Przyszłość zapowiadała się w jasnych barwach, a przeszłość...

Ach, przeszłość. Przeszłość Lily. Nie miał odwagi jej poznać. Może trzeba było zostawić przeszłość za sobą i nigdy nie wracać do tego co było? Ale przeszłość domagała się swoich praw. Jeszcze mogła, kiedyś, później, położyć się cieniem na ich życiu, zmać szczęście, zniszczyć miłość. Nie, nie mógł pozwolić, by przeszłość ukochanej pozostała na zawsze bolesną tajemnicą.

- O czym myślisz? - Lily dotknęła ustami jego warg. - Dlaczego posmutniałeś?

- Lily... - Spojrzał jej w oczy, chociaż w tej chwili wolałby patrzeć gdzie indziej. - Opowiedz mi o tamtych miesiącach. Było jeszcze coś, o czym mi nie mówiłaś, prawda? Wiosną nie miałem odwagi ani hartu ducha, by tego wysłuchać. Ból tych, których kochamy, trudniej znieść niż własny, a ja czułem się winny twojego cierpienia. Teraz jednak muszę wiedzieć. Muszę tego wysłuchać, żeby nie dzieliły nas żadne cienie. Może ty powinnaś powiedzieć. Pomogę ci się tego pozbyć, jeśli tylko potrafisz. Muszę zyskać...

- Przebaczenie? - dokończyła zdanie. Palcem dotykała szramy biegnącej mu przez twarz. - Uczyniłeś wszystko co w twojej mocy, zarówno dla mnie, jak i dla żołnierzy, którzy zginęli na przełęczy. Była wojna. I to tata zabrał mnie ze sobą na misję zwiadowczą. Wiedziałaś, że ryzykuję, on wiedział to również. Nie musisz się o to obwiniać. Nie powinieneś. Ale dobrze, opowiem ci. A wtedy obydwójce pozbedziemy się bólu. Razem. Odejdzie do przeszłości, tam, gdzie jego miejsce.

Nawet teraz miał ochotę zrezygnować. Pragnął, by tej idealnej nocy nie zakłócała ohyda, by nigdy ich nie dotknęła.

- Miał na imię Manuel - powiedział cicho.

Zaczerpnęła powoli i głośno powietrza.

- Tak. Miał na imię Manuel. Był niewysokim i umięśnionym mężczyzną, przystojnym i charyzmatycznym. Przewodził bandzie partyzantów, należał do fanatycznych nacjonalistów. Niezwykle lojalny wobec swych krajanów, potrafił być przerażająco okrutny wobec wrogów. Należałam do niego przez siedem miesięcy. Wydaje mi się, że w pewien sposób z czasem polubił mnie. Płakał, kiedy mnie uwalniał.

Neville trzymał ją w objęciach, gdy ciągnęła dalej. I wtedy, kiedy przestała już opowiadać. W końcu nie mogła się powstrzymać od łez. Zaczęła szlochać. On także płakał.

- Nie trzeba mówić o przebaczeniu, ponieważ nikt nie zawinił, Lily - powiedział w końcu, kiedy już zdołał opanować głos. - Wiem, że winisz się za to, że żyjesz, chociaż francuscy jeńcy zmarli. I że pozwoliłaś temu mężczyźnie, by cię wykorzystał, zamiast walczyć aż do śmierci. Więc powiem to, ukochana, a ty musisz mi uwierzyć. Przebaczam ci.

Zaczęła się powoli uspokajać, wytarła nos w chusteczkę, którą udało mu się znaleźć w kieszeni płaszcza.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się trochę nerwowo. - Nie trzeba mówić o przebaczeniu, bo nie ma w tym niczyjej winy, Neville. Wiem jednak, że powinienes to usłyszeć. Przebaczam ci, że nie obroniłeś mnie, że nie szukałeś mnie, że wróciłeś do Anglii i zacząłeś żyć, jak gdyby nic się nie stało. Przebaczam ci.

Przytulił ją i zaczął delikatnie głaskać po włosach. Zapatrzył się w ogień.

Co za dziwna noc, pomyślał. Prawie taka, jak pierwsza noc, którą spędzili wspólnie - ohyda i żaloba, miłość i rozkosz, splecione razem w tkaninę zwaną życiem. I wiara, że pomimo wszystko warto żyć i że jest o co walczyć. Tak długo, jak długo istnieje miłość - tajemnicza siła, która nadaje wszystkiemu znaczenie i wartość głębszą niż słowa.

To dobrze, że tej wyjątkowej nocy wreszcie pokonali ostatecznie barierę bólu. Razem zrozumieli, że ścieżka wiodąca do tej nocy i tego domku była długa i trudna. Zrozumieli, że razem mogą sobie nawzajem pomagać nieść brzemię i obdarować się wybaczeniem i pokojem, a także miłością i namiętnością.

- Lily. - Pocałował ją w usta. - Lily...

Przyłgnęła do niego, obejmując go mocno.

Teraz kochali się gwałtownie, bez pieszczot, bez okazywania sobie czułości. Istniała tylko tęsknota dwóch ciał pragnących ponad pożądaniem, ponad rozkoszą, ponad namiętnością dotrzeć do samego jądra miłości.

I szczęśliwie odnaleźli ją w tym domku opodal wodospadu, przy spełnieniu krzyżąc

bez słów, ze splecionymi, zaspokojonymi ciałami na twardej podłodze, pomiędzy kocami, płaszczami i innymi ubraniami.

Pogrążyli się we śnie.

\*

Neville spał nadal głęboko, niewygodnie zawinięty w koce, kiedy Lily wstała, wygładziła ubranie, ułożyła włosy najlepiej jak umiała i narzuciła płaszcz. Chciała go zostawić tutaj, ale ogień wygasł już w kominku, więc zimno i tak niedługo by go obudziło. Szturchnęła go stopą.

Wymruczał coś.

- Neville. - Bez zdziwienia ujrzała jak w jednej chwili obudził się i usiadł zupełnie przytomny. Bądź co bądź służył kiedyś jako oficer w wojsku. - Za kilka godzin musimy wracać do domu i doprowadzić się do porządku, byśmy wyglądali na świeżych, wypoczętych i niewinnych, kiedy zobaczymy się z tatą, twoją mamą i resztą gości. Musimy im powiedzieć, co postanowiliśmy i oddać w ich ręce resztę spraw. Czy chcesz zmarnować tych kilka cennych godzin?

Uśmiechnął się i wyciągnął do niej dłoń.

- Teraz, kiedy o tym wspomniałaś... - zaczął.

- Myślałam o kąpieli - przyznała. - Wydaje mi się jednak, że woda jest za zimna.

Skrzywił się.

- Możemy za to przejść się na plażę - powiedziała. - Albo nie, pobiegniemy.

- Tak? - wyciągnął się. - Kiedy moglibyśmy się zamiast tego kochać.

- Pobiegniemy na plażę - powiedziała stanowczo. Uśmiechnęła się prowokująco. - Kto ostatni dobiegnie do skały i wdrapie się na nią, ten jest najgorszą ciemięgą.

- Czym? - wykrzyknął ze śmiechem.

Lily zdążyła jednak uciec, wymknęła się do drugiego pokoju, potem otworzyła szeroko drzwi i przemknęła przez nie, zostawiając jedynie echo śmiechu w odpowiedzi.

Neville skrzywił się znowu, westchnął, obrzucił tęsknym spojrzeniem dogasający ogień, skoczył na równe nogi, zbierając po drodze ubranie i rzucił się w pogoń.

Lily źle osądziła swego ojca. Książę Portfrey rzeczywiście pragnął, by jej ślub odbył się w Rutland Park. Była wszak jego córką, cudownie odnalezioną i tu było jej miejsce. To właśnie z domu mógł ją oddać mężczyźnie, który z jego błogosławieństwem miał zostać jej mężem.

Pozwolił jednak, by Lily sama zdecydowała, jak wielki chce mieć ślub. Jeśliby zapragnęła, by znalazła się na nim cała śmietanka towarzyska, wtedy siłą zaciągnąłby tam wszystkich. Jeśli jednak chciałyby skromniejszej ceremonii, jedynie z udziałem najbliższej rodziny i przyjaciół, zgodziłby się bez wahania.

- Cała śmietanka towarzyska nie zmieści się w kościele - powiedziała mu Lily. Był to stojący na wzgórzu górującym nad wioską stary normandzki kościół, do którego wiodła wąska dróżka. Nie należał do największych.

- W takim razie będą stali w ścisku, jeśli tego sobie zażyczysz - odparł.

- Jesteś pewien, że nie masz nic przeciwko temu, jeśli zaproszę tylko krewnych i bliskich przyjaciół?

- Oczywiście, że nie. - Potrząsnął głową. - Wiem, Lily, że dla ciebie najważniejszy jest ten pierwszy ślub. Chciałbym, żeby to wydarzenie stało przynajmniej na drugim miejscu. By było czymś, co będziesz wspominała z dumą przez resztę życia.

Zarzuciła ma ręce na szyję i przytuliła mocno.

- Tak będzie - powiedziała. - Tak będzie, tato. Tym razem ty tam będziesz i Elizabeth, i cała rodzina Neville'a. O, wcale nie będzie na drugim miejscu, ale równie ważny.

- Dobrze, w takim razie ślub będzie skromniejszy, przeznaczony tylko dla najbliższych. Miałem nadzieję, że tak właśnie wybierzesz.

Z pewnością nie był tak intymny, jak jego ślub z Elizabeth, który odbył się na początku listopada w Rutland Park. Wtedy obecna była na nim jedynie Lily i rządcą księcia. A przecież, jak powiedział później pan młody, nie mogło być szczęśliwszego dnia dla niego i jego wybranki.

Elizabeth, zawsze piękna i elegancka, promieniała szczęściem, które zakwitło młodością na jej policzkach. Pogrążyła się energicznie w przygotowaniach do ślubu pasierbicy i ulubionego bratanka.

\*

Tak więc w mroźny, ale słoneczny grudniowy poranek Neville czekał u ołtarza kościoła w Rutland Park na pannę młodą. Kościół nie był przepełniony, za to znajdowały się

tutaj wszystkie najważniejsze osoby w jego i Lily życiu, z wyjątkiem Lauren, która pomimo protestów wszystkich uparła się, że zostanie w domu. W pierwszej ławce siedziała matka Neville'a, a obok niej jego wuj i ciotka, czyli książę i księżna Anburey. Elizabeth, księżna Portfrey, zajęła miejsce po przeciwnej stronie nawy. Zjechali wszyscy wujowie i ciotki oraz kuzyni. Przybył kapitan Harris z żoną i krewni księcia Portfrey. Baron Onslow wstał z łóżka i przyjechał z Leicester, by uczestniczyć w ślubie swej wnuczki.

A Joseph, markiz Attingsborough, stał obok Neville'a jako jego družba.

Przy wejściu do kościoła zapanowało poruszenie i ukazała się na chwilę Gwen. Zatrzymała się, by poprawić tren sukni panny młodej, która niestety stała tak, że nie można jej było dojrzeć.

Nie trwało to długo. Oto pojawił się książę Portfrey, prowadząc do ołtarza córkę. Panna młoda ubrana była w białą, klasycznie prostą suknię, która połyskiwała w słabym świetle, a w jej krótkie jasne loki wplecione zostały niewielkie białe kwiatuszki i zielone listki.

Zebrani westchnęli z przyjemnością.

Neville nie widział jednak panny młodej ubranej z elegancją i dobrym smakiem w kosztowną suknię. Ujrzał Lily. Tamtą Lily w wypłowiałej, błękitnej sukience z bawełny, otuloną w stary wojskowy płaszcz, nadal na nią za duży, mimo że skróciła go, dopasowując do swojego wzrostu. Lily bosą, mimo grudniowego chłodu, z rozwiązanymi włosami spływającymi na plecach aż do talii.

Jego pannę młodą.

Jego ukochaną.

Jego życie.

Patrzył, jak idzie ku niemu, nie odrywając od niego swych błękitnych oczu, wpatrując się głęboko w jego oczy. Domyślał się, że w tej chwili ona również nie dostrzega pana młodego ubranego w aksamitny żakiet w kolorze wina, srebrną ozdobioną brokatem kamizelkę, szare spodnie do kolan oraz białą koszulę. Wiedział, że widzi oficera dziewięćdziesiątego piątego pułku, w sfatygowanym, zakurczonym zielono - czarnym mundurze, z brudnymi butami i obciętych krótko włosami.

Uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił jej uśmiech. Portfrey podał mu jej dłoń i odwrócił się, by zająć miejsce obok Elizabeth.

Neville z powrotem znalazł się w kościele w Rutland Park, u boku swej wykwintnie ubranej panny młodej. Jego pięknej Lily. Pięknej w swej dzikości, pięknej w swej elegancji.

Za chwilę pastor miał ich połączyć w świetle kościoła i państwa, tak jak tamten pastor

wśród wzgórz środkowej Portugalii połączył ich na zawsze w głębi serc.

\*

Kiedy wyszli z kościoła uderzyło w nich chłodne powietrze. Był piękny zimowy dzień, a mróz jedynie nadawał koloru policzkom, sprawiał, że błyszcząły oczy i czuło się energię w mięśniach.

Lily roześmiała się.

- O, Boże!

Nawet nie zauważyła, kiedy przeszli nawą po podpisaniu kościelnego rejestru - uśmiechając się na prawo i lewo do krewnych i przyjaciół, którzy odwzajemniali te uśmiechy - że część zebranych, a zwłaszcza ci najmłodszy, zniknęła. Teraz ich zobaczyła. Stali po obu stronach wiodącej do kościoła alejki z rękoma pełnymi kwietnej amunicji.

Neville roześmiał się również.

- Jakże udało im się zdobyć świeże kwiaty w grudniu? - powiedział.

- To z cieplarni taty - domyśliła się Lily. - I wcale nie kwiaty, tylko same płatki.

Setki, tysiące płatków. Wszystkie w garściach kuzynów czekających z radością aż obsypią nimi państwa młodych.

- No cóż. - Neville spojrzał na otwarty powóz, który miał ich powieźć do domu na weselne śniadanie. - Nie możemy ich zawieść, przechodząc spokojnie, jakbyśmy nie mieli nic przeciwko temu, by nas zasypali tą lawiną. Lepiej pobiegnijmy.

Złapał ją mocno za rękę. Śmiejąc się radośnie, podjęli wyzwanie, pędząc krętą alejką, a kuzyni wesoło krzyczeli, pohukiwali i sypali deszczem różnokolorowych płatków na ich włosy i ślubne ubranie.

- Nareszcie bezpieczni - powiedział Neville, kiedy dotarli do powozu, nie przestając się śmiać. Pomógł żonie wejść do środka i okrył ją białym, obszywanym futrem płaszczem.

Lily wtuliła się w obsypane płatkami kwiatów okrycie, a Neville uniósł się w powozie i potrząsnął pięścią w stronę rozweselonych gości. Stali tam wszyscy - stateczni dorośli i niesforni młodzi. Lily zauważywszy, że matka Neville'a płacze, wyciągnęła do niej dłoń i pocałowała, kiedy ta podeszła do nich. Pocałowała również wzruszoną Elizabeth i uściskała ojca, który udawał, że to tylko z powodu zimna tak łzawią mu oczy.

Neville, nadal stojąc w powozie, rzucił deszcz monet w stronę dużej grupy mieszkańców wioski, obserwującej ceremonię. Dzieci zaczęły się przekrzykiwać i rozpychać, by podnieść skarb.

Powóz wreszcie ruszył, a wtedy Lily i Neville zauważyli, że ciągną za sobą cały

arsenał wstążek, kokard i dzwonek.

- Można by pomyśleć, że kuzynkowie nie mają nic lepszego do roboty - stwierdził Neville, siadając obok Lily.

- Masz na nosie płatek. - Roześmiała się, sięgając do jego twarzy.

Ujął jej dłoń i uniósł do ust. Śmiech zamarł mu na ustach. Spojrzała na niego błyszczącymi oczami.

- Lily. Moja żona. Hrabina Kilbourne.

- Tak. - Ujęła jego twarz w dłonie. Znaleźli się na zakręcie wiejskiej dróżki wiodącej z powrotem do domu. Kościół i weselni goście zniknęli im z oczu. - Tyle razy zmieniałam swą tożsamość w ciągu ostatnich dwóch lat, że w końcu sama już nie wiedziałam, kim jestem i kim powinnam być.

- Rozumiem. - Położył rękę na jej dłoni. - I wreszcie odnalazłaś się? Kim jesteś?

- Jestem Lily Doyle - odparła. - Jestem lady Frances Lilian Montague. Jestem Lily Wyatt, hrabina Kilbourne. Jestem każdą z nich.

- Nadal sprawiasz wrażenie oszołomionej - stwierdził smutno.

Potrząsnęła jednak głową i uśmiechnęła się do niego, w jej oczach zalśniło szczęście.

- Jestem wszystkimi osobami, jakimi kiedykolwiek byłam - powiedziała. - Mam za sobą różne doświadczenia. Nie muszę wcale wybierać. Nie muszę rezygnować z jednej tożsamości, by wybrać drugą. Jestem tym, kim jestem. Jestem Lily. - Uśmiechnęła się wesoło.  
- Znana jako twoja żona.

Odwrócił głowę, zamknął oczy i przycisnął usta do jej nadgarstka.

- Tak. Właśnie tym jesteś, Lily. Kobieta, którą kocham. Kocham cię, Lily.

- Wiem. - Pochyliła ku niemu głowę. - Kochałeś mnie na tyle, by pozwolić mi odejść, bym mogła odnaleźć siebie.

- A ty wróciłaś do mnie.

- Tak - powiedziała. - Ponieważ nie musiałam, Neville. Ponieważ wróciłam nieprzymuszona i zdecydowałam się na ciebie z własnej woli. I ponieważ cię kocham. Zawsze cię kochałam. Od pierwszej chwili, kiedy zacząłeś rozmawiać z tatą. Byłeś wtedy moim bohaterem. Potem stałeś się przyjacielem. A potem ukochanym. A teraz kimś jeszcze. Możemy teraz żyć i kochać się jak równy z równym.

- Czy mówiłem ci już, Lily, że jesteś piękną panną młodą? - Uśmiechnął się do niej.

- Powinieneś podziękować za to Elizabeth. To ona przekonała mnie, że w tej sukni prezentuję się najlepiej i że będę lepiej wyglądać z kwiatami we włosach, a nie w kapeluszu z woalką.

- Miałem na myśli twoją błękitną sukienkę z bawełny, wojskowy płaszcz i rozpuszczone włosy bez jednej szpilki.

- Och. - Zagryzła wargę. - Pięknie to powiedziałeś. A ty byłeś przystojny w wytartym mundurze pułkowym. Neville, jacy jesteśmy szczęśliwi, że możemy zachować we wspomnieniach dwa takie śluby.

- O, nie! - Neville spojrział przed siebie, a Lily nadal wpatrzona była w jego twarz. Odwróciła gwałtownie głowę.

- Masz ci los - powiedziała.

Mogłaby przysiąc, że cała służba z Rutland Park - od pierwszego lokaja do najmłodszego pomocnika ogrodnika - zebrała się na tarasie. Stali w szeregu według rangi, by powitać nowożeńców. Oni również - wszyscy - uzbroili się po zęby w kwietne płatki.

Neville otoczył ramieniem Lily i pochylił się nad nią, by popatrzeć na jej twarz. Odwzajemniła spojrzenie. Wyglądało na to, że ich uroczym interludium prywatności dobiegło na razie końca.

- Mamy przed sobą noc, ukochana - powiedział.

- Tak - odparła tęsknym głosem. - Mamy noc.

Odwrócili się ze śmiechem do służby, pozwalając, by przypuściła na nich kwietny atak.